
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji),
Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew
Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

DR ANDRZEJ ANUSZ

„Źródła” 1000 lat myśli polskiej na 100 lecie Niepodległości. 3

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

100-lecie Błękitnej Armii 9

Pierwsze państwowe uroczystości 80 rocznicy tak zwanej „Operacji Polskiej w latach 1937–1938. 14

Pożegnanie Edwarda Mizikowskiego 18

Dzień Weterana i 78. rocznica wybuchu II wojny światowej 21

KRZYSZTOW LANCMAN

Uroczystości w Peczynie. 26

Marsz Pamięci marszałka Józefa Piłsudskiego. 31

DR JERZY BUKOWSKI

Okiem Filozofa spod Kopca Piłsudskiego 34

PROF. DR HAB. LESZEK MOCZULSKI

Integracja Europy czy integracja Międzymorza? 85

DR WOJCIECH BŁASIAK

Polska, Międzymorze i Nowy Jedwabny Szlak 91

ŁUKASZ PERZYNA

Rozmowa z Profesorem Wiesławem Wysockim Prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie 104

DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI

O ekonomii i nie tylko..... 121

ADAM SŁOMKA

Historia zatoczyła koło 144

LECH KRÓLIKOWSKI, TADEUSZ PORĘBSKI

Winne są wszystkie polityczne ekipy po 1989 roku 150

ŁUKASZ PERZYNA

AWS 200 lat później. Z dziennikarskiej perspektywy. 161

PIOTR PLEBANEK	
Wspomnienia Artura Owczarka	176
ARTUR BROŻYNIAK	
KPN na terenie obecnego Podkarpacia w latach 1979–1990	183
MIROŚLAW LEWANDOWSKI	
Michał Żak - wspomnienia z lat 1948–1958	191
ANTONI ANUSZ	
Rola Józefa Piłsudskiego w życiu Narodu i Państwa (reprint z 1927 roku)	229
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Rozmowy z wierszami	287
ŁUKASZ PERZYNA	
Głowacki czyli rozumny patriotyzm	342

„ŹRÓDŁA” 1000 LAT MYŚLI POLSKIEJ
NA 100 LECIE NIEPODLEGŁOŚCI.

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Bohdan Urbankowski wydając swoją historię filozofii polskiej. Dziękujemy!

Prof. Kazimierz Świągocki napisał o *Myśli romantycznej* Urbankowskiego: *książka Bohdana Urbankowskiego może odegrać ważną rolę w ocenie naszego romantyzmu, postulując uznanie tego prądu jako najważniejszego dla naszej tradycji i współczesności. potrzebne są nie tylko suche akademickie rozważania nad naszym romantyzmem, lecz i taka książka, która byłaby w stanie porwać nie tylko umysły lecz i serca czytelników. Zwraca uwagę nie tylko jej styl, niezwykle sugestywny, plastyczny, wciągający do „akcji” natychmiast niemal jak w powieści. Fragmenty książki są wręcz porywające. dziś książek tak znakomicie pisanych na tak trudne tematy po prostu nie ma.*

Mimo upływu lat recenzja prof. Świągockiego, który podobnie jak Urbankowski jest filozofem i literatem, do dziś nie straciła na aktualności. Podpisuję się pod nią bez zastrzeżeń. Muszę jednak dodać kilka uzupełnień. *Myśl romantyczna* przedstawiała kilkadziesiąt lat rozwoju filozofii, od Mochnackiego do Norwida, 254 strony. Obecne dzieło dr Urbankowskiego przedstawia kilkaset lat historii filozofii polskiej, od Witelona do Wojtyły – w 4 ogromnych tomach, na 3 232 stronach (ponad siedem milionów słów). Aż trudno uwierzyć, że jeden autor mógł to wszystko ogarnąć i opisać.

Nie straciła też aktualności opinia, że tak znakomicie piszących autorów jak dr Urbankowski wciąż w Polsce brakuje. Zwłaszcza na odcinku ojczystej filozofii. Bo cóż mamy na rynku? Niedokończone dzieło Wiktora Wąsika *Historia filozofii polskiej*, przerwane przez śmierć autora w połowie romantyzmu i nie wznowiane od 1966 roku, przyczynkarskie prace Stanisława Borzysza sprzed

lat 20. – zamknięte w ramach XIX / XX wieku. Z rzeczy nowszych: *Historia filozofii polskiej*, Woleńskiego ze Skoczyńskim, z roku 2010, pisane w stylu leksykonowym, nie zachęcającym do lektury. Charakter leksykonu ma również wydana rok później dwutomowa *Encyklopedia Filozofii Polskiej*, obciążona wszystkimi wadami dzieła zbiorowego, napisana językiem specjalistycznym wywiczonym na scholastyce, do współczesnej młodzieży nie przemawiającym.

Ta sytuacja raczej odstrasza potencjalnych miłośników polskiej filozofii.

Cykl „Źródła” składa się z czterech tomów:

I Budowniczkowie nadpowietrznych katedr – od początków filozofii w Polsce do Oświecenia, z uwzględnieniem zapomnianych niesłusznie Antoniego Wiśniewskiego i Feliksa Jarońskiego. Ten tom ukazuje tworzenie filozofii jako część budowania ogromnej kultury chrześcijańskiej, co nie znaczy, że autor pomija prądy dialogujące lub protestujące – jest i Jędrzej Gałka z Dobczyna, i Modrzewski, i Bracia Polscy.

II Rycerze nadpowietrznej walki – filozofia romantyzmu. Tytuł stanowi parafrazę znanej wypowiedzi Słowackiego z 1839 roku Kordian świadczy, że jest rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy.

W tym momencie warto przypomnieć, że dr Urbankowski ma w swym dorobku znakomite szkice o filozofii Słowackiego i innych naszych romantyków: Libelta, Dembowskiego i Trentowskiego, które ukazały się również w anglojęzycznej „eksportowej” wersji.

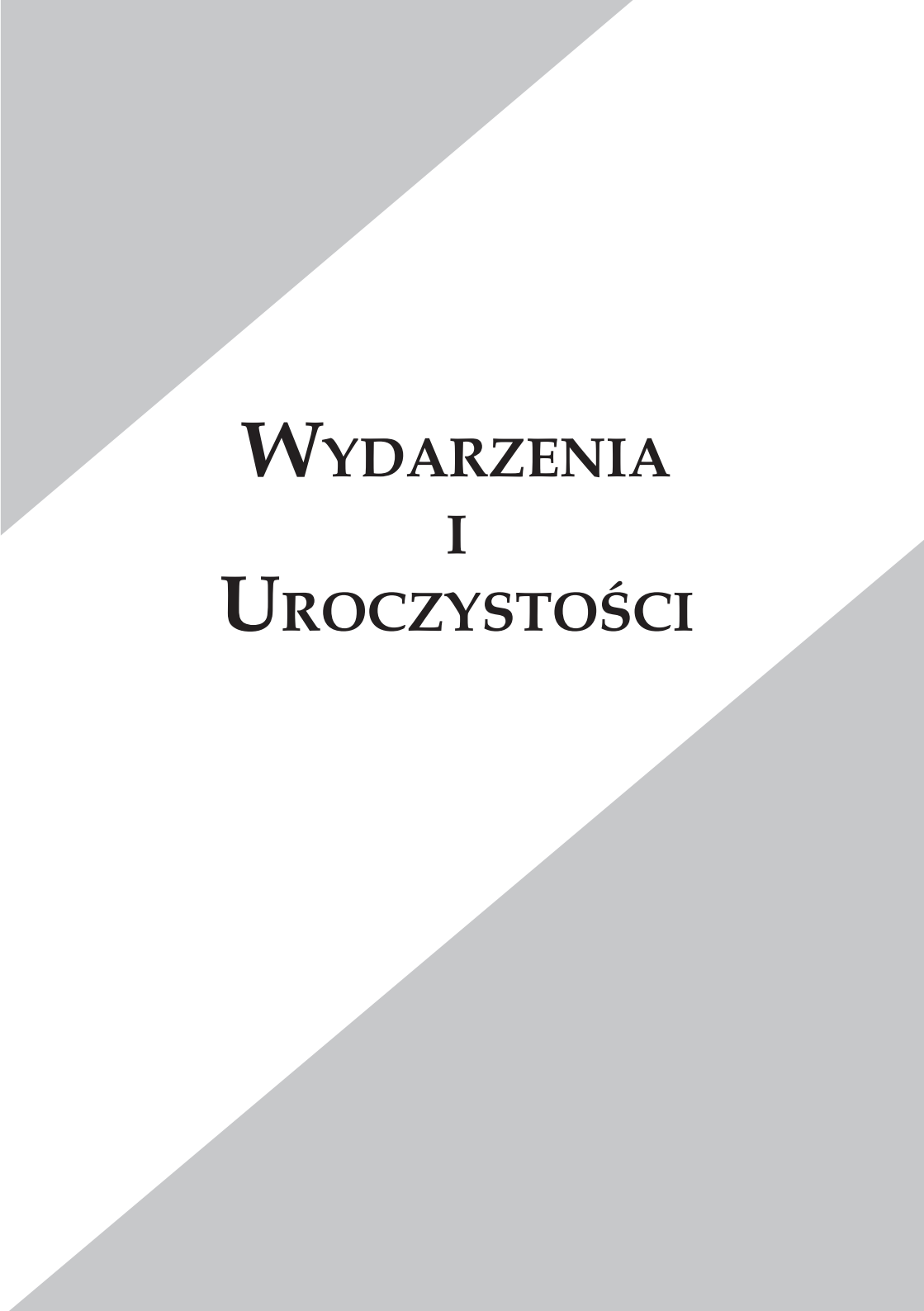
III Strażnicy niewidzialnych arsenatów. W tym tomie omówieni zostali filozofowie, którzy tworzyli obok głównych nurtów: Wojciech Jastrzębowski, Józef Supiński, Erazm Majewski. prócz nich w tomie znaleźli się pozytywiści oraz polscy nieortodoksyjni socjaliści, w kapitalnie zatytułowanym rozdziale *Socjalizm o sarmackim obliczu* będącym z kolei aluzją do *socjalizmu z ludzką twarzą*.

IV Tłumacze narodowych testamentów z aluzją do Norwida – autor omawia filozofów XX wieku i umieszcza ich na tle wcześniejszej filozofii polskiej. Zaletą tego tomu jest przypomnienie Feliksa Konecznego i Kazimierza Dąbrowskiego, są Malinowski i Znaniecki, jest przeżywający renesans Witkiewicz, jest Wojtyła o którym autor słusznie zauważa, że miał największe audytorium ze światowych filozofów. Tom IV pokazuje światowe znaczenie filozofii polskiej. Niektóre szkice, których bohaterami są Feliks Koneczny, Stanisław Brzozow-

ski, Karol Wojtyła czy zawsze fascynujący „Witkacy” mogłyby zostać wydane osobno, w wielotysięcznym nakładzie z pewnością stałyby się bestsellerami.

Znakomitym metodologicznie i handlowo pomysłem jest włączenie przez autora wątków osobistych, przygód jakie towarzyszyły pisaniu i próbom wydawania niesłusznej politycznie książki.

Kultura polska doczekała się przed laty syntezy filozofii światowej autorstwa Władysława Tatarkiewicza. Na syntezę filozofii polskiej czekaliśmy kilkadziesiąt lat . „Źródła” doktora Bohdana Urbankowskiego wypełniają tę lukę.



WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI

100-LECIE BŁĘKITNEJ ARMII

Obchody 100-lecia powstania Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera - jednej z ważniejszych polskich formacji wojskowych okresu walki o niepodległość – rozpoczęły się 23 lipca 2017 r. Mszą Świętą w Katedrze Polowej Wojska Polskiego. Eucharystii przewodniczył ks. płk Piotr Majka, proboszcz katedry.

Pod koniec Mszy odczytane zostało słowo biskupa polowego Józefa Guzda, który podkreślił, że *żołnierze „Błękitnej Armii” wiedzieli, że miłość do Ojczyzny jest największą wartością i cnotą. Dobrowolnie opuścili bezpieczne miejsca egzystencji w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, by walczyć o wolność Polski i*



fol. Alina Brysiak

for. Alina Brysiak



odzyskanie należnego jej miejsca na arenie międzynarodowej. Tak bowiem postępuje prawdziwy patriota, miłujący Boga i Ojczyznę.

W godzinach popołudniowych przed Pomnikiem Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej na Żoliborzu – po okolicznościowych przemówieniach m.in. ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza, senatora Jana Żaryna, posła Andrzeja Melaka i członków Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce - odczytano Apel Pamięci. Listy do uczestników uroczystości skierowali Marszałek Sejmu Rzeczypospolitej Marek Kuchciński, Prezes Rady Ministrów Beata Szydło i p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

W osobie gen. Hallera połączył się wysiłek zbrojny kraju i emigracji, połączył się wysiłek zbrojny tych, którzy szli z Piłsudskim i tych, którzy szli z Dmowskim. Połączył się duch narodowy i dlatego była tak niebywale skuteczna i dlatego jest symbolem wielkiego polskiego zwycięstwa. Nie byłoby to możliwe, bez szczególnej drogi życiowej gen. Józefa Hellera – powiedział do zebranych przy pl. Grunwaldzkim szef resortu obrony Antoni Macierewicz.

Z kolei minister Jan Józef Kasprzyk w przesłaniu skierowanym do uczestników uroczystości napisał:



for. Alina Brysiak

Przesyłam serdeczne pozdrowienia uczestnikom obchodów. Szczególne podziękowania za ich przygotowanie kieruję do członków Społecznego Komitetu Obchodów 100-lecia Polskiego Czynu Niepodległościowego.

W przyszłym roku obchody 100-lecia niepodległości osiągną swoje apogeum. Pamiętamy wszakże, iż listopad 1918 roku został poprzedzony latami ogromnego wysiłku społeczników, polityków, artystów i żołnierzy. Błękitna Armia odegrała w tym procesie rolę nieocenioną.

Niepodległość nie była podana na tacy, trzeba było o nią zawalczyć i polską rację dobitnie zamaniifestować przed światem. Ojczyzna mogła liczyć na naszych rodaków, Polacy byli wszędzie, gdzie należało się znaleźć w danej chwili.

Nasi rodacy z dalekich stron: ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, z Francji dowiedli, że pamiętają o korzeniach. Potwierdzili słuszność działań wybitnego artysty Ignacego Jana Paderewskiego, który zabiegał u możnych tego świata o wsparcie polskich aspiracji. Dołączyli do nich Polacy zamieszkujący ziemie trzech zaborów. Ich akces do Błękitnej Armii był manifestacją woli wskrzeszenia Polski, był też bardzo ważnym atutem w międzynarodowej politycznej grze, jaka toczyła się u schyłku I wojny światowej i zaraz po niej. Polska Błękitna Armia należała do sił Ententy, dzięki niej w 1918 roku znaleźliśmy się po zwycięskiej stronie.

fol. Alina Brysiak



fol. Alina Brysiak



Błękitna Armia to liczne, świetnie uzbrojone i wyszkolone wojsko. Jej przyjazd do Polski w 1919 roku bardzo wzmocnił militarny potencjał naszego kraju. Bez silnego wojska nie byłoby skutecznej walki o granice ani zwycięskiej wojny z bolszewikami w 1920 roku.

Za Oceanem tradycję pamięci o Błękitnej Armii z powodzeniem kultywuje Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, stworzone niegdyś przez hallerczyków. Historyczna pamięć to gwarancja trwałości wspólnotowych więzi łączących Polaków z wielu stron świata.

Wieczna chwała żołnierzom Błękitnej Armii, wieczna chwała jej dowódcy – generałowi Józefowi Hallerowi.

Po ceremonii złożenia kwiatów na tyłach pomnika odbył się piknik militarny. W obchodach uczestniczyli także minister środowiska Jan Szyszko; sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw dialogu międzynarodowego Anna Maria Anders; zastępca Dowódcy Generalnego RSZ gen. dyw. Jan Śliwka; szef sztabu Dowództwa Generalnego gen. bryg. Tadeusz Mikutel oraz przedstawiciele licznych urzędów, stowarzyszeń, instytucji kultury, samorządów oraz młodzież.

Adam Stefan Lewandowski

PIERWSZE PAŃSTWOWE UROCZYSTOŚCI 80 ROCZNICY TAK ZWANEJ „OPERACJI POLSKIEJ W LATACH 1937 – 1938”

Przełomowe, bo pierwsze w historii państwowe uroczystości upamiętniające Polaków zamordowanych przez władze Związku Sowieckiego na rozkaz Józefa Stalina w latach 1937-1938 odbyły się przy Pomniku Poległym i Pomordowanym na Wschodzie 11 sierpnia 2017 r. w Warszawie.

Zorganizowaną przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Instytut Pamięci Narodowej uroczystość rozpoczął hymn państwowy. List od Prezydenta Rzeczypospolitej Andrzeja Dudy odczytała szefowa kancelarii głowy państwa Halina Szymańska.



Dziesiątki tysięcy osób aresztowano, skazano i zabito lub deportowano w głąb kraju, często na pewną śmierć. Ofiar nie łączyło pochodzenie społeczne, zamożność, stosunek do komunizmu, ani faktyczne poglądy. Jedyłą ich wspólną winą było obciążenie polsnością – napisał prezydent w liście. Przez dziesiątki lat, ta straszliwa zbrodnia w gąszczu innych, uchodziła nawet uwadze historyków. Bardzo długo mówiono jedynie o prześladowaniach polskich komunistów, a czystka wewnętrzna wśród wyznawców bolszewizmu zakrywała prawdę o krzywdach tych, znacznie liczniejszych, którzy nigdy nie byli zwolennikami Lenina i Stalina. Dopiero w ostatnich dekadach, dzięki pracy badaczy udało się poznać sens i zobaczyć prawdziwy obraz tamtych wydarzeń, które dotąd tonęły w morzu wielkiego terroru. – napisał Prezydent.

Przesłanie od Prezes Rady Ministrów Beaty Szydło odczytał sekretarz stanu KPRM Paweł Szrot.

Wiemy, że ten eufemistyczny zwrot dotyczy w istocie systematycznej i masowej eksterminacji Polaków, którzy po traktacie ryskim znaleźli się w granicach Związku Sowieckiego. Tragiczna liczba ofiar sięga nawet 140 tys. naszych rodaków skazywanych na zagładę, wyłącznie z powodów narodowych, mordowanych za to,



że byli Polakami. Dzisiejsze obchody są jednym ze znaków pamięci o tych wydarzeniach, pamięci opartej na prawdzie. Jesteśmy dumni z tego, że głośno i otwarcie możemy mówić o decydentach, motywach i rozmiarach sowieckiego ludobójstwa. – podkreśliła Premier.

List od wicepremiera i ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego odczytał podsekretarz stanu MKiDN Paweł Lewandowski.

Wypowiedzenie tego z czym spotykamy się poznając los zestanych na mocy rozkazu NKWD do Kazachstanu czy na Sybir, jedynie za to, że byli narodowości polskiej, wydaje się wręcz niewłaściwe. Jedynie godna zdaje się być zaduma i chwila ciszy. Dziś możemy stwierdzić z pewnością, że uciskowi zewnętrznemu, głodowi, wycieńczeniu czy zimnu, towarzyszyło nie mniejsze udręczenie wewnętrzne – napisał minister kultury.

Gospodarz uroczystości, p.o. Szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, przekonywał, że w tym dniu przywracamy pamięć o tamtych tragicznych dniach, o tych ofiarach których do chwili obecnej, nie jesteśmy w stanie policzyć, o których mówimy – około 110 tys., a być może 200 tys. To ogromne zadanie przed badaczami, historykami, aby przywrócić pamięć o tych



niewinnie mordowanych tylko za to, że myśleli, czuli, mówili po polsku, ale to właśnie dla Sowietów było najwyższą winą. Myśleć i mówić po polsku, czyli myśleć w sposób niepodległy – powiedział minister.

Drugi z gospodarzy, Prezes Instytutu Pamięci Narodowej Jarosław Szarek, postulował: *stworzmy wielką koalicję pamięci, która spowoduje, że w przyszłym roku spotkamy się przed pomnikiem upamiętniającym ofiary Operacji Polskiej NKWD 1937-38.*

Po odczytaniu Apelu Pamięci złożono kwiaty. W uroczystości udział wzięli przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, kombatancki, samorządowcy oraz przedstawiciele organizacji pozarządowych.

Operacja (anty)polska została przeprowadzona z Rozkazu Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR nr 00485 z dnia 11 sierpnia 1937 r. Autorem dokumentu był Nikołaj Jeżow. W latach 1937 – 1938 w jej ramach wymordowano ponad 100 tys. Polaków. W tym przypadku stosowano kryterium przynależności narodowej. O ludobójstwie zaczęto rozmawiać dopiero po ponad 25 latach wolnej III Rzeczypospolitej.

Relację sporządził
Adam Stefan Lewandowski

Zdjęcia UdSKiOR

POŻEGNANIE EDWARDA MIZIKOWSKIEGO

Uroczystości pogrzebowe zmarłego tragicznie Edwarda Mizikowskiego rozpoczęła 29 sierpnia 2017 r. w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie Mszą Świętą pod przewodnictwem biskupa polowego WP Józefa Guzdką. Niezlomny obrońca wolności i zasłużony działacz opozycji antykomunistycznej, poeta i dziennikarz został pośmiertnie odznaczony przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, który rodzinie zmarłego przekazała Zofia Romaszewska. Złotym Medalem Za Zasługi dla Obronności Kraju odznaczył Edwarda Mizikowskiego Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz.

Pierwsze nauki jak kochać Polskę brał od swojego ojca i stryja – żołnierzy Legionów Polskich, wcześniej działaczy Organizacji Bojowej PPS, żołnierzy polskich organizacji wojskowych – wspominał Edwarda Mizikowskiego p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. Przesiąkł tym wielkim duchem niepodległości i wiedział, że niepodległość jest najpiękniejszą ideą, za którą można nawet oddać życie. Bo wolność i niepodległość Rzeczypospolitej jest najważniejsza. O takich, jak Edward pisał w „Przestaniu Pana Cogito” Zbigniew Herbert, bo Edward szedł zawsze wyprostowany wśród tych, którzy byli na kolanach. Był zawsze odważny. Jak pisał książkę poetów, w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy. Był odważny wtedy, kiedy zakładał strukturę MRKS, kiedy wydawał Głos Wolnego Robotnika. Był odważny, gdy dokonał czynu, który przeszedł do legendy Polski walczącej w latach 80-tych, kiedy wszedł na gmach Komitetu Centralnego PZPR i wywiesił transparent „Uwolnić więźniów politycznych”. To przeszło do legendy tak samo, jak akcje grup szturmowych Szarych Szelegów podczas II wojny światowej, jak akcje „Rudego”, „Alka”, „Zośki”. On czuł

POŻEGNANIE EDWARDA MIZIKOWSKIEGO



się ich spadkobiercą, tamtej tradycji powstańczej, niepodległościowej i wiedział, że również w takiej formie należy walczyć o Polskę.

Parę lat temu Edward opublikował swój pierwszy tomik poezji i nadał mu tytuł „Serce i pazury”. W tych dwóch słowach zamyka się cała istota jego życia.



On miał serce przepojone miłością do Polski i do drugiego człowieka. Pamiętajmy, że jeszcze kilka lat temu, sam mając niewiele, potrafił przyjmować pod swój dach rodziny, które uciekły przed inwazją rosyjską z Czeczenii. Ze często dzielił się z drugim człowiekiem ostatnią kromką chleba, a dobrym słowem zawsze.

Miał ogromne serce do młodego pokolenia. Doświadczaliśmy tego w „Strzelcu” i w Związku Piłsudczyków, kiedy opowiadał nam, jako wspaniałe źródło historyczne, jak walczyło się o Polskę. Ale też opowiadał nam jak kochać Polskę i za tę lekcję, Edziu, serdecznie dziękujemy. To było to serce. Ale były też i te pazury, niczym z wiersza Baczyńskiego, gdzie pazury trzeba wbijać w rany ziemi, żeby się nigdy te rany nie zbliżyły błoną zapomnienia i pogardy. Do końca trwał w obro- nie tego miejsca, które Polacy wybrali po 10 kwietnia 2010 roku. Do końca, gdy innym brakowało odwagi, bronił krzyża, który postawili tam polscy harcerze. To właśnie o Nim, jestem głęboko przekonany, o takich jak On pisał Herbert „bądź odważny, gdy rozum zawodzi”. Był odważny, gdy innym tej odwagi brakowało.

Edwardzie kochany, nie mówimy Ci żegnaj, bo wiem, że jesteś wśród nas. Wiem, że będziesz z nami 6 sierpnia w Krakowie na Oleandrach, gdzie jak co roku meldowałeś się w mundurze strzeleckim, aby ruszyć na szlak swojego ojca i stryja szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej. Wiem, że będziesz z nami każdego 10-go, kiedy wspominamy tych, którzy zginęli w katastrofie smoleńskiej, że będziesz z nami każdego 13-go grudnia. Wiemy, że będziesz z nami każdego dnia uśmiechnięty z tą ułańską fantazją, odwagą, dumą i miłością do Niepodległej Rzeczypospolitej. „Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie” – mówił podczas uroczystości pogrzebowych Edwarda Mizikowskiego p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

Po nabożeństwie urnę z prochami Edwarda Mizikowskiego przewieziono w asyście honorowej Wojska Polskiego na Cmentarz Bródnowski i pochowano w rodzinnym grobie.

W uroczystościach pogrzebowych wzięli udział między innymi Marszałek Senior Sejmu RP Kornel Morawiecki, wicepremier Mateusz Morawiecki, Dowódca Garnizonu Warszawa generał Robert Głęb oraz przedstawiciele parlamentu, środowisk niepodległościowych, Piłsudczyków i „Strzelca”.

DZIEŃ WETERANA I 78. ROCZNICA WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Mszą Świętą w Katedrze Polowej Wojska Polskiego rozpoczęły się w Warszawie 1 września 2017 r. Obchody Dnia Weterana Walk o Niepodległość RP i 78. rocznicy wybuchu II wojny światowej zorganizowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Warunkiem pokoju w Europie i na świecie jest pokój w sercu każdego człowieka. Budujemy więc przyszłość na fundamencie wiary w Boga i ewangelicznych wartości – mówił podczas mszy św. przewodniczący Eucharystii biskup polowy WP Józef Guzdek. Zwracając się do kombatantów podkreślił, że w chwili pró-

by zdali egzamin z wierności i ocalili honor Ojczyzny – *historia Polski pisana w tamtym czasie krwią nie domaga się żadnej korekty. Ma jedną wersję – prawdziwą! Dlatego z niepokojem patrzymy na poczynania niektórych narodów Europy, których historycy i politycy chcą rozmyć, a nawet zrzucić odpowiedzialność za*

skutki rozpetanej wojny. Szczególnie bolesne jest świadome zamazywanie różnicy pomiędzy agresorem i ofiarą – powiedział. Eucharystię koncelebrowali kapelani Ordynariatu Polowego ks. płk SG Zbigniew Kępa, notariusz Kurii Ordynariatu Polowego, ks. kmr rez. Janusz Bąk, delegat biskupa polowego ds. duszpasterstwa kombatantów, ks. ppłk Mariusz Tołwiński, proboszcz katedry polowej.



W południe przed Grobem Nieznanego Żołnierza weterani spotkali się na uroczystej zmianie warty, odczytano Apel Pamięci i złożono wieńce. Listy do zebranych skierowali Prezydent RP Andrzej Duda oraz wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński.

W tym świętym miejscu, przed Grobem Nieznanego Żołnierza, stoimy dzisiaj w gronie pięciu pokoleń Polaków oddając hołd tym, którzy 78 lat temu byli dzielni,



byli honorowi, byli odważni.

Stajemy dziś tutaj wierząc, że są z nami cienie tych, którzy polegli na polu chwały broniąc ojczyzny przed najazdem niemieckim i sowieckim. Polska pierwsza dostrzegła niebezpieczeństwo dwóch totalitaryzmów XX wieku. Polska pierwsza stawiała w 1920 roku tamę rosyjskiemu bolszewi-

zmowi, komunizmowi dając Europie na blisko 20 lat oddech przed tym pierwszym zbrodniczym systemem. Ale Polska też pierwsza dostrzegła, że rodzący się w Niemczech narodowy socjalizm przyniesie Europie i światu zgubę i zagładę. Bo to Polska pierwsza tuż po dojściu Hitlera do władzy zaproponowała, jak wówczas się wydawało, sojusznikom podjęcie działań zbrojnych, które miałyby stłumić w zarodku ten obłęd i tę nienawiść, która w ówczesnych Niemczech zaczęła się rodzić. To Marszałek Piłsudski w 1933 roku proponował, aby stłamsić nazizm, aby stłamsić narodowy socjalizm. Proponował to naszym sojusznikom, szczególnie Francji. Ale wówczas świat milczał. A kiedy brakuje danemu pokoleniu odwagi, to pokolenie i następne płacą krwią. I tak się stało. W 1939 roku niemiecka III Rzesza napadła na Polskę działając w sojuszu z drugim państwem odpowiedzialnym za wybuch II wojny światowej, z sowiecką Rosją. I wtedy Polska również pierwsza powiedziała „nie”. I w samotnym boju, opuszczona przez sojuszników walczyła o swoją niepodległość. Ale broniła też honoru Europy. Bo Polska, jako pierwszy kraj, dostrzegła, że w polityce międzynarodowej nie może być sytuacji, w której niektóre państwa i niektóre narody uważają, że są lepsze i wyższe nad inne i w związku z tym mają

prawo narzucania innym, w ich przekonaniu gorszym, narzucania jakiegokolwiek porządku. Polska ustami ówczesnych swoich polityków mówiła wyraźnie, iż każde państwo i każdy naród ma samodzielne prawo do swojego samostanowienia, do rządzenia się według swoich własnych praw i każde państwo, każdy naród, jest tak samo równy w polityce międzynarodowej, że nie ma państw lepszych i gorszych. Że nie ma tak, iż państwa silniejsze narzucać mają jakąkolwiek wolę państwom innym, nawet jeżeli są słabsze – mówił na Placu Piłsudskiego p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk dziękując weteranom za ich trud i poświęcenie w walce o niepodległość ojczyzny.

Podczas popołudniowego uroczystego spotkania w którym uczestniczyła reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego w Pałacu Belwederskim Jan Józef Kasprzyk, p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych odznaczył Medalami „Pro Patria” Bogusławę Kazimierę Markowską, Jana Sobieskiego, ks. prof. Waldemara Chrostowskiego, ks. prałata Bogdana Bartoła oraz Michała Janiszewskiego.

Pamiątkowe ryngrafy otrzymali Kazimierz Klimczak i Henryk Prajs. W uznaniu szczególnych zasług dla Polski tych jej obywateli, którzy w latach 1956–1989 z narażeniem

własnego życia, wolności, majątku lub praw pracowniczych angażowali się w działalność antykomunistyczną zmierzającą do odzyskania suwerenności i niepodległości Ojczyzny lub byli z tych powodów represjonowani, p.o. Szefa Urzędu do Spraw



Kombatantów i Osób Represjonowanych, uhonorował odznaką Działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych: śp. Wiesława Gęsickiego, śp. Stanisława Mazurkiewicza, Zofię Romaszewską, Jarosława Wartaka, Kazimierza Wilka oraz Piotra Wójcika.

Pokolenie weteranów walk o niepodległość Rzeczypospolitej i pokolenie opozycji antykomunistycznej miało jeden wspólny cel – danie następnym pokoleniom wol-



nej Polski. Dzięki państwu ta wolna Polska jest, a my mamy ją pielęgnować i przekazać następnym pokoleniom ucząc się tego od was – mówił p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. Zwracając się do obecnych na sali weteranów zaznaczył, że od ich pokolenia działacze opozycji antykomunistycznej uczyli się jak kochać niepodległą Polskę i prowadzić walkę o nią w latach komunistycznego zniewolenia aż do 1989 r.

Podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Wojciech Kolarski podkreślił, że spotkania z weteranami w Belwederze stają się nową tradycją obchodów. *Dobrze, że spotykamy się właśnie tutaj – w Belwederze, miejscu, które było domem marszałka, ojca wolnej Polski, ojca niepodległości RP; państwa, które pokazało nam, że do dzisiaj jest wzorem dla nas, jak należy traktować tych, którzy walczyli o wolną Polskę – zaznaczył Kolarski.*



Posel Anita Czerwińska odczytała list okolicznościowy od marszałka Sejmu RP Marka Kuchcińskiego, w którym przypomniał, że pod naporem hitlerowskiego i sowieckiego najeźdźcy Polacy nie zdołali ochronić kraju przed utratą wolności i suwerenności. *Zaciekły bohaterski opór wojsk polskich został zdławiony, a III Rzesza i Związek Radziecki rozpoczęły likwidację polskiej państwowości. Każda rocznica wybuchu II wojny światowej jest czasem szczególnej pamięci o tych, którzy walczyli na polach bitewnych w kraju i poza jego granicami, broniąc naszej niepodległości – napisał marszałek.*

Wasz autorytet sprawia, że jesteście wzorcem zachowania nie tylko młodzieży, ale także władz państwowych – powiedział Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz. Podkreślił znaczenie możliwości spotkań z weteranami walk

o niepodległość Rzeczypospolitej. *Ciągle mam w kościach ten czas, gdy te spotkania – z takimi ludźmi, jak Wy – nie mogły się publicznie odbywać. To jest niezwykłym wyrazem przemiany, jaką przeżywamy i wielkiego dobra, jakie posiadamy i niepodległej ojczyzny, którą odbudowujemy. To wasza obecność – bohaterów przeszłości i bohaterów dnia dzisiejszego – jest tego największym świadectwem. Za to serdecznie dziękuję* – powiedział.

W uroczystościach w Warszawie obok weteranów i działaczy opozycji antykomunistycznej wzięli udział także między innymi wicemarszałek Senatu RP Maria Koc, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw dialogu międzynarodowego senator Anna Maria Anders oraz z-ca prezesa IPN Mateusz Szpytma, Michał Dworczyk, sekretarz stanu w MON, generałowie i oficerowie Wojska Polskiego, a także innych służb mundurowych oraz kawalerowie i damy Orderu Orła Białego i Orderu Wojennego Virtuti Militari. Uroczystości towarzyszył koncert historycznych pieśni patriotycznych oraz utworów napisanych wspólnie odnoszących się do walki Polaków o niepodległość w wykonaniu Leszka Czajkowskiego i Pawła Piekarczyka oraz chóru reprezentacyjnego zespołu artystycznego WP.

UROCZYSTOŚCI W PECYNCE

W dniu 2 września 2017 roku liczna reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego pod kierownictwem Krzysztofa Lancmana wzięła udział w uroczystości z okazji 73 rocznicy bitwy oddziałów Armii Krajowej pod Pecynką w ramach operacji „Burza” w Puszczy Białej. W trakcie legitymacje członkowskie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej otrzymali między innymi Zbigniew Śniadecki, Zbigniew Jackiewicz i Artur Owczarek.

Latem 1944 roku większość funkcjonariuszy niemieckiego aparatu okupacyjnego opuściła tereny powiatu ostrowskiego w obawie przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Placówki Gestapo pozostały jedynie w Ostrowi Mazowieckiej i Małkini. Na tereny powiatu napłynęły natomiast liczne jednostki fronto-



we – oddziały Wehrmachtu oraz rozmaite formacje kolaboracyjne. Znalazło się tam także wielu uchodźców z Białorusi, którzy dysponując bronią i amunicją dawali się mocno we znaki miejscowej ludności, dopuszczając się licznych rabunków i gwałtów. Mieszkańców okolicznych wsi nagminnie zmuszano także do pracy przy budowie niemieckich umocnień na linii Bugu i Narwi.

Na terenach powiatu ostrowskiego od dłuższego czasu aktywnie działały struktury Armii Krajowej, których oparciem była przede wszystkim poble-





ska Puszcza Biała. Pod koniec lipca 1944 nastąpiła mobilizacja Obwodu AK „Ostrów Mazowiecka”, co było bezpośrednio związane z rozpoczęciem Akcji „Burza” na terenach Obszaru Warszawskiego AK. Miejscowe struktury konspiracyjne przekształcono wówczas w III batalion 13. pułku piechoty AK, na którego czele stanął major Antoni Jahołkowski ps. „Brzeski”. Począwszy od pierwszych dni sierpnia oddziały AK prowadziły aktywne działania bojowe w rejonie Puszczy Białej, dokonując aktów dywersji oraz urządzając zasadzki na wycofujące się w kierunku zachodnim oddziały nieprzyjaciela. III batalion zdołał uniknąć rozbicia podczas dwóch obław przeprowadzonych przez Niemców w pierwszej połowie sierpnia.

28 sierpnia kompania porucznika Alfreda Wieczorka ps. „Tatar” przeprowadziła uderzenie na pozycje wroga w rejonie Grębki–Ruda–Jarząbka–Choiny. Polskie natarcie zostało wsparte ogniem sowieckiej artylerii. Za cenę utraty 8 zabitych i rannych oddział AK zmusił Niemców do odwrotu, zadając im przy tym straty w ludziach. Już następnego dnia nieprzyjaciel rozpoczął jednak zakrojoną na szeroką skalę obławę. Niemiecka piechota wsparta bronią pancerną zepchnęła partyzantów w głąb lasów. Zacięte walki, szczególnie w rejonie Pecynki, trwały do 31 sierpnia. Poległo wówczas ok. 150 żołnierzy AK, a wielu

innych odniosło rany. Zginął także sowiecki oficer łącznikowy. III batalion 13. pułku piechoty AK został de facto rozbity, a ocalali żołnierze w niewielkich grupkach próbowali wyrwać się z okrążenia. Bitwa pod Pecynką była jedną z największych bitew partyzanckich, stoczonych przez oddziały AK podczas okupacji niemieckiej.

Po zakończeniu bitwy pod Pecynką Niemcy postanowili zemścić się na ludności cywilnej. Brutalne akcje represyjne dotknęły w pierwszym rzędzie mieszkańców gminy Długosiodło oraz uchodźców z sąsiednich miejscowości, koczujących w Puszczy Białej. 31 sierpnia na śródleśnym gościńcu w pobliżu Małaszka rozstrzelano co najmniej 30 osób cywilnych. Tego samego dnia w pobliskich Plewkach Niemcy zamordowali 11 osób. Miejscem największej zbrodni stał się jednak Lipniak-Majorat, w pobliżu którego skupiło się szczególnie wielu uchodźców uciekających przed działaniami wojennymi. 2 września w godzinach porannych wieś została ostrzelana przez niemieckie wozy opancerzone. Kilka godzin później przez Lipniak-Majorat oraz pobliskie pola i zagajniki przeszła niemiecka obława. Patrole Wehrmachtu przeszukały okolicę, spędzając wszystkich schwytanych Polaków do kilku wybranych zabudowań na terenie wsi. Niemcy działali pośpiesznie, gdyż obawiali się rychłego nadejścia



wojsk sowieckich. Zatrzymanym cywilom zarzucono współpracę z partyzantami, po czym rozpoczęto systematyczną masakrę. Większość mieszkańców wsi rozstrzelano ogniem broni maszynowej nad trzema zbiorowymi mogiłami. Na pobliskich polach i zagajnikach miały także miejsce egzekucje pojedynczych osób lub niewielkich grup cywilów. Tego dnia w Lipniaku-Majoracie Niemcy mordowali bez względu na płeć i wiek każdego schwytanego Polaka. Ginęły nierzadko całe rodziny. Część rannych zakopano żywcem w zbiorowych mogiłach. Z zeznań świadków wynika, iż miały także miejsce przypadki bestialskiego mordowania małych dzieci poprzez rozbijanie ich główek o pnie drzew. Na podstawie ekshumacji przeprowadzonych w okresie powojennym ustalono, że 2 września 1944 roku w Lipniaku-Majoracie zostało zamordowanych 448 Polaków. Historykom udało się zidentyfikować nazwiska 129 ofiar – w tym 15 mężczyzn, 59 kobiet oraz 55 dzieci i nieletnich poniżej 18 roku życia. W gronie zidentyfikowanych ofiar znalazło się 61 mieszkańców Lipniaka-Majoratu, 36 mieszkańców Bojan, 12 mieszkańców Wiśniewa, 10 mieszkańców Nowej Pecyny oraz 10 mieszkańców innych miejscowości. Większość ofiar pacyfikacji pozostaje anonimowa.

MARSZ PAMIĘCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Pod hasłem „Od pomnika do pomnika” środowiska niepodległościowe 27 maja zorganizowały pochód ku czci Józefa Piłsudskiego. Wydarzenie miało związek z przypadającą w 2017 roku 150 rocznicą urodzin Pierwszego Marszałka Polski oraz ustanowionym przez Sejm RP Rokiem Józefa Piłsudskiego.

Marsz rozpoczął się w sobotę o godz. 16 przed Belwederem, gdzie przy pomniku Józefa Piłsudskiego odbyła się uroczystość inauguracyjna, podczas której odśpiewano *Pierwszą Brygadę*.

Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudę reprezentował Doradca Prezydenta Tadeusz Deszkiewicz, który złożył wieniec w imieniu Głowy



Fot. Chester Bukacinski



Państwa oraz podziękował organizatorom za podtrzymywanie pamięci o postaci Józefa Piłsudskiego i jego wkładzie w niepodległość Polski.

List od Marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego odczytał Doradca Marszałka Andrzej Klarkowski, który w imieniu najwyższego przedstawiciela izby niższej parlamenty złożył wieńce przed dwoma pomnikami Komendanta.

Nie mogąc przybyć na uroczystość Marszałek Sejmu zaznaczył, że *w dziejach Rzeczypospolitej Józef Piłsudski zajmuje szczególne miejsce, a jego legenda wciąż jest żywa w naszych sercach.*

To ideał, do którego powinniśmy stale dążyć – napisał o dziedzictwie Komendanta p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk w liście, który odczytała Magdalena Sawka. Na uroczystości obecny był także sędzia Bogusław Nizieński.

Po krótkich przemówieniach marszruta ruszyła Alejami Ujazdowskimi, przez pl. Trzech Krzyży, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście. Podczas drogi śpiewano pieśni legionowe oraz omawiano fakty historyczne łączące Marszałka z Warszawą.

Dłuższy przystanek uczestnicy marszu zrobili przy bramie Uniwersytetu Warszawskiego, którego prawidłową i niezniesioną nazwą od 1935 r. jest

MARSZ PAMIĘCI MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Uniwersytet Józefa Piłsudskiego. Tam Druhna Hanna Szczepanowska, członek Szarych Szeregów, Powstaniec Warszawski i córka żołnierza Pierwszej Kompani Kadrowej, przypomniała o potrzebie powrotu do tradycji II Rzeczypospolitej. Mówiła o Korpusie Kadetów. Pochód zakończył się przy pomniku Komendanta na placu Jego imienia, gdzie złożono kwiaty. W tym miejscu wspomniano również o niebezpiecznej próbie dezawuowania postaci Marszałka przez odradzające się środowisko endeckie. Marsz zorganizowany został przez stowarzyszenie Pokolenia Niepokornych wraz ze stowarzyszeniem Solidarność Walcząca, Związkiem Strzeleckim „Strzelec” Rzeczypospolitej Polskiej, Instytutem Józefa Piłsudskiego w Warszawie oraz Grupą Historyczną Zgrupowanie „Radostaw”. Patronat nad wydarzeniem objęli Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej oraz Urząd ds. Komбатantów i Osób Represjonowanych.

Adam Stefan Lewandowski
przewodniczący stowarzyszenia Pokolenia Niepokornych



Fot. Chester Bukacinski

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

CZERWIEC 2017

Znamienity patron KOSG

Utworzony 16 maja ubiegłego roku Karpacki Oddział Straży Granicznej otrzymał imię 1. Pułku Strzelców Podhalańskich oraz sztandar – poinformowało Radio Kraków.

– Nadanie sztandaru i imienia to najważniejsze święto w historii każdej jednostki, która rozpoczyna swoją działalność. Sztandar to jest coś, na co się ślubuje, co buduje tradycję jednostki. Minister Mariusz Błaszczak podpisał akt nadania sztandaru 26 maja. To było dokładnie w 80. rocznicę święta 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. Od 1937 roku to święto było 26 maja. W sposób niezamierzony historia zatoczyła koło – powiedział podczas uroczystości komendant KOSG Stanisław Laciuga

„1. Pułk Strzelców Podhalańskich powstał 1 grudnia 1918 roku i od początku istnienia stacjonował w Nowym Sączu, w koszarach, w których obecnie znajduje się siedziba Karpackiego Oddziału Straży Granicznej” – czytamy na stronie krakowskiej rozgłośni.

Ukraińcy zasilają polski ZUS

Już ponad 227 tysięcy Ukraińców, czyli o 90 procent więcej niż przed rokiem, jest objętych ubezpieczeniem emerytalno-rentowym w Polsce – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„Wpływy ze składek do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych są większe, a do budżetu państwa trafia więcej pieniędzy z podatków od wynagrodzeń. W I kwar-

tale ubezpieczeniem emerytalno-rentowym objętych było 330,3 tys. cudzoziemców. To o 50 proc. (prawie 125 tys.) więcej niż rok wcześniej i 100 proc. (193 tys.) więcej niż dwa lata temu” – czytamy w gazecie.

Ten dynamiczny wzrost jest widowym efektem lawinowo rosnącego zapotrzebowania na pracę cudzoziemców.

„Tylko w zeszłym roku pracodawcy zgłosili popyt na 1,3 mln osób spoza Polski w trybie uproszczonym; wydano też ponad 127 tys. zezwoleń na pracę (prawie dwa razy więcej niż w 2015 roku)” – napisała „Rzeczpospolita”.

Wśród zagranicznych pracowników dominują Ukraińcy, na dalszych miejscach plasują się Białorusini, Mołdawianie i Hindusi.

Jezusa można nazywać terrorystą i sekciarzem

Tak uznał Sąd Rejonowy w Wadowicach utrzymując w mocy postanowienie Prokuratury Rejonowej w Krakowie o umorzeniu postępowania przeciwko burmistrzowi papieskiego miasta Mateuszowi Klinowskiemu w sprawie o znieważenie przez niego uczuć religijnych poprzez wpis na Facebooku w Boże Narodzenie 2015 roku o treści:

„Dziś czcimy i świętujemy narodziny żydowskiego heretyka, dziecka Arabów, terrorysty i sekciarza z Palestyny, którego część z nas pragnie uczynić Królem Polski. Pamiątacie?”

Jak poinformował portal www.wadowice.pl, sąd rozpoznawał zażalenie osób, które poczuły się urażone. Powołały się one na artykuł 196. kodeksu karnego: „kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Prokuratura uznała jednak, że nazwanie Jezusa Chrystusa terrorystą i sekciarzem nie wypełnia znamion przestępstwa znieważenia uczuć religijnych. Rozpoznający zażalenie sąd odrzucił je uznając, że postępowanie prokuratury i jej wykładnia były w tym przypadku prawidłowe.

„Sprawa ma jeszcze inny aspekt. Burmistrz Wadowic umieścił swój wpis na Facebooku, który poniekąd był manifestacją poparcia dla przyjmowania uchodźców z krajów arabskich. Wpis powstał na kanwie dyskusji na ten temat. Kilka miesięcy wcześniej Klinowski podpisał wraz z prezydentem Słupska Ro-

bertem Biedroniem deklarację o tym, że Wadowice chętnie przyjmą do siebie uchodźców z Biskiego Wschodu” – czytamy w portalu.

Chrześcijańskie speed dating

O pewnego czasu furorę robią szybkie randki zwane speed dating. Są one przeznaczone dla osób samotnych, które mają tylko kilka minut na porozmawianie z jedną osobą. Ostatnio do tej akcji mogą włączyć się także ludzie głęboko religijni.

„Chrześcijańskie randki dedykowane są dla singielek i singli z chrześcijańskimi wartościami. Mogą w nich brać udział osoby szukające nowych wyzwań, przyjaźni oraz oczywiście miłości. Organizatorzy podkreślają, że nie są to spotkania dla osób żyjących byle jak i z byle kim. Współczesnym chrześcijańskim singlom trudno znaleźć partnerów, więc chrześcijańskie randki mają być specjalnie dla nich dedykowaną przestrzenią” – czytamy w portalu www.krknews.pl.

Chrześcijańskie speed dating są organizowane w Krakowie, w Katowicach, w Tarnowie oraz we Wrocławiu. W ciągu dwóch godzin każdy będzie mógł porozmawiać z płą przeciwą przez około 7 minut. Organizatorzy zapewniają, że zadbali o romantyczny klimat.

Czy szatan istnieje?

Głoszący od wielu lat tezę o pustym piekle i nadzieję powszechnego zbawienia ojciec profesor Wacław Hryniewicz ma godnego następcę.

Niedawno wybrany generał jezuitów o. Arturo Sosa Abascal śmiało poszedł jeszcze dalej niż lubelski zakonnik i naukowiec, negując istnienie szatana. Najpierw podał w wątpliwość naukę Kościoła o małżeństwie twierdząc, że słowa Jezusa przeciwko rozwodom są „względne” i „każdy może je ocenić zgodnie z własnym sumieniem”, ponieważ w czasach Chrystusa nie było urzędzeń, które by zarejestrowały jego nauki, a teraz uznał szatana za „konstrukt myślowy mający symbolizować zło”.

W cytowanym przez portal Frondy wywiadzie dla hiszpańskiego dziennika „El mundo”, o. Abascal powiedział:

„Jako chrześcijanie wierzymy, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, który jest wolny, lecz zawsze wybiera dobro, gdyż sam jest dobro-

cią. Stworzyliśmy symboliczne figury, takie jak diabeł, by wyrażać zło. Także kondycja społeczna może tę figurę reprezentować, jako że są osoby tak się zachowujące (w zły sposób) dlatego, że w ich środowisku trudno jest postępować inaczej”. Czyżby „czarny papier” (tak określa się generała zakonu jezuitów) nazbyt wziął sobie do serca pewien fragment „Braci Karamazow” Fiodora Dostojewskiego? W takim razie warto mu przypomnieć – pozostając na literackim gruncie – to, co powiedział Charles Pierre Baudelaire: „Najcelniejszym z forteli diabła jest dowieść wam, że diabeł nie istnieje”.

Mały Katyń na Podkarpaciu

Naukowcy zbadać miejsca straceń żołnierzy Armii Krajowej i osób cywilnych więzionych w 1944 roku w obozie NKWD w Trzebusce na Podkarpaciu – poinformowała „Rzeczpospolita”.

Teren ich egzekucji w październiku 1944 roku nazwano Małym Katyniem.

„Prace rozpoczną się we wrześniu w lasach w miejscowości Turza koło Sołowa Małopolskiego. Z relacji świadków wynika, że w miejscu tym mogą znajdować się szczątki ofiar zbrodni dokonanych przez funkcjonariuszy sowieckiej bezpieki” – czytamy w gazecie.

Bogusław Kleszczyński z zespołu poszukiwań i identyfikacji Rzeszowskiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej powiedział „Rz”, że prace poszukiwawcze obejmą obszar 9 hektarów w Turzy, a w przyszłości przebadane zostaną też inne miejsca. Jego zdaniem w Trzebusce znajdował się tylko jeden z kilkunastu obozów założonych w 1944 roku w zachodniej części byłego województwa lwowskiego przez NKWD.

„Kilka tygodni temu w miejscu poszukiwań odbył się rekonesans. O planach poszukiwawczych został poinformowany pion śledczy IPN. Z zapowiedzi Instytutu wynika, że śledztwo w sprawie straceń żołnierzy AK będzie podjęte na nowo, co pozwoli na zarządzenie ekshumacji, identyfikację ofiar i ich godnego pochówku” – napisała „Rzeczpospolita”.

Złodziejskie otrzeźwienie

Czego to człowiek nie wyprawia po pijanemu! Można by o tym pisać równie długo jak smacznie. Ważne jest jednak także to, jak zachowuje się, kiedy

już wytrzeźwieje i zorientuje się, co nawywijał. Bywa, że rusza go sumienie i postanawia naprawić krzywdy, które wyrządził, gdy „urwał mu się film”. Tak właśnie postąpili dwaj pracownicy kawiarni na Rynku Głównym w Krakowie, którzy najpierw okradli w stanie poalkoholowej nieświadomości swojego byłego pracodawcę, ale później oprzytomnieli i oddali cały łup.

„– Funkcjonariusze ustalili, że włamywacze sforsowali podwójne drzwi do kawiarni i ukradli różne alkohole, kawy, herbaty, wyroby mięsne, pieniądze i... żelazko” – powiedział „Dziennikowi Polskiemu” Dariusz Łach z biura prasowego małopolskiej policji.

Jakież było zdziwienie właściciela okradzonej kawiarni, kiedy tego samego dnia wieczorem do jego lokalu przyszedł taksówkarz i przyniósł tekturowe pudełko.

„Powiedział obsłudze, że ktoś, kto zamówił kurs, poprosił go o przekazanie pakunku. Kierowca nie wiedział, co jest w środku. Pracownicy lokalu mocno się zdziwili, gdy po otwarciu pudełka zobaczyli znajdującą się w nim kartkę z napisem: «przepraszamy – oddajemy wszystko». W środku były skradzione rzeczy” – czytamy w gazecie. Policjanci szybko wytypowali i zatrzymali sprawców, którzy natychmiast przyznali się do winy wyjaśniając, że feralnej nocy wracali z imprezy i byli bardzo pijani. „W pewnym momencie, gdy przechodzili przez Rynek Główny, wpadł im do głowy pomysł włamania się do byłego miejsca pracy. Wyważyli drzwi do lokalu, a ze środka zabrali wszystko, co wpadło im w ręce. Następnie pojechali do mieszkania jednego z nich w krakowskim Podgórzu. Kiedy jednak wytrzeźwieli, przyszło opamiętanie i postanowili wszystko oddać” – napisał „Dziennik Polski”. Grozi im kara pozbawienia wolności do 10 lat, ale sąd z pewnością potraktuje jako okoliczność łagodzącą to, że od razu i w całości oddali „fanty”.

Wsparcie dla opozycjonistów

Sejm przyjął przygotowaną przez Senat nowelizację ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych w PRL, na mocy której dostaną oni bezterminowo i bez względu na dochód pomoc finansową w wysokości 402,72 złotych miesięcznie – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Ustawa wejdzie w życie 31 sierpnia.

Nowelizacją poparli przedstawiciele wszystkich klubów i kół parlamentarnych podkreślając, że są to ludzie, którzy przyczynili się do odzyskania przez Polskę pełnej suwerenności po upadku komunizmu, w związku z czym zasługują na regularne wsparcie finansowe.

– Wolna Polska powoli przestaje być złą, niesprawiedliwą matką dla swoich dzieci. Proponowana nowelizacja jest zgodna z powszechnym postulatem byłych opozycjonistów, by nowe świadczenie miało charakter godnościowy, a nie pomocowy tak jak w przypadku świadczeń dla weteranów II wojny światowej, którzy otrzymują je za walkę o niepodległość Polski – powiedział w trakcie debaty poseł Prawa i Sprawiedliwości Janusz Śniadek.

„Powołując się na dane Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Śniadek przekonywał, że obecnie zbyt mało uprawnionych osób otrzymuje świadczenie pieniężne; jak mówił przyznano je tylko ok. 300 osobom posiadającym status działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych. Było tak ze względu na bardzo ostre kryteria dochodowe zawarte w tamtej ustawie (przed nowelizacją – PAP). To jest blisko 1/10 osób posiadających ten status. Poseł PiS zwrócił też uwagę, że nowela nie obciąży finansów państwa, ponieważ wchodzi w życie niemal równoległe z tzw. ustawą dezubekizacyjną, która po 1 października obniży emerytury i renty b. funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa. Śniadek dodał, że obecnie trudno podać dokładną liczbę osób, które będą mogły skorzystać z nowego uprawnienia. Powołując się m.in. na szacunki IPN podał, że liczba ta waha się między 30 a 60 tys. osób, które mogą być objęte świadczeniem” – czytamy w depeszy PAP

Posłowie opozycji podkreślili natomiast, że błędem jest propozycja zmiany usytuowania rad konsultacyjnych do spraw działaczy opozycji i osób represjonowanych, które powinny pozostać – ich zdaniem – przy marszałkach województw, a nie zostać podporządkowane wojewodom, jak zakłada projekt rządowy. „Zgodnie z obecną ustawą, status działacza opozycji lub osoby represjonowanej potwierdza w drodze decyzji administracyjnej szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, po stwierdzeniu przez prezesa IPN, czy osoba ta nie była funkcjonariuszem organów bezpieczeństwa lub z nimi nie współpracowała” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Uhonorowano dwoje bohaterów

W jednym dniu odsłonięto w Polsce dwa pomniki Żołnierzy Niezłomnych: sanitariuszki Danuty Siedzikówny-„Inki” w Gruszkach koło Narewki i generała Ryszarda Kuklińskiego w podkrakowskiej Morawicy.

Podwładną majora Zygmunta Szendzielarza-„Łupaszki” uhonorowano w jej rodzinnych stronach z inicjatywy Lasów Państwowych. W uroczystości uczestniczyli m.in. leśnicy z całego kraju, władze rządowe i samorządowe, kombatancki, a także mieszkańcy – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Monument stanął przy siedzibie Nadleśnictwa Browsk, niedaleko wsi Guszczewina, gdzie Siedzikówna się urodziła i przedstawia postać młodej sanitariuszki, która przez ramię ma przewieszoną torbę sanitarną, a w ręku trzyma bandaż.

Jak powiedział PAP duszpasterz Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych ksiądz Tomasz Duszkiewicz, przesłanie pomnika można oddać w słowach: „warto być dobrym człowiekiem, warto pomagać drugiemu człowiekowi”.

Podczas ceremonii podkreślano potrzebę dalszego przywracania pamięci o „Ince”. W liście do uczestników uroczystości prezydent Andrzej Duda napisał, że wykazała się ona niezłomną postawą „w obronie męstwa, honoru i miłości ojczyzny” a monument jest „aktem zadośćuczynienia” za wyrządzone jej krzywdy.

Pomnik „pierwszego polskiego oficera w NATO” na wzgórzu zwanym „Polską Górą Przemienienia” obok kościoła w Morawicy odsłanili rodzice Prezydenta RP Janina i Jan Dudowie oraz byli żołnierze antykomunistycznego podziemia z honorowym prezesem Obszaru Południowego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” Wacławem Szaconiem-„Czarnym” na czele.

– On zasłużył jak mało kto na takie honory, bo jest jednym z najwybitniejszych współczesnych Polaków. Jest tym, który samotnie starał się stawić czoła sowieckiemu totalitaryzmowi, który współpracując z naszymi sojusznikami, z Amerykanami, być może uratował Polskę przed zniszczeniem, przed zagładą. Kolejne pokolenia Polaków powinny mu być szczególnie wdzięczne za te lata poświęcone ojczyźnie, za te lata, kiedy z narażeniem własnego życia i życia własnej rodziny służył Rzeczypospolitej. Jest to uroczystość zorganizowana oddolnie przez Fundację Jack Strong. Ta idea jest bardzo piękna i wpisuje

się w upamiętnianie naszych narodowych bohaterów przez Polaków, przez naród, przez nas wszystkich – powiedział podczas uroczystości prezes Fundacji „Łączka”, autor książki o komunistycznych zbrodniarzach pt. „Bestie. Mordercy Polaków”, publicysta syn współpracownika rotmistrza Witolda Pileckiego, skazanego razem z nim na karę śmierci Tadeusz Płużański (cytat za PAP).

Podczas Mszy Świętej która poprzedziła odsłonięcie pomnika, odczytany został list od pełnomocnik premier rządu do spraw dialogu międzynarodowego senator Anny Marii Anders, w którym czytamy m.in.:

„Czeka nas jeszcze wiele pracy, by dokonania gen. Ryszarda Kuklińskiego zostały właściwie zrozumiane. Wierzę, że dzięki takim inicjatywom, jak ta dzisiejsza, i zaangażowaniu osób ją współtworzących znacząco przybliżamy się do tego celu. Cieszę się, że wreszcie doczekaliśmy się takiego upamiętnienia tego bohaterskiego, polskiego patrioty.”

Wykonany ze sztucznego kamienia pokrytego mosiądzem pomnik przedstawia bohatera z czasów, kiedy musiał on podejmować najtrudniejsze decyzje w swoim życiu.

„W trakcie uroczystości przyrzeczenie złożyli strzelcy nowego naboru ze Związku Strzeleckiego „Strzelec” OSW JS 3013 im. gen. bryg. Ryszarda Kuklińskiego w Mysłowicach” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Order dla „bohatera z deskorolką”

Ochrzczony tym mianem 39-letni Ignacio Echeverria, który zginął 3 czerwca w Londynie, próbując ratować kobietę zaatakowaną przez dżihadystów, został pośmiertnie odznaczony przez hiszpańskie władze Wielkim Krzyżem Orderu Zasługi Cywilnej – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„Mężczyzna widząc terrorystów, atakujących nożami kobietę, ruszył jej na pomoc uzbrojony tylko w swoją deskorolkę. Przed kilkoma dniami władze w Londynie poinformowały, że Echeverria jest jedną z ośmiu ofiar zamachu” – czytamy w gazecie.

– Był dobrym człowiekiem, wzorowym obywatelem, który miał odwagę stawić czoło terrorystom i stanąć w obronie młodej kobiety – powiedział dziennikarzom rzecznik hiszpańskiego rządu Inigo Medez de Vigo (cytat za „Rz”).

Hołd Echeverrii oddali też mieszkańcy jego rodzinnego miasteczka Las Rozas.

Ostatni Żołnierz Niezłomny

W miejscowości Popławy-Rogale w województwie lubelskim znaleziono szczątki żołnierza Armii Krajowej oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” Antoniego Dołęgi – „Znicza”, który ukrywał się aż do 1982 roku – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Szczątki wydobyli pracownicy Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej pod nadzorem prokuratora.

– Wszystko wskazuje, że są to szczątki Antoniego Dołęgi, ale jednoznacznie będziemy mogli to powiedzieć dopiero, gdy przeprowadzimy badania genetyczne. Po dokonaniu oględzin na miejscu szczątki zostaną zabrane do prosektorium, a następnie do zakładu medycyny sądowej, gdzie będą badane – powiedział nadzorujący prace zastępca prokuratora rejonowego w Łukowie, Adam Makosz. Miejsce pochówku wskazał mieszkaniec Popław-Rogali Marek Artowicz. Ciało było zakopane na jego posesji leżącej na skraju wsi.

– Dołęga na koniec ukrywał się u nas w gospodarstwie, u nas umarł i tu go mój ojciec pochował. To było w stanie wojennym, nie pamiętam dokładnie kiedy. Ojciec go pochował po kryjomu, komuna wtedy była, baliśmy się. Ojciec, jak umierał to mi przykazał, żebym nikomu tego miejsca nie wyjawiał. Ale pomyślałem, że trzeba w końcu powiedzieć, bo jak wymrze to pokolenie, to nikt nie będzie wiedział i już zawsze będzie leżał w tym lasku. Dlatego powiedziałem rodzinie. Dołęga ukrywał się u wielu mieszkańców w okolicach Łukowa.

– Ostatni raz widziałem go w 1976 roku, ukrywał się w gospodarstwie rodziców, ja miałem wtedy 14 lat. Dołęga nie miał nogi. Przebywał w stodole, a jak było zimno to w domu, za szafą. Według zapisków mojego ojca Dołęga zmarł w 1982 roku – wyjaśnił w rozmowie z PAP Jerzy Płudowski.

Historyk, doktor Jarosław Kopiński, który badał powojenne podziemie w okolicach Łukowa, uważa, że Dołęga mógł ukrywać się tak długo, ponieważ był wspierany przez miejscowych.

– To jest specyficzny teren, tu są dawne zaścianki szlacheckie. Do 1954 roku tu był najsilniejszy zbrojny opór na Lubelszczyźnie. Powiat łukowski był najgorzej oceniany przez władze komunistyczne spośród wszystkich w całej Polsce, pod względem postaw politycznych. Jest dokument, który mówi, że tutaj były najgorsze wyniki w wyborach – powiedział PAP.

„Antoni Dołęga urodził się w 1915 r. w Łukowie. Przed wojną ukończył szkołę podoficerską przy 84 pułku piechoty w Pińsku. W stopniu kaprała walczył we wrześniu 1939 r. W czasie okupacji działał w konspiracji. W 1944 r. wcielony został do 2 Armii Wojska Polskiego. Walczył w jej szeregach do maja 1945 r., kiedy to z grupą żołnierzy zdezerterował pod Budziszynem i wrócił w rodzinne strony. Tam Dołęga nawiązał kontakt z oddziałem zbrojnym por. Józefa Matusza ps. Lont, działającym w łukowskim obwodzie WiN. Patrole z tego oddziału organizowały akcje wymierzone przeciwko nowej władzy opierając się o szeroko rozbudowaną siatkę współpracowników. Akowcy zmuszeni zostali do pozostania w konspiracji i ukrywania się przed sowieckim aparatem bezpieczeństwa. Szybko nastąpiły aresztowania polskich żołnierzy i oficerów. Zatrzymania odbywały się w wyniku obław. Ale nie tylko. Nie obyło się bez łapanek na podstawie donosów agenturalnych, informacji od partyzantów sowieckich i zeznań wymuszonych w trakcie śledztw. W 1951 r., po śmierci Lonta, dowództwo oddziału, który liczy wówczas niespełna 20 osób, przejął Dołęga. Kolejne zasadzki, obławy i działania agenturalne UB doprowadziły do wykruszenia się żołnierzy oddziału. Kilku ostatnich ujawniło się w 1955 r. Dołęga pozostał w ukryciu. Przenosił się z miejsca na miejsce, korzystając z pomocy mieszkańców. Nie podejmował już żadnych akcji zbrojnych. Posługiwał się kilkoma pseudonimami: Znicz, Pijak, Mały Franio, a także Kulawy Antek. Nogę stracił na skutek obrażeń powstałych w wyniku wypadku z bronią” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Zabytkowe „V”

Graffiti wcale nie jest wynalazkiem ostatnich lat. Tej formy komunikowania się ze społeczeństwem przy pomocy wyrazistych napisów na murach, budynkach i płotach używali już Niemcy w okresie II wojny światowej. Jak poinformowało Radio Kraków, w stolicy Małopolski zachowało się około 300 białych napisów, które wykonali niemieccy okupanci. Są to głównie białe strzałki wskazujące wyjścia ze schronów przeciwlotniczych a także trzy litery „V” w tym samym kolorze namalowane w czasie zwycięstw Wehrmachtu na wielu frontach. W ostatnich latach zaczęły one znikać z powodu remontów i działań współczesnych graffitiarzy.

„Decyzją generalnego gubernatora w każdej niemieckiej kamienicy piwnicę należało przerobić na schron przeciwlotniczy. Dodatkowo administratorzy budynków na fasadach przy wyjściach ze schronów malowali białe strzałki i napis NA – skrót od Notausgang, czyli wyjście awaryjne” – czytamy na stronie internetowej krakowskiej rozgłośni.

– Kilka takich napisów powinniśmy zachować. Jest to fragment historii tego miasta. Trzeba wybrać najlepiej zachowane, przesłonić je i umieścić odpowiednią tablicę – powiedział na antenie RK Tomasz Mierzwa ze Stowarzyszenia Miłośników Historii Rawelin. Ratowaniem tych śladów historii zajmuje się Dorota Białek-Kostecka z Wydziału Konserwacji i Restauracji Akademii Sztuk Pięknych. „Pod jej okiem studenci w Pracowni Przenoszenia Malowideł Ściennej pracują właśnie nad zabezpieczeniem napisu odnalezionego w mieszkaniu przy ulicy Poselskiej. Tam, za szafą, przez siedem dekad ukrywała się instalacja artystyczna: zawieszony na gwoździu sznur i przy nim napis: «1 sierpnia 1939. Szubienica na Hitlera i Mussoliniego». Nowy właściciel chciał ścianę zamalować, więc napis trzeba było dosłownie zabrać” – napisano na stronie RK.

– W zabezpieczeniu, inaczej zwanym licowaniem, została zdjęta warstwa malarska, czyli ołówek z farbą podkładową. Aktualnie te płyty są opracowywane – wytłumaczyła w rozmowie z krakowską rozgłośnią Białek-Kostecka.

„W podobny sposób studenci i wykładowcy ASP ratują stare reklamy, napisy sklepowe i administracyjne. Boom deweloperski i aktywność pseudokibowska narzucają konserwatorom jednak ogromne tempo. W przypadku hitlerowskich strzałek i literek «V» również trzeba się spieszyć” – czytamy na stronie Radia Kraków.

Zdaniem Elżbiety Wyszynskiej z biura miejskiego konserwatora zabytków sprawa nie jest prosta, ponieważ większość kamienic ma prywatnych właścicieli i trzeba ich przekonać do zachowania historycznych napisów.

W najbliższym czasie magistracy urzędnicy mają spotkać się z miłośnikami historii i wspólnie z nimi wybrać najlepiej zachowane wojenne graffiti. Niewykluczone, że wybrane strzałki i litery „V” zostaną przykryte szybą i opatrzone tablicami informacyjnymi.

Zmarł kolejny weteran

Umarł prawdopodobnie najdłużej ukrywający się po 1945 roku Żołnierz Niezłomny: Andrzej Kiszka-„Dąb”. Urodzony w 1921 roku Kiszka walczył w czasie II wojny światowej w Batalionach Chłopskich, w Armii Krajowej i w Narodowej Organizacji Wojskowej, a po jej zakończeniu w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym. W 1947 roku ujawnił się, ale potem wrócił do konspiracji.

„Przez osiem lat Kiszka ukrywał się w samodzielnie wykonanym bunkrze ziemnym w okolicach wsi Ciosmy. Został aresztowany dopiero pod koniec grudnia 1961 roku po tym, jak krewny Kiszki zwerbowany wcześniej przez SB doniósł o kryjówce. Kiszce postawiono 13 zarzutów. W jednym z nich przekonano, że od 1947 do 1961 roku w kilku powiatach województwa rzeszowskiego «wraz z innymi osobami brał udział w związku mającym na celu gromadzenie broni oraz dokonywanie napadów rabunkowych i zabójstw». Kiszce zarzucono także zabójstwo lokalnego dygnitarza PZPR” – napisała o nim Polska Agencja Prasowa. W komunistycznych więzieniach spędził dziewięć lat. W 1998 roku Sąd Wojewódzki w Lublinie częściowo unieważnił wyrok wydany w 1962 roku. „Ten sam sąd po zażaleniu prokuratora uchylił w kwietniu 1998 roku poprzednie postanowienie i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. W grudniu 1998 roku Sąd Wojewódzki uznał, że jedynie czyn opisany w jednym z punktów wyroku związany był z działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego i w tej części wyrok unieważnił. Wniosek o stwierdzenie nieważności całego wyroku z 1962 roku pozostał jednak nieuwzględniony. Postanowienie zostało podtrzymane prawomocnym wyrokiem Sądu Apelacyjnego w Lublinie z kwietnia 1999 roku” – czytamy w depeszy PAP. W marcu br. minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro skierował do Sądu Najwyższego wniosek o kasację wyroku, której rozpatrzenia sędziwy kombatanat nie doczekał. Jak poinformował Radio Szczecin dyrektor generalny Ministerstwa Obrony Narodowej Bogdan Ścibut, sprawa będzie kontynuowana mimo śmierci „Dęba”.

W 2007 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył Andrzeja Kiskę Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski a w 2016 roku minister obrony narodowej Antoni Macierewicz awansował go na stopień majora.

Lód szkodzi homarom, a wrzątek nie

Homary cierpią, gdy są trzymane w lodzie, można je natomiast gotować żywcem – orzekł włoski Sąd Najwyższy utrzymując w mocy karę 5 tysięcy euro wymierzoną właścicielowi restauracji z Florencji. „W nagłośnionym przez media orzeczeniu sąd stwierdził, że nie można przechowywać żywych homarów w lodzie i ze związanymi szczypcami. Należy – jak wskazano – wybrać mniej okrutne metody trzymania ich przed wrzuceniem do wrzątku i podaniem na półmisku” – napisała omawiająca tę sprawę „Rzeczpospolita”. Za okrucieństwo i przestępstwo uznano przebywanie (czasem przez kilka dni) homarów w wyłożonych lodem skrzynkach.

Florencki restaurator zaskarżył wyrok niższej instancji, ale Sąd Najwyższy orzekł, że trzymanie skorupiaków w tak niskich temperaturach nie jest „zwyczajem społecznie aprobowanym” i „na pewno powoduje ich cierpienia” (cytaty za „Rz”).

„Przypomnieli, że są inne metody lepszego traktowania zwierząt, na przykład umieszczanie ich w akwariach, co praktykowane jest nie tylko w drogich restauracjach, ale także w supermarketach. Wymaga tego «społeczna wrażliwość» – podkreślono” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Miś Wojtek upamiętniony pod Monte Cassino

Kupiony przez żołnierzy 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii w 2. Korpusie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie generała Władysława Andersa za kilka puszek konserw w kwietniu 1942 roku syryjski niedźwiedź brunatny Wojtek będzie miał kolejny pomnik, tym razem w miejscu, z którym wiązała się jego „służba” w stopniu kaprała, czyli u zbocza Monte Cassino (podczas bitwy nosił tam skrzynki z amunicją) – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Wcześniej został on upamiętniony w podobny sposób w Edynburgu, gdzie dożywał swoich dni w tamtejszym ogrodzie zoologicznym, w Instytucie generała Władysława Sikorskiego w Londynie, w Żaganiu, we włoskim mieście Imola oraz w krakowskim parku im. doktora Henryka Jordana. Ma także ulicę swojego imienia w pobliżu poznańskiego ZOO i jest pierwszym niedźwiedziem uhonorowanym specjalnym bankietem przez szkocki parlament.

„Burmistrz miasta Cassino Carlo Maria D’Alessandro ogłosił, że pomnik niedźwiedzia zostanie wkrótce odsłonięty koło Piazza XVI Febbraio. Jak dodał, Wojtek to «prawdziwy żołnierz, który wziął udział w bitwie o Monte Cassino i w wyzwoleniu Bolonii». W portalach informacji lokalnych ze środkowych Włoch podkreśla się, że to spełnienie prośby, z jaką prawie 10 lat temu wystąpiły miejscowe środowiska. Dotąd wniosek ten był odrzucany przez władze” – czytamy w depeszy PAP.

Interaktywny nagrobek

Nowoczesność wkroczyła także do życia pozagrobowego, czemu trudno się dziwić, skoro postęp atakuje nas stale i zewsząd.

Jak poinformował portal <http://krknews.pl>, w Słowenii wymyślono interaktywny, multimedialny nagrobek, który prezentuje historię zmarłego aktywując się, gdy ktoś przed nim stanie. Ekran wyświetla tekst, zdjęcia lub filmy podobnie jak tablet.

– Można nim sterować za pomocą telefonu komórkowego, a także zaprogramować całą ceremonię pogrzebową – powiedział portalowi Saso Radovanović. W Mariborze trwa testowanie wynalazku.

„Na razie największe zainteresowanie przejawiają osoby starsze, które na co dzień nie mają dostępu do najnowszych technologii. To chyba dobrze wróży autorom przedsięwzięcia” – czytamy na stronie <http://krknews.pl>.

Zakazana flaga sojuszników

Mieszkająca w duńskim Kolding rodzina Hedegardów została poproszona przez policję – pod rygorem ukarania grzywną w wysokości około 375 dolarów – o zdjęcie flagi USA zawieszanej na maszcie ustawionym w ogródku w celu wyrażenia sympatii do amerykańskiej kultury – poinformowała „Rzeczpospolita”.

Funkcjonariusze powołali się na obowiązujące w Danii od 1915 roku przepisy zakazujące osobom nie posiadającym specjalnego zezwolenia eksponowania flag innych państw.

Rikke Hedegard oburzyła przede wszystkim postawa osób, które doniosły w tej sprawie na policję.

– Jeśli ktoś poczuł się urażony, czemu nie wstąpił do nas, by o tym powiedzieć. Codziennie wychodzimy z domu, wystarczyło podejść i wysłuchać naszych wyjaśnień. Rozumiem, gdyby to była flaga nazistowska, albo flaga ISIS, ale amerykańska flaga? Tego zupełnie nie rozumiem – powiedziała dziennikarzem. „W Danii oprócz flagi tego kraju można jeszcze swobodnie eksponować flagi Grenlandii i Wysp Owczych (terytoriów zależnych) oraz innych państw skandynawskich, UE i ONZ – wynika z instrukcji duńskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Osoby, które uzyskały zgodę na eksponowanie innej flagi, zazwyczaj muszą obok niej zawiesić flagę duńską” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Dekomunizacja przestrzeni publicznej poszerzona

Sejm przyjął nowelizację ustawy o zakazie propagowania komunizmu, która reguluje kwestie usunięcia obiektów budowlanych o charakterze nieużytkowym (pomników, obelisków, popiersi, kopców, kolumn, rzeźb, posągów, płyt, tablic pamiątkowych, napisów i znaków) gloryfikujących ustrój totalitarny oraz zakazuje nadawania nazw propagujących totalitaryzm instytucjom publicznym – poinformowała Polska Agencja Prasowa. „Za nowelizacją opowiedziało się 408 posłów, 7 było przeciw, a 15 wstrzymało się od głosu” – czytamy w depeszy PAP.

Długo oczekiwana przez wiele środowisk patriotycznych, kombatanckich i niepodległościowych nowelizacja przewiduje utworzenie mechanizmów prawnych, które pozwolą na usunięcie z przestrzeni publicznej budowli gloryfikujących ustrój totalitarny.

„Te kwestie porządkuje już ustawa z 1 kwietnia 2016 r. o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej. Daje ona ogólną definicję propagowania komunizmu i wskazuje rozwiązania, dzięki którym zakazane zostało nadawanie przez jednostki samorządu terytorialnego nazw budowlom, obiektom i urządzeniom użyteczności publicznej, w tym drogom, ulicom, mostom i placom, które upamiętniają lub propagują osoby, organizacje, wydarzenia lub daty symbolizujące komunizm lub inny ustrój totalitarny. Ustawa eliminuje także z przestrzeni publicznej już istniejące symbole ustrojów totalitarnych” –

napisała PAP. Nie została w niej jednak precyzyjnie uregulowana kwestia usunięcia obiektów budowlanych o charakterze nieużytkowym. Nowelizacja wprowadza przepis, który określa katalog obiektów budowlanych niezgodnych z ustawą. „Przepisów ustawy nie stosuje się do pomników niewystawionych na widok publiczny, znajdujących się na terenie cmentarzy albo innych miejsc spoczynku, wystawionych na widok publiczny w ramach działalności artystycznej, edukacyjnej, kolekcjonerskiej, naukowej lub o podobnym charakterze, w celu innym niż propagowanie ustroju totalitarnego, wpisanych samodzielnie albo jako część większej całości do rejestru zabytków” – czytamy w depeszy PAP. Kompetencje w zakresie stosowania ustawy przyznano wojewodom, którzy będą wydawać decyzje nakazujące usunięcie zakazanych pomników na podstawie pozytywnej opinii Instytutu Pamięci Narodowej. Organem odwoławczym ustanowiono ministra kultury i dziedzictwa narodowego. „Nowela rozszerza katalog obiektów i urządzeń użyteczności publicznej, które nie będą mogły nosić nazw propagujących komunizm lub inny ustrój totalitarny o szkoły i ich zespoły, przedszkola, szpitale, placówki opiekuńczo-wychowawcze, instytucje kultury i instytucje społeczne” – napisała PAP.

Właściciele albo użytkownicy wieczysti nieruchomości, na których w dniu wejścia w życie ustawy, czyli po upływie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia, znajdują się takie obiekty będą musieli usunąć je w terminie 12 miesięcy. „W przypadku wykonania obowiązku, koszty usunięcia pomnika zwraca Skarb Państwa ze środków budżetu państwa, których dysponentem jest wojewoda, jeżeli właściciel albo użytkownik wieczysty nieruchomości, na której znajdował się pomnik, nie uczestniczył w procedurze wzniesienia tego pomnika” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Państwo przejmie Muzeum Ulmów

Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej przechodzi pod skrzydła Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które będzie finansowało w 95 procentach jego działalność – poinformował portal internetowy „Naszego Dziennika”. Umowę podpisali wicepremier i szef resortu kultury Piotr Gliński oraz przedstawiciele zarządu województwa podkarpackiego. „Otwarte w marcu 2016 r. przez prezy-

denta Andrzeja Dudę Muzeum w Markowej powstało z inicjatywy samorządu województwa podkarpackiego jako oddział Muzeum-Zamku w Łańcucie. Od 30 czerwca br. staje się samodzielną jednostką, nad którą pieczęć będzie sprawował resort kultury. Umowa, która zakłada finansowanie z budżetu państwa, została zawarta na okres 10 lat. Resort kultury będzie przekazywał na działalność placówki dotację w wysokości jednego miliona złotych rocznie, z kolei samorząd województwa podkarpackiego dołoży 50 tys. zł” – czytamy w portalu. Jak podkreślił wicepremier Gliński, muzeum w Markowej zostaje objęte państwową opieką, ponieważ pamięć o Polakach, którzy narażali się na represje ratując Żydów i często stając się z tego powodu ofiarami niemieckich zbrodni, jest obowiązkiem Rzeczypospolitej.

– To jedyna taka placówka w naszym kraju, która nie tylko pokazuje prawdę o czasach Holocaustu w Polsce, ale także prowadzi edukację i organizuje wiele spotkań poświęconych historii polskich Sprawiedliwych – cichych bohaterów czasów II wojny światowej. Te działania są szalenie ważne dla tożsamości narodowej, ale zarazem jest to hołd złożony Polakom i polskim Żydom – ludziom, którzy w czasach największej próby zachowali człowieczeństwo – powiedział prof. Gliński podczas podpisywania umowy (cytat za „ND”). „Na przestrzeni kilkunastu miesięcy od otwarcia Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej, którego centrum jest odtworzony na podstawie materiału ikonograficznego w naturalnej skali dom rodziny Ulmów, odwiedziło ponad 50 tys. osób, w tym duża grupa z zagranicy. Na ekspozycji można zobaczyć m.in. książki z rodzinnego domu Ulmów, zeszyt szkolny córki Stasi, świadectwa oraz zdjęcia wykonane przez Józefa Ulmę. W Muzeum wykorzystano nowoczesne technologie ekspozycyjne, w tym narzędzia multimedialne, za pomocą których można zobaczyć poszczególne etapy historii życia i ukrywania Żydów przez Ulmów. Część ekspozycji została poświęcona zaangażowaniu Polaków, w tym również polskiego duchowieństwa w pomoc ludności żydowskiej. Prezentacje zostały przygotowane w trzech językach: polskim, angielskim i hebrajskim” – napisano w portalu „Naszego Dziennika”. Historię rodziny Ulmów pokazuje także wystawa pt. „Samarytanie z Markowej”, która gościła już w wielu miastach Polski i świata. W najbliższych dniach zostanie zaprezentowana w Parlamencie Europejskim w Brukseli.

Za dużo turystów w Barcelonie

Mieszkańcy kolejnej europejskiej metropolii mają dosyć zbyt dużej ilości turystów. Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, powołując się na hiszpański portal www.thelocal.es, 19 procent uczestników sondażu przeprowadzonego na zlecenie władz Barcelony uznało, że największym problemem stolicy Katalonii są właśnie turyści. Dopiero na drugim miejscu (12,4 proc.) znalazło się bezrobocie, które od 2009 roku było głównym problemem wskazywanym przez barcelończyków w sondażach przeprowadzanych na zlecenie ratusza.

– Nie chodzi o turystofobię, mieszkańcy Barcelony lubią podróżować i cenią sobie gości, którzy nas odwiedzają. Problemem jest zbyt duży tłok, w niektórych częściach miasta – powiedział portalowi zastępca burmistrza miasta Gerardo Pisarello (cytat za „Rz”).

„W 2016 roku w zamieszkaną przez 1,6 mln mieszkańców Barcelonie przynajmniej jedną noc w hotelu spędziło 9 milionów turystów. Ratusz szacuje jednak, że rzeczywista liczba turystów, którzy spędzili przynajmniej jedną dobę w mieście wyniosła 30 milionów. Władze Barcelony zakazały już otwierania nowych hoteli w centrum miasta i ukarały grzywnami serwisy Airbnb i Homeaway za promowanie kwater, które nie mają uprawnień do przyjmowania turystów” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Stalin Rosjaninem wszechczasów

Józef Stalin zajął pierwsze miejsce w plebiscycie na najwybitniejszego Rosjanina wszechczasów przeprowadzonym przez Centrum Analityczne Jurija Lewady – podała Informacyjna Agencja Radiowa.

Na komunistycznego dyktatora oddało swój głos 38 procent uczestników ankiety, 34 proc. wskazało Władimira Putina, w pierwszej piątce znaleźli się jeszcze Aleksander Puszkina, Włodzimierz Lenin i car Piotr I. „Socjologowie Centrum Lewady twierdzą, że takie rezultaty sondażu powtarzają się od wielu lat, a wysokie pozycje Stalina i Putina związane są z oczekiwaniami Rosjan, którzy chcą widzieć na czele państwa silnych liderów” – czytamy na stronie internetowej IAR. Historyk ze stowarzyszenia Memoriał Nikita Pietrow powiedział Polskiemu Radiu, że w Rosji tragiczne wydarzenia historyczne związane ze zbrodniami stalinowskimi wciąż oceniane są inaczej niż na całym świecie.

– To przedziwna sytuacja, gdy w moim kraju mamy swoje spojrzenie na historię, a cały świat rozumie wydarzenia historyczne zupełnie inaczej. Rzeczywiście, wrażenie jest takie, że polityka Rosji opiera się na kłamstwach – dodał. Nie sposób nie zgodzić się z jego opinią.

Powrót saturatora

Czy ktoś z PT Czytelników wie, co to jest? Jeśli tak, to znaczy, że musi być w tzw. słusznym wieku, ponieważ ten PRL-owski sposób na gaszenie pragnienia w miejscach publicznych dawno już przeszedł do historii. Młodszym warto przypomnieć, że były to dwukołowe wózki z wodą sodową, którą można było kupić za 30 groszy, a z sokiem za całą złotówkę. Piło się ją w szklance, którą obsługująca urządzenie osoba płukała w wodzie krążącej w zamkniętym obiegu, co skłoniło dowcipnych rodaków do ochrzczenia owego napoju gruzliczanką, ponieważ suchoty były w latach panowania na Wiśle przoduującego ustroju chorobą może już nie powszechną, ale wciąż jeszcze zbierającą śmiertelne żniwo. Bardzo łatwo było się nią zarazić m.in. używając tych samych naczyń, z których skorzystała wcześniej osoba cierpiąca na gruźlicę. A przecież nie wiadomo, kto poprzednio pił z ledwie opłukanej brudną wodą szklanki. Kiedy upał doskwierał, przed saturatorami formowały się kolejki spragnionych, którzy nie zdawali sobie sprawy lub nie chcieli przyjąć do wiadomości, że każdy łyk orzeźwiającego napoju może skutkować poważnymi konsekwencjami zdrowotnymi. Z tej samej szklanki zgodnie pili dorośli, dzieci, starcy, matki w ciąży, miejscy kłoszardzi. Ponieważ moda na Polskę Ludową święci ostatnio triumfy, w centrum Nowego Sącza stanął saturator, z którego rozdawana jest za darmo (!) pochodząca z miejskiego wodociągu gazowana woda czysta lub z sokiem malinowym. Pomysł spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem przez sądeczan, aczkolwiek starsi z nich zwracają uwagę, że tradycyjną szklankę zastąpiły plastikowe kubki jednorazowego użytku. Inaczej Sanepid nie wydałby jednak zgody na ten sympatyczny powrót do przeszłości, który będzie trwać przez cały sezon letni. Saturator stanowi kluczowy element kampanii promującej jakość wody pochodzącej z sądeckich wodociągów i ma zachęcić mieszkańców oraz licznych o tej porze turystów do picia wody bezpośrednio z kranu. Jest ona czysta, zdrowa, smaczna i nikt nie ośmieli się nazwać jej gruzliczanką.

LIPIEC 2017

Poczet żołnierzy Armii Krajowej

Muzeum Armii Krajowej w Krakowie podejmuje prace nad stworzeniem elektronicznej bazy żołnierzy AK. Ma ona być wirtualnym pomnikiem największej podziemnej armii II wojny światowej i źródłem wiedzy historycznej.

Dyrekcja placówki zdaje sobie sprawę, że odtworzenie składu osobowego struktur AK po tylu latach jest niezwykle trudnym zadaniem.

„W Muzeum AK wierzymy jednak, że skompletowanie możliwie pełnych informacji na temat żołnierzy walczących w podziemiu niepodległościowym to zadanie czasochłonne, ale potrzebne. Właśnie dlatego w ubiegłym roku nawiązaliśmy współpracę z Instytutem Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, która zakłada m.in. stworzenie bazy żołnierzy AK. W czerwcu tego roku dyrektor Marek Lasota zawarł porozumienie z władzami Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, które zakłada podjęcie prac nad tym pomnikowym przedsięwzięciem. Zdajemy sobie sprawę, że inicjatywa ta powinna skupiać jak najwięcej podmiotów, które dysponują materiałami źródłowymi lub własnymi opracowaniami, dlatego już na tym etapie partnerem projektu jest Muzeum Powstania Warszawskiego” – czytamy na stronie internetowej Muzeum AK mieszczącego się przy ulicy Wita Stwosza 12.

W tej super nowoczesnej placówce muzealnej spotkać można nie tylko jej pracowników oraz zwiedzających. Od chwili powstania w 1990 roku (pierwotną siedzibą był neoklasycystyczny pałac Mańkowskich przy nieodległej ul. Topolowej, w którym wcześniej mieściło się Muzeum Lenina) jest ona drugim domem dla wielu kombatanów.

Oprócz Akowców regularnie przychodzą tam członkowie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Polskiego Związku Więźniów Komunistów, Związku Młodocianych Więźniów Politycznych 1944-56 „Jaworzniacy”, Stowarzyszenia Szarych Szeregów, Małopolskiego Niezależnego Związku Represjonowanych Żołnierzy Górników.

Pełniąc rolę świadków historii pomagają dyrekcji Muzeum AK w codzien-

nej działalności, odbywają też swoje spotkania, zebrania, zjazdy. Z pewnością posłużą wydatną pomocą także przy realizacji najnowszej inicjatywy.

Ku czci sławnego kawalerzysty

Kraków pięknie uczcił 75. rocznicę śmierci pierwszego ułana II Rzeczypospolitej, żołnierza Pierwszej Kompanii Kadrowej, legionisty, adiutanta Józefa Piłsudskiego, dowódcy pułków, brygady i dywizji kawalerii, ambasadora w Rzymie, niedoszłego Prezydenta RP na Uchodźstwie – generała dywizji Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego.

Z inicjatywy pełniącego obowiązki szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jana Józefa Kasprzyka przy jego grobie znajdującym się na kwaterze legionowej cmentarza Rakowickiego odbyły się Apel Pamięci i ceremonia składania kwiatów (wieniec przysłał prezydent Andrzej Duda).

Uczestniczyli w niej m.in. wojewoda małopolski Piotr Ćwik, który odczytał list od premier Beaty Szydło oraz prezydent Krakowa profesor Jacek Majchrowski – autor pierwszej monografii Wieniawy pt. „Ulubieniec Cezara”, a także liczni kombatanci, strzelcy, działacze organizacji patriotycznych. Nie mogło również zabraknąć młodych ludzi w ułańskich mundurach.

Obaj przemawiający: Kasprzyk i Majchrowski podkreślali bogatą osobowość Długoszowskiego, który był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, znającym kilka języków, doskonale czującym się w towarzystwie artystów, ale zawsze na pierwszym miejscu stawiającym dobro Rzeczypospolitej i honor oficerski.

Szef UdSKIOR ubarwił swoje wystąpienie fragmentami wierszy Wieniawy, a zakończył je jednym z jego słynnych powiedzeń z okresu, kiedy reprezentował Polskę w stolicy Włoch: „dyplomata może popełniać świństwa, ale nigdy głupstw, a kawalerzysta może popełniać głupstwa, ale nigdy świństw”.

– To jest postać, wokół której mogą skupić się młodzi ludzie, bo Wieniawa był człowiekiem z krwi i kości. Takiego patriotyzmu, jaki on prezentował, trzeba uczyć młodych ludzi. Patriotyzmu, który jest radosną formą przeżywania niepodległości – dodał Kasprzyk.

Prezydent Krakowa zwrócił uwagę na prestiż, jakim cieszył się oficer często traktowany wyłącznie jako nieodpowiedzialny hulaka w elicie II Rzeczypospoli-

tej, którą znakomicie reprezentował. Przypomniiał, że to właśnie jemu Piłsudski zlecał najbardziej poufne misje, mając do niego całkowite zaufanie oraz to, że wbrew opinii piłsudczyków zdecydował się służyć Polsce także wtedy, gdy na jej czele stanął główny wróg tego środowiska – generał broni Władysław Sikorski.

Wojskową asystę honorową wystawił podległy Dowództwu Garnizonu Warszawa Pułk Ochrony, której patronem jest gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Do dzisiaj nie są wyjaśnione okoliczności tragicznej śmierci ulubionego żołnierza Komendanta, który spadł z niedużej wysokości z jednego z budynków w Nowym Jorku 1 lipca 1942 roku, niedługo przez objęcie stanowiska ambasadora RP na Kubie. Nie przeprowadzono wówczas śledztwa, nie zrobiono sekcji zwłok, szybko uznano, że było to samobójstwo.

W 1990 roku urnę z jego prochami przewieziono do Krakowa i uroczystie złożono na cmentarzu Rakowickim. Pogrzeb poprzedziła żałobna Msza Święta w bazylice Mariackiej na Rynku Głównym, w której wzięli udział m.in. córka generała Zuzanna Vernon z Londynu i jego bratanek Leszek Wieniawa-Długoszowski.

– Kiedy obserwowałem kondukt zmierzający w kierunku Rakowic, gdy zobaczyłem okrytego kirem konia prowadzonego za trumną wiezioną na lawecie artyleryjskiej, uświadomiłem sobie, że wszystko było tak, jak Wieniawa wymarzył sobie niegdyś w wierszu „Ułańska jesień”: „A potem mnie wysoko złożą na lawecie /za trumną stanie biedny sierota mój koń /I wy mnie szwoleżerzy do grobu zniesiecie /A piechota w paradzie sprezentuje broń” – wspomina ten dzień krakowski historyk i publicysta Jarosław Kazubowski.

Za zasługi w walce o odzyskanie niepodległości i w służbie państwowej gen. dyw. Bolesław Wieniawa-Długoszowski był odznaczony Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Komandorskim i Oficerskim Polonia Restituta, Krzyżem Niepodległości z Mieczami, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, licznymi odznaczeniami zagranicznymi, m.in. francuską Legią Honorową, węgierskim Orderem Krzyża Zasługi z Gwiazdą II klasy, rumuńską Gwiazdą Rumunii III klasy.

A na koniec, oczywiście, anegdota, które tak lubił pierwszy ułan II Rzeczypospolitej: w 1931 roku w rozmowie z Antonim Wasilewskim żartobliwie,

lecz proroczo powiedział: „U was, w Krakowie, to pewnie ludzie prochu nie wymyślą, ale zawsze wymyślą, czyje by tu jeszcze prochy sprowadzić”.

Następny wandal w Auschwitz

Zaledwie kilka dni temu rozpoczął się proces 14 osób różnej narodowości, które w marcu przy bramie głównej byłego niemieckiego obozu śmierci Auschwitz-Birkenau zabiły owcę, rozebrały się do naga, skuły łańcuchami, na napisie „Arbeit macht frei” zawiesiły płachtę z napisem „Love”, a już doszło w tym miejscu do kolejnego aktu trudnego do racjonalnego wytłumaczenia wandalizmu.

Siedemnastoletni Amerykanin wyrył swoje imię na murze jednego z budynków.

Został zatrzymany przez policję, którą poinformował jeden z przewodników i doprowadzony do Prokuratury Rejonowej w Oświęcimiu, gdzie postawiono mu zarzut uszkodzenia mienia o szczególnym znaczeniu dla kultury. Znieważenie miejsca pamięci zagrożone jest karą grzywny lub ograniczenia wolności.

Nie mogę zrozumieć, co kieruje ludźmi, którzy regularnie bezczeszczą miejsce będące największym cmentarzem świata, chociaż chyba zdają sobie sprawę z niestosowności takiego zachowania. A może jednak nie dociera to do ich świadomości?

O tempora, o mores – to jedyny komentarz, jaki przychodzi mi do głowy.

Jubileusz kopca Piłsudskiego

I podniosłe, i radośnie świętowano wczoraj na Sowińcu 80. rocznicę zakończenia sypania na tym najwyższym w Krakowie wzgórzu kopca Józefa Piłsudskiego nazywanego też polską Mogiłą Mogił, ponieważ w jego zboczach złożono ponad 4,5 tysiąca ziem z pól bitewnych oraz z miejsc kaźni, gdzie Polacy przelewali krew w walce o niepodległość od insurekcji kościuszkowskiej aż po lata 80. ubiegłego wieku. Z tego powodu ma on symboliczne znaczenie równoważne Grobowi Nieznanego Żołnierza.

Najpierw Iwona Fischer z Narodowego Archiwum w Krakowie przedstawiła w pawilonie (dawniej pełnił on funkcję zaplecza robót, obecnie znajduje się



w nim poświęcona kopcowi izba pamięci) bogato ilustrowaną zdjęciami historię wznoszenia nietypowego pomnika mającego uczcić odzyskanie przez Rzeczpospolitą suwerennego bytu państwowego po 123 latach zaborczej niewoli. Zaczęto go budować – na mocy uchwały Rady Miasta Krakowa, a z inicjatywy Związku Legionistów Polskich – 6 sierpnia 1934 roku, czyli w 20. rocznicę wyruszenia z nieodległych od Lasu Wolskiego Oleandrów Pierwszej Kompanii Kadrowej, a zakończono 9 lipca 1937 roku. Przez cały ten czas przyjeżdżały na Sowiniec delegacje z całego kraju (a także przedstawiciele zagranicznej Polonii), aby złożyć w kopcu ziemię przesiąkniętą krwią rodaków. Na zakończenie prelegentka pokazała krótki film pokazujący technikę sypania Mogiły Mogił.

Następnie wszyscy uczestnicy spotkania, a także dziennikarze przeszli do podnóża kopca, aby uwiecznić jubileusz wspólną fotografią, do której stanęli m.in. dwaj sędziwi kombataneci: 96-letni żołnierz Armii Krajowej, więzień obozów niemieckich i sowieckich kapitan Stanisław Szuro oraz 91-letni członek Narodowej Organizacji Wojskowej i AK, więzień polityczny w okresie stalinowskim (w 1947 roku skazany na karę śmierci zamienioną później na do-

żywocie) porucznik Wacław Szacoń-„Czarny” – przyjaciel ostatniego żołnierza powojennej konspiracji niepodległościowej Józefa Franczaka-„Lalusia”.

A potem odbył się mały bankiet w pawilonie, podczas którego wspomniano ludzi szczególnie zasłużonych dla odbudowy kopca Józefa Piłsudskiego w latach 80., kiedy starano się przywrócić mu dawny wygląd wyłącznie społecznym wysiłkiem i podobnymi środkami jakimi wznoszono go w latach 1934-37 (łopaty, taczki, ubijaki), wśród nich nieżyjących już Zofię Bigaj i Władysława Zielskiego oraz nieobecnego z powodu choroby inżyniera architekta Włodzimierza Śliwczyńskiego. Nie zabrakło też toastów za zdrowie kombatanatów, piłsudczyków, społecznych opiekunów Mogiły Mogił i za pomyślność Ojczyzny.

Upadli Polacy

Od 1 stycznia do 30 czerwca 2017 roku na ogłoszenie upadłości konsumenckiej zdecydowało się 2,5 tysiąca Polaków, w większości kobiet w wieku produkcyjnym – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„Z danych zebranych w sądach przez wywiadownię gospodarczą Bisnode Polska wynika, że w pierwszym półroczu liczba ogłoszonych upadłości konsumenckich wzrosła o 15 proc. w stosunku do tego okresu 2016 r.” – czytamy w gazecie

Zdaniem prawników jest to efekt dużej uznaniowości sędziów, którzy też dopiero uczą się nowych zasad obowiązujących od 2015 roku. Wcześniej upadłość udało się ogłosić zaledwie kilkunastu osobom, teraz rocznie notuje się kilka tysięcy zakończonych postępowań.

„Ministerstwo Sprawiedliwości przygląda się również możliwościom dalszej liberalizacji zasad ogłaszania upadłości przez osoby fizyczne. Jak tłumaczył resort, rozważane jest wprowadzenie szczególnych rozwiązań ochronnych dla przedsiębiorców, prowadzących działalność jako osoby fizyczne, przypadków ogłoszenia upadłości małżonków oraz dla osób, które nie dysponują żadnym majątkiem pozwalającym na zaspokojenie wierzytelności w postępowaniu upadłościowym” – napisała „Rzeczpospolita”.

Turystyczny sukces Krakowa

Podwawelski gród zajął 8. miejsce na liście „Najlepszych miast na świecie na 2016 rok” sporządzonej na podstawie głosów czytelników prestiżowego maga-

zynu podróźniczego „Travel + Leisure” – poinformowano na stronie internetowej Urzędu Miasta Krakowa.

„Co roku World’s Best Award zachęca czytelników www.travelandleisure.com, aby podzielili się opiniami na temat najlepszych miast, wysp, statków wycieczkowych, uzdrowisk, linii lotniczych itp.” – czytamy w portalu.

Pod uwagę bierze się zabytki, kulturę, gastronomię, życzliwość mieszkańców oraz atrakcyjność zakupową.

„Kraków rywalizował z Rzymem, Florencją, Barceloną, San Sebastian, Budapesztem, Sieną, Sewillą. Nasze miasto pokonało Porto, Lizbonę, Pragę, Wenecję, Edynburg, Istanbuł i Madryt” – napisano na stronie UMK.

Założony w 1937 roku miesięcznik „Travel + Leisure” jest jednym z najsłynniejszych magazynów na świecie poświęconych podróżom, turystyce i wypoczynkowi.

„Narzekańie zabronione”

Tabliczka z takim nagłówkiem pojawiła się kilka dni temu na drzwiach apartamentu papieża Franciszka w Domu Świętej Marty w Watykanie, który od konklawe w marcu 2013 roku jest jego rezydencją – podała Katolicka Agencja Informacyjna powołując się na turyński dziennik „La Stanpa”.

Jest na niej informacja, że kto złamie ten zakaz, jest „ofiarał syndromu cierpiętnictwa, któremu towarzyszy spadek humoru oraz zdolności rozwiązywania problemów”. Uprzedza się również, iż naruszenie zakazu w obecności dzieci spowoduje zaostrenie sankcji. Tekst kończy uwaga, że aby „pokazać się z jak najlepszej strony, należy skoncentrować się na własnych możliwościach, a nie na własnych ograniczeniach: przestań narzekać i zrób coś, aby poprawić swe życie”.

„Tabliczkę ofiarował Franciszkowi jej autor, włoski psycholog i psychoterapeuta Salvo Noè. Oprócz tego podarował on papieżowi swoją książkę i bransoletkę. Na widok tabliczki Franciszek miał powiedzieć, że przyczepi ją na drzwiach swojego biura w Domu św. Marty. W końcu jednak uznał, że lepiej pasuje do jego prywatnego apartamentu” – czytamy w depeszy KAI.

Ataki na gdańskie pomniki

W Gdańsku coraz częściej dochodzi do aktów dewastacji pomników.

W kwietniu nieznani sprawcy nabazgrali na portrecie majora Zygmunta Szendzielarza-„Łupaszki” (umieszczonym na muralu we Wrzeszczu) słowo „morderca”, niedługo później ktoś na Krzyżu Milenijnym na Górze Gradowej napisał po ukraińsku „Lwów to Ukraina”, a także umieścił symbole, kojarzone z ruchami nazistowskimi: Wilczy Hak i Krzyż Celtycki, kilka tygodni temu zniszczono tablicę ku pamięci Danuty Siedzikówny-„Inki” i zdewastowano pomnik Kindertransportów w Gdańsku – przypomniał Onet.

W dwóch ostatnich przypadkach policja zatrzymała wandalów, którzy w momencie popełnienia przestępstwa byli pijani.

W czerwcu i w lipcu zdewastowano odsłonięty w 2003 roku w centrum miasta pomnik Pamięci Ofiar Eksterminacji Ludności Polskiej na Wołyniu.

Ten drugi akt wandalizmu miał miejsce 11 lipca, czyli w Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Wołyniu, tuż przed uroczystościami z udziałem konsula Ukrainy i wiceprezydenta Gdańska. Kiedy później pod pomnikiem pojawił się prezydent Andrzej Duda, obraźliwe napisy zdołano już usunąć.

„Niech ktoś wytłumaczy, dlaczego do tej pory nie ma monitoring, dlaczego nie ma tutaj solidnej ochrony?” – zapytał w zamieszczonym na portalu komentarzu jeden z czytelników.

– Sprawdzamy nagrania kamer przemysłowych. Rozpytaliśmy świadków, postępowanie wciąż trwa, szukamy sprawców – powiedziała Onetowi rzeczniczka Komendy Miejskiej Policji w Gdańsku podkomisarz Aleksandra Siewiert.

Przedstawiciele magistratu w rozmowie z portalem przyznali, że ta część centrum nie jest objęta monitoringiem i przynajmniej w najbliższym czasie to się, niestety, nie zmieni.

– Mówimy o dwóch dewastacjach pomnika, wcześniej nie notowaliśmy tutaj podobnych zdarzeń. Poprosimy jednak straż miejską, by w rejon tego miejsca były wysyłane dodatkowe patrole – obiecała w rozmowie z Onetem rzeczniczka prezydenta Gdańska Magdalena Skorupka-Kaczmarek.

„Dewastacje miejsc pamięci w Gdańsku budzą wiele emocji. Przedstawiciele prawicy mówią tutaj o możliwości prowokacji ze strony środowisk ukraińskich, lewica wyśmiewa takie teorie” – czytamy w portalu.

Ostatnio głos zabrał w tej sprawie wiceprezydent Piotr Kowalczyk, który na Facebooku napisał:

„Tylko słabi lub bez pełni władz umysłowych ludzie atakują pomniki. To przykre, że próbuje się ciągle na nowo rozdrapywać rany między narodami. Żadne barbarzyńskie ataki i prowokacje nie powstrzymają nas w budowaniu właściwych relacji między Polakami i Ukraińcami. Obecnie związki te nabierają jeszcze głębszego wymiaru z racji wyboru Gdańska, jako swojego nowego Domu przez nowe pokolenie Ukraińców i Ukrainek.”

Niewrażliwy developer

Czy godzi się budować apartamentowiec w miejscu przesiąkniętym krwią bohaterskich obrońców Ojczyzny?

Rozumiem, że developerowi – zwłaszcza zagranicznemu – jest to obojętne, ale czy władze gminy powinny wydawać zezwolenie na taką inwestycję bez uprzednich badań archeologicznych i zasięgnięcia opinii środowisk kombatanckich?

Z taką sprawą mamy właśnie do czynienia w stolicy, gdzie wkrótce będzie zabudowana – za przyzwoleniem magistratu – działka, na której do sierpnia 1944 roku stał ogromny budynek mieszkalny zwany pasażem Simonsa. W trakcie Powstania Warszawskiego w jego piwnicach zginęła nie ustalona do dzisiaj, ale bardzo znaczna ilość osób.

Jak ustalił „Fakt”, władze stolicy przekazały tę działkę deweloperowi w dosyć tajemniczych okolicznościach, które przywodzą na myśl aferę repriwatyzacijną.

„Po wojnie na tym terenie postawiono garaże i warsztat. W 1988 r. miasto oddało teren w użytkowanie na 40 lat. A 5 lat temu zarząd Dzielnicy Śródmieście nieruchomości oddał teren tajemniczej spółce z powiązaniami na Cyprze. Spółka twierdziła, że jest następcą prawnym osób fizycznych – właścicieli garaży. A obowiązujące prawo pozwalało zamienić użytkowanie wieczyste w prawo własności za symboliczną złotówkę. Rok temu cypryjska spółka sprzedała działkę firmie Dembud, nazywanemu w mieście «ulubionym deweloperem radnych PO». Firma zaczęła tam budować apartamentowiec” – czytamy w tabloidzie.

Plan zagospodarowania przestrzennego został zmieniony przez prezydent Hannę Gronkiewicz-Waltz w 2008 roku. Zamiast warsztatu i garaży

może więc powstać olbrzymi budynek usługowo-mieszkalny z podziemnym garażem.

Dokładnego zbadania terenu zażądały środowiska powstańcze, ale nie spotkały się ze zrozumieniem.

„– Mamy wrażenie, że ludzkie szczątki tylko przeszkadzałyby w robieniu interesów” – powiedział „Faktowi” Zbigniew Galperyn ze Związku Powstańców Warszawskich.

Kierownik budowy nie chciał rozmawiać z dziennikarzami gazety.

„Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że gorączkowo poszukują archeologa, który poświadczy, że na terenie budowy nie ma ludzkich kości” – napisał „Fakt”.

Czy znajdzie się naukowiec, który poświadczy ewidentną nieprawdę?

Developera może jeszcze powstrzymać mazowiecki wojewódzki konserwator zabytków profesor Jakub Lewicki, który wszczął procedurę wpisu do rejestru zabytków tego miejsca.

„W rejonie tym znajdują się prawdopodobnie nie tylko relikty wcześniejszej zabudowy kościoła Brygidek pw. Świętej Trójcy, będącego najwcześniejszym barokowym kościołem Warszawy zaprojektowanym przez wybitnego architekta królewskiego Giovanniego Battisty Gisleniego, ale i zbudowanego w latach 1900-1903 pasażu Simonsa oraz inne fragmenty zabudowy i liczne pochówki z okresu Powstania Warszawskiego i wcześniejsze (cmentarz Brygidek). Także ochrona i szacunek dla grobów powstańczych i wszelkich pamiątek Powstania Warszawskiego, również wcześniejszych grobów i pochówków, jest nie tylko najważniejszym priorytetem Polaka i mieszkańca Warszawy, ale też jest jednym z najważniejszych priorytetów polskiej racji stanu. Zawszę będę chronił groby i pamiątki powstańcze i ich relikty” – napisał.

A przecież wystarczyłoby rozpocząć od odnalezienia szczątków powstańców i osób cywilnych spoczywających w miejscu dawnego pasażu Simonsa, z honorami przenieść je na cmentarz, a na fasadzie wznoszonego budynku umieścić stosowną tablicę. Sądzę, że kombatanCI z ZPW przystaliby na takie rozwiązanie, bo przecież nie chodzi im o blokowanie możliwości rozwoju Warszawy, ale o elementarny szacunek dla poległych w tym miejscu koleżanek i kolegów oraz cywilów.

Artystka z Izraela okradła Auschwitz

Dyrekcja Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau złożyła zawiadomienie do Prokuratury Rejonowej w Oświęcimiu w kolejnej sprawie o kradzież eksponatów – poinformowało Radio Kraków.

Tym razem izraelska studentka Wydziału Artystycznego Beit Berl College w Jerozolimie Rotem Bides (wnuczka ocalałych z Holokaustu) ukradła z byłego niemieckiego obozu śmierci kilka przedmiotów, których użyła potem do stworzenia projektu dyplomowego.

„To między innymi szklanki, małe miseczki, metalowa śruba, garść ziemi, a nawet znak ostrzegający zwiedzających, aby nie kradli przedmiotów z terenu obozu” – czytamy na stronie krakowskiej rozgłośni.

Jej promotorka Michal Na’aman uważa, że ten postępek można usprawiedliwić wyższymi racjami moralno-estetycznymi.

Dyrekcja Muzeum jest innego zdania i wydała w tej sprawie specjalne oświadczenie:

To, co się stało, jest bolesne i skandaliczne. Muzeum Auschwitz–Birkenau jest terenem chronionym, który stanowi świadectwo tragedii Holokaustu i II wojny światowej i należy go zachować ku pamięci dla następnych pokoleń. Trudno sobie wyobrazić, że kradzież może być w jakikolwiek sposób uzasadniona, nawet poprzez sztukę, która może być postrzegana jako próba upublicznienia.

„W jednej z izraelskich gazet dziewczyna tłumaczyła, że zabierała eksponaty z obawy, że z biegiem czasu Holocaust «zamieni się w mit». Teraz prokuratura zbada, czy użyte do jej pracy przedmioty są oryginalne. Muzeum o pomoc w wyjaśnieniu sprawy poprosiło też Ambasadę Izraela w Polsce. Za kradzież mienia dużej wartości i o szczególnym znaczeniu dla kultury grozi do 10 lat więzienia” – napisano na stronie Radia Kraków.

W przeszłości dochodziło już do kradzieży przedmiotów z terenu dawnego miejsca masowej zagłady, m.in. fragmentów drutów kolczastych czy rzeczy osobistych ofiar. Co ciekawe, ich sprawcami bywali często obywatele Izraela.

Najsłynniejszą kradzież zlecił jednak szwedzki milioner Anders Högrström, który zamarzył sobie wejść w posiadanie słynnego napisu „Arbeit macht frei” z obozowej bramy. Polskich złodziei złapano i skazano, kary nie uniknął też zle-

ceniodawca, a zabytek wrócił do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, tyle że do magazynu; na bramie zawisła kopia.

Kolejki do gór

Ta sytuacja powtarza się w każdym szczycie letniego sezonu: tatrzańskie szlaki są obleżone przez tłumy ludzi, którzy nie zawsze zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie narażają się wychodząc w wysokie partie gór, gdzie nawet latem zalegają płaty śniegu, a pogoda może się diametralnie zmienić w ciągu godziny.

Nie pomagają apele Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego o rozsądek – od połowy czerwca do końca sierpnia trwa zmasowana inwazja ceprów w najwyższe polskie góry.

Jak powiedziała Polskiej Agencji Prasowej Danuta Wojciechowska z Tatrzańskiego Parku Narodowego, najbardziej popularny jest nadal łatwy szlak z Palenicy Białczańskiej do Morskiego Oka, na którym ruch turystyczny trwa od świtu do zmierzchu, a nawet po nim.

„Władze TPN apelują, aby w przypadku braku miejsc parkingowych zmienić plany wycieczki. Turyści często bowiem wbrew zakazom pozostawiają samochody tuż przy drodze prowadzącej z Wierchu Porońca do Palenicy Białczańskiej, utrudniając ruch i stwarzając zagrożenie dla innych” – czytamy w depeszy PAP.

Żeby wyjechać kolejką linową z Kuźnic na Kasprowy Wierch tradycyjnie trzeba odstać kilka godzin po bilety. Polskie Koleje Linowe przypominają, że można je wcześniej kupić przez internet na konkretny dzień i godzinę.

„Kolejki tworzą się też pod szytym Giewontu. Tam z uwagi na ograniczoną liczbę osób, które mogą jednocześnie przebywać na szczycie, oraz wąskie podejście, turyści muszą stać w ogonku, aby dotknąć słynnego krzyża” – pisała PAP.

Podobnie jest na Orlej Perci i podejściu na Rysy, a to bardzo trudne szlaki, zwłaszcza pierwszy, na którym od kilku lat obowiązuje ruch jednokierunkowy, aby uniknąć kolizji. Niestety, wybierają się tam często osoby bez odpowiedniego przygotowania kondycyjnego, w nie nadających się do pokonywania najtrudniejszego tatrzańskiego szlaku butach, bywa że z małymi dziećmi.

Popularne są również dolina Kościeliska i Chochołowska.

„Ratownicy TOPR przypominają turystom, aby idąc w góry, zabierali ze sobą nakrycie głowy, zapas wody do picia i smarowali się kremami z filtrem. Na wysokogórskich szlakach słońce operuje mocniej, a na otwartych przestrzeniach i górskich graniach nie ma się gdzie schronić przed słońcem” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Jak zostać dyplomowanym bacą i juhasem?

Dzisiaj nie wystarczy już w tym celu – jak dawniej – terminować u doświadczonych mistrzów tego zawodu w szałasach na górskich halach, trzeba jeszcze skończyć specjalny kurs. Organizuje go Małopolska Szkoła Gościnności w Myślenicach, a finansuje samorząd województwa małopolskiego.

Jak poinformowała Polska Agencja Prasowa, 33 kandydatów na bacę i 25 na juhasa kończy właśnie teoretyczną część tego kursu, po której czeka ich praktyczna, a po wakacjach egzamin zawodowy. Ci, którzy zdadzą go, rozpoczną w jesieni pracę na halach.

„Do bezpłatnego kursu zgłosiło się 121 osób z różnych zakątków Polski, w tym pracownicy umysłowi z Warszawy; napłynęły też kandydatury z zagranicy – Rumunii i Wielkiej Brytanii. Do udziału w zajęciach zakwalifikowano blisko połowę z nich” – czytamy w depeszy PAP.

– Kurs pasterski jest nam dzisiaj potrzebny, po to, aby pokazać, co jest siłą, fundamentem kultury góralskiej – powiedział PAP doradca marszałka Małopolski do spraw współpracy w obszarze Karpat Andrzej Gąsienica-Makowski.

„Kurs na czeladnika juhasa obejmuje 42 godziny teorii i 160 godzin zajęć praktycznych na bacówce w sezonie wypasów. Kurs juhaski ma nie tylko przeszkolić kandydata do pracy z owcami, ale przygotować do roli bacy. Kurs bacowski jest skierowany do już doświadczonych baców, chcących potwierdzić swoje umiejętności certyfikatem. W pasterską pracę wpisana jest bardzo wczesna pobudka, samotne przebywanie przez wiele miesięcy na halach, bez względu na pogodę, nieustanna czujność, a także troska o stado, dojenie, pielęgnowanie i strzyżenie owiec. Bacowie zajmują się także produkcją owczych serów” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Samorząd województwa małopolskiego zainicjował ten kurs, aby wspierać ginące zawody.

Rosja wypowiada Polsce pomnikową wojnę

Szef Komisji Spraw Zagranicznych rosyjskiej Rady Federacji (wyższa izba Dumy Państwowej) senator Konstantin Kosaczew powiedział w wywiadzie dla „Rossijskoj Gaziety”, że jeśli Polska nie zmieni stanowiska w sprawie rozbioru sowieckich pomników na swoim terenie, Rosja może zrezygnować ze swoich obowiązków w celu zachowania istniejących polskich monumentów oraz utworzenia nowego, w miejscu katastrofy smoleńskiej – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„Kosaczew zapowiedział, że Rosja może przestać wypełniać warunki umowy podpisanej z Polską z 1994 roku o utrzymaniu grobów i miejsc pamięci ofiar wojen i represji. Jego zdaniem w sprzeczności z tą umową stoi podpisana przez prezydenta ustawa o demontażu ok. 230 radzieckich pomników na terenie Polski” – czytamy w gazecie.

To nie jedyny środek odwetowy, jakiego domaga się prominentny rosyjski polityk.

„– A jeśli to nie poruszy polskich polityków, Rosja może wprowadzić wobec członków Sejmu i Senatu środki ograniczające współpracę dwustronną. Rosja jest kategorycznie przeciwna nakładaniu sankcji na parlamentarzystów, ale czasami nie ma innego wyjścia” – powiedział cytowany przez „Rzeczpospolitą” Kosaczew.

Parlamentarzysta oskarżył władze Polski, że w 2014 roku „wysunęły teorię, zgodnie z którą pomniki żołnierzy radzieckich znajdujące się poza terytorium miejsc pochówku są «symboliczne» i nie są objęte działaniem umowy z 1994 roku” między rządami Polski i Rosji o grobach i miejscach pamięci ofiar wojen i represji.

Dzień wcześniej Rada Federacji zwróciła się do prezydenta Władimira Putina, żeby zlecił organom władz przedstawienie propozycji dotyczących możliwych „działań o charakterze ograniczającym” w sferach współpracy dwustronnej z Polską oraz z apelem o zażądanie od strony polskiej bezwzględniego realizowania traktatu z 22 maja 1992 roku o przyjaznej i dobrosąsiedzkiej współpracy.

Wyższa izba Dumy zarzuciła władzom Polski „próby pisania historii na nowo” i oznajmiła, że „dzięki zwycięstwu nad faszyzmem, w które decydujący

wkład wniósł Związek Radziecki, Polska przetrwała jako państwo” (cytaty za Polską Agencją Prasową).

„Prezydent RP Andrzej Duda podpisał 17 lipca br. nowelę ustawy o zakazie propagowania komunizmu, przyjętą 1 kwietnia 2016 roku. Nowela reguluje kwestie usunięcia obiektów budowlanych o charakterze nieużytkowym, np. pomników gloryfikujących ustrój totalitarny. Przepisów ustawy o zakazie propagowania komunizmu nie stosuje się do pomników niewystawionych na widok publiczny, znajdujących się na terenie cmentarzy albo innych miejsc spoczynku. W kwietniu zeszłego roku MSZ RP wskazało, że umowa z 22 lutego 1994 roku między rządami Polski i Rosji o grobach i miejscach pamięci dotyczy wyłącznie cmentarzy wojennych. Wyjaśniono także, że cmentarze i kwatery żołnierzy rosyjskich i radzieckich w Polsce znajdują się pod ochroną i opieką władz państwowych i są utrzymywane oraz remontowane na koszt państwa polskiego. Ministerstwo wskazało, że umowa z 1994 roku «nie ma zastosowania do tzw. pomników symbolicznych, będących wyłącznie znakami komunistycznej dominacji na ziemiach polskich w latach 1945-1989»” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Pamiętki po kurierze

Przed kolejną rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego Muzeum Armii Krajowej w Krakowie poszerzyło swoje zbiory o pamiętki po kurierze Zbigniewie Rysiu-„Fantomie” – poinformowało Radio Kraków.

„Wśród najcenniejszych znajdują się fałszywe dokumenty, którymi posługiwał się podczas swojej pracy, pokonując ponad 100 razy trasę Warszawa-Budapeszt. Przerzucał dokumenty, ludzi i pieniądze. Kurier uczestniczył też w akcji odbicia Jana Karskiego ze szpitala w Nowym Sączu w 1940 roku” – czytamy na stronie internetowej krakowskiej rozgłośni.

– Mija 77. rocznica tego wydarzenia. Tata dostał rozkaz, zmontował zespół. Udało się odbić Jana Karskiego, przeprowadzić Dunajcem do Marcinkowic i tam go ukryć. Cena była jednak bardzo wysoka, bo w Biegonicach rozstrzelano 32 osoby, najzacniejszych obywateli Nowego Sącza. Po tej akcji Zbigniew Ryś był poszukiwany listem gończym – powiedział w rozmowie z RK Jacek „Fantoma” Jacek Ryś.

W nowej gablocie wyeksponowano rzeczy osobiste Zbigniewa Rysia: dysk lekkoatletyczny, budzik z dedykacją, modlitewnik, ryngraf, dokumenty na nazwisko Janos Ligenza, których używał jako kurier.

– Przekazaliśmy też dokumenty, którymi tata posługiwał się w czasie okupacji. Jego nagrody, odznaczenia, m.in. order Virtuti Militari, a także medale przedwojenne, np. medal za ratowanie ludności Podhala z powodzi stulecia w 1934 roku – dodał na antenie Radia Kraków syn kuriera.

SIERPIEŃ 2017

Polska dba o swoich bohaterów

W związku z podnoszącymi się głosami, że powstańcy warszawscy nie są objęci wystarczającą opieką państwa, pełniący obowiązki Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk przypomniał że należą oni do Korpusu Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej i mają zapewnioną pomoc materialną – podała Informacyjna Agencja Radiowa..

– Objęci są pomocą państwa w postaci dodatku kombatanckiego, ryczałtu energetycznego oraz dodatku kompensacyjnego w wysokości 402 złotych miesięcznie, wypłacanego przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych – powiedział Kasprzyk w rozmowie z IAR.

Wszyscy weterani walk o niepodległość mogą ubiegać się w UdSKiOR o dodatkowe wsparcie finansowe przyznawane ze środków z budżetu państwa.

– W sytuacjach pogorszenia stanu zdrowia, gdy należy dostosować mieszkanie do potrzeb osoby niepełnosprawnej, czy też na przykład w przypadku zakupu aparatu słuchowego, mogą zwrócić się do szefa Urzędu o przyznanie dodatkowej pomocy pieniężnej – dodał Kasprzyk apelując do rodzin powstańców i ich opiekunów, aby pomagali zainteresowanym osobom w wypełnianiu wniosków i ubieganiu się o stosowne wsparcie finansowe.

Minister dodał, że rząd zajmuje się nowelizacją ustawy o pomocy społecznej, według której wszyscy weterani będą zwolnieni z opłat za pobyt w domu pomocy społecznej.

„Od ubiegłego roku Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjono-

wanych z myślą o Powstańcach Warszawskich wspólnie z Polskim Górnictwem Naftowym i Gazownictwem realizuje projekt «Rachunek wdzięczności PGNiG». Program zakłada udzielenie wsparcia w wysokości do 900 złotych rocznie na rachunki za gaz. W praktyce znaczna część uczestniczących w programie Powstańców nie musi płacić za dostarczany im gaz. Dotychczas z tego programu skorzystało ponad 440 osób» – czytamy w depeszy Informacyjnej Agencji Radiowej.

W Polsce i za granicą żyje około 3 tysięcy uczestników Powstania Warszawskiego. Do 2015 roku w budżecie państwa na pomoc wszystkim weteranom przeznaczano około 10 milionów zł, od ubiegłego roku jest to już 15 mln zł.

Co z whisky po Brexicie?

Szkoci obawiają się o przyszłe losy ich narodowego trunku, który ma zagwarantowany chroniony status na gruncie prawa Unii Europejskiej. Brexit może jednak spowodować problemy tej branży.

Jak poinformowało Polskie Radio, Wielka Brytania będzie w nowych warunkach negocjować umowę handlową ze Stanami Zjednoczonymi. Szkoccy producenci whisky obawiają się, że może to poskutkować importem z USA tanich podróbek. Obecnie producenci alkoholu zza Atlantyku nie mogą posługiwać się tą nazwą w UE.

– Musimy się upewnić, że każda umowa ze Stanami zapewnia ochronę dla szkockich miejsc pracy. Jeśli takie porozumienie osłabi definicję whisky, to ludzie w Szkocji stracą zatrudnienie. Mówimy ministrowi handlu międzynarodowego Liamowi Foxowi: bez kombinacji przy tej branży. Broń jej! Nie prze-handluj jej – powiedział cytowany przez PR minister do spraw brexitowych negocjacji w szkockim rządzie Michael Russel.

W przekazanym mediom oświadczeniu rządu w Londynie napisano, że branża będzie wspierana po Brexicie, tak, by „dalej kwitła”. „Negocjacje handlowe ze Stanami Zjednoczonymi są ważne dla brytyjskiego rządu. Premier Theresa May zapowiedziała, że po opuszczeniu Unii Europejskiej gospodarka jej kraju otworzy się na handel globalny. W ten sposób mają być zrekompen-sowane straty wynikające z ograniczenia handlu z Europą. Organizacje pozarządowe obawiają się, że umowa handlowa ze Stanami Zjednoczonymi będzie

oznaczać większy import gorszej jakości żywności. Podobne obawy mają producenci wołowiny i drobiu” – czytamy na stronie internetowej Polskiego Radia. Szkoci pijący amerykańskiego Burbona? Trudno to sobie nawet wyobrazić.

AK-owskie motto MSZ

Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyjęło jako swoje nowe motto fragment przysięgi żołnierzy Armii Krajowej: „Być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej”, którym zastąpiło poprzednie: „Polsce – służyć, Europę – tworzyć, świat – rozumieć” – podała Polska Agencja Prasowa.

Jak podkreśliło MSZ w przesłanej PAP informacji, ten fragment z przysięgi żołnierzy AK, której rotę podpisał 12 grudnia 1942 roku Komendant Główny generał Stefan Rowecki – „Grot”, został przyjęty jako motto przez polską służbę zagraniczną „w odpowiedzi na wyzwania przed nią stojące” i ma on stanowić „zobowiązanie dla polskich dyplomatów w XXI wieku”.

Według MSZ zmiana motta stanowi realizację uchwały Sejmu z 20 maja 2016 roku „w sprawie obrony suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej i praw jej obywateli”.

„Sejm – nawiązując m.in. do działań instytucji europejskich w związku ze zmianami w przepisach o Trybunale Konstytucyjnym oraz odmowy uczestnictwa Polski w relokacji uchodźców – wezwał w niej rząd do «przeciwstawienia się wszelkim działaniom przeciwko suwerenności państwa» oraz stwierdził, że «obowiązkiem rządu jest obrona interesu narodowego i ładu konstytucyjnego Rzeczypospolitej». «Prawa i wolności obywatelskie nie są w Polsce zagrożone» – głosi uchwała. Sejm przyjął ją głosami posłów PiS i Kukiz'15, w głosowaniu nad uchwałą nie wzięły udziału PO, Nowoczesna i PSL” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Znaku Polski Walczącej nie wolno przerabiać

Bardzo dobrze, że właśnie dzień po uroczystych obchodach 73. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego ruszył przed stołecznym sądem proces trójki aktywistów partii Zieloni z jej przewodniczącą Małgorzatą Tracz na czele (wszyscy zgodzili się na ujawnianie swoich danych), którym zarzucono znieważenie znaku Polski Walczącej chronionego prawnie od sierpnia 2014 roku.

Nastąpiło ono podczas Marszu Godności w czerwcu ubiegłego roku, kiedy podsądni trzymali zielony transparent ze znakiem przerobionym w ten sposób, że na końcu kotwicy namalowane zostały symbole płci oraz napis „Nie-pod-legła”.

W ustawie zapisano, że „Znak Polski Walczącej, będący symbolem walki polskiego narodu z niemieckim agresorem i okupantem podczas II wojny światowej, stanowi dobro ogólnonarodowe i podlega ochronie należnej historycznej spuściznie Rzeczypospolitej Polskiej”, a otaczanie go „czcią i szacunkiem” jest prawem i obowiązkiem każdego obywatela. Za jego znieważenie grozi grzywna.

Żadna, nawet najbardziej wzniosła motywacja nie usprawiedliwia wykorzystywania znaku, który na trwałe wpisał się do chlubnej tradycji Polski i nie wolno go przerabiać, malować na przedmiotach użytku publicznego, znieważać w jakiegokolwiek sposób. Każdorazowe użycie symbolu, za który tysiące rodaków przelewało krew w szeregach Armii Krajowej musi być przemyślane i skonfrontowane ze społeczną wrażliwością. Tej ostatniej zabrakło zarówno producentowi kijów bejsbolowych, który stanął przed sądem w Szczecinie za „ozdobienie” ich znakiem Polski Walczącej, jak również członkom Zielonych. Tłumaczenie, że ten symbol odzwierciedla ich walkę o prawa kobiet, można go więc skojarzyć z równością płci, są śmieszne i żałosne. Warszawski proces nie jest pierwszy w tej materii. W maju 2017 roku kielecki sąd skazał jedną z organizatorek „Czarnego Protestu” na dwa tysiące złotych grzywny za umieszczenie w podstawie kotwicy dwóch kropek mających symbolizować kobiecie piersi, a w lutym zapadł w Szczecinie wyrok uniewinniający w podobnej sprawie. Naród, który nie umie szanować swoich uświęconych krwią symboli nie zasługuje na szacunek. Z uznaniem i wdzięcznością trzeba więc traktować obywatelskie doniesienia (z takiego toczy się obecny proces) na łamanie prawa i dobrych obyczajów. Z jednej strony powinniśmy zachęcać młodzież do codziennego, a nie tylko od święta, wyrażania uczuć patriotycznych i szacunku dla bohaterów (tak się ostatnio dzieje), między innymi poprzez używanie przez nią narodowych symboli, z drugiej trzeba stanowczo reagować na każde nadużycie w tej materii.

Ziemie z 15 miejsc dosypano do kopca Piłsudskiego

Zgodnie z tradycją, przed wyruszeniem z krakowskich Oleandrów kolejnego Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej, w kopcu Józefa Piłsudskiego na Sowińcu – polskiej Mogile Mogił złożone zostały ziemie z miejsc, w których nasi rodacy przelewali krew na polach bitew i w egzekucjach, byli grzebani na tamtejszych cmentarzach lub w inny sposób związani z nimi.

W trakcie odbywającej się z pełnym ceremoniałem wojskowym uroczystości przemówienia wygłosili pełniący obowiązki szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, były wielokrotny Komendant Marszu Jan Józef Kasprzyk oraz wiceprzewodniczący Rady Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa Sławomir Pietrzyk.

A potem do ponad 4500 ziem złożonych w kopcu od dnia rozpoczęcia jego budowy, czyli 6 sierpnia 1934 roku dołączono 15 następnych, w tym 8 z Iranu, przez który przeszła armia generała Władysława Andersa, znacząc swój szlak w tym kraju licznymi mogiłami.

Wśród pozostałych ziem znalazły się pobrana ze szkoły junaczek polskich w Nazarecie, z miejsca stacjonowania 3. Spadochronowego Batalionu Strzelców Polskich w szkockim Falkland, z punktu koncentracji naszych wojsk spadochronowych w Saint Andrews (również w Szkocji), z pola bitwy żołnierzy Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych z oddziałami niemieckimi stoczonej 26 lipca 1944 roku pod Olesznem, z miejsca ostatniego starcia z Niemcami 30 października 1944 roku batalionu cichociemnego Edwarda Kaszyńskiego-„Nurta” w Chotowie oraz z trzech miejscowości na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie Ukraińska Powstańcza Armia mordowała Polaków. W ten sposób kopiec Piłsudskiego nadal żyje w świadomości rodaków i pełni rolę podobną do tej, jaką wyznaczono Grobowi Nieznanego Żołnierza.

IPN i harcerze w Kostiuchnowce

Eksperci Instytutu Pamięci Narodowej wezmą udział w poszukiwaniach grobów żołnierzy I Brygady Legionów Polskich dowodzonych przez Józefa Piłsudskiego, którzy zostali pochowani w ukraińskiej Kostiuchnowce – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Prace na Wołyniu, w których będą uczestniczyć – jak dowiedziała się PAP – specjaliści z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN – zorganizowała jedna z ukraińskich firm archeologicznych wspólnie z Chorawią Łódzką Związku Harcerstwa Polskiego.

„W czerwcu 2017 r. ukraińscy archeolodzy, którzy do poszukiwań zaprosili ekspertów IPN, otrzymali zezwolenie Ministerstwa Kultury Ukrainy na prace na Wołyniu – w tym także w Kostiuchnówce, gdzie w lipcu 1916 r. doszło do wyjątkowo zaciętej bitwy polskich żołnierzy z rosyjskimi” – czytamy w depeszy PAP.

– To bardzo ważne wydarzenie. Zgoda ukraińskiego Ministerstwa Kultury na prace archeologiczne w miejscach, gdzie znajdują się groby Polaków jest bardzo pozytywnym sygnałem do prowadzenia dalszego otwartego dialogu historycznego z Ukrainą. W przypadku odnalezienia grobów legionistów dalsze prace, stosownie do ukraińskich procedur prawnych zostaną wstrzymane, w celu uzyskania zgody na ekshumację szczątków – powiedziała PAP wicedyrektor Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN mecenas Anna Szelaż. „Prace poszukiwawcze na Ukrainie, m.in. polskich ofiar z okresu II wojny światowej, prowadzone przez specjalistów IPN zostały wstrzymane przez stronę ukraińską pod koniec kwietnia br. Powodem był incydent w Hruszowicach na Podkarpaciu, gdzie doszło do demontażu pomnika Ukraińskiej Powstańczej Armii – odpowiedzialnej za zbrodnię wołyńską z lat 1943-1945. Dla harcerzy z ChoraWi Łódzkiej ZHP groby żołnierzy I Brygady Legionów w Kostiuchnówce są jednym z głównych miejsc służby na Wołyniu. Ich prace są finansowane z Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP «Miejsca Pamięci Narodowej za Granicą»” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Obrażliwy Tiger

Dwóch warszawskich radnych Prawa i Sprawiedliwości złoży doniesienie do prokuratury w sprawie znieważającej naród polski reklamy napoju energetycznego Tiger, którego producentem jest wadowicki Maspex – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„Jacek Ozdoba i Jakub Banaszek podczas briefingu przed Muzeum Powstania Warszawskiego podkreślili, że chodzi im o zwrócenie uwagi na kwestię

pamięci o polskiej historii. Jak tłumaczyli, firma dopuściła się przestępstwa z artykułu 133 Kodeksu Karnego, który mówi o godności narodu polskiego” – czytamy w depeszy PAP. Za takie przestępstwo grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech. Skandaliczna reklama pojawiła się na profilu marki Tiger na Instagramie: była to dłoń z wysuniętym środkowym palcem i zawiązaną na nim czerwoną kokardką, pod nią znajdował się napis: „1 sierpnia. Dzień Pamięci. Chrzanić to, co było. Ważne to, co będzie”.

W ciągu kilku godzin swoje oburzenie wyraziły tysiące internautów na różnych portalach i w mediach społecznościowych.

Ozdoba zapowiedział też, że „zaapeluje do parlamentarzystów o ewentualną penalizację, czyli dodanie do artykułu 133 dodatkowego paragrafu związane-go z funkcjonowaniem takich reklam czy agencji piarowskich, które naruszają warstwę godności narodu polskiego, wykorzystują symbole narodowe w celach zysku”, ponieważ w jego opinii „to nie była pomyłka piarowska – tylko to było celowe zagranie w celu zysku dla firmy” (cytaty za PAP).

– Chciałbym wiedzieć, czy np. ze sprzedaży tego energetyka zyski dla firmy nie będą o wiele większe niż kwota, którą wpłacono na rzecz Muzeum Powstania Warszawskiego, czyli tych 500 tys. zł – powiedział Polskiej Agencji Prasowej Ozdoba.

Nawiązał w ten sposób do reakcji Maspexu, który w obliczu fali krytycznych głosów oraz wzywania do bojkotowania jego produktów szybko przeprosił za „błąd” i natychmiast przelał na konto Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej pół miliona złotych na pomoc kombatanom.

Rezygnację z zakupów produktów firmy Maspex ogłosiło Polskie Radio. Członek jego zarządu Mariusz Staniszewski powiedział portalowi Polskieradio.pl:

– W naszej tradycji drwienie z bohaterów nie mieści się w kanonie zachowań, które byłyby tolerowane. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby taka instytucja jak Polskie Radio, dokonując wyboru i zakupując produkty, w pewnym sensie autoryzowała tego rodzaju zachowania. To jest poza przyjętymi w Polsce normami, w związku z tym musimy tak postąpić.

Oprócz Tigera grupa Maspex produkuje soki i napoje pod markami: Tymbark, Caprio, DrWitt, Tarczyn, Kubuś, makarony: Lubella, Malma, dzemy

i sosy Łowicz, keczupy Kotlin, Włocławek kakao Decomorreno, śmietanki Cremona, herbatki Ekoland, witaminy Plusssz, płatki Mlekołaki, dodatki do dań Fruktus przetwory warzywne Krakus.

Myślę, że powszechny bojkot wadowickiej firmy będzie dla niej bardziej dotkliwy niż ewentualna porażka przed sądem. A co na to reklamujący Tigera Dariusz Michalczewski?

Lotos też bojkotuje Tigera

Pisałem o tym, że najlepszą reakcją na skandaliczną, obrażającą powstańców warszawskich i znieważającą naród polski reklamę napoju Tiger Energy Drink produkcji wadowickiego Maspexu będzie nie tylko proces sądowy, ale także powszechny bojkot artykułów tej firmy.

Jako pierwsze rezygnację z zakupów w Maspexie ogłosiło Polskie Radio, w jego ślad poszedł potentat na rynku paliw – Grupa Lotos. Jej dyrektor do spraw komunikacji Anna Luitek, poinformowała na Twitterze o wycofaniu ze sprzedaży Tigera na wszystkich stacjach Lotosa.

Oby podobnie zachowały się inne wielkie polskie firmy, spółki, instytucje, a także indywidualni klienci. Działania podjęli też szefowie agencji J. Walter Thompson Group Poland, która wymyśliła reklamę. Opublikowali oni w mediach społecznościowych przeprosiny za przekroczenie granic dobrego smaku i zapewnili, że osoby odpowiedzialne zostały natychmiast zwolnione. Firma przekazała także zadośćuczynienie w wysokości pół miliona złotych na rzecz żyjących weteranów Powstania Warszawskiego.

Prawie tysiąc patronów ulic do zmiany

Instytut Pamięci Narodowej wskazał 943 ulice w całej Polsce, które podlegają ustawie o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Zgodnie z jej zapisami samorządy mają czas do 2 września, aby samodzielnie dokonać zmian w nazwach ulic, placów, mostów oraz instytucji publicznych, które propagują ustroje totalitarne, w tym komunizm. Jeżeli tego nie zrobią, wojewodowie będą wydawali zarządzenia zastępcze, nadające

nowe nazwy. W razie wątpliwości władze gmin mogą zwrócić się do Instytutu o pomoc.

„Wśród nazw ulic, które IPN zakwalifikował do zmian (wraz z komentarzem historycznym) są m.in. ul. 1 Armii Wojska Polskiego (także 2 AWP), 22 lipca, 9 maja (1945 r.), Armii Czerwonej, Zygmunta Berlinga, Bohaterów Stalingradu (także Obońców Stalingradu), Dąbrowszczaków, Edwarda Gierka, Ludowego Wojska Polskiego, Juliana Marchlewskiego, Marcelego Nowotki, PKWN, Wincentego Rzymowskiego, Karola Świerczewskiego, np. 10-lecia lub 40-lecia PRL, Michała Żymierskiego” – czytamy w depeszy PAP.

Zgodnie z ustawą „nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej, w tym dróg, ulic, mostów i placów, nadawane przez jednostki samorządu terytorialnego nie mogą upamiętniać osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm lub inny ustrój totalitarny, ani w inny sposób takiego ustroju propagować, przy czym „za propagujące komunizm uważa się także nazwy odwołujące się do osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących represyjny, autorytarny i niesuwerenny system władzy w Polsce w latach 1944–1989”.

Na prośbę Senatu wojewodowie przygotowali listę istniejących jeszcze obiektów propagujących komunizm, wśród nich są te, które upamiętniają Armię Czerwoną, tzw. polsko-sowieckie braterstwo broni, sowieckich partyzantów, utrwalaczy władzy ludowej, Gwardię Ludową i Armię Ludową.

Część demontowanych pomników ma trafić do Muzeum Zimnej Wojny w Podborsku na zachodnim Pomorzu. Działania techniczne będą podejmowane wspólnie przez samorządy i Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu.

Koty mogą biegać luzem

Sąd Rejonowy w Bartoszycach w województwie warmińsko-mazurskim uniewinnił właściciela kota Felka – sołtysa Dzikowa Iławeckiego Stanisława Barana.

Oskarżenie dotyczyło domniemanego złego zachowania czworonoga, który – jak stwierdził patrol policji – „biegał luzem po drodze stwarzając tym samym zagrożenie”.

„– Waleniem do drzwi wyrwali mnie ze snu. Myślałem, że jakiegoś bandyty szukają. A oni dawaj mnie spisywać, bo mój kot biega po wsi bez smyczy

i kagańca! Nie wiedziałem: śmiać się czy płakać” – powiedział sołtys „Super Expressowi”.

Policjanci usiłowali ukarać Barana mandatem, ale on w mało parlamentarnych słowach wyjaśnił im, że Felek w podanym przez nich czasie smacznie spał na kanapie.

Funkcjonariusze nie dali za wygraną i wysłali do sądu wnioszek o ukaranie właściciela zwierzęcia, który „nie zachował zwykłych i nakazanych środków ostrożności” w opiece nad nim.

– We wsi jest pełno kotów. Skąd oni wiedzą, że to był mój? Kupiliśmy klatkę dla kota. Zabiorę go na rozprawę. Niech policjanci go opiszą, gdzie jaką ma łapę, jakie oczy, a potem go wyjemy i zobaczymy, czy to tego widzieli. Tylko niech nam go nie zabierają, niech mnie aresztują zamiast niego. Pijacy i bandyci chodzą wolno, a mnie zamkną? Ja mam 62 lata i nigdy nie byłem karany. Wiem, że są policjanci z prawdziwego zdarzenia, ale ja do tej naszej policji z komisariatu już straciłem zaufanie. Przecież sprawa tego kota to jest jakiś absurd. Mam już zamiar zadzwonić do prezesa Prawa i Sprawiedliwości, który też ma kota. A jak jego kot też wychodzi na zewnątrz? To wtedy jemu też dziennikarze będą musieli pomagać, jak go policja poda do sądu – powiedział sołtys Onetowi, kiedy dostał wezwanie na rozprawę.

Znany miłośnik kotów Jarosław Kaczyński nie zabrał – przynajmniej publicznie – głosu w tej sprawie, a sędzia Magdalena Wierzejska wydała wyrok uniewinniający.

„Zapewne miała poczucie, że uczestniczy w farsie, ale musiała zachować powagę przesłuchując świadków, a potem ogłaszając wyrok. I orzekła, że Felek nie stwarza choćby potencjalnego zagrożenia dla mieszkańców wsi i ich mienia, a zachowania jego pana w żadnym razie nie można uznać za karygodne. Po tym wyroku wszystkim właścicielom kotów na Warmii i Mazurach spadł kamień z serca” – podsumował „Super Express”.

Z browarem na Giewont

Jest taki bardzo znany rysunek Andrzeja Mleczki sprzed wielu już lat, na którym przed egipskimi piramidami stoi dwóch Polaków i jeden mówi do drugiego:

– E, nie takie rzeczy żeśmy ze szwagrem po pijaku robili.

Naszym rodakom nic nie jest dziwne i nic nie jest straszne. Od czasów propagandy sukcesu w PRL wiadomo przecież, że „Polak potrafi, polskie znaćy doskonale”. A że przy okazji można narazić się na śmierć, kalectwo, pobyt w więzieniu lub przynajmniej na mandat? Furda takie drobnostki, niech żyje ułańska fantazja!

Prawdopodobnie tak właśnie pomyślało trzech śmiałków, którzy po opróżnieniu kilku butelek bądźz puszek piwa postanowiło wspiąć się na wieńczący Giewont 15-metrowy krzyż.

Być może zestresowała ich bardzo długa kolejka, jaka ustawia się pod tym popularnym, górującym nad Zakopanem szczytem w letnim sezonie turystycznym i postanowili odreagować. Niewykluczone też, że swój wyczyn zaplanowali dużo wcześniej, albo wręcz przeciwnie: szalony pomysł przyszedł im do zniestrzeźwionych głów znienacka, pod wpływem niewytłumaczalnego racjonalnie impulsu. Nie wnikając w genezę ryzykownej wspinaczki, warto docenić determinację jednego z nich, który nie zrażony grożącym mu niebezpieczeństwem osiągnął cel, co zostało uwiecznione przez jego mniej odważnych, pozostałych u podstawy krzyża kompanów na filmiku oraz zdjęciach obiegających obecnie internet, a w przyszłości będących zapewne koronnymi dowodami dla policji, a może również dla prokuratury i dla sądu. Na razie trwają poszukiwania tego, który po wypiciu trzech browarów wspiął się na 15-metrową, metalową konstrukcję i bardzo z siebie zadowolony dał się uwiecznić w triumfalnej pozie. Niestety, są ludzie i ludziska. O wspinaczcze straż Tatrzańskiego Parku Narodowego powiadomili turyści, którzy zamiast bić brawo bohaterowi, splamili się ohydny donosem, po raz kolejny potwierdzając słuszność starożytnego powiedzenia: homo homini lupus est (człowiek człowiekowi wilkiem jest), a media niecznie nagłośniły ów przejaw tężyzny i gotowości do sprostania wielkim wyzwaniom, narażając całą trójkę na przykre konsekwencje, kiedy tylko zostanie ona namierzona i ukarana.

Idę o zakład, że już niedługo ktoś zechce wslawić się jeszcze bardziej spektakularnym wyczynem w Tatrach, ale wolę nie przewidywać, co to może być.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie Radia RMF FM.

Rewizje komunistycznych wyroków na patriotów

Pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej doprowadza do unieważnień wyroków, które zapadały w PRL wobec żołnierzy i działaczy podziemia niepodległościowego – poinformowała Polska Agencja Prasowa. Od września 2016 do lipca 2017 roku prokuratorzy IPN skierowali do sądów 344 wnioski w takich sprawach, z których większość rozpatrzono pozytywnie.

– Wyroki, które zapadały po wojnie w latach 40. i w całym okresie PRL dotyczyły zarówno żołnierzy podziemia niepodległościowego, zorganizowanej opozycji, jak i szeregu osób, które w jakikolwiek sposób prezentowały odmienne od ówczesnej władzy poglądy polityczne lub też – zdaniem owej władzy – mogły stanowić dlań zagrożenie. Te wyroki w sposób dobitny dokumentują i wykazują, jak daleko sięgały i jak szeroki zakres miały represje ówczesnych władz stosowane wobec społeczeństwa. Orzeczenia te łamały życie. Nierzadko młode, a wręcz bardzo młode, gdyż wyroki skazujące dotyczyły często osób w wieku niewiele powyżej 17 lat. Niszczono życie nie tylko skazanym, lecz także ich rodzinom i bliskim – brutalnie przekreślając ich plany na przyszłość. Najkrócej można powiedzieć, że ujawnione dotychczas wyroki dobitnie dokumentują ludzką krzywdę i cierpienia zadane w imię obcej ideologii – powiedział PAP dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, zastępca Prokuratora Generalnego RP Andrzej Pozorski. „Wśród przykładów wyroków komunistycznych sądów, które obecnie unieważniono, prokurator Pozorski wskazał orzeczenia kary śmierci wobec żołnierzy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, potajemnie pogrzebanych w dołach śmierci na tzw. Łącznie Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. To także wyroki śmierci, które zapadły wobec żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, po wykonaniu egzekucji również skrycie pogrzebanych na terenie stołecznego Cmentarza Bródnowskiego. Wiele wyroków dotyczyło osób, które krytykowały poddaną Moskwie władzę w Polsce. Unieważniono np. wyrok z 1948 r. wobec osoby, której zarzucono, że usiłowała przemocą obalić ustrój państwa, choć jej działanie polegało na rozpowszechnianiu wiadomości, że «Polską rządzą Rosjanie i niedługo zrobią z Polski 17. republikę radziecką»” – czytamy w depeszy PAP.

– W innej sprawie, również z 1948 roku, została skazana osoba na kilkuletnie więzienie za to, że posiadała broń. Tylko że z naszej analizy wynika, że broń

ta została podrzucana oskarżonemu przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, bo był członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego i to miało go wyeliminować z udziału w wyborach z 1947 roku – opisał jeden z takich wyroków Pozorski. Prokurator przytoczył też jeden z kuriozalnych przypadków:

– Jako przykład możemy podać wyrok z 1950 r. skazujący na karę sześciu lat więzienia i przepadek mienia za posiadanie tzw. przepowiedni Wernyhory. Sąd wtedy uznał, że przepowiednia ta mogła wzbudzić przekonanie o nietrwałości ustroju.

Unieważniono także wyrok jednego roku pozbawienia wolności wobec osoby, która zdjęła ze słupa dwie czerwone flagi wywieszone jako dekoracja pierwszomajowa, a następnie je spaliła.

Takie postępowania umożliwiła nowelizacja ustawy o IPN z 2016 roku, dzięki której prokuratorzy Instytutu są uprawnieni do kierowania wniosków i występowania przed sądami w sprawach o uznanie za nieważne orzeczeń PRL-owskich sądów. Pozorski przypomniał w rozmowie z PAP, że jeszcze przed nowelizacją pion śledczy IPN kierował wnioski do sądów o unieważnienie orzeczeń komunistycznych wyroków, ale sądy odmawiały prowadzenia takich postępowań uznając, że prokuratorzy Instytutu Pamięci Narodowej nie mają w tym zakresie kompetencji.

W ocenie dyrektora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu takich spraw mogą być tysiące. „Orzeczenia o unieważnieniu wyroków, m.in. wojskowych sądów rejonowych z okresu PRL, oznaczają nie tylko uniewinnienie danej osoby i zrzucenie z niej piętna przestępcy, ale również otwierają represjonowanym i ich rodzinom drogę do domagania się za doświadczeń i odszkodowań od Skarbu Państwa” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Po prawo jazdy na rauszu

Skoro kierowanie pojazdami mechanicznymi w stanie nietrzeźwym jest w Polsce powszechnym zjawiskiem, to dlaczego nie zdawać egzaminu na prawo jazdy po pijanemu? Tak chyba pomyślał 21-latek, który dla kurażu łyknął sobie coś mocniejszego i dopiero wówczas przyszedł na plac manewrowy białostockiego Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego. Co ciekawe, bez pro-

blemów zaliczył odbywającą się na nim pierwszą połowę egzaminu, na którą składały się trudne elementy. Dopiero po wyjeździe na ulice miasta wyszło na jaw, że kursant nie jest trzeźwy.

Egzaminator powiadomił Komendę Miejską Policji w Białymstoku, a funkcjonariusze zbadawszy alkomatem kandydata na kierowcę stwierdzili, że ma on 0,4 promila alkoholu w organizmie. Teraz 21-latek stanie przed sądem, który może ukarać go grzywną albo aresztem, a na pewno zakazem kierowania pojazdami. Prawo jazdy nie będzie mu więc potrzebne.

Ukraińcy lubią Polskę!

Ten opublikowany przez portal Kresy 24 sondaż amerykańskiego ośrodka International Republican Institute może zaskakiwać, wynika z niego bowiem, że Polska jest najbardziej lubianym przez Ukraińców obcym krajem, co przeczy stereotypowi o wzajemnej wrogości obu narodów.

14 procent ukraińskich respondentów określiło swój stosunek do Polski jako „bardzo ciepły”, a 44 proc. jako „ciepły”. Neutralność zachowuje 35 proc. a „chłodny” bądź „bardzo chłodny” stosunek wyraziło tylko po 3 proc ankietowanych. „Za Polską w rankingu sympatii są Białoruś (10 proc. deklaruje uczucia «bardzo ciepłe» i 42 proc. «ciepłe»), Kanada (odpowiednio 12 i 38 proc.), Litwa (11 i 39 proc.), USA (12 i 35 proc.). Jak łatwo się domyślić, najgorzej wypada Rosja: 4 proc. respondentów ukraińskich deklaruje «bardzo ciepły» stosunek do Rosji, 15 proc. «ciepły», natomiast «chłodny» 24 proc., a «bardzo chłodny» 27 proc.” – czytamy na stronie www.kresy24.pl

54 proc. Ukraińców ma bardzo pozytywną lub pozytywną o Unii Europejskiej, tyle samo głosowałoby za wstąpieniem ich kraju do niej. Za wejściem do NATO byłoby 40 proc. (przy 27 proc. przeciw). Nasi południowo-wschodni sąsiedzi mają natomiast negatywny stosunek do władz swojego kraju. Prezydenta Petro Poroszenko „mocno nie popiera” 43 proc. respondentów, „nie popiera do pewnego stopnia” 33 proc., a popiera zaledwie 17 proc.

„Tylko o kilka punktów procentowych lepsze są notowania rządu. Jeśli chodzi o ukraiński parlament, negatywnie bądź bardzo negatywnie jego prace ocenia 88 proc. Ukraińców” – czytamy w Kresach 24.

Niedźwiedzie schodzą z gór

Niedźwiedzie coraz częściej pojawiają się już nie tylko na obrzeżach, ale także na ulicach podtatrzańskich miejscowości. Ostatnio sporych rozmiarów przedstawiciela tego gatunku zauważył kierowca na rondzie niedaleko Urzędu Gminy w Bukowinie Tatrzańskiej – poinformowało Radio RMF FM. „Następnego dnia niedźwiedzica z trójką małych misiów pojawiła się na jednej z ulic w Zakopanem, a nieco później w Kościelisku. Na miejsce pojechali pracownicy Tatrzańskiego Parku Narodowego, którzy byli przygotowani na to, by odstraszać ją za pomocą gumowych pocisków. Na szczęście takiej konieczności nie było, za to na miejscu znaleźli powód wizyty niedźwiedziej rodziny. Ktoś z mieszkańców wyrzucił do lasu stare chleby, reszki wędlin i obierki z ziemniaków. Wezwana na miejsce straż gminna śmieciarza szybko odnalazła i ukarała mandatem” – czytamy na stronie internetowej RMF.

– To bardzo niebezpieczne zachowanie. Takie odpadki wabią niedźwiedzie w pobliże ludzkich siedzib, a to pierwszy krok do nieszczęścia. Niedźwiedź to duży drapieżnik, więc w razie spotkania z człowiekiem dla jednego lub drugiego może skończyć się tragicznie. Najgorsze co można zrobić w przypadku spotkania z niedźwiedziem, to wyciągnięcie z plecaka kanapek i rzucenie mu pod łapy. Dajemy wtedy znak, że człowiek to chodząca łatwa zdobycz. Podobnie jest z wyrzucaniem resztek jedzenia do lasu czy za płot, co jest nagminne. To sygnał, że w pobliżu domów jest łatwiej zdobyć jedzenie niż w lesie. Sami więc sobie ściągamy kłopoty na głowę – powiedział Radiu zastępca dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego Filip Zięba.

„Pracownicy TPN będą starali się zapanować nad tymi niebezpiecznymi przyzwyczajeniami niedźwiedzi. W najbliższym czasie będą chcieli założyć im specjalne obroże telemetryczne, które dokładnie pokażą, gdzie zbliżają się na zbyt blisko ludzkich siedzib. To też przy okazji zdradzi, gdzie ludzie porzucają odpadki w lesie” – napisano na stronie RMF FM.

Ludzie zbyt często zapominają, że sympatyczny miś to groźne zwierzę, które gotowe jest wyrzucić krzywdę temu, kogo uzna za wroga. A skąd mamy wiedzieć, jak zareaguje na widok machającej rękami dwunożnej istoty, której zamiarów wobec siebie nie umie przewidzieć? Lepiej więc go ani nie drażnić, ani nie rozpieszczać łatwym dostępem do żywności.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

INTEGRACJA EUROPY CZY INTEGRACJA MIĘDZYMORZA?

Pojęcie Europy i pojęcie Międzymorza (w sensie geopolitycznym)

Geopolityka badając przestrzeń ziemską i wokółziemską sięga do podziałów istniejących realnie (a nie konwencjonalnie). Konwencjonalnie Europa kończy się na Uralu. Realnie Europa kończy się tam, gdzie kończy się zlewisko Atlantyku. Europa bowiem to zlewisko Atlantyku na północ od Morza Śródziemnego.

Tak rozumiana Europa składa się z kilku oddzielnych części/makroregionów: Półwysep Skandynawski, Wyspy Brytyjskie, obszar oceaniczny właściwej Europy oraz część międzymorska (bardziej kontynentalna).

Zachodnią granicę Międzymorza wyznaczają Góry Harzu, Las Teutoburski, Las Frankoński, Szumawy. Granicę wschodnią – dorzecze Wołgi, które należy do obszaru bezodpływowego (Wołga, w przeciwieństwie do Donu i Dniepru nie płynie do żadnego oceanu). Dlatego dzisiejsza Ukraina – to jest jeszcze Europa a dzisiejsza Rosja – już nie.

Różne koncepcje integracyjne dotyczące Międzymorza.

Integracja Międzymorza może opierać się na różnych koncepcjach.

Jedna koncepcja obejmuje całą geopolityczną strefę Międzymorza: Estonię, Nowogród Wielki, Rostów nad Donem, Kubań, zachodnią Gruzję, Ukrainę, Grecję, Słowenię... (koncepcja ta niezupełnie musi być zgodna z tym podziałem, ale generalnie ta koncepcja zakłada połączenie wszystkich tych krajów). Sprzyjający okres realizacji tej koncepcji istniał w momencie rozpadu Związku Sowieckiego, ponieważ wszystkie kraje tego regionu równocześnie się wyzwalały spod sowieckiej dominacji. Mogły połączyć siły i wejść do Unii Europejskiej

wspólnie. Na początku lat 90. byłem zwolennikiem tej koncepcji. Niestety historia potoczyła się inaczej.

Kolejne dwie koncepcje integracji Międzymorza ograniczają się jedynie do części tego obszaru.

Geograficznie Międzymorze dzieli się na dwie części. Granice części północnej Międzymorza wyznaczają: Morze Bałtyckie, step ukraiński i Karpaty. Południowa część Międzymorza to szeroka kotlina otoczona Karpatami, Górami Bałkańskimi, Dynarskimi i wschodnimi Alpami.

W północnej części Międzymorza czynniki geograficzne sprzyjające integracji są znacznie wyższe niż w części południowej (górzystej). Dlatego druga, węższa koncepcja Międzymorza przewiduje utworzenie organizacji państwowej lub ponadpaństwowej, która sięga od Bałtyku do Morza Czarnego. Odpowiada ona mniej więcej granicom I Rzeczypospolitej i obejmuje następujące dzisiejsze państwa: Estonię, Łotwę, Litwę, Białoruś, Polskę i Ukrainę.

Możliwa jest jeszcze trzecia koncepcja integracyjna w ramach Międzymorza. Dotyczy ona tylko jego części południowej – jest to integracja naddunajska. Może ona objąć: Czechy, Słowację, Węgry, Rumunię, Mołdawię, Serbię, Chorwację a także Słowenię, Bośnię i Hercegowinę, Albanię, Kosowo, Macedonię i Grecję.

Dotychczasowe próby integracji w obszarze Międzymorza

Geografia stwarza warunki do integracji. Ale integracja Międzymorza potrzebuje korzystnych warunków politycznych, pod których naporem dochodzi do działań ludzkich.

Gdy w XII wieku cały obszar Międzymorza uległ dezintegracji (rozdrobienie feudalne) nagle pojawiła się ekspansja mongolska. To był typowy czynnik pro-integracyjny. W tym czasie doszło do kilku prób integracji.

Pierwsze próby integracyjne to były integracje polsko-ruskie. Nie objęły one całej Rusi, ale jedynie księstwa halicko-włodzimierskie, które połączyły się z księstwami małopolskimi. Istotną rolę odegrały powiązania rodzinne między Piastami a władcami zachodnio-ruskimi. Daniel Halicki (wyznania wschodniego) za namową Bolesława Wstydlivego został nawet koronowany na króla Rusi – za zgodą papieża. Interwencja tatarska (przeciwko którym ta koncepcja

była wymierzona) szybko zlikwidowała tę próbę integracji (Daniel zmarł w roku 1264 r.). Ta pierwsza próba integracji zrealizowała się dopiero kilkadziesiąt lat później. Doszło do niej nie na podstawie porozumienia książąt, ale na podstawie dziedziczenia. Książęta haliccy wymarli. Ich najbliższymi krewnymi była gałąź potomków Kazimierza Sprawiedliwego z Mazowsza. Po śmierci Bolesława Jerzego Trojdenowicza (zmarł w roku 1340) Ruś Halicko-Włodzimierską odziedziczył Kazimierz Wielki. W ten sposób doszło do połączenia dwóch prowincji polskich (Małopolski i Wielkopolski) z jedną prowincją ruską.

Druga próba integracji była konsekwencją wysiłków Kazimierza Wielkiego, poszerzenia integracji na południe. Przyczyną tych działań był fakt, że Mongołowie zagrażali nie tylko ziemiom polskim i ruskim, ale także Węgrom. Kazimierz przekazał całe swoje państwo Ludwikowi Węgierskiemu (układy: w Wyszehradzie – 1339 oraz w Budzie – 1355). Aż do początku XVI wieku trwały próby trwałego zintegrowania Polski i Węgier, ale w Krakowie nie chciano integracji „przez Karpaty”. Powodem takiej postawy Polaków była zmiana sytuacji politycznej – pojawienie się od południa ekspansji tureckiej. Polska nie chciała angażować się w konflikt z Turkami Osmańskimi. W roku 1515 Zygmunt Stary zawarł z Habsburgami umowę decydującą o przeżyciu na warunkach, które po roku 1526 (śmierć Ludwika Jagiellończyka w bitwie pod Mohaczem) doprowadziły do przejścia korony węgierskiej (i czeskiej) przez Habsburgów. W ten sposób to Habsburgowie przeprowadzili drugą próbę integracji na obszarze Międzymorza (obejmującą część ziem położonych w południowej części tego obszaru), do której doszło w obawie przed zagrożeniem ze strony Turków Osmańskich.

Integracja polsko-litewska była dopiero trzecią próbą integracji w obszarze Międzymorza. Najpierw w ramach Wielkiego Księstwa Litewskiego zjednoczone zostały prawie wszystkie ziemie dawnego Księstwa Kijowskiego a potem Polacy i Litwini zawarli układ w Krewie (1385 r.). Ta integracja również była skierowana przeciwko konkretnemu zagrożeniu [chodzi o Państwo Krzyżackie – w wieku XV i państwo Moskiewskie – od wieku XVI].

Współczesny czynnik integracyjny dotyczący całej Europy

Obecnie dla Europy istnieje (podobnie jak od późnego średniowiecza) zagrożenie z południa. Podobnie jak zagrożenie ze strony Turków Osmańskich

jest ono niewielkie dla Polski. Ale dla Grecji, Macedonii, Bułgarii, Chorwacji, Słowenii i Węgier jest to poważny problem.

Przy czym należy pamiętać, że na razie jest to dopiero wstęp. Jeżeli uchodźców uda się zasymilować (jest na to bardzo mało czasu), to oni staną się Europejczykami a nie wrogami. Właściwe zagrożenie Europy z południa nastąpi dopiero wtedy, kiedy pojawią się tutaj muzułmańskie dywizje pancerne. Będzie to za mniej więcej 20 lat.

Pojawienie się zagrożenia z południa ma przyczyny obiektywne. Unia Europejska ma w tej chwili 500 milionów ludzi i to jest mniej więcej 7 razy więcej niż w wieku XVII. A w państwach islamskich (od Atlantyku po Indie) taki sam przyrost został osiągnięty w okresie ostatnich 100 lat. Te narody mają do wyboru: albo zginąć z głodu, albo zdobyć obszary, które zapewnią im przeżycie. Ich ideologią jest islam, który może mieć różne oblicza: pokojowe i agresywne. Dzisiaj tym krajom potrzebny jest islam walki, ponieważ ci ludzie nie są w stanie przeżyć.

Jeżeli cywilizacja europejska ma przetrwać, to musi się zintegrować. Ta integracja musi objąć całą cywilizację zachodnią. Należy pamiętać, że zagrożenie, które idzie od południa nie jest tej skali co zagrożenie ze strony Niemiec hitlerowskich czy stalinowskiej Rosji. To jest zagrożenie o wielokrotnie większej skali.

Były skuteczne sposoby powstrzymania islamu kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu, gdyby przywódcy Zachodu zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa (na zagrożenie islamskie zwracałem uwagę kilkadziesiąt lat temu w wydanej oficjalnie książce „Dylematy”). Ale politycy zachodniej Europy do dziś chyba nie zdają sobie z niego sprawy! Uważają, że dzisiejszym problemem są uchodźcy. Tymczasem uchodźcy – to jest kawa z mlekiem. Problemem będą dywizje pancerne!

Europa jest najbardziej zmodernizowaną częścią świata i oczywiście ma jeszcze szanse. Ciągłe istnieje możliwość obrony. Jedną z możliwości obrony jest budowa integracji europejskiej.

Integracja europejska potrzebuje rozsądnych projektów rozwojowych.

Integracja ma to do siebie, że nie może być prowadzona w szybkim tempie. Integracja łączy rozmaitych ludzi, rozmaite populacje i nie można tych populacji łączyć w krótkim czasie, a przede wszystkim nie można łączyć ich siłą. Wszystkie integracje w Europie, których dokonywano siłowo, rozsypały się.

Integracja bałtycko-czarnomorska obszaru Międzymorza rozpoczęła się w XIV wieku, ale dopiero w połowie XVI wieku unia personalna polsko-litewska zamieniła się w unię realną.

Obecnie istnieją dwa pomysły dotyczące integracji całej Europy. Jednym jest pomysł tworzenia federalnego państwa europejskiego, który budzi ogromne opory i który jest zupełnie nierealny. Drugim jest pomysł neomarksistowskiego filozofa Jürgena Habermasa. Proponuje on, aby zintegrować Europę kuchennymi drzwiami – to jest, aby budować instytucje europejskie, które będą nadrzędne nad instytucjami państwowymi. Przykładowo postuluje on, aby parlament europejski przebudować na wzór parlamentów państw narodowych. Co to oznacza? Jeżeli by np. jeden euro poseł przypadał będzie na milion wyborców, to z Niemiec wybieralibyśmy 80 posłów, z Polski – 36 itd. To by oznaczałoby, że parlament będzie liczył ok. 500 posłów. A co będzie jeżeli 420 posłów nie-niemieckich powie – „Niemcy są najbogatszym krajem, to niech Niemcy nas utrzymują”? Wtedy Niemcy będą mieli do wyboru dwie drogi – wystąpić z Unii Europejskiej albo pracować w pocie czoła, aby pozostali Europejczycy byli zadowoleni. Łatwo przewidzieć, co wybiorą. Pomysł Habermasa prowadzi do rozbicia Unii.

Europejskie państwo federalne może powstać, ale dopiero wtedy, gdy powstanie interes europejski, wspólny dla wszystkich krajów. Do tego może dojść, ale nie tak szybko. Tak, jak RP Obojga Narodów powstała wtedy, gdy szlachta województwa nowogrodzkiego miała poczucie tego samego interesu co szlachta województwa sieradzkiego.

Jest prawdopodobne, że powstanie wspólny naród europejski. Ale nastąpi to nie wtedy, gdy wszyscy będą mówić po angielsku, tylko wtedy, gdy Finowie i Portugalczycy będą mieli poczucie wspólnego losu (co oznacza coś znacznie więcej, niż poczucie wspólnego interesu).

Europa pod niektórymi względami musi się trochę cofnąć. Po wyjściu Wielkiej Brytanii z UE (prawdopodobnie tylko na pewien czas) zmiany w Europie muszą być większe. Będą one polegały na cofnięciu się procesu integracji. Po rozpadzie Związku Sowieckiego nastała euforia, Europa chciała skoczyć do przodu. Maastricht był takim krokiem do przodu. Teraz z wielu spraw trzeba się wycofać.

Przed wszystkim konieczna jest reforma struktury wewnętrznej Europy. Nie można założyć państwa federalnego ani nie można oddać wszystkich kompetencji w ręce euro parlamentu. Ciągłe musi decydować jednomysłność państw – tak, jak w I RP, kiedy konieczna była jednomysłność siedemdziesięciu kilku sejmików. Jak było 6 czy nawet 12 państw we Wspólnocie Europejskiej, to można było wspólnie podejmować decyzje. Ale teraz w Europie jest 28 państw, a docelowo będzie ich trzydzieści kilka – do czterdziestu.

Konieczne jest stworzenie poziomu pośredniego między państwami narodowymi a Unią. Muszą powstać wewnątrz Europy oddzielne bloki. Takie bloki już powstają. Już funkcjonuje taki blok skandynawski, w którym uczestniczy jedno państwo, które nie jest w Unii (Norwegia). Zaczyna się już formować wspólnota śródziemnomorska – kraje zachodniej części Europy (Hiszpania, Włochy, Francja) budują twór o nazwie Unia Śródziemnomorska. Portugalia ma silne stosunki handlowe z Brazylią (silniejsze niż z jakimkolwiek państwem UE). Podobnie silne są związki Hiszpanii z Ameryką Łacińską. UE musi się podzielić na 5 – 6 bloków państw, które mają podobną przeszłość i zbliżone warunki. Mogą być ze sobą jeszcze skłócone, ale w ramach wymiany pokoleń to będzie słabo.

Integracja Międzymorza wewnątrz Unii Europejskiej

Przeciwko Unii nic w Europie się nie zbuduje, ale wewnątrz Unii można w Europie zbudować wszystko. Wewnątrz Unii Europejskiej można rozwinąć koncepcję Międzymorza – bardziej realna jest koncepcja między dwoma morzami, ale jeżeli państwa nad Adriatykiem będą mocno zagrożone i będą bardzo potrzebowały wsparcia, to można nawet myśleć o koncepcji między trzema morzami.

Integracja Międzymorza między dwoma morzami powinna nastąpić wcześniej, niż Ukraina wejdzie do Unii Europejskiej.

Nie możemy wykluczyć tego, że Europa się rozleci, ale nie dlatego, że Unia Europejska się rozleci. Społeczeństwa nie dopuszczają do tego, aby Unia się rozleciała. Unia Europejska przyniosła tego rodzaju osiągnięcia dla ludzi, które się utrwaliły, że ludzie nie będą chcieli ich stracić. Integracja europejska stała się procesem nieodwracalnym.

(tekst nieautoryzowany z lipca 2016 roku, spisał i zredagował Mirosław Lewandowski)

POLSKA, MIĘDZYMORZE I NOWY JEDWABNY SZLAK

Polsko-chińskie forum Pasa i Szlaku dla wspólnej infrastruktury, z udziałem szefa parlamentu Chin Zhanga Dejianga, odbywające się 13 lipca.br. oraz szczyt prezydentów unijnych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zwany szczytem tzw. Trójmorza, z udziałem prezydenta USA Donalda Trumpa, z 6 lipca br., to dwa wydarzenia skłaniające do szerszych pytań i refleksji geopolitycznych. To zarówno pytania o geopolityczne i geogospodarcze znacznie dla przyszłości Polski możliwego rozwoju jej ścisłej współpracy politycznej i gospodarczej z krajami Europy Środkowo-Wschodniej w ramach obszaru pomiędzy Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym, jak możliwej roli w tej współpracy zarówno USA, jak i Chin, oraz wynikających stąd konsekwencji.

Historyczne Międzymorze

Geopolityczna koncepcja stworzenia Międzymorza jako zintegrowanego politycznie bloku państw położonych między Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym, była w różnych postaciach i w różnym natężeniu obecna w polskiej myśli politycznej i polskiej polityce w całym okresie XX wieku. Jej dojrzałą formę wiąże się zwykle z myślą polityczną Józefa Piłsudskiego poszukującego u schyłku I wojny światowej takiego zorganizowania krajów Europy Środkowo-Wschodniej leżących pomiędzy Niemcami a Rosją, który zabezpieczałby militarnie i politycznie Polskę przede wszystkim przed Rosją i jej imperialnymi ambicjami, choć również i Niemcami.

Stąd powstała jego koncepcja stworzenia pomiędzy Rosją a Niemcami federacji niepodległych państw wraz z suwerenną Ukrainą, a także Litwą i Białorusią oraz z Łotwą i Estonią, i z centralną w tej federacji rolą Polski. Ostateczna

klęskę koncepcja federacji Międzymorza poniosła w sytuacji niemożności powołania do życia niepodległego państwa ukraińskiego, po niepowodzeniu „wyprawy kijowskiej” J. Piłsudskiego w 1920 roku. Czynnikiem już tylko dodatkowym tej klęski był fakt inkorporacji przez Polskę w 1922 roku części Litwy środkowej z Wilnem, co przekreśliło możliwość współpracy polsko-litewskiej w okresie Międzywojnia.

Idea Międzymorza po 1989 roku

Po rozpadzie radzieckiego imperium w latach 1989 – 1991 i odzyskaniu przez Polskę suwerenności idea Międzymorza w latach 90. pojawiła się wyłącznie jako lansowany przez przywódcę Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego projekt nowej integracji postsocjalistycznych państw Europy Środkowo-Wschodniej. L. Moczulski traktował przy tym tę integrację jako wstęp do właściwej integracji w ramach Unii Europejskiej, uważając, iż pozwoli to Polsce i pozostałym krajom środkowoeuropejskim na rokowania co do warunków integracji unijnej z zasadniczo silniejszych pozycji, zwłaszcza dzięki włączeniu w proces integracji środkowoeuropejskiej Ukrainy, która była jego zdaniem kluczem do stworzenia Międzymorza.

W polskiej myśli politycznej i polskiej polityce lat 90 i początku nowego stulecia geopolityczna koncepcja Międzymorza była zasadniczo marginalna, co wiązało się przede wszystkim z koncentracją uwagi i zadań na integracji z Unią Europejską przez ówczesne partyjne elity polityczne, a po części również wynikało ze stałej marginalizacji pozycji politycznego nurtu, który reprezentował sam L. Moczulski i Konfederacja. Tylko bowiem za dalekie echa idei Międzymorza można uznać funkcjonowanie Grupy Wyszehradzkiej jako politycznego porozumienia Polski, Czech, Słowacji i Węgier czy istnienie CEFTA, jako organizacji liberalizujące wymianę handlową między tymi krajami. Ani bowiem politycznie, ani gospodarczo obie te organizacje nie odegrały znaczącej roli.

Nowa sytuacja geopolityczna po 2004 roku

Z początkiem XXI wieku Polska i pozostałe kraje Europy Środkowo-Wschodniej znalazły się w nowej jakościowo sytuacji geopolitycznej i geogospodarczej. Stworzyła ją nade wszystko rosnąca hegemonia gospodarcza,

a w konsekwencji również polityczna Niemiec w Unii Europejskiej. Do tego doszedł kryzys struktur politycznych Unii Europejskiej po wybuchu światowego kryzysu finansowego oraz w związku ze zmianami pozycji politycznej i gospodarczej Niemiec.

Równoległe i niezależnie nową sytuację geopolityczną stworzyła neoimperialna polityka Federacji Rosyjskiej, która wyszła z zapaści swej państwowości lat 90. Sytuacja geopolityczna Polski i tych krajów uległa względnie pogorszeniu w stosunku do lat 90 XX wieku bezpośrednio po rozpadzie imperium radzieckiego i reunifikacji Niemiec.

Niemiecka hegemonia gospodarcza w Europie

Decydujące znaczenie dla rozwoju gospodarczego Niemiec i ich dominującej pozycji geoeconomicznej w Europie miało stworzenie w latach 1999-2000 wspólnego obszaru walutowego euro. Przewaga konkurencyjności i innowacyjności niemieckiej gospodarki w stosunku do gospodarek krajów tej strefy, a nade wszystko gospodarek krajów semiperyferyjnych, mogła być w pełni wykorzystana, ze względu na znaczenie w niej eksportu, przede wszystkim produktów przemysłowych o wysokiej wartości dodanej. Od momentu utworzenia strefy euro, do której trafiało ponad 40% niemieckiego eksportu, Niemcy miały narastające nadwyżki rachunku bieżącego płatności, zwiększając w latach 2000 – 2008 nadwyżkę handlową trzykrotnie, z 61 mld euro do 182 mld euro.

Dodatkowym i ważkim czynnikiem tego wzmocnienia stało się rozszerzenie UE na kraje środkowoeuropejskie w latach 2004-2006, umożliwiając przenoszenie tam części produkcji przemysłowej ze względu na zasadniczo niższe koszty pracy. Pozwoliło to na rosnący udział półproduktów z tych krajów dla wyrobów eksportowych niemieckiego przemysłu samochodowego, maszynowego i elektrycznego. Równocześnie to rozszerzenie przyniosło eksportowej strukturze gospodarki niemieckiej znaczące wzmocnienie możliwości eksportowych w ramach wspólnego rynku wewnętrznego. Obrazuje to fakt, iż w 2010 roku do samych tylko państw Grupy Wyszehradzkiej Niemcy eksportowały towary o wartości (87,2 mld euro) porównywalnej z eksportem do Francji (89,5 mld euro), która jest największym niemieckim partnerem handlowym.

Niemiecka peryferyzacja gospodarczo-cywilizacyjna Polski i Europy Środkowo-Wschodniej

Polska oraz kraje Europy Środkowo-Wschodniej były i są w tych procesach przekształcane w gospodarki będące dodatkiem do finalnej produkcji niemieckiej. Szczególnie Polska, tracąc blisko 50% kluczowego kapitału przemysłowego w wyniku kompradorskiej wyprzedaży przedsiębiorstw przemysłowych w latach 1990 – 2004, stała się gospodarką poddostawczą, acz również i montowniczą wobec gospodarki zachodniego sąsiada. Jest to strukturalne zablokowanie możliwości rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego naszego kraju, ponieważ mamy istotnie ograniczone możliwości polskiej produkcji finalnej, a więc możliwie najbardziej rentownej i innowacyjnej. Niemcy w istocie realizują we właściwy dla siebie «miękki» sposób, kolejną wersję swej doktryny Mitteleuropa, jako obszaru gospodarczej kolonizacji Europy Środkowo-Wschodniej.

Można więc stwierdzić, iż Niemcy ostatecznie w wyniku wprowadzenia strefy euro, acz równocześnie w warunkach wcześniejszej reunifikacji oraz późniejszego rozszerzenia UE o kraje Europy Środkowo-Wschodniej, zajęły dominującą pozycję geoeconomiczną w strefie unii walutowej i strefie unii fiskalnej. Przy współudziale zaś Francji mają możliwość zająć geoeconomiczną pozycję hegemonalną w tych strefach, czyli taką, która umożliwia jednostronne określanie reguł i procedur gospodarczych i finansowych ich funkcjonowania.

Rosnąca hegemonia polityczna Niemiec w Unii Europejskiej

W oparciu o siłę ekonomiczną Niemcy rozpoczęły przekładać swoją dominację gospodarczą na rosnącą dominację polityczną w Europie, w czym szczególnie sprzyjał im kryzys finansowy strefy euro, a bezpośrednio umożliwiała silne i sprawne państwo niemieckie ze stabilnymi i skonsolidowanymi wewnątrzniemieckimi elitami politycznymi. Niezależnie od realności tych zamierzeń, elity polityczne Niemiec dążą do zbudowania nowego obszaru geopolitycznego w Europie pod swoją hegemonią polityczną, przy współudziale Francji. Jest to świadoma próba przekształcenia dominacji gospodarczej w strukturalną hegemonię polityczną. Przedstawiona już w 2012 roku przez kanclerz A. Merkel wizja sfederalizowanej unii politycznej Europy, to w istocie

koncepcja przekształcenia unijnej Europy, już bez Wielkiej Brytanii, w europejski krąg geopolityczny Niemiec.

Neoimperialna polityka Rosji

Rosja po 2000 roku rozpoczęła nowy okres polityki określanej często mianem neoimperialnej w stosunku do byłych republik radzieckich i byłych państw podległych byłemu radzieckiemu imperium, której celem jest jak się wydaje częściowa czy też segmentowa odbudowa dominacji politycznej, poprzez większe lub mniejsze zdominowanie polityczne tych państw. Istotą tej neoimperialnej polityki Federacji Rosyjskiej, rozpoczętej prezydenturą Władimira Putina w 2000 roku, jest odbudowa mocarstwowej pozycji Rosji na arenie międzynarodowej. Zostało to poprzedzone w okresie pierwszej prezydentury W. Putina wewnętrzną konsolidacją Rosji i wzmocnieniem skuteczności władzy centralnej. Dzięki zaś wysokim cenom światowym ropy naftowej i znaczącemu wzrostowi dochodów z handlu zagranicznego i wzrostowi wpływów budżetowych, umożliwiło to uregulowanie zobowiązań finansowych zewnętrznych i wewnętrznych i silnie wzmocniło pozycję polityczną tak W. Putina i jego ekipy, jak i samej Rosji na arenie międzynarodowej.

Neoimperialna polityka Rosji znalazła już swój militarno-polityczny wyraz w ataku wojennym na Gruzję, militarnej aneksji ukraińskiego Krymu i separatystycznego oderwania od Ukrainy części regionu Donbasu. Znajduje stale swój wyraz w wywieraniu wybiórczych politycznych presji zagranicznych w obszarze postsowieckim.

Wewnętrzne przyczyny rosyjskiego neoimperializmu

Neoimperialna polityka zagraniczna wydaje się być niekoniunkturalna i wynika z charakteru układu sił wewnętrznych, zdominowanych przez rosyjską posttotalitarną biurokrację państwową. Biurokracja ta stała się w wyniku procesów rozpadu komunistycznej biurokracji totalitarnej po 1991 roku, klasą społecznie panującą, a średniookresowo co najmniej dominującą w Rosji. Jej elity polityczne, wyrosłe w istotnej części z radzieckich służb specjalnych, po wyeliminowaniu lub podporządkowaniu politycznym grup rosyjskich oligarchów finansowych, w okresie prezydentury W. Putina stworzyły autorytarny

system polityczny z fasadowymi procedurami demokratycznymi, od wyborów parlamentarnych i prezydenckich poczynając. Elity tej klasy uzyskały też względnie trwałą możliwość pozademokratycznej sukcesji władzy w państwie.

Strukturalne bariery i ograniczenia neoimperialnej polityki Rosji

Zasadniczym czynnikiem określającym równocześnie, i możliwości, i ograniczenia geogospodarcze oraz geopolityczne postimperialnej polityki Rosji, jest dysponowanie przez nią światowymi zasobami surowców energetycznych. Rosja zajmuje pierwsze miejsce w świecie pod względem potwierdzonych zasobów gazu ziemnego. Ma równocześnie siódme co do wielkości w świecie zasoby ropy naftowej. Rosja dysponuje również olbrzymim zasobami węgla kamiennego, co daje jej drugie miejsce na świecie. Eksport ropy i gazu to 60% dochodów handlu zagranicznego, a wraz z eksportem węgla kamiennego, metali i drewna to ponad 80% tych dochodów. Te zasoby energetyczne oraz bardzo dobra koniunktura na ropę i gaz po roku 2000 było podstawą sformułowania strategii odzyskania pozycji mocarstwowej w oparciu o wykorzystanie sektora paliwowo-energetycznego jako instrumentu polityki zagranicznej. Znalazło to odzwierciedlenie w oficjalnym dokumencie rządu rosyjskiego z września 2003 w postaci „Strategii energetycznej Rosji do 2020 roku”. Możliwość użycia „pistoletu gazowego” przez Rosję w stosunku do krajów Europy Środkowo-Wschodniej dla osiągnięcia jej neoimperialnych celów, stała się głównym powodem ich starań o dywersyfikację dostaw tego strategicznego surowca energetycznego.

Trzeba wszakże wyraźnie podkreślić, że mocarstwowa pozycja surowcowa Rosji jest równocześnie jej kluczowym ograniczeniem, gdyż eksport surowców energetycznych nade wszystko do Unii Europejskiej, jest podstawą jej egzystencji ekonomicznej, której nie może zagrozić swoją własną polityką neoimperialną.

Międzymorze współczesne jako środkowoeuropejska ścieżka przetrwania i rozwoju

Ta geopolitycznie i geoeconomicznie nowa sytuacja w jakiej znalazła się Polska i pozostałe kraje Europy Środkowo-Wschodniej, tak unijne, jak i pozaunijne, w wyniku zasadniczej zmiany pozycji i roli Niemiec oraz Rosji, nakazuje

ponowne przeanalizować możliwości ścisłej współpracy w ramach obszaru Międzymorza. W 2009 roku sformułowałem po raz pierwszy publicznie, a w 2013 roku przedstawiłem w swej książce „Pomiędzy centrum a peryferiami na progu XXI wieku” rozwinętą koncepcję współczesnego Międzymorza, w formule Unii Międzymorza. Unia Międzymorza to propozycja ponadnarodowej organizacji współpracy gospodarczej i politycznej, zinstytucjonalizowanej własnym bankiem inwestycyjnym oraz stałą radą i sekretariatem. Międzymorska integracja polityczna i gospodarcza jest również istotna dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego i stworzenia alternatywy dla energetycznej współpracy bilateralnej niemiecko-rosyjskiej. Z tego powodu we współczesnych warunkach obszar międzymorskiej współpracy należy rozszerzyć o państwa Kaukazu Południowego na czele z Gruzją. Międzymorską integrację środkowoeuropejską należy więc rozszerzyć o międzymorską integrację południowokaukaską. Unia Międzymorza byłaby ponadnarodową organizacją suwerennych państw składającą się z unijnych państw Europy Środkowo-Wschodniej oraz pozaunijnych państw obszaru pomiędzy Morzem Bałtyckim, Adriatykiem i Morzem Czarnym oraz krajów Kaukazu Południowego. Polska i pozostałe państwa Europy Środkowo-Wschodniej, tak unijne, jak i pozaunijne, zarówno w wymiarze geogospodarczym, jak i geopolitycznym, mają indywidualnie zbyt małe potencjały, by realizować własne narodowe cele przetrwania i rozwoju oraz móc przeciwstawić się związanym z realizacją tych celów potencjalnym presjom politycznym. W wymiarze geogospodarczym dopiero międzynarodowy obszar ekonomiczny państw Europy Środkowo-Wschodniej tworzy wystarczająco duży potencjał rynkowy i kapitałowy dla realizacji własnych celów narodowego przetrwania i rozwoju. Pozwala on ograniczyć dominację centralnej systemowo gospodarki niemieckiej i pozostałych gospodarek europejskiego centrum, w postaci przekształcania gospodarek środkowoeuropejskich w obszar poddostawczy i rynek zbytu finalnych produktów, dzięki alternatywnym możliwościom współpracy gospodarczej i alternatywnych rynków zbytu.

Cele i zadania współczesnego Międzymorza

Najważniejszym zadaniem krótko – i średniookresowym Unii Międzymorza byłoby zapewnienie bezpieczeństwa surowcowo-energetycznego krajom

członkowskim, dzięki stworzeniu nowej i rozbudowie istniejącej sieci przesyłowej i transportowej gazu, ropy naftowej, węgla kamiennego i energii elektrycznej. Szczególnie istotne stanie się tworzenie infrastruktury energetycznej i transportowej na unijnej osi Północ – Południe łączącej Skandynawię z Bałkanami. To na Polsce bowiem jako kraju będącym zwornikiem transportowym Europy na osi Wschód – Zachód i Północ-Południe, leży główny obowiązek tworzenia integracyjnych, tak transportowych jak i energetycznych, połączeń również na osi Północ-Południe. Najważniejszym celem średnio – i długookresowym zbudowania nowego ugrupowania integracyjnego Unii Międzymorza jest zapewnienie szybszego rozwoju innowacyjnego gospodarek krajów tego obszaru w stosunku do krajów „starej” Unii oraz współpraca w zakresie przeciwdziałania skutkom światowej depresji gospodarczej. Międzynarodowa instytucjonalizacja współpracy międzymorskiej wraz ze stworzeniem ponadnarodowych instrumentów finansowych i programowych ułatwi wypracowywanie i realizację strategii przetrwania i rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego, umożliwiającej redukcję z semiperyferyjności i jej skutków. Zbliżony poziom rozwoju i analogiczne wyzwania geopolityczne i geoeconomiczne ułatwia poszukiwanie swoistych ścieżek rozwoju dla wszystkich państw Międzymorza, w tym również wspólnych dla całej Unii Międzymorza w tworzeniu gospodarek opartych na wiedzy naukowej

W wymiarze geopolitycznym ściśle współdziałanie unijnych państw środkowoeuropejskich tworzy potencjał uniemożliwiający skuteczne wywieranie presji politycznych przez państwa unijnego centrum oraz instytucje UE oraz ogranicza istotnie możliwości presji politycznych i finansowych globalnych kapitałów finansowych oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. W odniesieniu zaś do pozaunijnych krajów środkowoeuropejskich taka ścisła współpraca polityczna i gospodarcza redukuje istotnie możliwości ich podporządkowywania politycznego neoimperialnej polityce Rosji. W istocie więc stworzenie z tych powodów wspólnego obszaru współpracy gospodarczej i politycznej unijnych i pozaunijnych państw Europy Środkowo-Wschodniej jest powrotem, acz w zmienionych warunkach i w nowej formule do koncepcji Międzymorza z XX wieku.

Amerykański parasol polityczny nad Międzymorzem

I w tym kontekście należy też rozpatrywać nieprzypadkową wizytę prezydenta USA D. Trumpa na szczycie tak zwanego Trójmorza. Stany Zjednoczone mają bowiem obiektywny interes polityczny w aktywnym poparciu budowy integracyjnego obszaru międzymorskiego, a w tym samej Unii Międzymorza. Stworzenie tego obszaru i samej Unii jest zmianą układu sił geopolitycznych i geoeconomicznych nade wszystko w relacjach z Niemcami i Rosją. Redukuje bowiem możliwości niemieckiej hegemonii, a szczególnie hegemonii politycznej w Europie oraz znacząco blokuje możliwą neoimperialną politykę Rosji w stosunku do państw obszaru byłego imperium radzieckiego w Europie Środkowo-Wschodniej oraz Kaukazu Południowego.

Oba te państwa zaś wyraźnie dążą do redukcji amerykańskiej hegemonii światowej, a ograniczenie możliwości ich europejskiej hegemonii i dominacji takie dążenia istotnie osłabiają. Mimo bowiem trwającego już zmierzchu amerykańskiej hegemonii globalnej, w horyzoncie średniookresowym Stany Zjednoczone nadal pozostaną najsilniejszym militarnie, politycznie i ekonomicznie mocarstwem globalnym. Również globalna depresja gospodarcza w co najmniej równym stopniu osłabi unijne kraje centralne na czele z Niemcami, jak i Stany Zjednoczone, a biorąc pod uwagę nadal globalną rolę amerykańskiego dolara i kryzys strefy euro, unijne kraje centralne wydają się być relatywnie bardziej zagrożone skutkami depresji.

Chiński Nowy Jedwabny Szlak a współczesne Międzymorza

Dość nieoczekiwanie w możliwości tworzenia współczesnego Międzymorza wpisała się nowa inicjatywa geogospodarcza Chin w formule Nowego Jedwabnego Szlaku, z promowania której wynika wizyta przewodniczącego parlamentu chińskiego Zhanga Dejianga w Polsce. Nowy Jedwabny Szlak, a ściślej Jedwabny Szlak Pasa Ekonomicznego, to transkontynentalne połączenia transportowe (kolejowe, drogowe i żeglugi śródlądowej), ale także energetyczne i telekomunikacyjne, mające połączyć ekonomicznie wschodnie wybrzeże Chin i Chiny centralne oraz Republiki Środkowej Azji, Rosję, Białoruś i Polskę, z Europą Zachodnią aż po Madryt.

Wraz z handlowymi szlakami żeglugi morskiej łączących Azję z Afryką i Europą, czyli tak zwanym Morskim Jedwabnym Szlakiem XXI Wieku, tworzy on ramowy program strategiczny nazwany „Jeden Pas, Jedna Droga” (One Belt, One Road). W 2013 roku kierownictwo chińskie uznało ten program za narodową koncepcję i priorytet polityki zagranicznej Chin w nadchodzących latach. Co najważniejsze wszakże i dla Polski, i dla współczesnego Międzymorza, Chiny deklarują swoje finansowe zaangażowanie inwestycyjne w realizację tego programu i to w dziesiątkach miliardów dolarów. Powołany kilka lat temu Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB), w którym uczestniczy czternaście państw członkowskich, jako członków założycieli, wydaje się być celowym instrumentem zabezpieczającym finansowanie wielkich inwestycji infrastrukturalnych „Jednego Pasa, Jednej Drogi”.

Chińskie cele strategiczne

Program ramowy Nowego Jedwabnego Szlaku, a szerzej strategicznego programu Jednego Pasa, Jednej Drogi, ma jak sądzę dwa strategiczne i wewnętrznie powiązane ze sobą cele. Pierwszym i dość oczywistym jest stworzenie transkontynentalnych rynków współpracy ekonomicznej, umożliwiającej Chinom światową obecność nie tylko ich towarów, ale nade wszystko ich inwestycji. Tworzenie transkontynentalnej infrastruktury transportowej, energetycznej i telekomunikacyjnej jest właśnie tworzeniem nowych rynków współpracy ekonomicznej dla samych Chin. Chiny w praktyce realizują tu na skalę światową koncepcję amerykańskiego teoretyka ekonomii z początków XX wieku Simona Pattena, który uważał infrastrukturę publiczną za czwarty – po ziemi, pracy i kapitale – czynnik produkcji. „(...) funkcją publicznej infrastruktury – twierdził S. Patten – nie jest osiąganie zysków, jak to robi prywatny inwestor. Publicznym celem jest obniżenie kosztów życia i prowadzenia działalności gospodarczej, tak aby uczynić gospodarkę bardziej konkurencyjną”. Tyle, że to obniżenie kosztów prowadzenia działalności gospodarczej i czynienie gospodarki bardziej konkurencyjnej, dotyczy nie tylko Chin, ale wszystkich innych krajów, którym ta infrastruktura jest udostępniona.

Drugim strategicznym celem Chin, już mniej oczywistym, jest materialne zainwestowanie przynajmniej części gigantycznej rezerwy dewizowej, po-

wstałej i odtwarzanej dzięki olbrzymim nadwyżkom w handlu zagranicznym, szczególnie z USA. Chiny posiadają obecnie 3,3 bln dolarów takiej nadwyżki, a w 2012 roku posiadały jej nawet 4 bln dolarów. Ta nadwyżka z konieczności jest ulokowana w zdecydowanej większości w skarbowych papierach dłużnych rządu USA. Światowy krach finansowy z 2008 roku uświadomił władzom Chin, że ich 2 do 3 bilionów dolarów rezerw dewizowych może z dnia na dzień mieć wartość śmieci papierowych, jeśli dojdzie do załamania się obecnego systemu finansowego świata opartego na amerykańskim dolarze. A przechowywać wartość ekonomiczną w czasie można tylko na dwa sposoby: albo w znakach wartości w postaci papierów wartościowych, w tym pieniędzy, albo w realnej wartości ekonomicznej wszelakich przedsięwzięć ekonomicznych i nieruchomościach.

Chińska ekspansja inwestycyjna ma tu więc na celu czasowo bezpieczne lokowanie dotychczas papierowo przechowywanych dolarowych nadwyżek dewizowych. To co szczególnie interesujące, to fakt, że Chiny będąc zainteresowane długofalowymi inwestycjami w infrastrukturę, są równocześnie zainteresowane długofalowym odzyskiwaniem zainwestowanych kapitałów.

Szczególna rola Polski i krajów Międzymorza w chińskim projekcie Jednego Pasa, Jednej Drogi

W chińskiej koncepcji Jednego Pasa, Jednej Drogi, Polska i pozostałe kraje Europy Środkowo-Wschodniej, odgrywają szczególnie istotną rolę. Obszar Polski, podobnie jak i obszar krajów Europy Środkowo-Wschodniej, jest bowiem zwornikiem transportowym, a szerzej infrastrukturalnym, na europejskiej osi wschód – zachód i północ – południe. Tę szczególną rolę tak opisał raport „Europe and China’s New Silk Roads”, europejskiego think tanku ETNC z grudnia 2016 roku: „Wewnątrz Europy Chiny celują w dwa regiony w szczególności dla wspierania Nowego Szlaku Jedwabnego: Środkowej i Wschodniej Europy (CEE) i krajów europejskiego Morza Śródziemnego (południe Europy, szczególnie Grecja). W odniesieniu do CEE Chiny używają mechanizmu CEE16+1, by zwiększać OBOR (One Belt, One Road – WB). Rdzeniem tego mechanizmu są coroczne konferencje, które obejmują chińskiego premiera Li Keqiang i przywódców szesnastu krajów CEE. Mimo to, niektóre

kraje Wschodniej Europy, które nie są częścią CEE16+1, takie jak Białoruś, Mołdawia i Ukraina, są również związane z OBOR. Regionalna platforma podobna do CEE16+1 nie istnieje w odniesieniu do krajów europejskiego Morza Śródziemnego, lecz chiński rząd wykazał zainteresowanie w budowaniu sektorowych mechanizmów kooperacji (koncentrujące się na kooperacji rolniczej i morskiej) z sześcioma krajami południowej Europy (Grecja, Malta, Cypr, Włochy, Hiszpania i Portugalia)”.

Dlatego tak ważny jest również w koncepcji chińskiej kierunek południowo-północny w rozwoju infrastruktury Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, co wprost przekłada się na rozbudowę infrastruktury transportowej, energetycznej i telekomunikacyjnej współczesnego Międzymorza. Chiny przejęły pakiet kontrolny greckiego portu Pireus oraz wsparły rozbudowę portów na Adriatyku, co domknęło im szlaki morskie ze wschodniego wybrzeża Chin. Są więc zainteresowane infrastrukturalnym połączeniem portów Adriatyku z Bałtykiem, Morzem Północnym i Skandynawią. Stąd planowana ekspresowa droga lądowo-morska między Grecją a Europą Środkową, w tym Polską, czy rozbudowa portów morskich w państwach bałtyckich.

Dla budowy nowego bloku polityczno-gospodarczego Międzymorza jest to więc szczególnie korzystny zbieg geopolitycznych i geogospodarczych okoliczności, z amerykańskim parasolem politycznym i wsparciem kapitału inwestycyjnego Chin w roli głównej.

Inwestycyjna szansa Polski

Chiński projekt ramowy Jednego Pasa, Jednej Drogi otwiera też olbrzymie szanse długofalowych inwestycji chińskich w polską infrastrukturę i to bez przejmowania tej infrastruktury na własność. Jak twierdzą autorzy opracowania „Chiny – Polska 2016-2020”, w okresie do 2020 roku istnieje realna możliwość pozyskania chińskich inwestycji rzędu nawet 120 do 150 mld dolarów. Są to nade wszystko możliwości inwestowania w polską energetykę (od węglowej, po atomową), w użegłownieniu polskich rzek na czele z Odrą i połączenia jej z Dunajem, w budowę centralnego portu lotniczego czy w budowę szybkich kolei o szybkości 250 km/h.

Tę inwestycyjną szansę ma w rękach dziś nade wszystko polski rząd. Takie szanse codziennie się nie pojawiają. Ale też po jakimś czasie znikają. Nie trwają wiecznie.

Wojciech Błasiak www.wojciech-blasiak.pl

Ekonomista, socjolog i politolog, dr nauk społecznych, niezależny naukowiec i publicysta, działacz JOW, poseł na Sejm RP II Kadencji z ramienia KPN, autor i współautor 7 książek (m.in. „Pomiędzy centrum a peryferiami na...”).

TO BYŁ PIĘKNY DZIEŃ, 11 LISTOPADA
ROZMOWA Z PROF. WIESŁAWEM JANEM WYSOCKIM
PREZESEM INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W WARSZAWIE

– Rozmawiamy w miejscu utrwalonym w historii Polski, ponieważ w gmachu „Pasty”, który zasłynął w dniach Powstania Warszawskiego, znajduje się teraz siedziba Instytutu Piłsudskiego. Czy nie planuje Pan jednak przenosin do Sulejówka?

– W Sulejówku działa teraz Muzeum Józefa Piłsudskiego, możemy snuć plany, by te dwie instytucje się dopełniły, ale pozostajemy w „Paście” i na razie są to dwa różne ośrodki. W przyszłości być może się połączą. Muzeum w Sulejówku jest wynikiem inicjatywy rodziny Marszałka i przyjaciół tego projektu z lat 90-tych. Instytut Badania Najnowszej Historii Polski, do którego tradycji się odwołujemy, powstał jeszcze w 1923 r. a po śmierci Marszałka otrzymał jego imię, pod którym dane mu było w kraju funkcjonować do 1939 r. Gros zbiorów szczęśliwie udało się wywieźć, uchronić je przed okupantami. Trafiły na przechowanie do Instytutu Piłsudskiego w Ameryce i Londynie. Znalazło się wśród nich obok ikonografii i wielu bezcennych źródeł, również – przechowywane w Nowym Jorku – tzw. archiwum belwederskie, którego najważniejszą częścią są akta Adiutantury Generalnej Naczelnego Wodza.

– Za datę powołania instytutu już na ziemi amerykańskiej przyjmuje się 1943.

– Stanowił dzieło Franciszka Januszewskiego, min. płk. Wacława Jędrzejewicza, min. Henryka Floyar_Rajchmana, ministra skarbu płk. Ignacego Matuszewskiego i innych piłsudczyków i niepodległościowców. Rola tego ostatniego jest trudna do przecenienia. Zaczynali mając w kasie 30 dolarów. Początki były niewyobrażalnie trudne, ale byli z pokolenia, które mierzyło siły na zamiary...

– Żoną Matuszewskiego była Halina Konopacka, przedtem mistrzyni w rzucie dyskiem i pierwsza polska złota medalistka olimpijska, laur ten zdobyła w 1928 r. na igrzyskach w Amsterdamie, nie wszyscy wiedzą, że była również zdolną poetką z kręgu Skamandra. Oboje jeszcze raz zasłużyli się Polsce w 1939 r.

– Tak, to wspaniała żona jeszcze wspanialszego męża! W trakcie ewakuacji z kraju podjęli się – a chodzi przede wszystkim o Floyar_Rajchmana i Matuszewskiego – ważnej misji, wywieźli skarb narodowy, 75 ton złota z Banku Polskiego. Dzięki temu władze na emigracji wojennej mogły funkcjonować, mogło organizować się wojsko, podziemie w Kraju mogło dostawać finansowe „zastrzyki”, mogły aktywizować się organizacje polonijne tam, gdzie znajdowało się wielu Polaków, nie mających przedtem żadnej reprezentacji. Instytut z ocalonymi z kraju zbiorami rychło stał się placówką, której znaczenie trudno przecenić. W 1947 r. doszła jeszcze jedna – a każda z nich miała swoje środowisko – Instytut Piłsudskiego w Londynie.

– Współpracowały czy rywalizowały, bo przecież o „potępięńczych swarach” emigrantów pisał ponad sto lat wcześniej Adam Mickiewicz?

– Niektóre roczniki pisma „Niepodległość” podają jako wspólne miejsce wydania Londyn–Nowy Jork, a przypomnienie tego faktu wydaje się najlepszą odpowiedzią na Pana pytanie. Jeżeli myśli się o zasługach dla ocalenia dorobku Marszałka, to ważną rolę odegrały oba instytuty: nowojorski i londyński.

– Ich rola na emigracji wydaje się oczywista. Czy nawet w trudnych czasach wpływały na świadomość w kraju?

– W okresie PRL miałem okazję być stypendystą instytutu nowojorskiego, poznałem wielką postać ministra Wacława Jędrzejewicza, jednego z dwóch braci, którzy wielce zasłużyli się w tej misji. Gdy warunki w Polsce stały się ku temu stosowne – za zgodą ośrodków z emigracji w 1998 r. powstaje Towarzystwo Przyjaciół Instytutu Piłsudskiego, w 2004 r. przekształcone w Instytut Piłsudskiego. Wśród jego założycieli znajdują się: córka Marszałka, Jadwiga, gen. Stefan Tarnawski, Danuta Cisek – wtedy reprezentująca instytut nowojorski, prof. Zbigniew Wójcik, sekretarz z instytutu londyńskiego Krzysztof Münich, prof. Włodzimierz Suleja, dr Tadeusz Krawczak, prof. Janusz Pajewski, dr Sławomir Radoń, Andrzej Przewoźnik i Andrzej Kunert, i inni. Pierwszym

prezesem zostaje prof. Zbigniew Wójcik, potem Andrzej Przewoźnik, kolejnym zaś Arkadiusz Adamczyk, ja jestem jego następcą.

– Skoro zaraz będziemy rozmawiali o 11 listopada 1918 r. a także jego setnej rocznicy – warto najpierw uściślić co się tego konkretnego dnia wydarza?

– 10 listopada 1918 r. przyjeżdża do Warszawy uwolniony z Magdeburga przez Niemców Józef Piłsudski. 11 listopada otrzymuje on władzę wojskową. Zaś 14 listopada – pełnię władzy. Długo trwały dyskusje, jaką datę uznać za formalne odzyskanie niepodległości.

– Zwłaszcza, że ośrodki nowej polskiej władzy powstawały już wcześniej.

– Istniała Komisja Likwidacyjna w Krakowie z generałem Bolesławem Roją. Formalnie stał on na czele instytucji, która miała dążyć do przejęcia urzędów od Austriaków. W Lublinie powstał gabinet Ignacego Daszyńskiego, do którego wszedł komendant Polskiej Organizacji Wojskowej Edward Śmigły-Rydz w zastępstwie uwięzionego przez Niemców Piłsudskiego. Sam Piłsudski przez chwilę myślał o tym, żeby w Lublinie tworzyć ośrodek nowej władzy. Sytuacja polityczna i nastrój w kraju był taki, że plan powstania powszechnego, przygotowany przez POW, nie musiał być realizowany. Wracam tu do Pana prośby o uściślenie, co takiego konkretnie zdarzyło się 11 listopada 1918 r. Właśnie 11 listopada zawarto zawieszenie broni na froncie zachodnim. Dla Europy – mimo wszystko – nie był to dzień radosny...

– ...pamiętam „Rodzinę Thibault”, powieść francuskiego noblisty Rogera Martin du Gard, której bohater, lekarz poszkodowany wcześniej w trakcie niemieckiego ataku gazowego zapisuje w dzienniku: „Parlamentariusze niemieccy przekroczyli nasze linie. A więc jednak dożyłem tego”. Bo wie, że umiera... To fikcja literacka, ale oddaje ówczesne nastroje na Zachodzie?

– Doświadczenie z bronią chemiczną w I wojnie światowej sprawiło, że już w II wojnie każde z państw dysponowało taką bronią, jak również środkami przeciwdziałania – ale żadne jej nie użyło. Tak silna była obsesja skutków ataku gazowego. Podobnie dzieje się z bronią atomową od zakończenia II wojny światowej. Nastroje na Zachodzie z dnia 11 listopada 1918 r. pewnie trafnie

oddaje fragment fikcyjnego dziennika, który Pan cytuje. Ogrom poniesionych strat przynębiał zwycięskich aliantów. Ale dla nas 11 listopada stał się świętem wyzwolenia. Wiemy, ile pokoleń powtarzało słowa Adama Mickiewicza: „o wojnę powszechną ludów prosimy Cię, Panie”. Niemal w każdym pokoleniu miał miejsce powstańczy zryw narodowy. Oczywiście pojawiają się różne przekazy, w tym banalizujące... Znamy słowa: „ni z tego ni z owego, Polska stała się na jedenastego”.

– Ale jakaś zasługa polskiej mądrości zbiorowej też się w tej listopadowej dacie odzwierciedla?

– Oczywiście rozbrajanie Niemców nie przebiegało całkiem bezkrwawo, jak się to czasem przedstawia, ofiary były. Plan POW zakładał, że wojna zakończy się najpóźniej do wiosny 1919 r. a destrukcja armii i aparatów administracyjnych państw zaborczych najszybciej pójdzie w Austrii. W ogólnych zarysach przewidywania te się spełniły.

– I tak się stało jesienią 1918 r, ale los Polski rozstrzygnął się jednak w dawnym zaborze rosyjskim okupowanym teraz przez Niemców, dlaczego właśnie tam i w tym czasie?

– Tu Polacy, z Komendantem włącznie, postrzegali ośrodek decyzyjny i koncepcyjny. Zachodnie rubieże Rosji, czyli ziemie dawnej Rzeczypospolitej, zajęte przez Niemców mimowolnie z tych ostatnich uczyniły głównego wroga Polski. Moskałe pozostali wobec Polaków bierni, Niemcy zaś gotowi byli sprzedać sprawę polską za doraźne dostawy – vide: sprawa umowy brzeskiej – toteż Polacy nie mieli złudzeń wobec dworu pruskiego i Rakuskiego (austro-węgierskiego). Postać Piłsudskiego pozostaje kluczowa dla przebiegu odzyskania przez Polskę niepodległości. Inną pozycję miał w 1914 r. Przez wielu postrzegany był jako terrorysta, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli...

– ...jedno słowo: Bezdany? W 1908 pod wodzą Piłsudskiego Organizacja Bojowa PPS przeprowadza tam atak na rosyjski pociąg pocztowy i w ten sposób zdobywa pieniądze na działalność niepodległościową.

– Wielu uważało, że Piłsudski napadał i rabował, nieważne w jakim celu. Opinia o nim była różna. Ale od 1916 r. stał się już człowiekiem opatrznosciowym. Przeciwnik Piłsudskiego Roman Dmowski, gdy tworzył Komitet Narodowy Polski, nie przypadkiem wciągnął do tej reprezentacji Bronisława

Piłsudskiego. Przydał się oczywiście, języki znał, potrafił przygotować raporty. Jednak trzeba w tym dostrzec przemyślane działanie, zgodne, grę na tym samym fortepianie...

– Skoro o fortepianie mowa, to wybitny pianista Ignacy Paderewski właśnie wtedy odegrał swoją historyczną rolę, wcześniej się polityką nie zajmował.

– Już jako premier Paderewski przyjechał do Paryża, by podpisać Traktat Wersalski. Witął go wówczas francuski premier Georges Clemenceau. I spytał: – To pan jest tym słynnym pianistą? – Tak, a teraz premierem. – Mój Boże, co za upadek – skwitował Clemenceau.

– Ale żeby Paderewski mógł w nowej roli do Wersalu pojechać, najpierw trzeba było rozbroić Niemców. Wspomniał Pan już, że nie przebiegło to bez ofiar. Zwłaszcza, że społeczeństwo niemieckie nie miało świadomości, że wojna jest przegrana, co po latach wykorzystali naziści w propagandzie o zdradzieckiej kapitulacji?

– Działania na frontach I wojny światowej toczyły się poza granicami państwa niemieckiego. Społeczeństwo niemieckie odczuwało wprawdzie braki w zaopatrzeniu i zniechęcenie długoletnią wojną, ale poza żołnierzami – i oczywiście rodzinami poległych – nie doświadczyło bezpośrednich skutków wojny. I wojna światowa zwłaszcza na froncie zachodnim toczyła się w okopach, to było coś najbardziej wyniszczającego, ale tylko dla walczących armii. Ze skutkami II wojny nie da się tamtych strat – głównie żołnierskich – w żaden sposób porównać. Odmienne okazały się następstwa porażek w obu wojnach dla Niemców. Dziś nie ma już w Niemczech rewizjonizmu w czystej formie, poza dość operetkowymi ziomkostwami nie ujawnia się tęsknota za utraconymi ziemiami. Co najwyżej pojawia się tendencja odzyskania dawnych wpływów w innej, ekonomicznej formie. Po Wersalu rewizjonizm stał się kamieniem węgielnym polityki nowych, republikańskich Niemiec. Dziś Niemcy mają inne problemy. Najpierw zafundowali sobie exodus Turków, którzy nawet zachowując swoją odrębność przyjęli jednak normy społeczności europejskiej. Teraz, gdy pojawiła się kolejna fala emigracji, już nie respektująca tradycyjnie europejskich wartości – Niemcy mogą we własnym kraju wkrótce stać się mniejszością, co w nieunikniony sposób prowadzi do zmiany charakteru narodowego.

Niemcy, którzy nie przywykli do samodzielnego myślenia, długo tego jeszcze nie zauważają, bo ich media w tym wypadku oszczędzą im złych – dla nich samych – wieści.

– Niemcy, których rozbrajano na wiadomość o przyjeździe Piłsudskiego do Warszawy nie oddawali karabinów tak szybko jak Austriacy, wspominał Pan, że padło wtedy sporo ofiar.

– Wobec Austriaków nie było z polskiej strony nastawienia wrogiego. Czuli to i inaczej się zachowywali. Galicja stała się polskim Piemontem, językiem polskim posługiwano się w urzędach, premierami w Wiedniu bywali polscy arystokraci. Armia austriacka (ściślej austriacko-węgierska) składała się też z Czechów, Chorwatów, Słowaków, Polaków... Z Niemcami sprawa miała się inaczej. Armia Ober-Ostu była zwycięska. Wciąż dobrze zorganizowana, wcześniej rozgromiła Rosjan na froncie wschodnim. Polacy zaś pamiętali Niemcom nie tylko rugi pruskie i łamanie strajku dzieci z Wrześni, wszystko co rzewliwie opisywała Maria Konopnicka – ale również bombardowanie Kalisza już na początku I wojny światowej. Celem niemieckiego ataku była ludność cywilna, zamiarem – sterroryzowanie przeciwnika, historykowi bardziej ten akt przypomina praktyki już z czasów kolejnej wojny, niż tej, która się dopiero rozpoczynała.

– Maria Dąbrowska opisuje tragedię Kalisza w „Nocach i dniach”, jeszcze mocniej eksponował to Jerzy Antczak w ekranizacji, która otarła się o Oscara. Wiem, że „gdybanie” w historii nie ma sensu, ale autorytet Piłsudskiego miał zasadnicze znaczenie dla pomyślnego rozbrajania Niemców?

– Przyjazd opatrnościowego człowieka (naprawdę w ten sposób był wtedy Komendant odbierany) powoduje, że podporządkowują mu się wszystkie środowiska. Wszyscy widzą w nim człowieka, który może pokierować państwem. Od dawna pojawiały się żądania zwolnienia Piłsudskiego z Magdeburga, a POW przygotowywała plany doprowadzenia do jego ucieczki z internowania.

– I nagle pojawia się w Warszawie Piłsudski żywy, nie mityczny...

– Nagle się pojawia Piłsudski. Władza leży na ulicy. I zostaje podjęta. Piłsudski w przemyśłany sposób uspokaja radykałów. Kolejno powierza pre-

mierostwo Ignacemu Daszyńskiemu i Jędrzejowi Moraczewskiemu. Próbuje jednoczyć. Powołuje wiele instytucji – w tym Marynarkę Wojenną, chociaż dostępu do morza wtedy jeszcze nie mamy. Jego decyzją powstają instytucje kultury, jak Biblioteka Narodowa, chociaż młodzież przez dłuższy czas pozostanie jeszcze na frontach, nie uniwersytetach. W tych wszystkich działaniach przejawia się dalekowzroczność Komendanta. Trwa wielka praca organizacyjna. Oczywiście można powiedzieć, że Piłsudski nie robił tego wszystkiego sam, ale pamiętajmy, że jako Naczelnik Państwa miał władzę dyktatorską. Tylko jego podpis coś znaczył. A jednak szybko decyduje się na zwołanie Sejmu. Chce przekazać władzę parlamentowi. Pamiętajmy, że to czas, kiedy – jak głosi ówczesne powiedzenie – „Polska jest podobna do łaski Bożej. I jedna i druga nie mają granic”. Stworzyliśmy w półtora roku milionową armię.

– ...która potrafiła te granice wywalczyć i obronić.

– Wiedzą o tym akurat wszyscy. Natomiast ta armia umiała nie tylko kraj obronić, ale Europę. Wreszcie Europa powinna to docenić. Marsz Armii Czerwonej nie zatrzymałby się na pruskiej granicy, ojcowie komunizmu wspominali o zanieśieniu rewolucji na bagnietach do Niemiec. Oczywiście nasza korzyść była też gigantyczna: zyskałszy 19 lat względnego spokoju. I wykorzystaliśmy ten czas. Port w Gdyni, linia kolejowa łącząca go ze Śląskiem, wreszcie w latach 30. Centralny Okręg Przemysłowy – wszystko to efekty gigantycznej pracy. Gdy porównuje się dokonania z tamtych lat z pierwszym dwudziestowieciem III RP – wnioski nasuwają się same...

– Czy Piłsudski rozumiał, o jaką stawkę wtedy gra, że chodzi o byt i los pokolenia?

– Najlepiej świadczą o tym słowa samego Piłsudskiego: „skończył się wyścig żelaza i krwi, zaczął się wyścig pracy”. Konfliktów nie brakowało, nawet krwawych jak w 1926 r, ale jednak zaczął się okres wielkiej budowy nowoczesnego i silnego państwa, czas tworzenia...

– ...i scalania trzech zaborów, gdzie granica oznaczała nie tylko inną mowę w urzędzie i alfabet na sklepowym szyldzie, ale nawet różniący się rozstaw torów kolejowych?

– Ludzie myśleli racjonalnie, mówię to o kadrach nowej Polski. Wprowadzono choćby zasadę: w sytuacji zagrożenia życia znosi się wszystkie inne przepisy. Próżno dziś szukać podobnej jednoznaczności. Lekarz widzi przez okno wypadek na ulicy, ale nie może wyjść ze szpitala, by ratować ofiary, bo przepisy mu tego zabraniają. W międzywojniu wprowadzono dodatkowe społeczne świadczenia, jak ktoś tracił pracę, to na pół roku zawieszano mu płatności. Wszystko to w chwili, gdy tak wiele było do odrobienia.

– Wracający z Zakaukazia Cezary Baryka w „Przedwiośniu” Stefana Żeromskiego przekracza granicę, rozgląda się po nędznym miasteczku już po polskiej stronie i retorycznie pyta ojca, który go do powrotu zachęcał: Gdzie są twoje szklane domy?

– Z czasem nie tyle szklane domy naprawdę wyrosły, co pojawiły się ich przekonujące wizje, których realizację udaremniła kolejna wojna. „Chciałem, żeby Warszawa była wielka” – powtarza we wrześniu 1939 prezydent stolicy Stefan Starzyński. I widzi wielką Warszawę wśród gruzów i zniszczeń. Wiemy, że za jego rządów powstaje plan zabudowy Pola Mokotowskiego. Ze Świątynią Opatrzności Bożej, nowoczesnym osiedlem mieszkaniowym i pomnikiem Marszałka. Marzycielami w „Przedwiośniu” są ojciec Baryki i Szymon Gajowiec. Również w realnym świecie wizjonerów nie brakowało, ich entuzjazm zaraził kolejną generację. To pokolenie żyło wartościami. Jeśli trzeba – również okazało się gotowe do poświęceń.

– „Strzelec”, organizacja ciesząca się osobistym patronatem Marszałka, a także harcerstwo stały się kuźnią kadr konspiracji i Żołnierzy Wyklętych już po wojnie. Legendarny dowódca antykomunistycznej partyzantki na ziemi łódzkiej Stanisław Sojczyński „Warszyc” przed wojną był wiejskim nauczycielem w okolicach Częstochowy i działaczem „Strzelca”. Z harcerstwa do Szarych Szeregów prowadziła podczas wojny droga Aleksego Dawidowskiego i Tadeusza Zawadzkiego, bohaterów Akcji pod Arsenalem.

– Jak się czyta raporty z posiedzeń konspiracyjnych władz, to nawet przewija się w nich motyw pewnego rozczarowania, że w harcerstwie przy końcu lat 30-tych było ponad 200 tys. młodych ludzi a w Szarych Szeregach odnalazło

się ledwo kilkanaście tysięcy. Gdzie są pozostali? – pytano wtedy. Oczywiście z perspektywy lat inaczej to oceniamy, wiedząc, że pokolenie Kolumbów, stworzyło państwo podziemne i najpotężniejszą armię podziemną w okupowanej Europie.

– Do samego kombatanctwa Józef Piłsudski krytycznie się odnosił. Na jednym ze zjazdów legionistów rozejrzał się po wypełnionej tłumem sali i skrzywił się: „gdybym ja was wtedy tylu miał”.

– Problem IV Brygady pojawił się po dekadzie istnienia II Rzeczypospolitej, gdy obóz piłsudczykowski objął pełnię władzy w kraju. Jak Pan wie, Brygady były trzy... Kwestia fałszywego kombatanctwa, dołączania w ostatniej chwili lub po fakcie do obozu sukcesorów powróci również w III RP – i to w formie zdecydowanie skandalizującej.

– Najpierw jednak trzeba było niepodległość odzyskać, żeby się spierać, komu ją zawdzięczamy... Czy Polacy, choćby mieszkańcy Warszawy, kładąc się spać 11 listopada 1918 r. wiedzieli, że kończy się dzień wyjątkowy i różny od innych?

– Maria Dąbrowska napisała, że była wtedy ładna pogoda. I powszechna radość. Wojna się skończyła, nie było powodu do smutku. Główny ciemniejszy Polak – Rosja, wojnę przegrał, wtedy było to już wiadomo. Teraz brano rewans za upokorzenia ze strony okupantów niemieckich. Na fotografii, zrobionej przed gmachem Ministerstwa Spraw Wojskowych widzimy wśród gromadzących się ludzi młodego człowieka w lekarskiej czapce, później zidentyfikowano tego bohatera, to był student medycyny, ustalono jego imię i nazwisko (późniejszy ppłk dr Stanisław Rotstad).

– Podobnie radosne zdjęcia robiono w Nowym Jorku we wrześniu 1945 r. gdy skapitulowała Japonia.

– 11 listopada 1918 r. to był oczywiście przełom, chociaż historycy zgadzają się, że każda data przyjęta jako termin odzyskania niepodległości pozostaje umowna. Wtedy od kilku lat mieliśmy już własną władzę na pół suwerenną. Rada Regencyjna polonizowała sądy i już wcześniej przed 11 listopada ogłosiła niepodległość Polski. Miała swoje zasługi, ale wciąż stanowiła namiastkę, Polacy nie oczekiwali przecież politycznego samorządu przy niemieckiej władzy

wojskowej. To Piłsudski sprawił, że pojawiła się nowa jakość. Przyszła chwila, którą wykorzystano. Poza nielicznymi mniejszościami, takimi jak komuniści, wszyscy byli zachwyceni, że odradza się Polska. Wcześniej już, w 1916 i 1917 r. odbywały się patriotyczne manifestacje, przybierające masowy charakter. Postawienie krzyża Romualdowi Trauguttowi i czterem członkom Rządu Narodowego ściągnęło mnóstwo ludzi na stoki Cytadeli. Wszystkie warstwy społeczne włączyły się do działalności patriotycznej, zanim przyszło budować instytucje państwa – tworzone redakcje i programy nauczania. Praca u podstaw służyła mobilizacji społeczeństwa. Błyskawicznie organizowały się kluby, modne stały się odczyty, skupiające wielu słuchaczy z korzyścią dla świadomości społeczeństwa. W mniejszych miejscowościach przyjazd literata z Warszawy czy Krakowa stawał się wydarzeniem, okazją do publicznego demonstrowania patriotyzmu i dumy z bycia razem.

– Sto lat od wydarzeń o których rozmawiamy minie w przyszłym roku. Jaki jest wasz plan na 2018?

– Dla nas to czas świąteczny. Chcemy wyjść na zewnątrz, do ludzi, do młodzieży. Trochę tak, jak wtedy do nich wychodzili bohaterowie historii, o których rozmawiamy. Przypomnimy rok 1918, ale równocześnie pokażemy, że pamiętamy o 1920. Polska wtedy nie tylko się odrodziła i obroniła sama, ale też obroniła Europę. Część kolegów gotowych jest do dyskusji w różnych ośrodkach w Europie i za Oceanem, z miejscowymi elitami, ze wszystkimi zainteresowanymi, oczywiście z Polakami z zagranicy, których na takie spotkania serdecznie zapraszamy. Działamy we współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Chcemy upowszechnić prawdę o polskim 1918 roku i kolejnych latach odzyskanej niepodległości.

– Czy dostrzega Pan przekłamania, z którymi przy okazji warto walczyć?

– W Domu Historii Europejskiej w Brukseli Piłsudski przedstawiany jest wśród dyktatorów, całkiem jak w podręcznikach historii z czasów wczesnego PRL. My zamierzamy zaprezentować go jako nowoczesnego polityka, jednego z tych, którzy budowali kształt ówczesnej Europy. Zarówno rok 1918 jak później 1920 pokazały zmotywowanie społeczeństwa i jego gotowość do

poświęceń, która w tym wypadku przyniosła efekt. Chcemy wychowywać propaństwowo. Znakomitym punktem odniesienia staje się tu społeczeństwo z tamtych lat, z jego poczuciem dumy narodowej, gotowością służby państwa i obrony oraz budowania wartości, wtedy chętniej mówiono o imponderabilach...

– Imponderabilia, czyli wartości podstawowe, to było ulubione słowo Marszałka.

– Piłsudski żywił przekonanie, że imponderabilia muszą służyć państwu. Opowiadał się za działaniem na rzecz jedności, co oczywiście nie oznaczało ujednolicenia społeczeństwa, jak u dyktatorów, z którymi go w Brukseli w sposób krzywdzący zestawiono.

– Jednak w Polsce Piłsudski chyba powszechnie postrzegany jest jako sprawca i twórca odrodzonej polskiej państwowości?

– Tak i nie. Wiadomo, że legenda i mit Marszałka wróciły. Jest numerem 1 jeśli chodzi o odrodzenie polskiej państwowości po 123 latach. Jedynym, który może to miejsce zajmować, taka jest prawda historyczna. W 1935, roku śmierci Marszałka, Uniwersytet Warszawski decyzją wszystkich swoich wydziałów przyjął jego imię. Jednak Senat uczelni w 1990 r. uznał, że Marszałek to postać kontrowersyjna. A w 2015 r. rektor nie zgodził się, żeby na terenie Uniwersytetu wmurować tablicę upamiętniającą o fakcie z 1935 r. W programie na 200-lecie uczelni, powołanej przecież w 1816 r. przez Rosjan, uniwersyteckie władze nie zająknęły się o patronie z roku 1935. A kto dziś pamięta, że stadion Legii też ma przedwojennego patrona – Marszałka Piłsudskiego!

– Lepiej rozumieli to studenci niż profesorowie? W latach 80 działacze akademickiej Konfederacji Polski Niepodległej i Niezależnego Zrzeszenia Studentów sygnowali, gdzie wydawane są ich niezależne od cenzury publikacje: „Uniwersytet Warszawski im. Józefa Piłsudskiego”. Studenci z PPS też nie mieli nic przeciwko temu, nie wypominali Piłsudskiemu, że wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Transparent z pełną nazwą uczelni wywieszono na bramie strajkującego Uniwersytetu w maju 1988 r.

– Zainteresowanie Piłsudskim w kręgach akademickich datuje się od lat 70 i towarzyszy rodzeniu się opozycji i drugiego obiegu wydawniczego.

– Pamiętam jak na początku lat 80, gdy byłem licealistą z Batorego, w czasach 16 miesięcy legalnego działania NSZZ „Solidarność” kupiłem w punkcie NZS na Uniwersytecie broszurę Marcina Króla „Józef Piłsudski. Ewolucja myśli politycznej”, którą znany historyk idei napisał z materiałów do wykładu, wygłaszanego na spotkaniach Towarzystwa Kursów Naukowych, czyli pracującego w mieszkaniach prywatnych „uniwersytetu latającego”. Również w stanie wojennym i później to była książka najchętniej ode mnie pożyczana, przechodziła z rąk do rąk, dosłownie zaczytywana. Obrazuje to głód wiedzy, związany z postacią Marszałka?

– Wyczuli to wzmożone zainteresowanie również rządzący, którzy jeszcze w latach 70 i potem w 80 przystali na swoisty „wentyl bezpieczeństwa” i wydawanie kolejnych tomów książek Andrzeja Garlickiego. Nazwisko Piłsudskiego nie pojawiło się jednak na okładkach z tego cyklu, tytuły były nijakie: „U źródeł obozu belwederskiego”, „Od maja do Brześcia” czy „Od Brześcia do maja”. Garlicki zyskał w obiegu oficjalnym swego rodzaju monopol na Marszałka, jego publikacje kreowały obraz dyktatora, z czym – jak wspomniałem – dziś jeszcze przychodzi walczyć uczciwym historykom, chociaż częściej już za granicą, niż w kraju.

– W książce „Wokół Marszałka” Andrzej Anusz udowadnia związki Andrzeja Garlickiego z komunistyczną służbą bezpieczeństwa. Wiadomo też, że gdy Garlicki wyjechał na stypendium do Nowego Jorku – w trakcie kontaktów z Instytutem Józefa Piłsudskiego nadużył zaufania samego Jędrzejewicza?

– Falszerz i agent wykorzystywał zainteresowanie postacią Marszałka. Kult Piłsudskiego przejawiał się nie tylko w gronie licealistów i studentów, o czym Pan wspomniął, również w anegdocie wśród zwyczajnych ludzi. Na przełomie lat 70 w ówczesnej Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni budowano statek „Marszał Budionny”. Miał otrzymać francuskie silniki, ale zamiast nich zamontowano inne z elbląskiego Zamechu, więc odbiorca nie kwapił się z zapłaceniem za niego i jednostka stała w doku. Robotnicy powiadali więc, że jest jeden sposób, żeby „Budionny” spłynął stąd jak najszybciej: zacząć budowę statku „Józef Piłsudski”, to wtedy się tamtego pozbędziemy. Pan opowiada o popularności zaczytywanej broszury Marcina Króla, sam z czasów studenc-

kich pamiętam jak udało mi się na trzy miesiące pożyczyć jeden z trzech tomów wydanej na emigracji historii Władysława Pobóg-Malinowskiego. Nie tyle robiłem z niej notatki, co znaczną część treści po prostu na własny użytek przepisałem. Nie wiedziałem, kiedy uda się znowu zdobyć ten tom ani dotrzeć do następnych. Wyobrażam sobie, jak zareagowaliby dziś moi studenci, gdybym im coś takiego zaproponował...

– Sentymenty, związane z Marszałkiem powracać będą w trakcie organizowanych przez Instytut imprez rocznicowych?

– Chcemy zacząć świętować jeszcze w tym roku w dniu urodzin Marszałka, 5 grudnia w Zułowie na Żmudzi, miejscu urodzenia Piłsudskiego, co traktujemy jako prelude do stulecia niepodległości. Będzie tam sporo osób. Warto byłoby w związku ze stuleciem ustanowić nagrodę. Planujemy wiele publikacji. Współpracujemy z Muzeum WP i Muzeum Niepodległości, Centralną Biblioteką Wojskową im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Poczta Polska, Narodowym Bankiem Polskim, Skarbnicą Narodową i Polską Wytwórną Papierów Wartościowych. Przygotowuję album o Piłsudskim. Liczymy, że władze ustanowią medal na 100-lecie niepodległości, taki jak w 1928 r. wybito na dziesięciolecie. Tak samo powinien wyglądać, co stanowić będzie piękne nawiązanie do tradycji II Rzeczypospolitej. W projekcie, który przedstawiamy zgodnym z wersją z 1928 r. profil Piłsudskiego jako jej głównego budowniczego znajduje się na awersie, zaś wizerunek oracza – rolnika na rewersie.

– Czy przy okazji rocznicy możemy się spodziewać, że do kraju wrócą materiały z emigracyjnego Instytutu Piłsudskiego?

– Instytut londyński podlega prawu brytyjskiemu, które zakazuje przekazywania tego typu materiałów za granicę. Chyba Instytut w Ameryce ma podobne uwarunkowania. Nie planujemy więc przenoszenia jego zasobów do Polski. Dokumenty zostały w całości zdigitalizowane, mamy ich kopie, wszystko jest dostępne. Podczas bytności w nowojorskim instytucie miałem okazję dotknąć oryginałów tek i map z archiwum belwederskiego, korzystanie z ogromnych kartuszy wymaga ostrożności, żeby ich nie uszkodzić. Ze wzruszeniem obcowałem z odręcznymi notatkami Marszałka. Przymierzamy się do wydania całości archiwum belwederskiego. Wszystko dziś zostało zakwalifiko-

wane i pozostaje dostępne. Oczywiście nie każdy historyk musi pracować na oryginałach, które trzeba chronić, ponieważ archiwum belwederskie stanowi bezcenne źródło i spuściznę. Wiele lat weryfikacji źródeł jeszcze przed nami. W Europie ujawniają się różnice w sposobie naukowego podejścia do historii. Francuzów interesują bardziej przemiany „esprit”: ducha, stanu świadomości. Niemcy preferują pracę na źródłach, dlatego tyle ich publikują. Zaś my największy problem mamy z pozostałościami komunistycznej historiografii. Nie da się pracować w ten sposób, że z historycznej-książki odrzuci się ideologiczny początek i koniec a resztę można potraktować jak prawdziwą. Fałszowano również źródła. Wiele komunistycznych publikacji nie można z tej przyczyny wykorzystać, trzeba je odrzucić w całości.

– O Piłsudskim pisali najwybitniejsi historycy i eseiści: od Wacława Jędrzejewicza po Leszka Moczulskiego, teraz wielkim zainteresowaniem cieszy się twórczość Bohdana Urbankowskiego związana z postacią Marszałka.

– Pewnie niewiele faktów, wiążących się z jego życiem i działalnością uda się jeszcze odkryć. Można tak, jak czyni dr. Bohdan Urbankowski, pisać o Piłsudskim z perspektywy jego wizjonerstwa, lektur i doświadczeń, które go ukształtowały, wpływów tradycji romantycznej i powstaniowej, tą drogą powstaje portret psychologiczny wielkiej postaci, tworzy się jej nowa interpretacja. Wiemy, że niewiele planów Piłsudskiego nie powiodło się, nie zostało zrealizowanych. Praktycznie raptem jeden...

– Federacja jagiellońska?

– Nie udała się, bo Piłsudski nie znalazł partnerów do realizacji koncepcji, nawiązującej do I Rzeczypospolitej. Litwini łączyli poczucie wyższości wobec Rosjan z kompleksem niższości wobec Polaków, wiadomo, że pozbawialiśmy ich elity po prostu ją przejmując, bo się spolonizowała. Z tej przyczyny przecież wielu ich radykałów uznawało Jagiełłę za zdrajcę. Sojusz z Ukrainą nie powiódł się, bo Ukraińcy nie byli zdolni do stworzenia armii na miarę możliwości tak wielkiego kraju. Trzy dywizje to za mało, jak na tak potężny naród.

– Czy w Rosji mogą się jeszcze znajdować cenne materiały o Piłsudskim?

– Jak wspomniałem najcenniejsze archiwa belwederskie wywieziono, ale w 1945 r. Rosjanie przejęli pozostałą część materiałów. Zwrócono ich część, ale są to rzeczy mniejszej wagi, jak choćby zeszyty szkolne panien Piłsudczanek. Trudno przesądzać, czy coś cennego jeszcze się w Rosji znajduje, ale możemy to domniemywać. Nie ulega wątpliwości, że działania Piłsudskiego interesowały Rosjan i były przez nich bacznie śledzone. Bogdan Musiał opisał reakcje na Kremlu na przewrót majowy. Liczono wtedy, że wybuchnie wojna domowa, w której Rosja stanie się rozjemcą i na tym skorzysta. Dlatego Komunistyczna Partia Polski poparła przewrót Piłsudskiego, co później nazwała błędem majowym. Likwidacja KPP i eksterminacja jej działaczy w czasie czystek stalinowskich nie miała jednak związku z tym faktem. Tępiono wówczas wszystko, co polskie, represjom podlegali również nasi rodacy spod Żytomierza czy Berdyczowa z powodu swojej przynależności narodowej. Pretekstów nie brakowało, ale to była walka z polskością.

– Instytut Piłsudskiego zajmuje się również mniej znanymi dotychczas stronami życia Marszałka?

– Przygotowałem broszurę o religijności Marszałka, wstęp do niej napisał bodajże najstarszy piłsudczyk, płk. pil. Mieczysław Stachiewicz, syn gen. Juliana, honorowy prezes Instytutu w Londynie, odznaczony niedawno Orderem Orła Białego, i przeor Jasnej Góry, o Marian Waligóra. Inspiracją stał się fałszywy pogląd o agnostycyzmie Piłsudskiego, nie znajduje on odbicia w zachowanych świadectwach, wynika z nich raczej, że jego myślenie pozostawało przepełnione religijnością, ale czasem nawet w środowiskach kościelnych ta opinia powraca. 20 października 1921 r. Piłsudski przyjechał na Jasną Górę z podziękowaniem za zwycięstwo z 1920 r. i odczytał akt ofiarowania Najświętszemu Sercu Pana Jezusa przygotowany przez biskupa przemyskiego Józefa Pelczara, dziś już ogłoszonego świętym, i dziękował za wiktorie w 1920 r. Wspólnie z Muzeum Piłsudskiego i Związkiem Piłsudczyków postaraliśmy się o upamiętnienie tego zdarzenia. Zadbaliśmy o to, żeby na Jasnej Górze wmurowano tablicę z cytatem z prymasa Augusta Hlonda, że Piłsudskiemu należy się wdzięczność całego chrześcijaństwa. Związki Marszałka z Kościołem to trochę zapomniana tematyka. Mało kto wie, że późniejszy

święty Maksymilian Kolbe chciał uciec z nowicjatu do Legionów. Zaś jego ojca legionistę Rosjanie złapali i powiesili.

– **Wspomniął Pan o współpracy z Muzeum Piłsudskiego. W 1994 r. na 11 listopada przygotowałem dla „Wiadomości TVP” materiał o śladach i pamiątkach po Piłsudskim. Odwiedziłem wówczas z ekipą willę Milusin w Sulejówku, gdzie wtedy mieściło się przedszkole. Filmowałem dzieciaki i opiekunów. Byłem z kamerą u burmistrza Sulejówka, który podkreślał, że musi się to zmienić, na jego biurku stał posążek Kasztanki, widoczny w kadrze. Pokazałem też, że Piłsudski nie ma szczęścia do pomników, ten przy Hotelu Europejskim nazwany został „dziadkiem parkingowym”, bo rzeczywiście wygląda jakby samochodów pilnował. Mój materiał wzbudził wielkie zainteresowanie niemieckiej telewizji publicznej, która zakupiła go zaraz na własne potrzeby.**

– W Sulejówku w willi Marszałka od lat już zamiast przedszkola działa Fundacja Rodziny Piłsudskich i muzeum, budują się nowe jego obiekty, w tym część badawcza. Ważne, żeby stało się ośrodkiem znanym w świecie z tego, że upamiętnia czyn i myśl Marszałka. Liczę na współdziałanie samorządu, który również na tym zyska, bo Sulejówek wszystkim kojarzy się z Piłsudskim. Co do pomników – rzeczywiście bardziej podoba mi się ten pod Belwederem.

– **Wydawnictwo Akces opublikowało w luksusowej formie dziesięć tomów pism Piłsudskiego. Pamiętam, jak nawet w latach 80. na UW Tadeusz Krawczak zachęcał studentów do czytania przedwojennych wydań pism Marszałka, wymagał do egzaminu znajomości jego tekstu z 1920 r. zaczynającego się od polemiki z Michailem Tuchaczewskim. Najpierw obaj kierowali ogromnymi armiami, potem spierali się o ocenę bitwy. Czy warto, żeby jak przed wojną te dziesięć tomów znalazło się w bibliotece nie tylko wielbicieli Piłsudskiego, ale w księgozbiorze każdego urzędnika?**

– Marzy mi się krytyczne wydanie pism Marszałka, z opracowanymi przez historyków przypisami, uwzględniającymi współczesną o nim wiedzę. Cenna publikacja Akcesu to reprint wydania przedwojennego. Rzeczywiście, wtedy w domowej bibliotece inteligenta: nauczyciela czy urzędnika często stało na

półkach te dziesięć tomów, ich eksponowanie oznaczało manifestowanie postawy propaństwowej i podkreślanie własnego statusu. Józef Piłsudski był oczywiście człowiekiem czynu, a nie literatem, ale pisał z piękną frazą stylistyczną i ciekawie, a wszystko co wyszło spod jego pióra zasługuje na zachowanie i propagowanie.

Rozmawiał Łukasz Perzyna

PO LUDZKU O „ŚWIŃSKIM CIELE”

O polskim rolnictwie, polityce państwa i Unii Europejskiej wobec polskiego rolnictwa, nie zachłystując się pochwałami i samozadowoleniem, nie ma odwagi pisać nikt. Ani naukowcy, ani tym bardziej politycy bądź działacze gospodarczy nie zaryzykują krytycznych sądów. O polskim rolnictwie mówi się tylko dobrze, bo przecież państwo i Unia Europejska dofinansowują ten sektor na niespotykaną kiedyś skalę. Jakikolwiek głos krytyczny to wystawienie się na ryzyko „podpadnięcia” potężnemu i licznemu w Polsce wiejskiemu elektoratowi. Wspierany on jest dzielnie przez zatrudnionych w otoczeniu rolnictwa, czyli w branżach sprzedających środki produkcji, skupujących, przechowujących i przetwarzających, a na końcu sprzedających produkty rolne.

Ten stan rzeczy powoduje, że coraz bardziej w ocenie stanu i sytuacji w polskim rolnictwie odrywamy się od rzeczywistości, coraz bardziej ci, którzy o rolnictwie mówią i piszą tę rzeczywistość zakłamują. Aż tu nagle ujawnia się problem, którego skala i możliwe konsekwencje ekonomiczne, polityczne, ekologiczne sprowadzają nas boleśnie na ziemię. Co mam na myśli? Epidemię afrykańskiego pomoru świń (ASF), która rozprzestrzeniła się na wschodnich terenach Polski, a jest wysoce prawdopodobne, że wkrótce przekroczy linię Wisły i obejmie cały kraj.

Pojedyncze ogniska choroby przywleczonej podobno do nas zza wschodniej granicy przez zarażone dziki zaobserwowano kilka lat temu. Reakcja odpowiedzialnych za rolnictwo władz i nadzoru sanitarnego była „dyskretna” – zgodnie z regułą, że o problemach najlepiej nie mówić głośno i nie działać radykalnie.

Doszło do rozprzestrzenienia się epidemii i w chwili obecnej mamy ujawnionych kilkadziesiąt jej ognisk.

Według zajmujących się problemem naukowców i działaczy gospodarczych za rozszerzenie się epidemii w pięciu do dziesięciu procentach odpowiadają dziki, których populacja w Polsce osiągnęła niespotykane rozmiary, szacowane na około 400 tysięcy sztuk. Tymczasem norma liczby dzików w stosunku do powierzchni lasów nie powinna przekraczać 40 tysięcy sztuk. Dzików przybywa, bo zwiększa się obszar uprawy kukurydzy – przysmaku tych zwierząt, a jednocześnie przestały być one atrakcją dla myśliwych. Dziś Pawlak z filmu „Nie ma mocnych” nie musiałby tracić czasu na przemalowywanie świni na dzika, by partyjny aparaczek miał na co zapolować – dzików ci u nas dostatek.

Odpowiedzialność w ponad dziewięćdziesięciu procentach za rozszerzenie się epidemii ponoszą ludzie. Na wsiach rolnicy ciągle jeszcze nie przestrzegają surowych zasad sanitarnych. Co gorsza, często to rolnicy skarżą się na służby weterynaryjne, że to one roznoszą chorobę. W domyśle sugerowane jest, że obowiązuje zasada: jest choroba, jest klient, jest kasa.

Osiągnęliśmy stan, w którym zagrożona jest znaczna część producentów trzody, a przecież są oni bardzo silnie powiązani ekonomicznie z bankami kredytującymi produkcję, przetwórniami mięsa, handlowcami.

Przykładem niech będzie młody rolnik z powiatu monieckiego, który zaciągnął kredyt na budowę tuczarni trzody, uruchomił tucz na dużą skalę, a teraz na skutek zarazy musi zutylizować idące w ponad tysiąc sztuk stado. Co więcej, przez kilka lat nie może podejmować tej działalności, gdyż jego gospodarstwo jest zainfekowane. Rodzi się pytanie, jak ma spłacać kredyty? Z czego utrzymać rodzinę i siebie?

Sprawa wydawała się błaha do czasu, gdy mówiono o kilku ogniskach epidemii. Wtedy ją zlekceważono w myśl zasady „moja chata z kraja”. Dziś, gdy epidemia rozprzestrzeniła się szeroko, jej opanowanie wymaga działań radykalnych i wielokierunkowych zgodnie z przykładem, które dała kilkadziesiąt lat temu Hiszpania. Co tam zrobiono? Zlikwidowano całkowicie tucz trzody w cyklu otwartym, a nawet zamkniętym przeprowadzając jednocześnie bardzo starannie wszystkie zabiegi sanitarne i dezynfekujące. Co więcej, idąc za przykładem hiszpańskim powinniśmy radykalnie ograniczyć uprawę kukury-

dzy zastępując ją innymi roślinami, by zlikwidować „stołówkę pod chmurką” dla dzików. Po trzecie – należy ograniczyć populację dzików umożliwiając ich odstrzał nawet na terenach Natury 2000 i w parkach narodowych – choć jest to półśrodek trudny do zaakceptowania dla ekologów. Co najważniejsze, to należy pomóc w stworzeniu zawodowej alternatywy dla kilkudziesięciu, a może więcej tysięcy rolników i współpracujących z nimi pracowników i przedsiębiorców, którzy powinni przekwalifikować się i podjąć inną działalność. W przeciwnym razie oni wszyscy skazani są na vegetację bądź bankructwo. I tak oto mały świński problemik stał się dużym problemem i to dotyczącym różnych środowisk gospodarczych. To nie są żarty. To jest często być albo nie być dla tych, którzy z ziemi się wywodzą, byt swój z ziemią związali i nie chcą, a bywa że nie potrafią z niej odejść.

Po powyższym opisie widać, że problem ASF w Polsce przerasta możliwości przeciwdziałania, a co dopiero likwidacji, jakimi dysponuje ministerstwo rolnictwa. Konieczna jest współpraca między resortami rolnictwa, spraw wewnętrznych, środowiska i finansów, a także samorządami i kto wie, kim jeszcze. By problem realnie rozwiązać potrzebny jest program wsparty poważnymi kwotami pieniędzy wygospodarowanymi przez ministra finansów i Unię Europejską. Wątpić jednak należy, by ta druga instytucja do interwencji i pomocy się kwapiła. Dlaczego? Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wyparcie polskiej wieprzowiny z rynku UE to marzenie producentów z Hiszpanii, Danii, Niemiec. Tu litości nie ma – jest szansa wyeliminować polskiego konkurenta z rynku, to się to robi, tym bardziej, że ostatnimi laty polscy rolnicy rozpychają się nieco ze swym eksportem na rynek unijny i na Wschód.

Jakie mogą być koszty programu? Nawet szacunkowo i skromnie licząc potrzebnych będzie kilka a prawdopodobnie kilkanaście miliardów złotych w okresie trzech-pięciu lat, by zlikwidować epidemię i stworzyć alternatywne źródła dochodów dla rolników dziś prowadzących tucz trzody. Tak czy inaczej, należy liczyć się ze spadkiem produkcji wieprzowiny w Polsce, a w konsekwencji wzrostem cen mięsa wieprzowego i jego przetworów, co z pewnością jest złą wiadomością dla konsumentów.

A co w tej sprawie zamierza zrobić ekipa dobrej zmiany? Nie chcąc narazić się rolnikom, bo przecież za rok to oni będą rozstrzygali w wyborach na kogo

zagłosują w samorządach, a za dwa lata w wyborach do parlamentu, minister rolnictwa próbuje rozładować napięcie obiecując odszkodowania i proponując rozwiązania prosto z głowy urzędników – tyleż spóźnione, co i nieskuteczne.

Przykładem niech będzie projekt budowy za ponad sto milionów złotych płotu na granicy Polski z Białorusią i Ukrainą. Liczyłby on ponad 700 kilometrów. Co o tym pomyśle sądzić? Wątpić należy w jego skuteczność i zgodę ekologów na jego budowę chociażby przez Puszcę Białowieską. Jeśli już, to dziś płot taki przydałby się bardziej na linii Wisły, ale nawet on nie uchroni przed przenoszeniem epidemii przez ptaki żerujące na padłych dzikach.

Przykład drugi to pomysł włączenia wojska i obrony terytorialnej do odstrzału dzików. Ktoś, kto o tym mówi dowodzi, że nie ma zupełnie pojęcia o tym, czym jest broń myśliwska, a czym broń używana przez wojsko.

Nierozwiązany pozostaje problem utylizacji padłych świń. Dziś są one transportowane na znaczną odległość, co jest bardzo kosztowne. A przecież ich mięso mogłoby być przerobione na karmę dla psów i kotów.

Sumując, polscy fachowcy od rolnictwa powinni zdać sobie sprawę, a najlepiej zrozumieć i zapamiętać, że większość problemów, które dotyczą rolnictwa może zostać rozwiązana tylko przy skoordynowanym użyciu narzędzi, metod, sposobów dostarczonych rolnictwu z zewnątrz, z otoczenia gospodarki włącznie ze środkami finansowymi. Po drugie, by możliwe rozwiązanie zostało sprawnie wprowadzone w życie potrzebna jest aktywna, zbiorowa, zgodna współpraca, współdziałanie rolników – co dziś na polskiej wsi jest często bardzo trudne bądź niewykonalne. W myśl przysłowia „chłop... (przepraszam – rolnik) na zagrodzie równy wojewodzie”.

Tak czy inaczej, w przededniu Ogólnopolskiego Święta Wieprzowiny przypadającego na dzień 5 sierpnia każdy kto lubi zakąsić „świńskim ciałem” niech trzyma kciuki, by epidemia ASF została w Polsce zlikwidowana.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZEDSIĘBIORCÓW ZA POLSKĘ

Już tytuł konferencji – „Odpowiedzialność przedsiębiorców za Polskę” przykuwa uwagę, a co dopiero gdy spojrzeć na miejsce i skład uczestników. Odbyła się ona 4 lutego w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu u ojca Tadeusza Rydyka, a udział w niej wzięli m.in. Jarosław Ka-

czyński, Mateusz Morawiecki, Henryk Kowalczyk, Wojciech Jasiński, Zbigniew Jagiełło i inni. Nazwiska mówców nakazują z największą uwagą wczytać się w ich wystąpienia.

Na wstępie wskażę na fakt, który wiele wyjaśnia. W żadnym z przekazów medialnych nie wspomniano, by podczas konferencji wystąpił i zabrał głos polski wielki, średni bądź mały przedsiębiorca, których jest przecież ponad półtora miliona. Zatem odbyła się konferencja o przedsiębiorcach, ważna dla przedsiębiorców, ale przedsiębiorcy prawa głosu nie mieli. Taki schemat prowadzenia debaty przywołuje na pamięć czasy dawnego systemu, gdy konwentykle partyjne zwoływane były pod hasłem troski o „lud pracujący miast i wsi”, o „klasę robotniczą”. Tyle, że przedstawiciele ludu i klasy robotniczej mogli co najwyżej wysłuchać przemówień aparaczków i na dany znak... urządzić spontaniczną owację na stojąco.

Jako jeden z polskich przedsiębiorców zadałem sobie trud przeczytania relacji z wystąpienia głównego mówcy – Jarosława Kaczyńskiego. Odpowiedzialność przedsiębiorców ma według prezesa PiS dwa poziomy: „Po pierwsze to zdanie sobie sprawy z tego, że istnieje państwo (...) jeżeli ktoś nie jest w stanie prowadzić działalności gospodarczej w takich warunkach, to znaczy, że się po prostu do tego nie nadaje”, „Jeżeli ktoś we współczesnej Polsce nie jest w stanie działać efektywnie, to po prostu powinien zająć się czymś innym.” Po drugie odpowiedzialność przedsiębiorców to według Jarosława Kaczyńskiego zobowiązanie wobec wspólnoty: „Do państwa należy żeby rozwój był możliwie sprawiedliwy, nie prowadził do zbyt wielkich różnic społecznych, natomiast do przedsiębiorców należy to wszystko, co jest potrzebne, by ten rozwój następował.” Mówca podkreślił, że to przedsiębiorcy odpowiedzialni są za skłonność do inwestowania oraz skłonność do wprowadzania innowacji. Konkluzja brzmi następująco: „Najpierw państwo, później własność”. „Państwo musi dysponować zasobami czyli musi ściągać podatki, składki, daniny publiczne”.

Wypada zapytać Jarosława Kaczyńskiego – co to jest państwo? Czy państwo to: naród, historia, ziemia, prawo, instytucje? Czy przeciwnie, jak mawiał pewien władca „państwo to ja”, a zatem sprawujący władzę i podlegli im urzędnicy. Czy zatem władza ma służyć narodowi w zgodzie z prawem, a instytucje państwa stać na straży tegoż prawa i bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego?

nego? Czy przeciwnie – a tak sugeruje Jarosław Kaczyński – naród, w tym wypadku przedsiębiorcy, mają wypełniać polecenia i zadania wyznaczone i nałożone przez rządzących utożsamiających się z państwem.

Teza – „najpierw państwo, później własność” – tak powabna i na pierwszy rzut oka słuszna jest z gruntu fałszywa. Prowadzi bowiem do wniosku, że w skrajnym przypadku bez własności, dodajmy własności prywatnej, może istnieć państwo, a w nim narodowa wspólnota. Co więcej, że bez własności można być wolnym... a ja dodam – najmitą. To właśnie polemizując z taką logiką Jan Olszewski, którego członkiem ekipy miałem zaszczyt być, zadał fundamentalne pytanie: „Czyja Polska?” Czyja, czyli kogo: władzy, urzędników, służb „tajnych, widnych i dwupłciowych”, a może przeciwnie – poprzez uwłaszczenie, wybicie się na własność – powinna pozostać w rękach Polaków, w rękach narodu. To Stanisław Staszic pisał o równości, wolności i własności jako fundamencie praw człowieka. Ten, kto coś ma, choćby tylko nieruchomości bądź małą firmę wie, że państwo jest mu potrzebne, by stać na straży własności i być partnerem w jej pomnażaniu. Natomiast ten, kto nie ma nic może beztrudno zaśpiewać „to już jest koniec, nie mamy nic, jesteśmy wolni, możemy iść”, a ja uściśnę... emigrować.

Teza Jarosława Kaczyńskiego, że polscy przedsiębiorcy mogą „nie zdawać sobie sprawy z tego, że istnieje państwo,” że mogą nie wiedzieć o odpowiedzialności”, „zobowiązaniach wobec wspólnoty” jest nie tylko błędna i dowodząca nieznanomości rzeczy, ale obraźliwa dla środowiska. Polski przedsiębiorca doskonale wie, co to jest odpowiadać za zatrudnionych pracowników, co z mocy prawa i obowiązków na niego nałożonych winien jest państwu i samorządom. Powiem więcej. Nawet gdyby polski przedsiębiorca chciał być nieodpowiedzialnym i nieobowiązkowym wobec państwa to przy obecnych bezwzględnych przepisach, nieprzychylnych, a często opresyjnych wobec niego – państwo poprzez swoje instytucje przypominałoby mu boleśnie, gdzie jego miejsce.

Jarosław Kaczyński oskarża, czyni odpowiedzialnymi przedsiębiorców za to, „co jest potrzebne, by rozwój nastąpił”, czyli brak skłonności do inwestowania i brak skłonności do wprowadzania innowacji.

Już sam fakt, że wyłącznie przedsiębiorców uznaje odpowiedzialnymi za rozwój gospodarczy uznać należy za błędny. Gdyby tak było, to może najprościej

należałoby zlikwidować środowisko przedsiębiorców, a doskonała, wszechwiedząca „grupa trzymająca władzę – lepszej zmiany” pokierowałaby gospodarką. Jarosław Kaczyński tak kategorycznie wypowiadający się o postawach przedsiębiorców, o dziwo, ani jednego nie włączył do swojej ekipy parlamentarnej czy rządowej. Co więcej, ani jednego przedsiębiorcy bądź ekonomisty nie ma wśród posłów PiS, zaś żaden z czołowych działaczy partyjnych i parlamentarnych nigdy złotówki nie zarobił prowadząc własną działalność gospodarczą. Dzielenie Polaków, dzielenie społeczeństwa – tak charakterystyczne dla sposobu uprawiania polityki przez Jarosława Kaczyńskiego na służących dobrej i służących złej sprawie przypomina tu powiedzenie „a ty Kuba od roboty, a ja Maciej od ochoty”.

Na zarzut o zbyt małe skłonności do inwestowania odpowiadam jako przedsiębiorca. Skłonność ta jest wypadkową dwóch możliwych stanów i sytuacji. Pierwszej, gdy prognozy, oczekiwania, kalkulacje co do przyszłych korzyści i zysków są pozytywne. Istnieje zatem uzasadnione przypuszczenie, co do wzrostu popytu na dobra i usługi przez nas wytwarzane. Zaś drugą przyczyną skłonności do inwestowania może być stan, gdy wzrost kosztów, spadek zysków i oczekiwania co do negatywnych tendencji, takich jak spadek popytu skłonią przedsiębiorcę broniącego się przed bankructwem do inwestowania w nowoczesne technologie. Wszystko po to, by obniżyć koszty, powstrzymać spadek zysku i być może umocnić swoją pozycję na rynku. Ani w jednym, ani w drugim wypadku skłonność do inwestowania nie może być „chciejstwem” bądź realizacją woli rządzących. Decyzje przedsiębiorców są w całej ich masie dowodem odpowiedzialności przed swymi pracownikami i samym sobą i wynikają z analizy rynku, prognoz co do koniunktury oraz oceny polityki gospodarczej i społecznej państwa.

Co oznacza powstrzymywanie się od inwestycji? Oznacza przede wszystkim brak oczekiwania pomyślnych zysków, wysokie ryzyko poniesienia straty. Kto ponosi odpowiedzialność za taki stan świadomości przedsiębiorców? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że przede wszystkim rządzący. Tym bardziej, jeśli swymi deklaracjami i przyjmowanymi rozwiązaniami prawnymi czynią z przedsiębiorców potencjalnych przestępców, łamiących prawo egoistów.

Dlaczego skłonność do wprowadzania innowacji jest wśród polskich przed-

siębiorców tak niska? Pierwsza przyczyna wynika z faktu, że innowacje dziś są najczęściej pochodną ogromnych nakładów ponoszonych na badania podstawowe realizowane przez wielkie zespoły naukowe, wyposażone we wspaniałe laboratoria, najczęściej finansowane przez ponadnarodowe koncerny bądź z budżetów państw. My takich badań nie prowadzimy, nas na nie nie stać. Na tej samej konferencji wicepremier Mateusz Morawiecki powiedział: „W budżecie pieniędzy na rozwój tak naprawdę nie ma. Z budżetu minister rozwoju nie dostał ani złotówki na rozwój.” Drugą przyczyną jest fakt, że to właśnie rządy postkomunistyczne i rządy AWS-UW poprzez rabunkową prywatyzację rozpendziły na cztery wiatry zespoły i zaplecza naukowo-badawcze oraz pracowników instytutów naukowych. A jeśli pan prezes o tym zapomniał, to przypomnę, że większość posłów AWS i UW to byli obecni posłowie PO i PiS. Pytam o jakich innowacjach może myśleć polski przedsiębiorca, jeśli w żadnej ustawie nie ma wzmianki o prawie do odpisu od podatku w przypadku ponoszenia nakładów na badania naukowe, na stypendia, staże dla młodych, zdolnych pracowników itp.

W przeciwieństwie do Jarosława Kaczyńskiego twierdzę, że polscy przedsiębiorcy odpowiedzialność za państwo świadomie na swych barkach niosą pomimo przeciwności, kłód rzucanych pod nogi, straszenia karami, domiarami, zaostżania prawa i opresyjnej działalności urzędów i instytucji. To przedsiębiorcy zatrudniają pracowników, płacą podatki. To im należy się pomnik, a przecież od nikogo nie usłyszeli słowa – dziękuję.

Polscy przedsiębiorcy od lat zabiegają o utworzenie samorządu gospodarczego – ich prawdziwej reprezentacji wobec władz państwowych, samorządowych i związków zawodowych. Odpowiedź na ten postulat jest niezmiennie negatywna. Polscy przedsiębiorcy powinni brać tyle odpowiedzialności za Polskę na ile ich głos jest słyszany, brany pod uwagę, przyjęty do realizacji przez rządzących. By ponosić odpowiedzialność trzeba mieć wpływ na decyzje, czyli współdecydować. Moja reguła brzmi – tyle odpowiedzialności ile współdecydowania. Tymczasem sposób prowadzenia konferencji, na której głos zabrał Jarosław Kaczyński i wygłoszone wystąpienia wykazały, że władza potrafi słuchać tylko siebie i sobie... miłych.

RACHUNKI KRZYWD... ZA PALIWO

„Są w ojczyźnie rachunki krzywd...” – zapewniam, że nie będzie bezzasadne podążanie za wskazaniami poety wprost do największego nad Wisłą producenta paliw – PKN Orlen.

Na początek krótka, acz dająca do myślenia wyliczanka. Jeśli przyjmiemy, że cena jednego litra paliwa wynosi 5 złotych (sądzę, że mniej więcej tyle kosztować będzie paliwo na naszych stacjach benzynowych przed wakacjami) to możemy od razu obliczyć ile wyniosły: opłata paliwowa, akcyza i podatek VAT, czyli narzuty nałożone przez ministra finansów, które my jako klienci płacimy. Otóż opłata paliwowa to około 13 gr. na litrze, akcyza to około 1,54 zł na litrze, zaś VAT to około 93 gr. na litrze benzyny. W sumie otrzymaliśmy 2,60 zł narzutów na jeden litr paliwa.

Zatem cena netto, po której nasze firmy sprzedają paliwo dystrybutorom musi być niższa od 2,40 gr. Dlaczego? Ponieważ musimy uwzględnić marże dla dostawców paliwa z rafinerii do stacji oraz marże stacji benzynowych. Według danych opublikowanych przez Orlen cena netto jednego litra benzyny wynosi około 2 zł w hurcie.

A teraz radosna informacja. PKN Orlen „wypracował” (zapamiętajcie Drodzy Czytelnicy to słowo) nie zarobił, a właśnie „wypracował” w pierwszym kwartale 2017 roku ponad 2 mld zł netto zysku (po opłaceniu podatku dochodowego) czyli 2,5 mld zł przed opodatkowaniem.

Dokonajmy porównania. Cena ropy na giełdach światowych w roku 2011 wahała się wokół 100 dolarów za baryłkę. Jeden dolar kosztował wtedy około 3,5 zł. Możemy powiedzieć, że cena baryłki ropy wynosiła około 350 zł. Ceny detaliczne diesla i benzyny na stacjach paliw oscylowały wtedy wokół 4,9–5,2 zł.

„Przeskoczmy” do współczesności. Wiosną 2017 roku cena baryłki ropy to koszt około 50 dolarów, czyli jest o połowę niższa niż 6 lat temu. Jeden dolar kosztuje około 3,85 zł, czyli jest droższy w przybliżeniu o 10%. Cena baryłki ropy nie przekracza zatem 200 złotych. Koszt zakupu jednej baryłki ropy jest zatem dziś o około 45% niższy niż w 2011 roku.

A teraz spojrzenie na ceny detaliczne na naszych stacjach benzynowych. Są

one o około 10% niższe niż w roku 2011. Ktoś powie – zaraz – przecież cena baryłki ropy spadła o 45%, czemu zatem paliwo kosztuje tylko o 10% taniej?

Odpowiedź tkwi w cudownie „wypracowanym” zysku przez PKN Orlen. Gdyby chciał on zachować proporcje kosztów zakupu baryłki ropy do hurtowej ceny sprzedaży z roku 2011, to cena jednego litra benzyny w hurcie powinna wynosić nie około 2 złote, a około 1,1 zł. Do otrzymanej kwoty doliczmy podatek VAT. Jest to suma opłaty paliwowej – 13 gr., akcyzy – 1,54 zł, ceny netto paliwa – 1,1 zł, czyli 2,77 zł pomnożona przez 23%. Ponieważ VAT wyniesie 64 gr., dodajmy 2,77 zł do 64 gr. i otrzymamy około 3,40 zł. Załóżmy, że kwota marży handlowej, kosztów transportu wynoszą w sumie – jak poprzednio szacowaliśmy – około 0,4 zł. Zatem cena benzyny po której powinniśmy kupować ją w detalu nie powinna przekraczać 3,80 zł.

Teraz już wiemy, skąd wziął się tak wspaniały wynik finansowy PKN Orlen. Po prostu zamiast obniżyć cenę hurtową o niemal połowę, firma utrzymała jej poziom z okresu, gdy ropa był dwukrotnie droższa. Oczywiście, PKN Orlen jest firmą poważną i kontrolowaną przez państwo, więc skrupulatnie zapłacił państwu należny podatek dochodowy zostawiając dla siebie, bagatela – ponad 2 mld zł zarobione w ciągu jednego kwartału.

Podliczmy. Narzuty na jeden litr benzyny przy cenie 5 zł już „na wejściu” wynoszą 2,60, dodajmy do tego około 1 zł, które zarabiają rafinerie nie obniżając cen hurtowych do poziomu wynikającego ze spadku ceny ropy na rynku światowym. W sumie otrzymujemy około 3,50 zł narzutów na jednym litrze benzyny. Proszę mi pokazać drugi taki produkt, na którym państwo zarabia około 3,50 zł przy cenie detalicznej 5 zł. Proszę mi pokazać drugą taką firmę, która bez narobienia się wypracuje taki zysk. Otóż – jest i druga – Lotos. Orlen i Lotos, dwóch monopolistów – jak para paliwowych „gniadych”, jak pegazy unoszą się nad polską gospodarką. A fachowe kierownictwo nad nimi sprawują najlepsi z najlepszych delegowani przez „dobrą zmianę”. To mówiąc, łaskawie zakładam, że wszystkie koszty, które ponoszą obie rafinerie są całkowicie uzasadnione, a działalność ich dyrekcji jest nie rozrzutna, a oszczędna i racjonalna.

Jako naiwny klient powinienem zapytać, co na monopolistyczny dyktat mówi Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta. Ponieważ odpowiedź znam – a jest nim milczenie urzędu – to powiem tylko, że my – klienci stacji benzy-

nowych powinniśmy i zrobmy to – policzmy, ile razy jesteśmy nabijani w balon:

- po raz pierwszy – gdy płacimy opłatę paliwową
- po raz drugi – płacąc akcyzę
- po raz trzeci – gdy płacimy zawyżony VAT
- po raz czwarty – gdy opłacamy zawyżoną w stosunku do kosztów hurtową cenę monopolową
- po raz piąty – gdy nie możemy rozliczyć całej faktury za zakup paliwa, bo jest to tak pogmatwane, że lepiej nie próbować
- po raz szósty – gdy płacimy osobny podatek na UOKiK, który miast nas bronić broni... monopolistów
- po raz siódmy gdy monopolista zarobiony naszym kosztem zysk nadzwyczajny... zainwestuje w coś, co nijak ma się do jego działalności (przykładem firmy energetyczne, które dofinansowują kopalnie), np. o paradoksie... w prace nad samochodem elektrycznym.

Tę wyliczankę można kontynuować, ale ja ograniczę się do tylko jednego przykładu. Ustawa 500+ spowodowała gwałtowny wzrost zakupu samochodów używanych. Sprzedaż paliwa wzrosła – diesla o około 40%, benzyny o około 11%. Ustawa 500+ z pewnością takiemu stanowi rzeczy sprzyjała. I tak oto obdarowani dodatkowymi pieniędzmi na dzieci, nasi rodacy radośnie wpłacili je z powrotem do budżetu za pośrednictwem stacji paliw i drogiej benzyny.

Jako ekonomista i przedsiębiorca nie mogę nie zwrócić uwagi na fakt, że polityka cenowa i podatkowa państwa względem paliw jest jednym z ważnych narzędzi kształtowania konkurencyjności gospodarki. Pytam – jak chcemy mieć konkurencyjne firmy, jeśli ceny paliw, które tak bardzo ważą w ich kosztach są wysokie? Jak chcemy mieć konkurencyjną gospodarkę, jeśli dla naszego robotnika i konsumenta paliwo jest drogie? Dziś dla pracownika samochód nie jest dobrem luksusowym, a z reguły środkiem komunikacji z miejscem pracy. Trzeba pracownikowi w płacy dać na samochód i paliwo odpowiednią ilość pieniędzy. Drogie paliwo to także droga komunikacja zbiorowa – autobusy i taksówki. W sumie wysoka cena paliwa podnosi koszty płacowe, a tym samym koszt robotnika. Drogi pracownik co oczywiste, to niższa rentowność przedsiębiorstwa, jego konkurencyjność i konkurencyjność całej gospodarki.

Polska dziś, gdy prawie nie ma przewag w przemyśle w stosunku do zagranicy powinna tam, gdzie to tylko możliwe takie przewagi stwarzać.

Stawka 23% VAT na paliwo (o wiele więcej od zalecanej przez Unię Europejską) oznacza, że dodatkowa ilość pieniędzy zarobionych przez państwo tą drogą na konsumentach trafia jako nasza składka do budżetu Unii Europejskiej (wysokość składki danego państwa do budżetu UE jest proporcjonalna, jest funkcją wysokości wpływów z podatku VAT danego państwa).

Wysoki podatek VAT na paliwo to oczywiście zachęta do nadużyć, wyłudzeń, przestępstw. To, że trzeba z nimi walczyć to oczywiste. Źle się jednak dzieje, jeśli przepisami, a przede wszystkim wysokością stawki stwarza się zachętę do przestępstw. Nie należy się dziwić zatem, że mimo wysokich kar i ryzyka tę drogę wybierają coraz lepiej zorganizowane mafie. Walka z nimi jest kosztowna – pytanie jak kosztowna, bo przecież służby są utrzymywane z naszych podatków.

Dlatego uważam, że przedsiębiorcy powinni podjąć kampanię sprzeciwu wobec monopolistycznych praktyk polskich koncernów naftowych i rządu, który tę politykę kreuje i wspiera.

Niech nie będzie tak, że wielcy i możni w naszej gospodarce zarabiają dużo i lekko kosztem wielu małych i ciężko pracujących. Niech nie będzie tak, że wielcy i możni wydają zarobione pieniądze tak, by przypodobać się politykom, a ci z kolei chwalą się tymi wydatkami, by przypodobać się... wyborcom.

I zrobiło mi się nieśmieszenie.

POLSKI SAMORZĄD GOSPODARCZY WOBEK GLOBALIZACJI I WIELKICH KORPORACJI

Czym jest i jak postrzegać dziś globalizację? Upraszczając, uogólniając a jednocześnie starając się wskazać najistotniejsze elementy – globalizacja to synteza procesów politycznych, technologicznych, ekonomicznych, społecznych i innych, która dokonała się w ciągu ostatnich trzydziestu a może czterdziestu lat. Przejawem globalizacji był z pewnością postęp techniczny, a w szczególności technologie informatyczne, komputeryzacja, które w niespotykany przedtem sposób przyspieszyły i zwielokrotniły wydajność pracy i przepływ informacji.

Rewolucja komputerowo-informatyczna w znaczący sposób przyczyniła się do osłabienia, rozkładu a na końcu upadku komunizmu. To umożliwiło przywódcom politycznym, ale co należy dodać także najbardziej „pazernym” kapitalistom uwolnienie się od poczucia zagrożenia rewolucją społeczną, ideologią eksportowaną przez państwa komunistyczne. Uwolniło także od poczucia obowiązku kompromisu płacowego i dochodowego z robotnikami i klasą średnią. Skoro kompromis przestał obowiązywać, rozpoczął się okres gwałtownego przyspieszenia w rozwarstwieniu, w poziomie zamożności społeczeństw. Kolejny element to gwałtowny wzrost rozmiarów korporacji ponadnarodowych i banków. Za cel swego działania postawiły one osłabienie, sprowadzenie do roli fasadowej instytucji państwa w krajach zacofanych bądź postkomunistycznych, a jednocześnie wykorzystania tejże instytucji państwa w czołowych gospodarkach kapitalistycznych jako instrumentu nacisku i narzędzia do dalszej ekspansji korporacji na rynkach międzynarodowych.

Globalizacja to także rozerwanie więzi między pieniądzem „bezpostaciowym”, elektronicznym obsługującym rynki finansowe i spekulacyjne, a pieniądzem cyrkulującym i obsługującym sferę realną czyli produkcję, handel, usługi. Szczególnie ważnym elementem globalizacji jest, moim zdaniem, przejmowanie w wymiarze państwowym, regionalnym i światowym władzy i prawa do podejmowania decyzji przez struktury niejawne, nie pochodzące z wyboru i nie ponoszące odpowiedzialności przed społeczeństwem.

Dzięki technologii informatycznej globalizacja dokonała ogromnego wzrostu obrotów kapitału finansowego i spekulacyjnego. Skala operacji spekulacyjnych poraża, idzie w tryliony dolarów. Można zauważyć fakt dolaryzacji gospodarki światowej, która postępuje pomimo wysiłków, przeciwdziałania temu zjawisku ze strony Chin, Rosji i innych państw. Większość światowych rezerw bankowych, kredytów, kont jest udzielana bądź prowadzona właśnie w dolarach.

Zmieniła się także rola banków z instytucji kredytujących w instytucje działające podobnie do funduszy inwestycyjnych czyli grających i spekulujących na rynkach międzynarodowych.

Gwałtownie powiększyło się zadłużenie państw, przedsiębiorstw i gospo-

darstw domowych. Wzrosła rozpiętość między dochodami grup społecznych najbogatszych a grupami o przeciętnych i niskich dochodach. Giełda i inne instytucje stały się wygodnym miejscem umożliwiającym „oderwanie” dochodów elity finansowej oraz kadry menedżerskiej od zarobków pracowniczych i robotniczych. Wystarczy powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych 25 menedżerów głównych funduszy headingowych w roku 2005 zarobiło średnio ponad 360 milionów dolarów każdy, a byli i tacy, co zarobili około miliarda. W żadnej fabryce rozpiętość płac między kadrą kierowniczą a pracownikami nie mogłaby osiągnąć takiego poziomu. **Efektom gwałtownego wzrostu rozwarstwienia w dochodach jest „wypłukiwanie średniaka”, to jest proces zaniku tak zwanej klasy średniej spośród której nieliczni awansują do grona najbogatszych, a zdecydowana większość stacza się do poziomu dochodów pracowniczych i robotniczych. Warto tu nadmienić, że w wielu opracowaniach socjologicznych i ekonomicznych uznawano do tej pory klasę średnią – liczną i zamożną za fundament nowoczesnego i dynamicznego społeczeństwa kapitalistycznego.**

Jako ważne zjawisko należy wskazać ogromny wzrost znaczenia roli mediów, głównie elektronicznych w kształtowaniu postaw i opinii społecznych. A wreszcie końcowym, niestety trudnym do wyliczenia jest wzrost transferów kapitałów głównie na kierunku z biednego Południa do zamożnych państw Północy wynikający zarówno ze skali zadłużenia, jak też tak zwanych opłat licencyjnych, praw autorskich i innych.

Należy zadać sobie pytanie: czym stała się, co jest istotą globalizacji? Moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o walkę o władzę i dominację: ekonomiczną, polityczną, kulturową, ideową.

Kapitał finansowy zdominował procesy ekonomiczne i społeczne, a żeby być atrakcyjnym jako swoistej sprężyny, zaczynu potrzebuje on spekulacji, „wyreżyserowanych” zjawisk losowych. Łatwo zatem wskazać kogo i co uznał ten kapitał za swego wroga. Moim zdaniem globalizacja za wrogów uznała przede wszystkim: stabilność, przewidywalność, normalność, realne procesy gospodarcze, silne i sprawne państwo, zdyscyplinowane społeczeństwo o wyraźnych kryteriach i regułach działania, instytucje zaufania publicznego. Z drugiej strony kapitał finansowy jako główny

reżyser procesów globalizacyjnych za zjawiska, które mu sprzyjają uważa: słabą, raczkującą demokrację, rozwarstwienie i konflikty społeczne, swobodę wstępu i przemieszczania się kapitału zagranicznego.

Skoro sposobem działania jest eskalowanie napięć: ekonomicznych, politycznych, społecznych a nawet kulturowych to metodą rozwiązywania problemów jest „terapia szokowa”. Obowiązuje zasada, że im większe napięcie uda się wywołać tym łatwiej, tym bardziej radykalną terapię będzie można zaaplikować. Efektem terapii powinno stać się uzależnienie struktur ekonomicznych, społecznych, politycznych, państwowych i innych od międzynarodowego kapitału finansowego. Przykłady takich działań znajdujemy w Meksyku 1982-1984, Azji Południowej 1977, Rosji 1998, strefie euro 2007 a także na Bałkanach, krajach arabskich, na Ukrainie i niestety w Polsce.

Gdzie widzę główne zagrożenia, w tym dla Polski, wynikające z tak scharakteryzowanych procesów globalizacji?

Po pierwsze dotyczą one rodziny jako struktury stabilnej, wielopokoleniowej, która dzisiaj wystawiona jest na próbę pod względem etycznym, kulturowym a nawet prokreacyjnym.

Drugim polem, które atakuje globalizacja jest pojęcie i kategoria narodu rozumianego jako świadoma wspólnota posiadająca poczucie tożsamości, własnej kultury, hierarchię wartości, zdolność do poświęceń a zatem odporna na działania manipulacyjne.

Na trzecim miejscu wymienić należy gospodarkę narodową, którą struktury globalistyczne starają się wywłaszczyć z majątku, zadłużyć, by wreszcie uzależnić, eksploatować, poddać kontroli.

Ostatnim polem silnie atakowanym przez globalistów jest państwo i jego instytucje stojące na straży interesu narodowego i państwowego. Cała siła nakierowana jest na skorumpowanie i demontaż instytucji państwowych, przejęcie realnej kontroli nad sprawującymi władzę przy jednoczesnym zachowaniu pozorów państwa demokratycznego i wielopartyjnego.

Carl von Clausewitz pisał o Polsce: „...ich nikczemne obyczaje państwowe i niezmierzona lekkomyślność szły ręką w rękę i w ten sposób pędzili w przepaść.” A Aleksander hrabia Fredro uważał, że „...nie pomoże męstwo, gdzie przezorność mała, samobójcze skłonności Polska ma i miała”. Przywołałem cy-

taty, by podkreślić powagę sytuacji, w jakiej my Polacy i Polska jako państwo się znajdujemy.

Rozpocznę od analizy społeczeństwa. Trzy elementy uznaję za kluczowe w charakterystyce naszej wspólnoty. Pierwszym jest zapas demograficzny oraz perspektywy na najbliższe dziesięciolecia, drugim kryzys rodziny i świadomości społecznej, zaś trzecim kumulacja konfliktów na tle zamożności, braku perspektyw i z innych przyczyn.

Zapas demograficzny przybrała rozmiary katastrofy. Około 800 tysięcy Polaków wyemigrowało w latach 1980-1990, ponad 2 miliony w latach 2000-2015. Z liczby urodzin przekraczającej 700 tysięcy rocznie spadliśmy do poziomu niewiele ponad 300 tysięcy. W roku 2050 będzie nas, według różnych szacunków, od 32 do 35 milionów, czyli o 4-6 milionów mniej niż obecnie. Emeryci stanowić będą ponad 35% populacji. Jako naród wymieramy.

Kryzys rodziny przejawia się w spadku dzietności, malejącej liczbie zawieranych małżeństw, ale także we wzajemnych relacjach między pokoleniami. Widzimy tu jak na dłoni zanik wrażliwości, szacunku, hierarchii wartości a nade wszystko trzech wyznaczników prawdziwej rodziny: obowiązku, odpowiedzialności, odwagi. W świadomości społecznej coraz mniej znajdujemy nawiązań do autorytetów, tradycji, poczucia wspólnotowości.

Coraz wyraźniej dają o sobie znać konflikty społeczne na tle rozwarstwienia i związanego z tym wykluczenia. Nowym polem sporów są brak perspektyw i szans dla młodego pokolenia, narastający egoizm. Szereg konfliktów społecznych jest sztucznie generowanych i umiejętnie podsycanych przez starające się manipulować społeczeństwem media. Często z tego faktu nie zdajemy sobie sprawy. By wskazać konkret przywołam przykład wzajemnych animozji między: pieszymi, rowerzystami i kierowcami. Śmiem twierdzić, że ścieżki rowerowe są często tak wytyczane, by stwarzać zagrożenie zarówno dla kierowców, jak i rowerzystów, co grozi wypadkami a już wzajemne obelgi stały się regułą.

Sumując: **jesteśmy społeczeństwem, które stoi przed problemem fundamentalnym – przetrwania i odbudowy dynamiki demograficznej, ekspansji kulturowej, odbudowy sensu i poczucia wspólnotowości w świadomości społecznej.**

Dokonyjmy teraz analizy stanu gospodarki polskiej. Pierwszym, co

trzeba podkreślić to wyzbycie się majątku w postaci przedsiębiorstw, banków, obiektów handlowych. Ponad połowa przemysłu jest w rękach kapitału zagranicznego. Jeśli chodzi o banki, to ponad 70% należy do zagranicy, a w handlu wielkopowierzchniowym – ponad 50%. Wyzbycie się majątku oznacza utratę prawa do dochodów z własności – czyli prawa do zysku. Pozostają zatem dochody z pracy czyli płaca. Jest ona jednak niska, gdyż zagraniczne koncerny lokują w Polsce takie zakłady i takie elementy procesów produkcji, które wymagają dużo prostej pracy fizycznej, są ekologicznie „brudne”, zatem niskopłatne.

Drugim wyznacznikiem stanu polskiej gospodarki jest wpływ kapitału zagranicznego na podział wytworzonej w Polsce nadwyżki a następnie jej los. Dwa sektory – handlowy i bankowy przechwytyują ogromną część nadwyżki wytworzonej w Polsce przez przemysł, rolnictwo i usługi. Gdyby te ogromne środki idące w dziesiątki miliardów złotych, a według niektórych ekonomistów szacowane na ponad sto miliardów złotych rocznie były reinwestowane bądź choćby w dominującym stopniu reinwestowane w Polsce – stan taki można by bezkrytycznie zaakceptować. Jest jednak przeciwnie. Bez małą całą nadwyżka przechwycona w Polsce jest transferowana za granicę i często, o paradoksie, służy ratowaniu bądź podtrzymaniu egzystencji firmy lub banku matki – jak ma to miejsce w przypadku banku PKO S.A.

Wielkie zagraniczne sieci handlowe dzięki swej sile kapitałowej, dominacji na rynku stopniowo przejmują władzę nad sferą wytwórczą z jednej strony a zachowaniami konsumentów z drugiej. Chcący sprzedać swoje wyroby muszą pogodzić się z dyktatem cenowym sklepów wielkopowierzchniowych czyli oddawać swoje wyroby po kosztach bądź z symboliczną marżą zysku, akceptować kilkumiesięczne terminy płatności oraz szereg dodatkowych warunków przerzucających koszty na producentów. Jednocześnie wielkie sieci wykorzystując swą oligopolistyczną pozycję potrafią narzucić klientom zawyżone ceny przy zaniżonej jakości produktów posługując się „trikami handlowymi”. W efekcie klienci płacą więcej za gorszy produkt. I trzecia składowa tej układanki to przysłowiowy już wyzysk pracowników zatrudnionych w wielkich sieciach. Ciężka praca jest wynagradzana skrajnie nisko, a o godnym traktowaniu ludzi trudno marzyć.

Sumując: **sieci wielkopowierzchniowe dzięki swej sile i przewadze kapitałowej przechwytują część nadwyżki wytworzonej w sferze produkcji, przechwytują część dochodów konsumentów, by na koniec wykorzystywać własnych pracowników.** W ostatecznym rozrachunku, o dziwo, wielkie sieci handlowe wykazują stratę bądź niewielki zysk bilansowy i nie płacą podatków. Należy dodać, że ukryte „w księgowych piruetach” kolosalne zyski są transferowane za granicę. Ten scenariusz realizowany jest od lat. To jest scenariusz eksploatacji Polski. To nie przypadek, że sieci niemieckie Lidl i Kaufland otrzymały ostatnio setki milionów euro kredytu (który prawdopodobnie zamieniony zostanie na darowiznę) między innymi z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju na ekspansję w Polsce.

Dochody banków po opodatkowaniu w Polsce przekraczają 15 miliardów złotych rocznie. Większość z tych kwot jest transferowana za granicę. Polski przedsiębiorca i konsument – jako **klienci banków doskonale zdają sobie sprawę, że mają do czynienia z instytucją, która narzuca im reguły gry, wykorzystuje przewagę ekonomiczną i realizuje zysk nadzwyczajny ich kosztem.**

Trzecim wyznacznikiem stanu polskiej gospodarki jest ogromny wzrost zadłużenia budżetu państwa, przedsiębiorstw, gospodarstw domowych. Według zgodnych szacunków ekonomistów państwo polskie jest zadłużone na około bilion złotych, a szacunki dotyczące przedsiębiorstw i gospodarstw domowych są niewiele mniejsze. Koszty obsługi długu państwowego to ponad czterdzieści miliardów złotych rocznie, a należy dodać, że głównymi wierzycielami są banki zagraniczne i to one decydują o parametrach obsługi zadłużenia. **Czy Polska jest już w pułapce zadłużenia? Jeśli przyjąć, że wierzycielami nie są Polacy a w przeważającym stopniu to kapitał zagraniczny to odpowiedź musi być jednoznaczna – tak, jesteśmy w pułapce zadłużenia. W tym kontekście stawianie zarzutu zadłużenia Polski przez ekipę Edwarda Gierka przy jednoczesnym wybudowaniu przez nią setek jeśli nie tysięcy przedsiębiorstw, milionów mieszkań uznać należy za nie zachowujące proporcji nadużycie.**

Ponieważ mówimy o stanie gospodarki to należy też wymienić przynajmniej te problemy, które już dawały o sobie znać a najbliższym czasie ujawniają się z rosnącą siłą. Na pierwszym miejscu wymienić należy reprivatyzację. Ten

konfliktogenny problem został rozwiązany we wszystkich państwach postkomunistycznych, tylko nie w Polsce. Chodzi zarówno o ziemię w województwach zachodnich i północnych, jak też o nieruchomości, głównie budynki w miastach, w tym w szczególności Warszawie, Krakowie, Łodzi. **Nie rozwiązany problem reprivatyzacji stał się polem do ogromnych nadużyć, wykreował mafie złożone z urzędników, adwokatów i prawników, pseudo-wierzycieli i spadkobierców oraz będących na ich usługach prostych złoczyńców. Grozi nam sytuacja przypominająca przedwojenne slogany – „wasze ulice, nasze kamienice”. A wszystko to w majestacie wyniesionego na piedestał bezprawia. Na śmieszność zakrawa w tym kontekście hasło części ugrupowań politycznych o repolonizacji przemysłu i handlu, gdy jednocześnie my Polacy będziemy wyrzucani ze zbudowanych bądź odbudowanych przez nas domów i mieszkań.**

Druga kwestia, którą należy podnieść to sprzedaż ziemi obcokrajowcom. Decyzja rządu o zablokowaniu tej sprzedaży na pięć lat jest słuszna, ale nie poparta dodatkowymi działaniami będzie skutkowała podobnym rezultatem, to jest wyprzedzą w przyszłości. O jakich działaniach myślę? Po pierwsze należy stworzyć warunki (kredytowe, podatkowe i inne), by Polacy, w tym polscy rolnicy osiągnęli takie dochody, by mogli wykupić ziemię za pięć lat, gdy zakaz zostanie uchylony. Mówiąc krótko – trzeba stworzyć warunki poprawy ich zamożności i sensu inwestowania w ziemię. Po drugie trzeba jasno powiedzieć, że obecna polityka rządu wydawania paszportów polskich według bardzo niejasnych przepisów i reguł to najprostsza droga do przejścia polskiej ziemi przez cudzoziemców, dla których ta ziemia nigdy nie była ani matką ani ojcowizną.

Jako trzeci problem wskazuję proces, który nazywam „odpychaniem Polski od morza”. Postawmy sprawę jasno. Jeśli damy się odepchnąć od morza, będziemy kontynuować politykę sabotażu gospodarczego – likwidacji przedsiębiorstw położonych w pasie nadmorskim, stoczni, floty handlowej i rybackiej miast je umacniać i rozbudowywać, przepadniemy.

Prześledźmy także zagrożenia, na które już dziś należy zwrócić uwagę, przeciwdziałać i zapobiec.

Szczególnie ważny jest problem ograniczania, a być może spadku po-

pytu w konsekwencji zmniejszania się liczby ludności oraz zmiany jej struktury, czyli wzrostu udziału emerytów w całej populacji. Fakty są brutalne. Dziś w wieku produkcyjnym jest 25 milionów Polaków. Za 20 lat będzie ich o 5 milionów mniej. Dziś w wieku poprodukcyjnym jest 6 milionów Polaków, za 20 lat będzie ich o 4 miliony więcej. W roku 2050 będzie nas o 4 a może 6 milionów mniej. Te dane mówią wprost, że spadek liczby ludności oznaczać będzie spadek popytu na: żywność, odzież, artykuły codziennego użytku. Będzie on tym silniejszy, że populacja emerytów wzrośnie do bez mała 40%, a przecież ich dochody nie będą stanowić nawet połowy dochodów pracowników i co więcej, w większym stopniu wydatkowane będą na lekarstwa i ochronę zdrowia. Jeśli do tego dodamy wzrost wydajności pracy wynikający z postępu technicznego w przemyśle artykułów konsumpcyjnych i związaną z tym walkę o rynki zbytu prowadzoną przez międzynarodowy kapitał – to pytanie jest brutalne: jak słaby polski przedsiębiorca ma poradzić sobie na kurczącym się rynku walcząc z silniejszym przeciwnikiem? **Problem realizacji czyli zbytu dla polskiej produkcji to już dziś powinien być główny przedmiot troski odpowiedzialnych przedsiębiorców, wspólnot, które ich reprezentują i mądrych polityków.**

Poważne zagrożenia widzę dla polskiego rolnictwa. Na Wschodzie, na Ukrainie, na Białorusi powstają ogromne farmy o obszarze przekraczającym 100 tysięcy hektarów, zorganizowane według najnowszych technologii rolniczych, wyposażone w sprzęt i kadrę zarządzającą. Wydajność takich gospodarstw przy bardzo dobrej ziemi, z której słynie Ukraina – a w konsekwencji niskie koszty produkcji, bo przecież robotnik ukraiński także jest tańszy od polskiego, to wielkie wyzwanie konkurencyjne dla polskich rolników. Już teraz Ukraina, o paradoksie, ramię w ramię z Rosją nałożyła embargo na import polskiej żywności. Czemu? Bo broni własnych producentów stwarzając dla nich warunki do szybkiego wzrostu i zwrotu z inwestycji. Z drugiej strony, z Zachodu zagrożeniem jest tak zwana umowa o wolnym handlu ze Stanami Zjednoczonymi. Podpisanie jej otworzy bramy dla importu do Polski taniej, bo nowocześnie produkowanej, ale też dotowanej żywności, co gorsza według norm i procedur GMO. Dlatego nie podzielam samozachwyty, w jaki popadli niektórzy przedstawiciele środowisk rolniczych chwając się

szybkim wzrostem eksportu polskiej żywności. Po pierwsze sprzedajemy ją pośrednikom, zarabiając mało gdy oni zarabiają krocie. Po drugie, obym był złym prorokiem, ale w niedalekiej przyszłości możemy zacząć tracić niektóre rynki zbytu.

Wniosek stąd wypływający jest jeden i zasadniczy. **Polska gospodarka musi stworzyć szybko wiele nowych miejsc pracy, co powinno umożliwić przejście części ludności wiejskiej do zawodów miejskich, a jednocześnie przyspieszyć proces powiększania gospodarstw. Co więcej, polskie rolnictwo musi szukać specjalizacji, stawiać na jakość produktów, a nade wszystko zorganizować się w grupy i wspólnoty producenckie, które zajmować się będą zarówno produkcją rolną, przetwórstwem i przechowywaniem a wreszcie transportem i sprzedażą pod własnymi markami i we własnych sieciach handlowych. Banki spółdzielcze muszą przestać być wygodną przechowalnią działaczy politycznych i „świętych krów” a stać się finansowym partnerem dla polskich farmerów.**

Data, o której trzeba przypomnieć to 2022. W tym roku w Unii Europejskiej rozpocznie się kolejna siedmioletka. Należy liczyć się z tym, że Polska z tak zwanych środków unijnych skorzysta w znikomym stopniu, a kto wie czy nie staniemy się płatnikiem netto do kasy Unii. Co to może oznaczać zarówno dla polskiego rolnika, przedsiębiorcy, jak i budżetu państwa – ja patrzący na szalejącą propagandę „sfinansowane ze środków unijnych” wyobrażam sobie, że może przypominać dzień sądny. Myślenie „Unia da” przemieniło się w bezmyślność. Najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy, zmądrzeć i zacząć liczyć na własne siły i talenty.

Musimy także pamiętać, że najbliższe lata będą pełne niepokoju, wstrząsów, kryzysów w świecie. Nie ominą one Polski. Jeśli chcemy je przetrwać, a powinniśmy wyjść z nich wzmocnieni, to już dziś, teraz, zaraz zacznijmy myśleć – co robić.

Uważam, że są dwie grupy społeczne odpowiedzialne za Polskę, odpowiedzialne bardziej niż inni, a są to – inteligencja, ta prawdziwa, uczciwa, patriotyczna i nie ulegająca modom, nie wzorująca się na celebrytach i nie dająca sobą manipulować. Druga grupa to przedsiębiorcy i w nich należy pokładać największą nadzieję, gdyż jest ich około dwa miliony, a ponoszą

odpowiedzialność za los swój, załóg, którymi kierują a często wspólnot i regionów, w których mieszkają.

Jeśli przedsiębiorcy wiedzą, bo widzą i doświadczają co złego dzieje się w polskiej gospodarce, jeśli rozumieją, że trzeba to zmienić to wypada zadać pytanie dlaczego przez ponad dwadzieścia lat tego nie zrobili. Dlaczego przez ponad dwadzieścia lat dają się nabierać na lep złotoustym politykom obiecującym „złote góry”, mówiącym, że to co należy zrobić w Polsce dla Polski i Polaków zrobią oni, politycy – „za nas, bez nas”? Dlaczego nie wyciągnęli wniosków z historii najnowszej i faktu, że zwycięstwo robotników nad komuną w latach 80-tych było efektem zorganizowania się w zdyscyplinowany i ideowy ruch społeczny?

Pierwszym obowiązkiem środowiska przedsiębiorców jest dziś stworzenie od podstaw samorządu gospodarczego. Nadanie mu takiej struktury i takich kompetencji, by najważniejsze decyzje ekonomiczne i społeczne w państwie były efektem jego inicjatyw bądź jego akceptacji. Drugim obowiązkiem środowiska przedsiębiorców jest wypracowanie długoletniej strategii i zadań doraźnych dla Polski.

Uważam, że dobrą wskazówką dla nas powinny być wzory państw zachodnich, w tym niemieckie. Organizowanie się środowisk rzemieślniczych i przedsiębiorczych w landach niemieckich zaczęło się jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Przypomnę, że w roku 1956 została uchwalona ustawa o obligatoryjnej przynależności przedsiębiorcy do zrzeszenia. Tak, powtórzę to z całą siłą, niemiecki przedsiębiorca ma obowiązek należeć do wybranej organizacji. Na tej bazie powstał samorząd gospodarczy, który ma głos rozstrzygający we wszystkich ważnych sprawach ekonomicznych: wysokości podatków, ulg inwestycyjnych, poręczeń kredytowych i innych. Co więcej, to z samorządu gospodarczego przechodzi się do władz terytorialnych i do wielkiej polityki. Może to kogoś zdziwi, ale zgoda na odpis części zysku po zjednoczeniu Niemiec i nie płacenia z tego tytułu podatków, gdyż miały posłużyć jako... łapówki w Polsce to także decyzja samorządu gospodarczego. Niech nikogo nie dziwi, że praktycznie wszystkie inwestycje niemieckie w Polsce są ulokowane „do linii Wiśły”. Jeśli ktoś uważa to za przypadek to tak, jakby chciał przekonać, że Niemcy nie działają systematycznie, a zdają się na ślepy los.

Kolejnym przykładem, który warto zapożyczyć z Niemiec są tzw. związki zakupowo-marketingowe. Jest ich ponad 320, zrzeszają kilkaset tysięcy firm zatrudniających ponad 10 milionów pracowników, a ich obroty przekraczają 500 miliardów euro rocznie. Dla porównania podam, że obroty przemysłu samochodowego Niemiec to około 350 miliardów euro rocznie. Związki zakupowe negocjują dla swych członków cenę energii (może to kogoś zdziwi, ale jest tańsza niż w Polsce), telekomunikacji, ubezpieczeń. Firmy mają zapewnione centralne fakturowanie, gwarancje zapłaty, wspólne magazyny, własne marki handlowe, ale co najważniejsze związki pilnują skutecznie jak nikt inny, by konkurencja nie zagroziła ich członkom na rynku niemieckim. Rodzi się pytanie – dlaczego do tej pory nie bierzemy z nich przykładu?

Podobnych wzorów troski o własnych przedsiębiorców, o rodzimy rynek zbytu można znaleźć wiele w innych krajach takich jak Francja, Hiszpania, Holandia. **Polscy przedsiębiorcy dali się zainfekować u progu lat 90-tych pseudo-liberalnym egoizmem, indywidualizmem. Czas przyznać się do popełnionych błędów, skończyć z udawaniem, że jesteśmy najmańdrzejsi. Czas działać we wspólnocie.**

Trzy są cele, które powinniśmy sobie wyznaczyć. Pierwszym jest ekspansja gospodarcza. Wybicie się na własność tak, byśmy mogli czerpać dochody nie tylko z pracy, ale także z kapitału – osiągać zysk, jak również z pomysłów – osiągać zysk nadzwyczajny. Dzięki ekspansji gospodarczej będziemy mogli zrealizować cel drugi – polskie być albo nie być czyli przełamać zapaść demograficzną. Na trzecim miejscu stawiam ekspansję kulturową. Polska była najsilniejsza i szanowana, gdy dzięki swej kulturze politycznej była atrakcyjna dla sąsiadów, stanowiła dla nich wzorzec.

W chwili rosnącego niepokoju w naszym regionie, destabilizacji Polska swymi rozmiarami, dorobkiem dziejowym a przede wszystkim talentem gospodarczym powinna wybić się na przywództwo i autorytet w regionie. To z kolei może i powinno przyspieszyć polską ekspansję gospodarczą.

Na zakończenie, jak mantrę powtórzę apel do wszystkich polskich przedsiębiorców – **razem i zdecydowanie wystąpmy o powołanie samorządu gospodarczego i nadanie mu uprawnień stanowiących i decyzyjnych na miarę wyzwań, które stoją przed naszą Ojczyzną.**

HISTORIA ZATOCZYŁA KOŁO

Dlaczego w czerwcu 2017 r. zostałem więźniem politycznym?

Właśnie (14.06.2017 r.) wyszedłem z więzienia. Ściślej z Aresztu Śledczego w Katowicach. W czasach Dobrej Zmiany rodzi się pytanie: Jak to możliwe, że zbrodniarze komunistyczni i najwięksi aferzyści pozostają wciąż bezkarni, a działacz opozycji niepodległościowej zostaje pozbawiony wolności ?

Sprawa jest prosta. Wymiar sprawiedliwości III RPRL pozostaje fikcją. Jest żywym reliktem kadr PRL-u i umowy Okrągłego Stołu z Magdaleny.

Dzięki działaniom tzw. nadzwyczajnej kasty, która aresztowała mnie 10 kwietnia 2017 r. (czym uniemożliwiła mi publiczne uczczenie ofiar w 7 rocznicę Tragedii Smoleńskiej z 10.04.2010 r.) i przedłużyła ten areszt do 21 kwietnia (czym uniemożliwiła mi udział w kontrakcji wobec zapowiedzianego przez tę kastę na 20.04.2017 r. swojego strajku) ostatnie święta Wielkanocne byłem uwięziony w Areszcie Śledczym w Mysłowicach za noszenie czapki legionowej oficera Związku Strzeleckiego na procesie o rzekome znieważenie pomnika ruskich okupantów. Sędzia Michał Fijałkowski ukarał mnie karą porządkową aresztu za naruszenie powagi sądu! Trzeba przyznać, że to bardzo oryginalny pretekst. Kara taka jest w naszych sądach wymierzana w ułamku sekundy oraz arbitralnie przez sędziego (zainteresowanego) i natychmiast wykonywana!

Na początku czerwca 2017 r. zostałem ponownie umieszczony, tym razem w katowickim areszcie, na podstawie kary porządkowej wymierzonej za ... słowną spokojną wypowiedź podczas tego samego procesu o rzekome znieważenie pomnika ruskich okupantów, iż (cytuje): „Sędzia zachowuje się dziś tak, jak sędziowie w PRL-u”. W systemie totalitarnym zdarzali się przecież uczciwi

sędziowie (bardzo rzadko, ale jednak) i zupełnie nie rozumiem nerwowej reakcji sędziego M. Fijałkowskiego. Czyżby poczuł się on dotknięty moją uwagą?

Oczywiście, prawdziwe powody represji ze strony wybranej kasty są oczywiste. Środowisku NIEZŁOMNYCH, weteranów opozycji, udało się zorganizować Miasteczko Protestu „Zamknąć (sędziego zbrodniarza) Michnika – uniewinnić (skazanego za protest tortowy) Miernika” pod Sądem Najwyższym w Warszawie oraz upublicznić nazwiska setek prokuratorów i sędziów zbrodniarzy komunistycznych, naszych oprawców ze stanu wojennego, którzy nadal kierują głównymi instytucjami wymiaru nie-sprawiedliwości. To wielki sukces Centrum Ścigania Zbrodniarzy Komunistycznych i Faszystowskich, które założyliśmy wspólnie z Marszałkiem Seniosem Kornelem Morawieckim Przewodniczącym Solidarności Walczącej (grupa parlamentarna Wolni i Solidarni) oraz posłem PiS Andrzejem Melakiem z Komitetu Katyńskiego i KPN. Więzienie przywrócono obecnie jako standardową represję za pomocą kar porządkowych, co stało się charakterystycznym precedensem w rękach kasty niezdekomunizowanych sędziów III RPRL, podobnym do ich własnych praktyk stosowanych w końcowym okresie PRL-u czy obecnie na Białorusi.

W celu represjonowania nadużywa się Ustawy „Prawo o ustroju sądów powszechnych”. Przepis ten został wprost zaimplementowany z czasów PRL i mimo, że jest niezgodny ze standardami Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (wedle rzymskiej zasady „Nemo iudex in causa sua” – „Nikt nie może być sędzią we własnej sprawie.” Polecam uwadze wyroki ETPC np. Kyprianou kontra Cypr, aplikacja 73797/01 z 15.12.2005) – kara pozbawienia wolności w trybie kary porządkowej jest po prostu na terenie Unii Europejskiej NIELEGALNA, a mimo to, jest w Polsce i w Bułgarii stosowana nadal.

Zamykanie w więzieniu kogokolwiek za słowne opinie samo w sobie jest kuriozalne. Normalnie jeżeli sędzia (dowolny funkcjonariusz) czuje się obrażony to ma pełne prawo dochodzić swoich praw w procesie cywilnym – tak od lat uważa Sąd Najwyższy i Trybunał w Strasburgu. Nie wolno mu jednak nadużywać swojego stanowiska do natychmiastowego wymierzania sprawiedliwości poprzez pozbawianie kogokolwiek wolności swoją arbitralną decyzją.

Parę słów o aresztach: ten w Mysłowicach robił na mnie wrażenie żywego skansenu komunistycznej kadry kierowniczej zwracającej się do wszystkich

zwrotami typu: „wiecie rozumiecie...”. Ponadto byłem tam osadzony z więźniami kryminalnymi, co jest jaskrawym złamaniem dyspozycji Kodeksu Karnego Wykonawczego, który stanowi, iż więźniowie ukarani karą porządkową nie mogą przebywać w towarzystwie osób skazanych za przestępstwa.

Areszt w Katowicach robi lepsze wrażenie, gdyż udało mi się po twardej walce wyegzekwować prawo do izolacji od kryminalistów oraz – co nie jest bez znaczenia – jedzenie było znośniejsze, lecz niestety limitowano tam rozmowy telefoniczne do zaledwie 5 minut, a czasami wręcz uniemożliwiano skorzystanie z aparatu telefonicznego.

Separacja ukaranych czy również więźniów politycznych jest tym ważniejsza, iż przed kilku laty bandyci z gangu „Krakowiaka” osadzeni w tym samym Areszcie Śledczym oskarżyli mnie, iż namawiałem ich do zabicia („wysłania do piachu” cytat z Aktu oskarżenia) Prezesa Sądu Rejonowego w Katowicach, Krzysztofa Hejosa. Prezes przyznał pytany jako świadek, iż spotykał się nieformalnie z oficerami MSW i przyjął celem „wykorzystania w procesie przeciwko Słomce” nagrania z nielegalnej inwigilacji wieców KPN. Po kilku latach procesu przeniesionego do Małopolski okazało się, iż wszyscy świadkowie oskarżenia to „skruszeni” współpracownicy CBŚ i innych służb specjalnych, karani za składanie fałszywych zeznań. W 2015 r. zostałem oczyszczony z zarzutów i uniewinniony, ale wcześniej byłem osadzony przez 2 tygodnie w Areszcie Śledczym w Wadowicach. Natomiast kierownictwo CBŚP oraz świadkowie oskarżenia czyli gangsterzy (np. skazani za dokonanie 110 porwań dla okupu) pozostali bezkarni, a ściślej mafiosi jakoś tak „przypadkiem” otrzymali sądowe przepustki w czasie odbywania kary ze względu na zły stan zdrowia i gremialnie wyjechali do Anglii gdzie słuch po nich zaginął. Jeden z tych „dżentelmenów” pod zmienionym nazwiskiem prowadzi całkiem poważny biznes w Polsce... Natomiast Prezes sędziego Hejosa awansował do Sadu Okręgowego w Katowicach. Co ciekawe, zaradny i „sławny” ostatnimi czasy Prezes Sądu Apelacyjnego w Krakowie zaproponował mu stanowisko pracy u siebie. Nie doszło to jednak do skutku, ponieważ „niewdzięczny i małostkowy” (zdaniem tzw. kasty) Prezydent RP Andrzej Duda „ośmielił się” nie zaakceptować jego kandydatury na sędziego Sądu Apelacyjnego czym spowolnił tę błyskotliwą karierę...

Jedynym skazanym w tej nietuzinkowej aferze sporej grupy sędziów, proku-

ratorów, oficerów Służby Więziennej, CBŚP i gangsterów „Krakowiaka” okazał się być miesiąc temu redaktor Józef Wieczorek. Jest to działacz opozycji, usunięty przez komunistów z pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim (i do dziś nie przywróconym do pracy!), a obecnie dziennikarz niezależny, który ujawnił całą tę intrygę w postaci relacji filmowej z jawnego w 99% procesu sądowego. Za ujawnienie tej prawdy (przepraszam: tajemnicy) nadzwyczajnej kasty został w akcie zemsty skazany. Jeżeli nie przypilnujemy i nie nagłośnimy jego sprawy w II instancji, to pewnie zamienią mu karę grzywny na areszt i będzie mógł poznać ponownie „uroki” jakiejś celi.

W areszcie w Katowicach obecnie byłem osadzony w celi numer 114. Jest to najmniejsza cęła tego obiektu o powierzchni tak małej, że nie mieści się tam - poza składanym ze ściany łóżkiem – nawet krzesło! Nic dziwnego, bo to były karcer Gestapo, NKWD i UB. Siedzieliśmy tam na zmianę z śp. Sławkiem Skrzypkiem (który zginął 10.04.2010 r. w Smoleńsku/Katyniu), karani przez trepa sadystę ze Służby Więziennej pod zarzutem umieszczania zdjęcia generała Jaruzelskiego wyciętego z prasy gadzinowej PRL w miejscu „prowokacyjnym” czyli ... na muszli klozetowej. Był to jeden z wielu przejawów prywatnej wojny internowanej braci górniczej, ale to my – jako najmłodsi – dostaliśmy za nich karę karceru. Tak historia zatoczyła koło. Trafiłem w znajome mury po 35 latach. Ale zmiana jednak zaszła, i owszem ... zamiast gołych desek pojawił się materac.

Mam nadzieję, że środowiska patriotyczne dopilnują zamiany tego aresztu w Muzeum Ofiar Terroru Komunistycznego wzorem obiektu położonego przy ulicy Rakowieckiej 37 w stolicy Polski. Katowicki areszt to jeszcze bardziej złowrogi obiekt. Tutaj zamordowano bodaj największą grupę Niezłomnych-Wyklętych. Tutaj też przez całą II wojnę światową AK-owców intensywnie mordowała gilotyna Gestapo. Każdorazowo jak piszę z aresztów listy do sądów to zawsze dodają na kopercie dopisek „z miejsca uświęconego krwią tysięcy patriotów zamordowanych przez sędziów PRL, NKWD i UB”.

Uważam, iż powinniśmy w ramach Ruchu Sanacji i Kontroli Sądów dążyć do uspołecznienia wymiaru sprawiedliwości, tak jak zrobiła to II RP i propagować w społeczeństwie i rządzie ideę powrotu do instytucji: ŁAWY PRZYSIEGŁYCH, losowo wybranych obywateli którzy podejmują decyzję o winie.

Sędziowie zajmą się wtedy tylko prowadzeniem rozpraw. Koncepcja obsadzania stanowisk dla „swoich” sędziów działa przecież tylko na kadencję własnej władzy, a to tylko pudrowanie trupa. Ważne jest, by społeczeństwo poczuło realnie dobrą zmianę i uznało instytucje Państwa za swoje, a nie wrogie. Dziś prawie każdy jak tylko może unika sądów jak ognia.

Wszystkim aktywnym społecznikom serdecznie dziękuję za wyrazy solidarności: za kartki wysyłane do aresztu (to ważne) i za udział w solidarnościowych wiecach pod aresztem i sądami. Przyzwoitym dziennikarzom za nagłaśnianie tego skandalu i patologii.

PS. Nota bene, moja prywatna historia kontaktów z przedstawicielami tzw. wymiaru sprawiedliwości dobrze obrazuje kwestię niesprawiedliwości, tj. winy i braku kary – zarówno w czasach PRL, jak i po 1989 r. Dotychczas bowiem żaden z moich oprawców nie poniósł jakiegokolwiek odpowiedzialności za swoje czyny (i nie ma na to tymczasem widoków):

Ani ten, który zabił moją Mamę Krystynę Słomkę (płk SB Z. Zygałło),
ani sędziowie i prokuratorzy chroniący towarzysza płk Zygałło przed odpowiedzialnością karną,

ani ten, który internował mnie w wieku 17-tu lat,

ani ten, który relegował mnie z wilczym biletem z liceum w 1982 roku,

ani ten, który nakazał wyrzucenie z pracy,

ani ten, który zasądził zaoczną eksmisję całej mojej rodziny z mieszkania,

ani ten, który uwięził kierownictwo KPN na 2 lata na ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie (sędzia Andrzej Kryże),

ani ci, którzy pobili mnie w szpitalu gruźliczym Aresztu na ul. Rakowieckiej do nieprzytomności (funkcjonariusze ZOMO przebrani przez SB w mundurzy Służby Więziennej PRL),

ani ten, który nakazał konfiskatę samochodu za przewożenie „nielegalnych” książek Miłosza i Piłsudskiego ... , itd.

Żaden komunistyczny siepacz nie został pociągnięty do jakiegokolwiek odpowiedzialności – ani karnej, ani nawet dyscyplinarnej.

Bezkarność tamtych zbrodni i przestępstw rodzi kolejne patologie w III RPRL, rozzuchwala nadzwyczajną kastę i ich złodziejsko komunistyczne zaplecze.

sygnatura sprawy z Sądu Myślenice to II K 704/11

LECH KRÓLIKOWSKI
TADEUSZ PORĘBSKI

WINNE SĄ WSZYSTKIE POLITYCZNE EKIPY PO 1989 ROKU

Pod koniec czerwca 2017 ukazał się w Tygodniku Passa ciekawy artykuł autorstwa panów Tadeusza Porębskiego i Lecha Królikowskiego. W mojej ocenie tekst bardzo ciekawy i traktujący sprawy dzikiej repriwatyżacji stołecznych nieruchomości nieco inaczej niż pozostałe media. Stał się podstawą do żywej dyskusji w wielu ursynowskich środowiskach.

Bez problemu udało mi się uzyskać zgodę pana Tadeusza Porębskiego i Redakcji Tygodnika PASSA na przedruk artykułu w kwartalniku Opinia, za co w imieniu zespołu redagującego serdecznie dziękuję.

Milej lektury.

Zbigniew Andrzej Adamczyk.

W dniu 12 czerwca rozpoczęła działalność sejmowa komisja weryfikacyjna, która ma badać złodziejską repriwatyżację stołecznych nieruchomości. Parlamentarna opozycja kwestionuje prawne podstawy funkcjonowania komisji, jednak zdecydowana większość opinii publicznej popiera powołanie i przewidywany sposób działania tego organu.

Po carskiej reformie uwłaszczeniowej w 1864 r. wielu posiadaczy ziemskich zostało z resztkami rodzinnego majątku. Od tego czasu, aż do I wojny światowej, wielu byłych ziemian przeprowadziło się do miast, gdzie stali się załóżnikiem nowej warstwy społecznej – inteligencji. Wielu z tych ludzi za resztki rodowej fortuny kupowało place i budowało domy czynszowe, zapewniając w ten sposób środki do życia kolejnym pokoleniom. Do tej grupy szybko do-

łączyli przedstawiciele tworzących się nowych elit. Na przełomie XIX i XX wieku miały miejsce głębokie przemiany w polskim społeczeństwie, a jednym z symboli było prężne i bogate mieszczaństwo. Rodzinny majątek, często zarobiony na różnego rodzaju spekulacjach, można było przegrać w Monte Carlo lub przepuścić na hulankach w Paryżu. Zdarzały się takie przypadki. Jednak znakomita większość starała się zainwestować, a najpewniejszą z inwestycji była własna nieruchomości w Warszawie.

Tym sposobem Warszawa, którą w 1863 r. zamieszkiwało 211,8 tys. osób, w 1914 r. miała już 884,6 tys. mieszkańców. Oznacza to, że przez pół wieku zaludnienie naszego miasta powiększyło się o 318 proc. Dla porównania, w okresie ostatnich 50 lat liczba ludności stolicy wzrosła z 1.266,7 tys. do 1.715 tys., czyli ledwie o 35,4 proc. Wzrost liczby ludności w tamtych czasach był więc w przybliżeniu dziesięciokrotnie szybszy niż obecnie. Przybysze potrzebowali mieszkań, więc inwestowanie w nieruchomości stało się bardzo opłacalne. W 1936 r. w stolicy wybudowano 2,4 mln, a w 1937 r. aż 3,4 mln metrów sześciennych kubatury mieszkalnej. Po zastosowaniu uproszczonego przelicznika oznacza to, że tylko w 1937 r. zbudowano w Warszawie – w dużej mierze na kredyt – około 22 tys. mieszkań.

Po wielu latach starań – głównie prezydenta Stefana Starzyńskiego – zasoby komunalne stolicy państwa wzrosły z 2 proc. w 1919 r. do 10 proc. ogólnej powierzchni w granicach administracyjnych w 1938 roku. Rok później – nie licząc obiektów przemysłowych – w Warszawie stało 25 498 budynków, w tym 853 prywatne. W okresie II wojny światowej wojny całkowicie zniszczonych zostało 11 229 budynków, ale przedwojenne budowlane prosperity spowodowało, że nawet po wojennych zniszczeniach aż 478,8 tys. osób znalazło w mieście w 1946 r. dach nad głową.

Kto to odbudował...

Place i kamienie, które są przedmiotem badań komisji sejmowej, należały przed 21 listopada 1945 r., kiedy dekret Bieruta wszedł w życie – do konkretnych prywatnych osób. Bezpośrednio po ustaniu działań wojennych ruszyła odbudowa ruin. Ocaleni właściciele ruszyli ratować swój majątek. Czymś zgoła symbolicznym jest fakt, że pierwszym obiektem odbudowanym na Starym

Mieście była kamieniczka przy ulicy Nowomiejskiej 10 odrestaurowana przez przedwojennych właścicieli. Polska Ludowa decyzję o odbudowie Starego Miasta podjęła w 1949, a do jej realizacji przystąpiono dopiero w 1951 roku.

Ówczesna komunistyczna władza uznała w 1945, że dla przyspieszenia odbudowy stolicy korzystna będzie „komunalizacja gruntów warszawskich”, które po reformie administracji w 1950 r. przeszły na własność państwa. W zakresie przejęcia gruntów na cele publiczne władze PRL wzorowały się na Rotterdamie, gdzie powzięto podobną decyzję. W dekrecie Bieruta napisano (art. 9), że „przejęcie gruntów odbywa się za odszkodowaniem wypłacanym w miejskich papierach wartościowych”. Papierów tych jednak nigdy nie wydrukowano, toteż przyrzeczone odszkodowania stały się fikcją. Nie chcemy wchodzić w szczegóły związane z dekretem i jego losami, dlatego przejdziemy bezpośrednio do 1990 r., kiedy reaktywowany został samorząd terytorialny.

Rozpoczął się wówczas proces przejmowania przez samorządy mienia skarbu państwa. Trwał co najmniej dwa lata i dopiero około 1992 r. rozpoczęła się repriwatyizacja mienia będącego w dyspozycji samorządu, przy czym była to głównie sprzedaż. Pojawiły się wówczas pierwsze (raczej wtórne) roszczenia byłych właścicieli. Początkowo nieśmiałe. Po 10–15 latach proces ten nabrał jednak niebywałego przyspieszenia. Początkowo akcja zwrotu kamienic byłym właścicielom i ich spadkobiercom była traktowana jak symbol, realizowanie sprawiedliwości dziejowej. Można się z tym zgodzić, ale pod pewnymi warunkami. Jeżeli kamienica została wybudowana za pieniądze i wysiłkiem przodków, należy uznać, że zwrot takiego obiektu jest należnym wyrównaniem krzywd.

Sporny problem stanowi wykonana przez inne osoby prawne lub fizyczne powojenna odbudowa znacjonalizowanej kamienicy, a często także jej rozbudowa, oraz wyposażenie budynku we nowoczesną w tym czasie infrastrukturę techniczną (kanalizacja, centralne ogrzewanie). To nie powinno, a wręcz musi być rozliczane. Po opracowaniu i zastosowaniu algorytmów oraz przeliczników wartości pieniądza spadkobierca byłego właściciela bądź kupiec roszczeń powinien przed wręczeniem mu decyzji repriwatyizacyjnej wpłacić do kasy miasta określoną sumę pieniędzy. To także jest sprawiedliwość dziejowa, bo kompletnie zrujnowaną stolicę odbudowywał pod patronatem m. in. Stołecznego Funduszu Odbudowy Stolicy cały naród. Za darmo. Dzieci w całej Polsce

zbierały złom i butelki, a zebrane pieniądze wpłacały na konto SFOS. To również jest pewien symbol.

Kto na tym skorzystał...

Tymczasem w procesie reprivatyzacji dochodziło do patologii. Znając zagadnienie od strony dziennikarskiej, możemy postawić tezę, że przynajmniej kilkaset decyzji reprivatyzacyjnych obarczonych jest wadami, często wydawano je wręcz z naruszeniem prawa. Bardzo ciekawym przykładem uwłaszczenia się na nieruchomości odbudowanej z publicznych środków od zera jest kamienica przy ulicy Nowy Świat 66. W 2000 r. Gmina Warszawa Centrum sprzedała tę kamienicę za 100 tys. złotych. Nabywcą był następca prawny Kazimierza B., znanego w Warszawie producenta pieczętek, datowników i stempli. Działacze Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów twierdzą, że wartość rynkowa kamienicy, zlokalizowanej na jednej z najbardziej prestiżowych stołecznych ulic, to przynajmniej 3,5 mln USD.

Urzędnicy samorządowi, jak również szczęśliwy nabywca, kontruja, że wartość nieruchomości jest o wiele niższa ze względu na brak szczegółowych zapisów w księdze wieczystej, jej zadłużenie oraz fakt, że budynek niemal w całości został odbudowany. Pytanie tylko – przez kogo. Jeśli wyłącznie z pieniędzy rodziny B., nie mamy pytań. Ale jeśli w odbudowie partycypowało społeczeństwo, sprawą powinien zająć się prokurator, ponieważ za przysłowiowy „psi grosz” Warszawa pozbyła się kamienicy wartej miliony dolarów. Tym bardziej, że urzędnicy zaniżyli pierwszą opłatę za użytkowanie wieczyste do 0,3 proc. wartości gruntu, choć zwyczajowo pobierano 1 proc. od funkcji mieszkaniowej i 3 proc. od usługowej.

Budynek Nowy Świat 66 był w 1945 r. zburzony w 95 procentach, jak większość domów przy tej reprezentacyjnej ulicy Warszawy, o czym najlepiej świadczą zdjęcia z tego okresu. Odbudowę zrujnowanej stolicy wspierał cały kraj. Do końca 1948 r. na konto Społecznego Funduszu Odbudowy Stolicy wpłynęło 3,4 mld złotych. Zapisy w księgach wieczystych dowodzą, że wiele budynków było zadłużonych u skarbu państwa właśnie z tytułu powojennej odbudowy finansowanej m. in. ze środków SFOS. Ponoć kamienica nr 66 przy ul. Nowy Świat obciążona była długiem w wysokości około 2 mln zł. Twier-

dzenie więc, że dom przy Nowym Świecie 66 i pozostałe na tej ulicy zostały odbudowane przez dawnych właścicieli jest po prostu śmieszne. W odniesieniu do kamienicy Nowy Świat 66 wniosek o przyznanie tzw. własności czasowej został złożony przez spadkobierców właściciela Władysława Czubka w dniu 12 października 1948 roku.

Lokatorzy wskazują palcem

Od 1946 do 1968 r. zarządcą budynku w imieniu spadkobierczyni byłego właściciela był Kazimierz B., który pobierał od lokatorów opłaty czynszowe (zmarł 22.10.1986 r.). Nagle okazało się, że Wojciech B., zstępny zarządcy budynku Nowy Świat 66 Kazimierza B., jest nie zarządcą, lecz spadkobiercą. Tak się bowiem jakoś dziwnie stało, że po śmierci spadkobierczyni właściciela odnalazł się dokument przyrzeczenia sprzedaży nieruchomości na rzecz Kazimierza B. Działacze Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów twierdzą, że w dokumentacji z czasów odbudowy kamienicy ówczesny administrator Kazimierz B. wielokrotnie wykreślał nazwisko spadkobierczyni z pism urzędowych, a nawet podpisywał się jej nazwiskiem.

Tak czy owak, od 1 marca 2001 r. za sprawą urzędników Gminy Warszawa Centrum prawnymi właścicielami kamienicy przy ul. Nowy Świat 66 są spadkobiercy Kazimierza B. Ostatnio okazało się, że Wojciech B. ma udziały w kilku innych nieruchomościach na terenie Warszawy, bynajmniej nie peryferyjnej. Stara się o zwrot nieruchomości Raławicka 4, Goszczyńskiego 24 i Mariensztat 6. Decyzją wydaną w październiku 2015 r. przez zastępcę dyrektora BGN Jerzego Mrygonia (autor skandalicznej decyzji o zwrocie nieruchomości przy Narbutta 60, której wykonanie udało się tygodnikowi *Passa* zablokować), pan Wojciech B. – wraz z dwiema innymi osobami – nabył udziały do części gruntu przy ul. Kazimierzowskiej 72 na Starym Mokotowie, na którym posadowiona jest 4-kondygnacyjna kamienica z 21. lokalami mieszkalnymi – 6 z nich zostało wykupionych przez najemców. Komisja weryfikacyjna powinna dokładnie przeświecić działalność Wojciecha B., a szczególnie proces reprivatyzacji kamienicy Nowy Świat 66.

Nie jest tajemnicą, że zdecydowana większość kupców roszczeń i innych

osób związanych z „dziką” repriwatyzacją to wpływowi przedstawiciele tzw. zawodów prawniczych – sędziowie, prokuratorzy, a przede wszystkim adwokaci. Ukształtowała się wąska, niezwykle ustosunkowana grupa ludzi, którzy zaczęli zerować na procesie repriwatyzacji. Ministrowie PiS mówią często o jakości prawniczej. Krzywdzi to zdecydowaną większość prawników, ale nie sposób nie zauważyć, że bardzo często w tej społeczności spotykamy wręcz „dynastie” prawnicze, w których zawód przechodzi z pokolenia na pokolenie. Wydziały prawa większości naszych uniwersytetów są bardzo liczne. Młodzi ludzie zawiązują na studiach przyjaźnie, niekiedy na całe życie. Nic więc dziwnego, że sędzia bez zbędnych oporów uznaje znanego adwokata kuratorem mienia byłych właścicieli nieruchomości przy Królewskiej 39.

Ręka rękę myje...

Interesujące jest to, że prawnicy Samorządowego Kolegium Odwoławczego w Warszawie uznali pełnomocnictwo potwierdzone przez notariusza z wyspiarskiego państewka Saint Kitts&Nevis, choć rzekomy były właściciel w chwili wydania tego dokumentu miałby mieć około 130 lat. Prof. Ewa Łętowska – w jednym z wywiadów (Gazeta Wyborcza z 27-28 sierpnia 2016 r.) powiedziała m. in.: „Sądy powinny były zdawać sobie sprawę, że napędzają koło repriwatyzacji”. Prokuratorzy, przykładem mogą być ci z Mokotowa, robili wszystko, by zamieść pod dywan zarzuty w sprawie zwrotu kamienicy przy Narbutta 60.

Dzisiaj Piotr Rodkiewicz, dyrektor stołecznego Biura Spraw Dekretowych, następcy rozwiązanego Biura Gospodarki Nieruchomościami, twierdzi do kamery telewizyjnej bez drgnięcia powieki, że „badał” sprawę Narbutta 60 i „nie widzi tam patologii, a fałszerstwo dokumentu trzeba udowodnić”. Dla pana dyrektora nie ma nic zdrożnego i nieprawidłowego w tym, że kluczowy dokument (akt notarialny z 1947 r.), na którym opiera się roszczenie, wyprodukowany został nie w kancelarii notarialnej, lecz w piwnicy zrujnowanego budynku na Mokotowie przez osobę nie będącą notariuszem, wypis z aktu notarialnego różni się od oryginału znajdującego w archiwum państwowym, a sama decyzja repriwatyzacyjna zawiera zapis niezgodny ze stanem faktycznym. Boże chroń nas, warszawiaków, od takich „badaczy”.

Większość z zamieszanych w proceder skupu roszczeń to osoby obracające

grubymi milionami. Komunistyczna propaganda nazwałaby takich „krwiopijcami spasionymi na krzywdzie ludzkiej”. Omawiana grupa, głównie członków zawodów prawniczych, to górna warstwa polskich elit towarzyskich i finansowych III RP. To ludzie, którzy z całym cynizmem wykorzystywali swoją wiedzę i rozległe koneksje, by ograbić z majątku miasto oraz osoby mniej wyrobione w posługiwaniu się prawem. To ludzie, którzy byli i są głównymi kreatorami pojęcia „święte prawo własności”, co polskie sądy przyjęły jako wykładnię w postępowaniu. Warto w tym miejscu wspomnieć inny wywiad, jakiego prof. Ewa Łętowska udzieliła Gazecie Wyborczej (GW 14-15 lutego 2015 r.) po tytule: „Własność nie jest święta”. W wywiadzie powiedziała m. in.: „Gdyby chociaż sędziowie mieli większe kapelusze ... i trochę mniej aksjologicznej niechęci do interesu społecznego jako rzekomego dziedzictwa po komunie”. A w innym miejscu: „Mit świętej własności w wypadkach wątpliwych nakazywał zwracać ją z nadmiarem dawnym właścicielom, ich następcom prawnym lub tym, który się za nich podawali. A przecież przy szkodach wyrządzonych przez wojnę i następujące po niej zmiany ustrojowe ucierpieli nie tylko właściciele kamienic czy nieruchomości”.

Kto nie lubi stolicy...

Nabycie przez jednego z członków omawianej elity roszczeń do kamienicy przy ul. Hożej 25A za 50 złotych nie jest czymś wyjątkowym, ani też wstydlivym dla skupujących roszczenia. Z jednej strony gwiazdy polskiej palestry, z drugiej naród, który często gołymi rękoma odbudowywał przejmowane przez nich dzisiaj kamienice. Jak czują się dzisiejsi 70- albo 80-letni ludzie, którzy od 1946 r. organizowali, często z własnej inicjatywy, zbiórki złomu, szmat, butelek, koncerty i przedstawienia, pracowali nieodpłatnie przy odgruzowywaniu i odbudowie przeznaczając dochód na fundusz odbudowy stolicy, a dzisiaj bezradnie patrzą jak owoc ich ciężkiej społecznej pracy konsumuje banda wydrwigroszy? Z pewnością fatalnie. To żadna sprawiedliwość dziejowa, to raczej dziejowa niesprawiedliwość. Pytają nieśmiało, czemu nie wylicza się wartości nieruchomości w dniu wejścia w życie dekretu Bieruta i z uwzględnieniem ówczesnej lokalizacji, co przy coraz częstszych odszkodowaniach w wyniku „nieodwracalnych skutków prawnych” ma obecnie nadzwyczajne znaczenie.

Władze PRL obłożyły wszystkich Polaków 0,5 – procentowym podatkiem od zarobków z przeznaczeniem na SFOS. Niektóre wyroby, jak na przykład alkohol, także obłożone były składką na SFOS. To dowodzi, że na odbudowę stolicy płaciliśmy dosłownie wszyscy, w różny sposób. Znaczna część społeczeństwa dodatkowo z własnej woli świadczyła na Fundusz widząc w tym możliwość niesienia pomocy tak znajdującej się w ruinie Warszawie, jak i jej mieszkańcom. Wiele budynków, a nawet całych ciągów ulic (np. Nowy Świat), odbudowano dzięki funduszom zebranych przez społeczeństwo. Ubocznym skutkiem przymusu płacenia po wojnie na SFOS jest objawiająca się dzisiaj antywarszawska fobia w polskim parlamencie. Podczas akcji zbierania podpisów pod projektem tzw. ustawy „janosikowej” wiele osób wieszczyło, że ustawa nie ma szans, ponieważ większość posłów po prostu nie lubi Warszawy. Ich zdaniem, stolica ma płacić, bo przed laty kraj płacił na stolicę.

Warto im przypomnieć, że Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy został przekształcony w Społeczny Fundusz Odbudowy Kraju i Stolicy, z którego finansowano odbudowę wielu obiektów na terenie całego kraju, na przykład niektóre budynki obecnego Uniwersytetu Opolskiego. Modne od jakiegoś czasu totalne negowanie osiągnięć polskiego społeczeństwa w okresie komunistycznego zniewolenia jest naszym zdaniem przysłowiową wodą na młyn dla wszelkiej maści cwaniaków, czego znakomitym przykładem są warszawscy kupcy roszczeń. Pod hasłem walki z komuną uprawiana jest w cyniczny sposób grabież majątku narodowego. Koneksje towarzyskie, biznesowe, a chyba także polityczne reprzywatyzacyjnej ośmiornicy sprawiają, że przez 27 lat III Rzeczypospolitej żadna z rządzących państwem partyjnych ekip nie miała woli uchwalenia ustawy reprzywatyzacyjnej, która choć w minimalnym stopniu uczylizowałaby ten proces.

O autorach:

Lech Królikowski. Znany varsavianista i samorządowiec. Był burmistrzem dzielnicy Mokotów, później radnym i przewodniczącym rady dzielnicy na warszawskim Ursynowie. Szczyci się tytułem doktora habilitowanego nauk humanistycznych. Przez około 20 lat był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Warszawy a także pracownikiem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, następnie

zatrudniony w NIK. Autor wielu, chętnie czytanych artykułów i opracowań historycznych.

Tadeusz Porębski. Znany i ceniony dziennikarz, przez wiele lat związany z Tygodnikiem PASSA ukazującym się na warszawskim Ursynowie. Znałca problematyki samorządowej, wnikliwy obserwator życia społecznego, miłośnik koni i wyścigów konnych. Od dawna mocno zaangażowany w sprawy związane z patologiami występującymi w procesach dzikiej reprivatyzacji stołecznych nieruchomości. Zapewne będzie jednym ze świadków przed niedawno powołaną Komisją badającą tę aferę. Napisał kilka książek (ostatnia zatytułowana TURNUS) oraz jest autorem scenariuszy filmowych (LAWSTORANT i CIEMNY ODCIEŃ CZERNI).



HISTORIA

AWS 20 LAT PÓŹNIEJ.
Z DZIENNIKARSKIEJ PERSPEKTYWY

Akcja: rehabilitacja

Wyborcy zrehabilitowali AWS, obdarzając Jerzego Buzka rekordowym poparciem w wyborach do europarlamentu. Za samą tylko reformę samorządów i górnictwa historycy wysoko oceniają Akcję Wyborczą Solidarność. Jej dokonania kontrastują z poczynaniami następców: zawłaszczaniem państwa przez ekipę Leszka Millera, minimalizmem polityki cieplej wody w kranie za rządów Donalda Tuska oraz niszczeniem demokracji wraz z więziami międzyludzkimi przez nominatów Kaczyńskiego.

Dziennikarz „Teleexpressu” minę miał nieszczerólną. Gdy podszedł do mnie na *rondzie*, jak nazywaliśmy zaokrąglony korytarz w redakcji „Wiadomości” nie wiedziałem, o co mu chodzi. Przed kwadranssem wytłumaczyłem dokładnie, gdzie ma szukać materiału o powstaniu AWS.

– Znalazłeś?

– No tak, ale... – wił się mój rozmówca.

– Znalazłeś czy nie? Czego cztery litery zawracasz?

– Tylko widzisz... Może masz nagranie robocze... Bo w zmontowanym nie ma ani jednego ujęcia z Krzaklewskim.

– Bo go tam nie było – roześmiałem się.

Na podpisaniu aktu założycielskiego Akcji Wyborczej w warszawskiej siedzibie Komisji Krajowej NSZZ „S” przy placu Trzech Krzyży, gdzie dziś mieści się biuro turystyczne Związek reprezentował wiceprzewodniczący Janusz Tomaszewski, otoczony peletonem regionalnych szefów. Lider „Solidarności” Marian Krzaklewski nie zaryzykował, bo nie był przekonany, że kolejna próba

zebrania rozproszonych po klęsce w wyborach z 1993 r. drobnych partii prawicy pod parasolem związkowym okaże się skuteczna. Wcześniej nie udało się przecież Konwent Świętej Katarzyny. Obradował w parafii charyzmatycznego ks. Józefa Maja pod pamiętającymi potop szwedzki platanami, a miał wyłonić jednego wspólnego kandydata prawicy w wyborach prezydenckich w 1995 r. Rozstrzygnięcia zabrakło, a do Pałacu Namiestnikowskiego (*eseldowcy* zżymali się na to drażliwe dla nich określenie) wprowadził się na 10 lat Aleksander Kwaśniewski.

Właśnie Janusz Tomaszewski wziął na siebie trud organizowania i dyscyplinowania kilkudziesięciu partyjek, nazwanych wtedy dziwacznie „podmiotami” AWS. Część z nich utworzyło rychło „spółdzielnię” w sprawny sposób wygrywającą głosowania. Wiele chętniej organizowało własne konferencje niż uczestniczyło we wspólnych prezentacjach Akcji. Pokazywałem w „Wiadomościach” jedno i drugie, walcząc o miejsce na antenie, więc były wiceszef programu Piotr Skwieciński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej”, której już wtedy przyzwoici ludzie nie brali do ręki, sformułował własną teorię: TVP pokazuje tyle partii, w tym kanapowe ugrupowania jak Koalicja Ludowo-Niepodległościowa, by zaszkodzić AWS. Jednym słowem: *telewizory* lansują prawicę codziennie, bo chcą ją zniszczyć.

Lepiej oceniali mnie abonenci. Gdy na jednym z zebrań w Galerii Porczyńskich nagrywałem Jana Marię Jackowskiego, wzruszona starsza pani żegnała moją ekipę znakiem Krzyża Świętego, wykrzykując: – Niech was Bóg błogosławi. TVP nie przypominała jeszcze telewizji północnokoreańskiej, a Danuta Holeccka zamiast jak później roztkliwiać się do łez nad ciężkim losem rządzących, próbowała sprawdzić się jako reporterka w materiałach o ustawie o grach hazardowych. Nie podobały się jednak wydawcom ani widzom. TVP stanowiła realną siłę. Kiedyś po montażu wyszedłem załatwić sprawę, która się przedłużyła i widząc, że nie zdążę na 19,30 do domu ani do redakcji, efekt postanowiłem obejrzeć na Dworcu Centralnym. Tam pod zawieszonym wysoko telewizorem dostrzegłem z kilkadziesiąt osób, w tym stałych mieszkańców tego miejsca, z zadartymi głowami wymieniających uwagi na temat oglądanych „Wiadomości”. Nigdy wcześniej ani później nie towarzyszyło mi tak mocne poczucie, że to co robię jest potrzebne i innych obchodzi.

Jednak to nie w telewizji rozstrzygała się przyszłość Akcji. Wspierany przez „spółdzielnię” z Andrzejem Anuszem i Piotrem Wójcikiem, Tomaszewski zajął się konkretną pracą organizacyjną. Za to Krzaklewski był twórcą algorytmów – używał tego określenia z całą powagą – mierzących siłę poszczególnych ugrupowań Akcji. O dziwo wszystko to... udawało się coraz lepiej. Do Akcji dołączyli zawiedzeni konserwatyści z Unii Wolności z Janem Rokitą i Bronisławem Komorowskim, współtworzyły ją oba KPN-y: wierny Leszkowi Moczulskiemu z Krzysztofem Królem oraz Obóz Patriotyczny z Adamem Słomką i Michałem Janiszewskim. Nad programem pracował architekt Czesław Bielecki, znany z bohaterskich głódówek z lat 80. na Rakowieckiej.

Drugą po SLD pozycję w sondażach zachował jednak Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, wspieranego przez ekonomiczną erudycję Dariusza Grabowskiego i talent, jaki w kontaktach z mediami objawił Andrzej Kieryłło. Ten ostatni był autorem pomysłu, aby tematyczne konferencje prasowe zwoływać w niedzielę. Zyskał przez to wdzięczność dziennikarzy, szukających gorączkowo tematu, ale i stałe miejsce w serwisach. Zanim jeszcze Antoni Macierewicz i Jacek Kurski rozbili Olszewskiemu partię – Krzaklewski musiał z nią negocjować, bo sondaże wykazywały, że wyborca prawicy domaga się jedności.

Niezobowiązującą dla obu stron formułę spotkania przyszło łatwo wybrać: to rozmowa o konstytucji, bo w Sejmie SLD i PSL w sojuszu z obu Uniami – Wolności i Pracy właśnie kończyły pracę nad swoją. Miejsce pertraktacji utajniono najstaranniej jak tylko było to możliwe.

Na szczęście w ROP znali mnie doskonale jako bywalca i promotora słynnych już niedzielnych konferencji. Zadzwoiłem więc do partyjnej siedziby.

- Czy mogę mówić z mecenasem Janem Olszewskim?
- Nie ma go, panie redaktorze, już dziś nie będzie – oznajmiła sekretarka.
- Ojej – zmartwiłem się teatralnie do słuchawki. – A ja chciałem nagrać wypowiedź mecenasa do wieczornych „Wiadomości” – frasowałem się dalej, tym łatwiej, że przecież to była prawda. – Czy może pani wie, dokąd pojechał?
- Nie wiem, ale się dowiem – obiecała uczynna pani.

W tle słyszałem jakieś szmery, potem gwar rozmowy. I wreszcie padło to, na co czekałem: – Do biura „Solidarności” na Trzech Krzyżach.

Widać Krzaklewski uznał, że najciemniej jest pod latarnią i konkurencyj-

nemu liderowi spotkanie wyznaczył tam, gdzie parę miesięcy wcześniej jego ludzie zakładali AWS. Ruszyliśmy z piskiem opon. Gdy Krzaklewski na miejscu zobaczył mnie z ekipą, był tak rozeźlony, że w pierwszej chwili w ogóle odmówił wypowiedzi. Ale gdy przed kamerą stanął Jan Olszewski – szef AWS nie miał już wyboru. Za to ja zyskałem „*ekskluziwa*”. Byłem tam sam z ekipą. O spotkaniu nie wiedział Polsat, ani najsprawniejszy dziennikarz telewizyjny w Polsce Wojciech Nomejko z „Panoramy”. Za to mój materiał z „setkami” (tak w telewizji nazywa się wypowiedzi do kamery, a nie kieliszki wódki) Krzaklewskiego i Olszewskiego ukazał się w „wieczornych” o 23,00 i wszystkich „Wiadomościach” w dniu następnym: o 9,00, dwunastej i 19,30.

Żadna wspólna lista AWS i ROP oczywiście nie powstała. Poza destrukcją wnoszoną do partii Olszewskiego przez Macierewicza – do zwycięstwa Akcji w walce o rząd dusz na prawicy przyczyniła się sprawa konstytucji. AWS roztropnie nie zaangażowała się w kampanię przed majowym referendum, oszczędzając siły na jesienne wybory 1997 r. Za to ROP wykrwawił się zwalczając projekt „bandy czworga” jak nazywano w tym gronie SLD, PSL, UW i UP. Pomysłów nie brakowało: działacze ustawili przed siedzibą Ruchu na Chmielnej ogromną trumnę w kolorze czerwonym, wypełnioną po brzegi egzemplarzami Konstytucji, które rozsyłał do obywateli prezydent Kwaśniewski. Działaczy było jednak zbyt mało, żeby tak obciążoną czerwoną trumnę unieść i podstawić Kwaśniewskiemu przed pałac, jak zakładał scenariusz *eventu*. Nie z tego oczywiście powodu ROP przegrał zarówno referendum jak wybory.

Na placu boju pozostała AWS. Wcześniej jednak doszło do wewnętrznej próby sił. Ruch oczyszczania list wyborczych zainicjował Czesław Bielecki. Gdy w Teatrze Polskim zorganizowano konwencję Ruchu Stu, w kuluarach nie rozmawiano o programie, ale o tym, kto powinien z listy zniknąć. O konflikcie poinformowałem w „Sztandarze”. Oprócz mnie napisała o nim tylko „Rzeczpospolita”. Dziennikarze „Życia” utrzymywali wprawdzie, że również informacje zdobyli, ale pisanie na ten temat zabronił im Tomasz Wołek, jednak znając tolerancyjny charakter ich naczelnego – podejrzewałem, że konfabulują. Zaś operacja czyszczenia list rozeszła się po kościach, za to zaowocowała odejściem z AWS Leszka Moczulskiego. Przewodniczący KPN wsparł Bieleckiego i został przez niego wpuszczony na pole minowe. Doszły do głosu emocje,

towarzyszące obecności dwóch partii o nazwie KPN w gronie sygnatariuszy Akcji. 4 lipca 1997 r. trwały rozmowy ostatniej szansy. Krzaklewski do końca zabiegał o pozostanie Moczulskiego w AWS. Lider Konfederatów pozostał nieugięty, lojalny wobec niego Król ogłosił wycofanie z polityki. Wieczorem wszyscy spotkali się raz jeszcze... na rocznicowym koktajlu w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Drogi się rozeszły. Za to Krzysztof Kamiński, Dariusz Wójcik i Grzegorz Cygonik za cichą zgodą samego Moczulskiego pozostali na listach Akcji, a potem zaliczali się do grona jej najskuteczniejszych posłów. Jednak odejście Moczulskiego osłabiło AWS i było jednym z powodów, dla których nie zyskała większości niezbędnej do samodzielnego rządzenia. Dla wyborców niepodległościowych Moczulski niezmiennie symbolizował hasło: dla zasad, nie dla posad. Alternatywę stanowiła formuła TKM, użyta przez Jarosława Kaczyńskiego w kontekście krytycznym, ale... właśnie przez jego zwolenników doprowadzona do perfekcji.

W tym czasie nie pracowałem już w TVP. Następca Wiesława Walendzia-ka w fotelu prezesa Ryszard Miazek, dawny rzecznik PSL, kierujący telewizją od wiosny 1996 r. miał ambicję odegrania roli dobrego gospodarza. Póki szefem „Wiadomości” był Jarosław Grzelak, dało się tam uczciwie pracować. Zły czas nadszedł, gdy pod naciskiem SLD na szefa informacji w TVP powołano Jacka Snopkiewicza, który w 1968 r. pisał do „Walki Młodych”, wówczas nieformalnego organu faszyzującej frakcji PZPR gen. Mieczysława Moczara. Kierownikiem „Wiadomości” został Grzegorz Kozak po szkole moskiewskiej, jego zastępcą Jacek Maziarski, dawny podwładny Jarosława Kaczyńskiego w Porozumieniu Centrum. Za życiowymi woltami Maziarskiego nikt nie potrafił nadążyć. Na kolegium „Wiadomości” był teraz w stanie powiedzieć, że w programie za dużo jest o Porozumieniu Centrum... PC pozostawało jednym z sygnatariuszy Akcji Wyborczej Solidarność.

A było co relacjonować... Gdy pojechaliśmy na kongres PC do ośrodka wczasowego w Serocku, już na parkingu, w padającym śniegu z deszczem, mnie i Krzysztofa Panka z Polsatu oblegli wymachujący kwitami ze spisnymi naprędce oświadczeniami przedstawiciele opozycji wewnątrzpartyjnej, których odpowiadający za porządek Przemysław Gosiewski kazał wystawić za bramę.

Zaś sam Jarosław Kaczyński aspirował do funkcji wiceprzewodniczącego

AWS. Gdy ważyły się losy, czy nim zostanie, pojechałem do siedziby PAX na Mokotowską, gdzie obradowała Akcja. W korytarzu chciał mnie wyminąć zgarbiony i roztrzęsiony człowiek, w którym z trudem rozpoznałem nadętego zwykle Kaczyńskiego. Wypowiedzi do kamery odmówił. „Na długopis” – jak mówimy w dziennikarskim slangu – zrelacjonował mi, co zaszło. Z kandydowania sam zrezygnował, gdy przeciw niemu opowiedziały się Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe oraz partie „spółdzielni”. Obawiano się, że zdominuje Akcję i spróbuje manipulować Krzaklewskim. W gorszym niż wtedy stanie Kaczyńskiego zobaczyłem dopiero w 20 lat później, gdy z trybuny sejmowej wyzwał oponentów od zdradzieckich mord.

Szybko okazało się wiosną 1997 r., że za rządów nowej ekipy w „Wiadomościach” relacjonowanie zdarzeń związanych z prawicą sprowadzać się ma do relacji z happeningów Janusza Korwin-Mikkego. Lidera Unii Polityki Realnej uznawano za niegroźnego. Blokowano podawanie na antenie wyników sondaży, bo przestały być korzystne dla SLD.

Nie tylko ja odszedłem wtedy z własnej woli z „Wiadomości”. Pożegnała się z nimi również Irena Pręcikowska oraz dawny zastępca Grzelaka i działacz NZS z lat 80. Andrzej Szozda. W typologii Moczulskiego – wszyscy wybraliśmy zasady. Pozostały za to na posadach Marzena Paczuska, Magdalena Tadeusiak i Danuta Holecka, którym „przykręcanie śruby” przez postkomunistów nie przeszkadzało. Po latach zostaną dyrektorkami lub prezenterkami w *pisowskiej* telewizji Jacka Kurskiego.

Zaś ja po krótkim epizodzie w „Sztandarze” gdzie miałem przyjemność pracować pod kierownictwem Michała Komara, jednego z najbystrzejszych ludzi, jakich znam – znalazłem się w „Życiu”. I tym samym w oku cyklonu, bo w redakcji szykowano tekst „Wakacje z agentem”.

Oskarżenie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego o spiskowanie z Władimirem Ałganowem, zamiast pomóc Akcji w kampanii – zraziło do niej umiarkowanego wyborcę i sprawiło, że musiała rządzić w koalicji. Ludzie mieli dosyć niedawnej sprawy Józefa Oleksego.

Chociaż w redakcji nowy, byłem jedynym dziennikarzem „Życia”, który odmówił pracy przy tej telenoweli. Nie dlatego, żebym kochał Kwaśniewskiego – ale sklecona naprędce fabuła urągała zdrowemu rozsądkowi. Gdy kierownik

działu krajowego Piotr Bazyłko naciskał, żeby sprawdzać, że Kwaśniewskiego nie było w Sejmie wtedy, gdy jakoby miał konferować z Ałganowem w Cetniewie – odpowiadałem, że nie będę się ośmieszał i mam co innego do roboty. Gdy nie ustępował – wziąłem zwolnienie lekarskie, które od dawna mi się należało, bo za samą współpracę z red. Piotrem Semką przysługiwać powinna dożywotnia renta. Losy autorów kontrowersyjnego artykułu potoczyły się biegunowo odmiennie. Rafał Kasprów odniósł sukces w biznesie, okazał się człowiekiem spełnionym i poważanym. Jacek Łęski z powodów dla mnie nieznanых zgodził się zostać twarzą TVP Kurskiego. A twarz ma się jedną. Wtedy Kwaśniewskiemu nie zaszkadzili, Akcji nie pomogli.

Jednak głównie za sprawą tego, że poprzednia ekipa utonęła w powodzi stulecia – jesienią Krzaklewski świętował triumf. Promieniał, gdy nagabywany przez Semkę o wywiad mógł odparować, że nie ma czasu, bo właśnie umówiony jest z „Corriere della Sera”. Włoską kuchnię i kulturę uważał za najlepszą w świecie.

Za to wypytywany na konferencji, kto stanie na czele rządu, umiejętnie stopniował napięcie: – To mężczyzna, ktoś znany. I nie jest z Gdańska.

– Kaczor Donald – rozszyfrował na poczekaniu strateg Andrzej Kieryłło, gdy do niego w tej sprawie zadzwoniłem.

Disneylandu uniknęliśmy, doktor automatyki przemysłowej Krzaklewski postawił na wariant profesorski. Wkrótce umawiałem się na wywiad z Jerzym Buzkiem. Nie wszyscy wiedzą, że premier dysponuje swoim gabinetem również w gmachu Sejmu. Stamtąd właśnie wychylił się rzecznik rządu Tomasz Tywonek. Skinął na mnie. Przekonany, że poda wreszcie termin oczekiwanego wywiadu, co zajmie pół minuty, postawiłem neser pod drzwiami i wszedłem do środka. Tymczasem rzecznik wskazał wejście do gabinetu: – Rozmawiajmy.

Wywiad z Buzkiem okazał się udany. Ale gdy wyszedłem na korytarz, walizki już tam nie znalazłem. Odzyskanie jej zajęło mi trochę czasu. Jak się okazało, zabrali ją strażnicy marszałkowscy do kontroli pirotechnicznej. Trudno im się dziwić: w korytarzu parlamentu stoi czarna teczka bez właściciela...

W neseserze oczywiście bomby nie znaleźli. Próbowano ją za to podłożyć w samej AWS. Ambitny szef premierowskiej kancelarii Wiesław Walendziak postanowił walczyć z Januszem Tomaszewskim do... ostatniego dziennika-

rza „Życia”. Tomaszewskiemu zarzucano forsowanie regulacji korzystnych dla producenta żelatyny Kazimierza Grabka. „Afera żelatynowa” nie wybuchła, bo Tomasz Wołek i Jerzy Wysocki w ostatniej chwili zablokowali publikację tekstu, opartego na anonimowych oskarżeniach. W odpowiedzi powstała koncepcja – zostałem w nią wtajemniczony – „pozostawienia Wołka z pustymi komputerami”. Wymówienia miała złożyć cała redakcja. Wbrew pozorom, nie wymyślili tego komuniści, lecz osobnicy podający się za dziennikarzy prawicowych. Tych, którzy rzeczywiście odeszli, etatami nagrodziło partyjne „Nowe Państwo” Porozumienia Centrum. To wtedy zrodził się nowy typ humoru znany z rubryki Mazurka i Zalewskiego – taki, który śmieszy wyłącznie wielbicieli Jarosława Kaczyńskiego. A nawet – jak twierdzą osoby autorom rubryki niechętnie – jego samego i nikogo poza nim...

Niebawem o drugiej w nocy Walendziaka obudził telefon od premiera.

– Porozmawiajmy rano – zaproponował szef kancelarii.

– Rano to chciałbym ogłosić pana dymisję – usłyszał od Buzka.

W klimacie bezustannych sporów wewnętrznych Akcja w koalicji z Unią Wolności wzięła się za cztery reformy i równie ważne zmiany w górnictwie, które wielu ekspertów uznaje za piątą wielką reformę AWS.

Kłopoty wewnętrzne nie stanowiły jednak najpoważniejszego problemu.

Gdy na początku 1999 r. pisałem o nowych wojewodach, do jedynej kobiety na tym stanowisku Krystyny Łukaszuk jechaliśmy wraz z fotoreporterem do Białegostoku przez Łomżę i Wiznę. Odwołująca się do sentymentów za poprzednim ustrojem Samoobrona pod Zambrowem postawiła na szosie ciężkie ciągniki i kombajny. W Białymstoku natrafiliśmy na sztab kryzysowy w urzędzie wojewódzkim. Wymarzona sytuacja dla dziennikarza, dla fotografa też. Trudniej przyszło wracać. W trakcie rozmowy doszła wiadomość, że Wiznę też zablokowano. Do Warszawy jechaliśmy więc przez Łapy i Ciechanowiec. Jak w grze komputerowej: znajdź drogę... A że wojewodom zakazano łamania siłą blokad, mogli tylko wskazywać objazdy. Jak pani Łukaszuk nam.

Dopiero, gdy w sprawę włączył się Artur Balazs, potrafił nakłonić Andrzeja Leppera do wycofania ludzi i sprzętu z szos.

Aleksander Kwaśniewski nie blokował dróg, tylko ustawy. Weto do projektu 15 województw wymusiło utworzenie dodatkowego świętokrzyskiego.

Wkrótce stało się ono matecznikiem SLD. Gdy pojechałem do Kielc przed wyborami samorządowymi w 1998 r. w partyjnym lokalu przy Sienkiewicza witał mnie regionalny baron Henryk Długosz. Z humorem demonstrował zachowaną jeszcze węz z logo PZPR. Już wkrótce mój rozmówca z człowieka sukcesu w terenie stał się symbolem korupcji w polityce, a eleganckie biuro przy kieleckim deptaku przyszło mu zamienić na więzienną celę. A węz pewnie ktoś potłukł.

Finalne 16 województw wykuło się ponad podziałami, w klimacie bezustannych negocjacji wszystkich sił politycznych. Potem nic już nie zmieniano, jeśli pominąć kosmetyczne korekty, jak rozdzielenie powiatów oleckiego i gołdapskiego, co interesuje wyłącznie autorów doktoratów o administracji, nawet od studentów takich szczegółów nikt nie wymaga. Jedno z kluczowych głosowań miało miejsce w upalną letnią sobotę ok. godz. 20. Edward Daszkiewicz z prezydium AWS martwił się wtedy, że ominie go występ amatorskiego chóru, w którym śpiewał.

Nowy podział administracyjny uchwalony na 6 lat przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej sprawił, że bez trudu pozyskujemy i wydajemy środki z funduszy pomocowych. Przy starych 49 województwach nie byłoby to możliwe, a warto pamiętać, że Rumunia, też szybko się rozwijająca, zmarnowała wiele unijnych dotacji. Szesnastka województw oznaczała kompromis dla wszystkich: posłów zmuszonych głosować wbrew doraźnym oczekiwaniom ludzi z ich okręgów, koalicyjnej Unii Wolności marzącej o 8–12 regionach. Ale to w tych ramach i w przywróconych prawie po ćwierćwieczu powiatach rozwija się od dwóch dekad polska samorządność, przedmiot naszej sympatii i dumy, bo jeśli wierzyć kolejnym „Diagnozom Społecznym” zespołu prof. Janusza Czapieńskiego – Polacy władzę samorządową obdarzają ocenami trzy razy lepszymi niż posłów i senatorów.

Do Opola jechaliśmy z fotoreporterem oblodzoną szosą katowicką, a od Częstochowy w ogóle nie odśnieżoną drogą, wzywając jeszcze po drodze pomoc do kierowcy napotkanej cysterny, który wpadł do rowu. Gdy po sześciu godzinach wjeżdżaliśmy nie oznakowanym samochodem na parking urzędu wojewódzkiego – już na nas czekano. – Panowie z „Życia”? Prosimy, tu

jest miejsce... Wojewoda Adam Pęziół, dawny działacz NZS, nie pochodził z Opolszczyzny, ale zadbał by w województwie nawet drobiazgi grały jak w zegarku. Nie zyskał takiego miru dawny związkowiec Marek Kempski w Katowicach. Gdy portier wypytywał nas, czy mamy zezwolenie na fotografowanie urzędu, w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia wiadomość, od kogo właśnie wychodzimy. Co mu tam wojewoda, on jest portier...

Na Śląsku wojewoda z ludu posłuchu nie zyskał, ale AWS udało się coś ważniejszego. Janusz Steinhoff do dziś podkreśla, że restrukturyzacja górnictwa przebiegła w Polsce szybciej i sprawniej niż w o tyle zamożniejszych: Lotaryngii i Zagłębiu Ruhry. Za cenę urlopów górniczych i wysokich odpraw zyskaliśmy pokój społeczny. Na terenach pokopalnianych wyrosły supermarkety i centra kultury. Reforma górnictwa słusznie nazywana jest piątą wielką reformą AWS. I drugą po samorządowej, której następcy nie odważyli się cofnąć.

Jeszcze w 1993 r. w Olsztynie dyrektor szpitala ogłosił, że placówkę zamyka, bo nie ma na nią pieniędzy. Gdy przyjechałem z ekipą „Wiadomości” – oprowadzał mnie i pokazywał, czego brakuje. Reforma zdrowia nie była operacją na żywym ciele, tylko reanimacją trupa socjalistycznej opieki zdrowotnej. Nie zmierzmy, jak by się udało, bo następca Buzka Leszek Miller zlikwidował regionalne kasy chorych i stworzył scentralizowany NFZ. Za to wykonawca reformy, minister rządu AWS-UW Wojciech Maksymowicz po odejściu ze stanowiska zyskał międzynarodową sławę za sprawą pionierskich zabiegów medycznych.

Reforma edukacji przywróciła gimnazja, ułatwiając awans dzieciom z prowincji. Owocem jej stał się boom edukacyjny, z dwoma milionami studentów. Wyprzedzający w czasach RWPG we wskaźnikach scholaryzacji wyłącznie Bułgarię, teraz znaleźliśmy się przed wieloma bogatszymi państwami. Gimnazja zlikwidowało PiS, powracając do socjalistycznego szkolnictwa „osiem plus cztery” i posyłając na bruk dziesięć tysięcy nauczycieli, doskonale wykwalifikowanych i wykształconych już w nowej Polsce.

Za demontaż reformy emerytalnej odpowiadają do spółki Platforma i PiS. Połowa środków z OFE przydała się Platformie do zrównoważenia budżetu, druga część – PiSowi do realizacji jego księżycowej polityki społecznej. Jak

zauważa Andrzej Anusz – następcy żyli na koszt reform Akcji [por. *Następcy rządząli na nasz koszt. Z Andrzejem Anuszem rozmawia Łukasz Perzyna. „Samorządność” nr 28, wrzesień 2017*].

20 lat temu jeszcze tego wszystkiego nie wiedzieliśmy. Chociaż w „Życiu” – w odróżnieniu od obecnych żurnalistów, co sami siebie nazwali niepokornymi – nie powtarzaliśmy sloganów po politykach, a nawet zdarzało się nam wpływać na ich działania. Gdy Jarosław Jakimczyk ogłosił w artykule listę rosyjskich dyplomatów, prowadzących działalność szpiegowską, wraz z obszernymi dowodami – rząd Buzka ich z Polski wydalil. Opisanie przez Irenę Pręcirowską szczegółów pracy działaczki SLD dla służb specjalnych PRL definitywnie zakończyło karierę bohaterki artykułu w gabinetach na Rozbrat. Gdy od czołowego polityka Unii Wolności otrzymałem przed ogłoszeniem „raport Boniego” o przyczynach porażki w wyborach do samorządów – mój dawny wykładowca z polonistyki Michał Boni dyskretnie poprosił, żebym szepnął komu trzeba z liderów, że to nie on był źródłem przecieku, bo mu głowę urwą...

Tomasz Wołek miał szczęście do dziennikarzy, ale pecha do zastępców. Jan Wróbel przyczłapał do mnie, bo w jakimś katolickim radiu usłyszał, że w trakcie pochodu 1-majowego skandowano: „Buzek, ty zmoro, zdechniesz jak Aldo Moro”. Miał pomysł, by zebrać opinie na ten temat. Usadziłem go zaraz, że na pochodzie byłem, słuchałem Leszka Millera, gadałem z uczestnikami, ale takie okrzyki do mnie nie dobiegły. Chce pisać, może sam. Ponieważ dzień był świąteczny – pozostało mu skorzystać z dobrej rady. Podobnie jak Pawłowi Fąfarze, gdy obejrzał żaloszny materiał „Faktów TVN” natrzęsający się z Gabriela Janowskiego za jego pamiętne podskoki i chciał coś podobnego do gazety. Odparowałem, że już dostał ode mnie artykuł z relacją ze spotkania zwolenników odwołania Emila Wąsacza z funkcji ministra skarbu, zawierający również zgodny z etyką dziennikarską opis dziwnego ataku, jaki przeszedł tam Janowski. Jeśli chce się pastwić nad człowiekiem starszym i zasłużonym – niech zrobi to sam. Wyszedłem z redakcji, a Fąfara – acz talentem pisarskim nie imponuje – rzeczywiście zasiadł do kławiatury.

Jako główny specjalista od prawicy dzieliłem czas między opisywanie systemowych zmian – stąd brały się wizyty u wojewodów, weryfikujące, jak startuje reforma administracyjna – i personaliów. Każdą zmianę ministra poprzedzał

lobbing partii i frakcji. Dowiedziałem się, że Jana Szyszkę w resorcie środowiska zastąpi Antoni Tokarczuk. Kochał i hodował konie, śmierć jednego z nich przeżywał, jakby stracił kogoś z rodziny. Lubiliśmy się. Ustaliłem z Tokarczukiem, że gdy dostanie potwierdzenie nominacji – pierwszego wywiadu udzieli mnie, inne media poczekają. Chciał dotrzymać słowa. *Eksluziw* rozbił się jednak o jakość kadr „Życia”. Recepcjonistka usłyszała, że dzwoni jakiś Tokarczuk w sprawie wywiadu, więc inteligentnie przełączyła go do... działu łączności z czytelnikami. Rozmowę w końcu odbyliśmy, ale już w gabinecie przy Wawelskiej.

Sekretarz redakcji Grzegorz Jankowski – wybór Wołka lepszy niż niefortunny zastępcy – przyszedł do mnie, że „Wiadomości” poinformują o trzech planowanych zmianach w rządzie Buzka. Odpowiedziałem, że ma ich być więcej, ale ostateczne decyzje nie zapadły. Jeśli chce – opiszę rozważane warianty. Jankowskiemu zaświeciły się oczy. Poprosił tylko, żebym zawczasu podał nazwiska fotoreporterom. Zrobił z tego czołówkę gazety. Następnego dnia „Życie” rozchwytywano i czytano w gabinetach z takim nabożeństwem, z jakim kiedyś przeglądano „Trybunę” ze świeżym składem biura politycznego. Tylko Krzaklewski w Sejmie na korytarzu pieklił się – jak przystało na informatyka, pobierającego nauki w czasach gdy komputery były jeszcze wielkości kamienicy – że lista Perzyny jest „wirtualna”. Zaś wiecznie skrzywiony i zawistny Piotr Zaremba marudził w kartkowanym przez recepcjonistki z agencji reklamowych pisemku „Press”, że Perzyna informacje wymyśla. Większość gości z fotografii zostało jednak ministrami. Samego Buzka nie złościły spekulacje personalne poza jedną: rozważaniem jego szans na prezydenturę. Dawał do zrozumienia, że zachowa lojalność wobec Krzaklewskiego.

Jeśli wrócić do ulubionego słowa przewodniczącego, zapomniana pozostaje szósta, wirtualna za sprawą prezydenckiego sprzeciwu reforma koalicji AWS-UW. Pod obłudnym pretekstem ochrony najuboższych Kwaśniewski zawetował przygotowany przez Leszka Balcerowicza projekt obniżenia stawek podatkowych – z trzech 19, 30 i 40 proc do dwóch: 18 i 28 proc. Prawie dekadę później mniej ambitna reforma Zyty Gilowskiej (18 i 32 proc) sprawiła, że w kieszeniach Polaków zostało więcej pieniędzy, co pozwoliło nam zwiększyć konsumpcję i pozostać zieloną wyspą w pograżonej w recesji Europie.

AWS walczyła jednak nie tylko z nękającym koalicję wetami Kwaśniewskim i jego zapleczem z SLD, ale również z wewnętrzną opozycją, z własnym koalicjantem z Unii Wolności oraz z TVP kierowaną przez Roberta Kwiatkowskiego. Ponieważ nie brakowało pretekstów, by minister skarbu władze tej ostatniej zmienił – polityków AWS wypytywano o przejście TVP.

– Czy to prawda, że szykujecie desant na telewizję? – naciska Tomasz Węlnickiego namolna dziennikarka.

– Tak, prawda. Mieli mnie spuszczać przez komin, ale się nie zmieszczę – potwierdzi ważący wtedy 150 kg wiceprzewodniczący sejmowej komisji kultury i środków przekazu.

Desantu na telewizję nie będzie, wrażliwy na reguły demokratyczne i sprawy praworządności Krzaklewski nie godzi się na wątpliwą z formalnego punktu widzenia operację. Podobnie szanuje pluralistyczne zasady we własnej formacji. Debatowano w nieskończoność, głosowań pilnowano, wypowiedzieć mógł się każdy. W korytarzowej rozmowie w Sejmie Krzaklewski z dumą opowiadał mi, że jest tak otwarty, że zamierza do nowego składu prezydium klubu zaproponować Jana Marię Jackowskiego. Ten od początku angażował się w prace „grupy oczko”, zwanej tak, bo skupiała 21 posłów, przedstawiających się jako obrońcy programu AWS. Jak łatwo się domyślić – przed Krzaklewskim właśnie...

Lider dba o dowartościowanie niezadowolonych, ale traci tych, dzięki którym znalazł się tam, gdzie jest. Rzecznik interesu publicznego – taką dziwaczną tytułaturę wprowadziła wraz z lustracją ustawa – „straszny dziadunio” Bogusław Nizieński kwestionuje oświadczenie Tomaszewskiego. Wicepremier odchodzi z funkcji, niby do czasu wyjaśnienia sprawy. Gdy sąd rozstrzyga na korzyść Tomaszewskiego, siedzący wśród publiczności działacze AWS wykrzykują: – Walendziak, teraz się bój.

Jednak to ludzie Walendziaka, w tym pragnący uchodzić za ekspertów medialnych Waldemar Gasper i Maciej Pawlicki otaczają teraz Krzaklewskiego. Przewodniczący daje się namówić najpierw na kandydowanie na prezydenta, potem na użycie w kampanii ujęć Marka Siwca całującego ziemię kaliską. Obie decyzje są samobójcze: przewodniczący formacji rządzącej nie ma szans w chwili, gdy odczuwa się koszty reform, a z taśm z Siwcem ludzie rozumieją

tylę, że niezdolne pokonać Kwaśniewskiego w otwartej walce AWS ucieka się do kolejnej po dętej sprawie Ałganowa podłości i używa nagrań zza płotu.

„<Kapciowi> załatwili Wafęsę, natomiast nieszczęściem Mariana Krzaklewskiego wydają się być <wizerunkowi>. Nadskakują szefowi i wiedzą najlepiej, czego chce wyborca” – napiszę wtedy w „Życiu” [Łukasz Perzyna. Pokazać twarz zwycięzcy. „Życie” z 12 lipca 2000].

– Gdyby mogli, toby na ciebie zamach zorganizowali – powie mi o *pamper-sach* Walendziaka szef działu publicystyki Robert Krasowski, gdy z awanturą zadzwoni do niego Gasper.

Krzaklewski uwierzy im i przegra nie tylko z Kwaśniewskim – co od początku oczywiste – ale również z Andrzejem Olechowskim, który w tych wyborach perfekcyjnie wypełni niszę, przeznaczoną dla kandydata obywatelskiego. AWS ma się ku końcowi. Z błahych, bo lokalnych powodów (interesy w Warszawie) już wcześniej rozpada się koalicja z Unią Wolności. Powołany na ministra sprawiedliwości Lech Kaczyński pracuje dla brata bliźniaka, nie dla Buzka. Zaś niedawni entuzjaści prezydentury Krzaklewskiego pierwsi skorzystają z tratwy ratunkowej, jaką dla „prawackiej” części Akcji stanowi kolejna partia bliźniaków – PiS. Bardziej oświeceni działacze odpłyną do Platformy Obywatelskiej, tworzącej się wokół Olechowskiego, dotychczasowego AWS-owskiego marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego oraz najskromniejszego wtedy z tej trójki Donalda Tuska. Ten ostatni jest wicemarszałkiem Senatu, chętnie gra w piłkę nożną i obraża się jak dziecko, gdy ktoś zarzuci mu lenistwo. Z tej właśnie przyczyny prezydent zjednoczonej Europy nie znosi mnie do dzisiaj, choć minęło 20 lat.

Lista beneficjentów rozpadu AWS jest dłuższa: „grupa oczko” choć bez J.M. Jackowskiego, za to wsparta przez radio z Torunia wykreuje Ligę Polskich Rodzin. Dla nich wszystkich znajdują się miejsca w kolejnym Sejmie, do którego AWS ani Unia Wolności się nie dostaną. To pierwszy wypadek w powojennej Europie, żeby wyborcy nie wpuścili do parlamentu obu partii rządzących.

Akcja umiera z honorem, za to wspierające ją „Życie” gnije, gdy z woli udziałowców, charyzmatycznego Tomasza Wołka zastąpi w fotelu naczelnego operetkowy Fąfara. W krótkim czasie pismo traci wszystko: dziennikarzy, czytelników, reputację. Żurnalistki pielgrzymują do zagrody Leppera, ale jakoś nikt tego czytać nie chce...

Jednak AWS musiała rzeczywiście nie być taka zła, skoro tyle partii się dzięki niej pożywiło, a tyle kolejnych ekip rządzących przeżyło na koszt dokonanych przez Akcję oszczędności i reform.

Pewne zmiany w Polsce przeprowadzić mogła tylko AWS : reformę górnictwa – bo „udziałowcem” Akcji był związek zawodowy „Solidarność” i samorządową – bo Akcja odwoływała się i rzeczywiście reprezentowała tradycję Komitetów Obywatelskich z lat 1989-90. Zanim jeszcze Związek zdominowali frustraci jodlujący na cześć Kaczyńskiego i przebierający nogami do wysoko opłacanych miejsc w radach nadzorczych – Solidarność przeprowadziła swoją ostatnią kampanię: akcję reformatorską. Zwycięską, a przy tym demokratyczną i praworządną w duchu Sierpnia.

Nie jest powiedziane, że po rządach AWS-UW nie da się już zmieniać Polski na lepsze. Faktem pozostaje tylko, że nikt z rządzących nawet tego nie spróbował. Zresztą po co, skoro tyle fruktów do podziału. Ale przynajmniej, gdy je konsumują, niech wiedzą, komu je zawdzięczają...

Szkic o Akcji Wyborczej Solidarność jest fragmentem powstającej książki „Dziennikarz to jest ktoś”, w której Łukasz Perzyna opisuje własne doświadczenia z twórcami polskiej demokracji: Lechem Wałęsą, Jerzym Buzkiem i Zbigniewem Brzezińskim, ale również z bohaterami ciemnej strony mocy: Wojciechem Jaruzelskim, Czesławem Kiszczakiem i Jarosławem Kaczyńskim. Szuka też odpowiedzi na pytanie, dlaczego media nie potrafią spłacić długu wobec wolnościowej tradycji, z której wyrosły.

WSPOMNIENIA ARTURA OWCZARKA

Duży wpływ na kształtowanie się moich poglądów miała działalność mojego taty. Wiedziałem że należał do Armii Krajowej, uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Należał do oddziału „Jeżyków”. Pełnili oni rolę podobną do żandarmerii, ojciec w czasie Powstania był profosem. Pilnował aresztu na Długiej, gdzie przetrzymywano różnych wrogów Rzeczypospolitej. Później był w oddziale, który przebijiał się w stronę Żoliborza. Gdzieś koło Dworca Gdańskiego poniósł znaczne straty, ostatecznie na Żoliborz dostał się kanałami. Później było przebijanie się do Puszczy Kampinoskiej. Żołnierze dostali rozkaz przedostania się w Góry Świętokrzyskie. Zdaniem ojca było to nierealne, ponieważ mieli kilometrowy tabor, w tym wozy z rannymi. W bitwie pod Pocięgą zostali rozbici. Ojciec wtedy się wypowiadał. Kapelan poradził mu, żeby ukrył zdobyczną, niemiecką kurtkę z kapturem – i tak zakończyła się jego działalność w AK.

Tylko tyle pamiętam o działalności wojennej ojca. Trochę żałuję, że tak mało z nim o tym rozmawiałem. Ojciec niechętnie rozmawiał na te tematy. Chociaż niekiedy, np. 1 sierpnia opowiadał różne ciekawostki. Na przykład powiedział mi, jak ocalał, kiedy na Starówce nastąpił znany wybuch zdobytego niemieckiego czołgu. Miał szczęście, że akurat kolega zaprosił go na kawę zbożową. Kiedy nastąpił wybuch, kolega podniósł z ziemi rękę z pierścionkiem i powiedział: „Zobacz, to moja teściowa!”. Kiedy indziej ojciec opowiadał mojemu szwagrowi jak w partyzantce strzelał do Niemców na motocyklu z koszem. Niemiec spadł, ale nie wiadomo, czy został zabity czy był tylko ranny.

Kiedy zauważyłem, że tata jest niechętnie nastawiony do władzy? Pamiętam dwa takie epizody. Pierwszy raz w 1968 r. (miałem wtedy dziesięć lat). Ojciec powiedział wtedy, że chętnie rozdałby studentom metalowe pręty żeby się bronili albo przeszli do ataku (ojciec był zbrojarzem). Kiedy indziej w czasie procesji Bożego Ciała w telewizji pokazywali westerny i inne najbardziej atrakcyjne filmy – ojciec powiedział: „Zobacz co te s...syny z nami robią!”. Oczywiście bardzo przejął się śmiercią księdza Popiełuszki. To było już pod koniec jego życia.

* * *

Mój pierwszy kontakt z opozycją? W latach siedemdziesiątych znajomy z klubu piłkarskiego zaprosił mnie na jakiś wykład z Czumą. Nie skorzystałem, bałem się. W zasadzie wtedy opozycja kojarzyła mi się tylko z KOR-em, nie wiedziałem, że istniało coś innego.

Jesienią 1979 r. zacząłem służbę wojskową, dwa lata później przedłużyli nam służbę o pół roku. Na wieść o tym chłopaki zdemolowali świetlicę. Potem zaczął się strajk, bojkotowaliśmy wszystkie zajęcia. Strajk powoli się rozmył. Nie było konsekwencji, poza tym, że na zakończenie służby nie dostaliśmy żadnych pochwał, rekomendacji.

Pierwszy tydzień stanu wojennego spędziłem na moście Poniatowskiego. Pierwsze manifestacje w jakich uczestniczyłem to 1 i 3 maja 1982 r. Pierwszego uczestniczyłem aktywnie, trzeciego moja troskliwa mama poszła ze mną.

Pierwszy raz byłem zatrzymany w rocznicę śmierci Prymasa Wyszyńskiego w czerwcu 1982 r. przy krzyżu z kwiatów. Zbliżająca się burza i liczna obsługa milicyjno-esbecka sprawiły, że na placu zostało kilkadziesiąt, czy kilkanaście osób. Zatrzymywali więc wszystkich pozostałych. Pamiętam kapitalny epizod. Prowadzą mnie do jakiejś „suki”. W drugiej „suce” siedzi jakiś gość i przybiega jego żona. Krzyczy: „Panowie, puście go!”. Podała setki argumentów. A on jej mówi: „Nie rozmawiaj z nimi! Masz tu dwie lampki, zapal!”. Tak mnie podniósł na duchu, że nie bałam się w ogóle przesłuchania. Potem trzymali mnie

w dużym wozie, tzw. „budzie”, gdzie szeregowi zomowcy trochę mi dokuczali, popychali, śmiali się. Następnie zawieźli mnie „suką” na Jezuicką. W pewnym momencie ten co siedział obok kierowcy pyta: „Za co tego zatrzymałeś?” A ten odpowiada: „Podnosił dwa palce do góry” Dowódca się odzywa: „Dostanie 6 000 kolegium to przestanie podnosić”. A ja zarabiałem wtedy coś ok. 2 400. Przetrzymywali mnie kilkanaście godzin. Co pewien czas przesłuchiwali i trochę sobie ze mnie żartowali, straszili grzywną. Pod koniec już z pewnym szacunkiem mówili: „Panie Arturze”. Po wyjściu byłem tak wystraszony, że nie mogłem zapalić papierosa.

Pracowałem w Zakładzie Budowy Sieci Elektrycznych „Elbud”. Tam działaliśmy. Robiliśmy akcje ulotkowe mniejsze i większe. Kolportowaliśmy prasę, czasem przyklepiło się jakiś plakat. Już wtedy poznałem kolegę z KPN- u, Bogdana, ale jego nazwiska nie pamiętam.

Po śmierci księdza Jerzego, która była dla mnie wielkim wstrząsem popełniłem pewien błąd, ponieważ zacząłem traktować działalność jako prawie jawną. Zaczęliśmy agitować ludzi, utworzyliśmy delegację na pogrzeb Księdza. Ja pojechałem na Miodową, żeby załatwić dla nas dobre miejsce na pogrzebie. Jeden z członków delegacji okazał się agentem. Po pewnym czasie zaczęły się zatrzymania, przesłuchania, rewizje. Bogdana jako pierwszego zwolnili z pracy.

Gdzieś w 1985 r. przyszli do mnie o piątej rano a ja jeszcze w łóżku byłem. Mama przychodzi i mówi: „Koledzy do Ciebie przyszli”. Ja idę do drzwi a tu jeden z tych panów przedstawił się: „Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych” itd. Mówi: „Wiemy, że ma pan nielegalne wydawnictwa. Wyda pan dobrowolnie – czy mamy szukać?”. A ja pomyślałem – niech sobie szukają. Znaleźli gdzieś jedenaście pozycji. Ojciec to bardzo przeżył, mama – jak znaleźli pierwsze pozycje – zaczęła mówić że to jej. Oczywiście mieszkanie mi trochę zdemolowali. Ale „Rewolucji bez Rewolucji” nie znaleźli – była w przedpokoju przykryta ceratą, a na niej szafeczka. Potem zabrali mnie do samochodu i na „Mostowo”. Siedziałem gdzieś ok. 12 godzin, z czego pierwsze 8 siedziałem beczynnie, potem zaczęli mnie przesłuchiwać.

Pamiętam taki fragment przesłuchania. Pokazuje mi zdjęcia z pogrzebu Piełuszki i pyta kto to jest? A ja mówię: „Rodzina” – „A ten?” – „Rodzina”. „A ten?” – Rodzina. To on mówi: „K... cała rodzina na Żuławy!”. Inny fragment – ubek zaczyna wymieniać wydawnictwa, które ja podobno kolportuję – ze dwadzieścia – trzydzieści tytułów. A ja nawet nie wiedziałem że tyle ich się ukazuje. Tak mnie podniósł na duch. Pytali mnie jeszcze, skąd mam powielacz, o którym powiedział im ten agent. Odpowiedziałem, że znalazłem na śmietniku. Rzeczywiście powielacz był w domu, ale bezużyteczny, brakowało w nim wałka. Byłem wtedy młody i głupi – trzeba było zażądać protokołu z rewizji i teraz mógłbym domagać się zwrotu rzeczy zatrzymanych. Oni napisali tylko „Jedenaście pozycji” i taką wielką literę „Z”.

Później taki sympatyczny kolega z „Elbudu”, inżynier, powiedział: „Artur, lepiej sam się zwolnij, tu będziesz miał przesrane”. Więc się sam zwolniłem i potem pracowałem jako preser w prywatnej firmie w Raszynie produkującej uszczelki do silników. Jechałem do pracy ok. 40 minut, ale zarabiałem wielokrotnie więcej.

Wracam kiedyś do domu i taki bardzo dobry znajomy (niestety nie pamiętam jego nazwiska) pyta mnie: „Słuchaj, czy nie zająłbyś się taką działalnością? To jest poważna rzecz, bo to jest Konfederacja Polski Niepodległej”. Od razu dostałem kontakt na KPN we Włochach, gdzie był pan Marek Świtkiewicz, już nieżyjący. On pracował w MZK. Wiem, że dzięki niemu jeździłem z MZK na pielgrzymki robotnicze na Jasną Górę. On działał także w „Solidarności”, m.in. organizował radio „Solidarność” we Włochach. Uczył mnie jak ustawiać nadajnik itp.

Zorganizowałem grupę działania – cztery osoby, w tym dziewczyna. Jeden z chłopaków robił transparenty, miał specjalną technikę z pomocą żelazka. Dziewczyna była fajna, udawała ciężarną, a przemyciała transparent pod swetrem. Ja niosłem dwa kijki na plecach. Pierwszy raz trzymałem transparent w Częstochowie.

Poza Świtkiewiczem poznałem Staszka Mazurkiewicza i Wojtkę Gawkowskiego. Raz tylko rozmawiałem z Andrzejem Szomańskim, gdzieś przy sklepie z dewocjonaliami koło Katedry przedstawił mi się i ja jemu. Oczywiście słyszałem o nim już wcześniej.

Spotykaliśmy się 11 listopada przy Katedrze i w czasie mszy poświęconych rocznicy Katynia w kwietniu – na Karolkowej. Tam nieraz przemawiał Zbigniew Kędzierski przedstawiając rys historyczny. Mówił do mikrofonu gdzieś w zakrystii – było słychać tylko głos, a człowieka nie było widać. Msze odprawił ksiądz Sitko, który umarł dwa lata temu. Spędził 80 lat w kapłaństwie, miał chyba blisko sto lat. W latach pięćdziesiątych siedział.

Księża byli różni. Pamiętam jak w łomżyńskim chcieliśmy zamówić mszę za jednego z ostatnich wyklętych, „Marchewkę” i tamtejszy ksiądz miał wątpliwości czy można za niego odprawić mszę, ponieważ był samobójcą. A on popełnił samobójstwo otoczony przez ubeków.

Pamiętam manifestację, która wyruszyła spod Katedry w obronie Frasiułka. Szedłem razem z kolegą z Solidarności Walczącej. Mielśmy iść Nowym Światem, ale ZOMO zagroziło drogę, więc skręciliśmy w Świętokrzyską. Zomowcy zaczęli napierać, więc zacząłem uciekać. Gdzieś na Kubusia Puchatka (dzięki temu wiem, że jest taka ulica) wpadłem na klatkę schodową i komuś do mieszkania wlałem. I ten gość nawet nie zareagował. Spojrzał, potem wrócił do swoich zajęć. Zomowcy biegali po klatce, wrzeszczeli. Przeczekałem, wyszedłem, wróciłem do domu.

Znałem Wieśka Gęsickiego, byłem przynajmniej raz u niego na spotkaniu z chłopakami z Solidarności Walczącej. Znałem też Grzegorza Rossę – potężnie zbudowany chłop. W jakiejś manifestacji przy ulicy Świętojańskiej starliśmy się z ZOMO. I na drugi dzień Grzegorz przyszedł na grób Szomańskiego z wielką śliwą po okiem.

Przychodziłem na spotkania do Krzysztofa Króla na Lumumby (obecnie – ul. Płocka).

Pamiętam manifestację w rocznicę Powstania w Getcie w kwietniu 1988 r. Liczna reprezentacja KPN-u i mnóstwo reporterów na przyczepie samochodowej.

Pamiętam też spotkania w mieszkaniu Staszka Mazurkiewicza na Angorskiej (ciężko było tam trafić). Wysoki, dobrze zbudowany chłop; trzymał w cu kiernicy kostki cukru i co raz je pojadał.

Z Jurkiem Woźniakiem jeździliśmy po Ursusie wożąc książki do składania. Pamiętam, jak raz w jednym z mieszkań jedna pani pyta: „Panie, a nie dałoby się tak 80 groszy od strony?”. A ja nie miałem na to żadnego wpływu, nie wiem nawet, ile oni zarabiali. Była to jakaś forma pomocy dla ludzi, którzy mało zarabiali. Dzięki Jurkowi jest ulica Szomańskiego w Ursusie.

Przysięgę konfederacką składałem 11 Listopada, chyba 1988 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. W Ogrodzie Saskim zatrzymał mnie patrol. Zobaczyli, że mam dowód osobisty bez podpisu (a ja nawet nie wiedziałem, że tam trzeba złożyć jakiś podpis) chcieli mnie zatrzymać. A tam jakieś małżeństwo, obcy ludzie wynegocjowali, że mnie zwolnili. Potem zaprosili mnie do siebie, wypiliśmy po lampce wina.

Pamiętam, jak zajęliśmy siedzibę PRON-u, pałacyk Sobańskich. Wyprosiłiśmy jakichś starszych gości, chyba pracowników. Przedtem ktoś przypili nował, żeby zaplombowali jakieś szafki z dokumentami. Spędziliśmy tam chyba 24 godziny, nocowaliśmy. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Kasią Pietrzyk. Potem nas wyprowadzili. Pamiętam jak Heniek Kozakiewicz dyskutował z dowódcą tych funkcjonariuszy energicznie gestykulując, a tamten mówi: „Proszę nie podnosić tych rąk, proszę nie podnosić tych rąk!”. Któryś z działaczy PRON-u potwierdził, że nic nie zostało naruszone; tak, że była z naszej strony „pełna kultura”.

Potem nam przyznali lokal na trzynastym piętrze Pałacu Kultury. Pamiętam jak Krzysiek Król powiedział, że warto żebyśmy tu przychodzili w jak największym gronie, to wtedy nam przyznają większe pomieszczenie albo i drugie.

Pamiętam okupację gabinetu szefa Telewizji, Andrzeja Drawicza. Podeszła do mnie wtedy dziennikarka Gazety Wyborczej, Agnieszka Kublik.

Potem były blokady bazy sowieckiej w Rembertowie. Zostawałem czasem na noc. Z czasem zaczęliśmy blokować wszystkie trzy bramy, w tym tą tylną. Pamiętam jak raz jadę do Rembertowa i spotykam Bożenę Kosińską. Mówi, że wszystkich chłopaków z blokady zgarnęli. Wzięła mnie do samochodu. Jedziemy więc na Cyryla i Metodego bo spodziewaliśmy się, że tam przetrzymują chłopaków. A tam komendant, który nazywał się tak jak ja – Artur Owczarek – mówi, że przetrzymywani są na Opaczewskiej. Jedziemy więc na Opaczewską. Zwalniają naszych, ale Darek Wójcik, powiedział im, że muszą nas odwiedzić z powrotem do Rembertowa. To były już czasy, kiedy rozmawialiśmy twardo. I faktycznie odwiedzili.

KPN NA TERENIE OBECNEGO PODKARPACIA W LATACH 1979–1990

W 1944 r. Armia Sowiecka gwałtem narzuciła Polsce rządy komunistyczne. System musiał zachować jednak pewne pozory legalności. Polska Rzeczpospolita Ludowa miała konstytucję gwarantującą minimum praw obywatelskich, lecz postanowień jej nie realizowano. Służba Bezpieczeństwa (SB), policja polityczna, działając poza ówczasie obowiązującym prawem, strachem wymuszała posłuszeństwo szerokich mas społeczeństwa. Powstająca w latach 70. opozycja dążyła do demokratyzacji PRL i wymuszenia na władzach komunistycznych przestrzegania prawa.

Przemyslanin Stanisław Kusiński, wychowawca Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Laskach pod Warszawą, zetknął się tam z działalnością dysydencją. Pracował dla opozycji jako drukarz i wydawca. Po powstaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela Leszek Moczulski zaproponował Stanisławowi Kusińskiemu utworzenie punktu konsultacyjno-informacyjnego w Przemysłu. Wspomniany punkt powstał w sierpniu 1977 r. Początkowo Kusiński działał samotnie. Dopiero w połowie 1978 r. wokół niego zawiązała się grupa opozycjonistów, uczestników Ruchu, do której weszli: Stanisław Sudoł, Stanisław Frydlewicz, Wit Siwiec i Jan Ekiert. W okresie rozłamu w ROPCiO przemyska grupa poparła frakcję Moczulskiego przeciw frakcji braci Andrzeja i Benedykta Czumów. Z powodu sporu wewnątrz ROPCiO pod koniec 1978 r. przemyska grupa zaczęła współpracować z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR”. Bliższy kontakt z Moczulskim utrzymywał nadal tylko Jan Ekiert.

1 września 1979 r. w Warszawie przed grobem nieznanego żołnierza ogłoszono powstanie Konfederacji Polski Niepodległej (KPN). Jej twórcą i liderem był Leszek Moczulski. KPN była pierwszą jawną niekomunistyczną opozycyj-

nią partią polityczną w krajach bloku sowieckiego. Celem jej działania była obudowa niepodległego Państwa Polskiego. Moczulski pod koniec 1979 r. powierzył Janowi Ekiertowi utworzenie Okręgu Rzeszowsko-Przemyskiego KPN. Dla kierownictwa nowopowstałej partii ważna była zauważalna jej obecność w Przemyśle ze względu na osobę bp. Ignacego Tokarczuka, zasłużonego w walce o prawa obywatelskie. Audycja u biskupa stanowiła formę nobilitacji w kręgach opozycyjnych. Ekiert został pierwszym szefem Okręgu Rzeszowsko-Przemyskiego. Nowo utworzony okręg wszedł w skład Obszaru II Krakowskiego.

Ekiert wokół swojej osoby próbował zbudować grupę ludzi, która mogłaby podjąć działalność dysydencką w ramach KPN. Początkowo zajmował się on głównie kolportowaniem literatury opozycyjnej przewożonej z Krakowa i Warszawy. Ludzie, z którymi kontaktował się nie wiedzieli nic o sobie wzajemnie. Konspiracyjny model działania został przyjęty ze względu na inwigilację przez SB.

Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o istnieniu Konfederacji w Przemyśle dopiero w maju 1980 r. W latach 1980-1981 KPN w Przemyśle była rozpracowywana przez SB w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Olimp”, którą prowadził znany ze szczerego zaangażowania w zwalczanie działalności opozycyjnej kpt. Józef Kononiuk. Z czasem tajnemu współpracownikowi (TW) bezpieki ps. „Paweł”, Adamowi Szybiakowi, udało się pozyskać częściowe zaufanie Ekierta. Między innymi brał on udział w spotkaniach z Marią Moczulską, Romualdem Szeremietiewem i Krzysztofem Gąsiorowskim. Ponadto Szybiak przywoził z Krakowa do Przemyśla literaturę KPN, to pozwoliło bezpiece kontrolować tzw. kanał przerzutowy. Umieszczenie TW „Pawła” w Konfederacji doprowadziło do przejmowania przez SB znacznej części literatury przywożonej do Przemyśla, ponadto zapewniło dopływ informacji na temat działalności opozycyjnej.

Przemyscy dysydenci wywodzący się z dawnego ROPCiO pomimo późniejszych podziałów politycznych na sympatyków „KOR” i Konfederacji podejmowali w latach 1979-1980 wspólne akcje. Miejskowa SB nazywała ich „przemyską nieformalną grupą antysocjalistyczną”.

Wiosną 1980 r. Jan Ekiert planował zorganizowanie akcji w Przemyśle

przypominającej o przypadającej wówczas 40. rocznicy mordu katyńskiego. W mieście zamierzano rozkolportować ulotki i malować napisy na murach. Kolportaż ulotek nie doszedł do skutku, gdyż nie udało się ich otrzymać od centrali KPN i KSS „KOR”. Akcje malowania napisów na murach uniemożliwili agenci SB. Jan Ekiert napisał własny artykuł na temat zbrodni w Katyniu chciał go powielić na terenie Przemysła lub w Warszawie, lecz z powodu szczupłości środków materialnych oraz działalności SB wspomniany pomysł nie został niestety zrealizowany.

W sierpniu 1980 r. w Polsce wybuchły strajki o niespotykanej dotychczas sile. Robotnicy wspierani przez dysydentów wysunęli postulaty socjalne i polityczne. Ekiert chciał doprowadzić do strajków w suchym porcie w Medyce. Przez to nastąpiłby paraliż transportu towarów do ZSRR. Strajk na stacji przeładunkowej w Medyce zablokowałby produkcję w wielu zakładach Polski południowej. Ekiert zaplanował wspólnie ze Zbigniewem Szybiakiem akcję informacyjną w celu doprowadzenia do strajku. Nad ranem 29 sierpnia zamierzano na pociągach jadących do Medyki malować napisy „Kolejarze, Dokerzy suchego portu! Dla siebie i dobra Ojczyzny, solidaryzujcie się z robotnikami w całym kraju! Nie ufajcie przewrotnym komunistycznym uzurpatorom! KPN” i rozrzuć w nich ulotki, podpisane przez KPN. Niestety, Zbigniew Szybiak był zwerbowany przez SB, jako tajny współpracownik ps. „Lew” i wówczas powiadomił przemyską bezpiekę o planowanej akcji. Oficerowie SB zamierzali pochwycić Ekierta na tzw. gorącym uczynku. Konfederaci rozrzucili część ulotek i namalowali jeden napis na pociągu jadącym w stronę Medyki. Po pojawieniu się milicjantów Ekiert zdołał uciec. Pomimo tego, że został on następnie zatrzymany, SB nie miała dowodów które można byłoby wykorzystać przed sądem w celu jego skazania. We wrześniu przemyska KPN planowała z pomocą Obszaru Karkowskiego uruchomić własną poligrafię. Przeprowadzono także akcję informacyjną o rocznicy wkroczenia Armii Sowieckiej do Polski 17 września 1939 r.

W październiku 1980 r. Jan Ekiert z powodów osobistych wyjechał do Warszawy. Posiadaną przez siebie literaturę oraz prowadzenie dalszej działalności w ramach Konfederacji przekazał wspomnianemu wcześniej Zbigniewowi

Szybiakowi. Przeniesienie się Ekierta do Warszawy i działania operacyjne SB doprowadziły do zaprzestania działalności Konfederacji w Przemyśle.

Uwięzienie przywódców KPN doprowadziło do wzrosty popularności tej partii w kraju. 25 maja 1981 r. Studencki Komitet Obrony Więzionych za Przekonania zorganizował w Rzeszowie wielką manifestację w obronie aresztowanych konfederatów. Rzeszowski MKZ rozpoczął druk książki Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”. W tych warunkach w maju 1981 r. przemyska SB doszła do wniosku, że Konfederacja w mieście się odrodzi jako niekontrolowany ruch opozycyjny. Wobec tego postanowiono przedsięwziąć działania wyprzedzające i przechwycić kierownictwo nad lokalnymi strukturami KPN. Wykorzystano do tego Adama Szybiaka TW „Paweł”, któremu polecono odnowienie kontaktów z Marią Moczulską. W tym czasie Leszek Moczulski przebywał w więzieniu. Od lata 1981 r. TW „Paweł” rozpoczął tworzenie kontrolowanych przez SB struktur KPN na terenie obecnego Podkarpacia.

Lato i jesień 1981 r. to okres jawnej działalności NSZZ „Solidarności”. W tym czasie do Konfederacji zgłaszali się nowi członkowie. Wśród nich byli bracia Janusz i Mariusz Kurowscy -pracownicy Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność w Przemyśle. 1 września 1981 r. z autentycznych pobudek patriotycznych akces do Konfederacji zgłosił Czesław Buksiński, major „ludowego” Wojska Polskiego. Wyrażenie chęci wstąpienia do Konfederacji wysokiego stopniem oficera wywołało w funkcjonariuszach SB niedowierzanie. Informacja została sprawdzona. Przystąpienie Buksińskiego do KPN zapewne uświadomiło esbekom, że w wojsku znajdują się oficerowie, którzy nie identyfikują się z państwem komunistycznym, a w razie konfrontacji ze społeczeństwem nie będzie można liczyć na część korpusu oficerskiego.

Jerzy Popowski sekretarz jarosławskiego MKZ w połowie 1981 r. utworzył ośrodek KPN w Jarosławiu, podporządkowany Okręgowi Przemyskiemu. Ponadto powstały grupy KPN w Strzyżowie i Leżajsku, ich działalność wymaga dalszych badań. Wg dokumentów SB pod koniec 1981 r. w Przemyśle było 16 członków Konfederacji, a w Jarosławiu pięciu. Nie znamy liczby członków KPN w Strzyżowie i Leżajsku. Ilość sympatyków KPN w regionie jest trudna do oszacowania.

Nieznana jest funkcja Adama Szybiaka w strukturach Konfederacji. Występował on w imieniu Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN Okręgu Przemyskiego, oficjalne dokumenty podpisywał swoim imieniem i nazwiskiem. Członkom wydawał legitymacje i zbierał od nich składki. Okręg Przemyski drukował gazetę „Niepodległość”. Do stanu wojennego wyszły dwa numery.

W okresie stanu wojennego nastąpiło zawieszenie działalności KPN w regionie. Stało się tak za sprawą działalności agentury SB. Ponadto działacze utracili łączność z centralą w Warszawie. Zawieszenie działalności spowodowało uniknięcie przez członków KPN represji ze strony komunistycznego aparatu władzy.

Jan Ekiert mimo, że przez rok nie brał udziału w czynnej działalności opozycyjnej po ogłoszeniu stanu wojennego został internowany. W jego przypadku pozbawienie wolności odniosło wręcz odwrotny skutek od zamierzonego przez SB. W ośrodku odosobnienia Ekiert powrócił do działalności dysydencyjnej, przy czym występował on jako niezależny członek KPN. W 1982 r. Ewa Ekiert, żona Jana została aresztowana i skazana za posiadanie ulotek. W procesie przeciw niej świadkiem oskarżenia był Adam Szybiak. Udział TW „Pawła” w sprawie sądowej doprowadził do jego dekonspiracji, jako tajnego współpracownika SB. Od tej pory dalsza działalność TW w KPN w Przemyśle była zdaniem oficerów prowadzących niemożliwa. Mimo tego w 1983 r. SB próbowała zbudować w oparciu o Adama Szybiaka pozorowaną grupę KPN w Przemyśle. Wspomniana kombinacja operacyjna nie odniosła skutku.

Po opuszczeniu internowania Jan Ekiert współpracował z Regionalną Komisją Wykonawczą podziemnej „Solidarności” w Przemyśle, występował jako przedstawiciel niezależnego KPN. Wielokrotnie brał udział w manifestacjach opozycyjnych w Przemyśle, w czasie których przemawiał. Był zatrzymywany przez SB i karany wysokimi grzywnami przez Kolegium ds. Wykroczeń.

Na teren Polski południowo-wschodniej w połowie lat 80. XX w. literatura KPN trafiała z dwóch ośrodków krakowskiego i lubelskiego, za pośrednictwem studentów z regionu. Zaczęły się tworzyć ponownie nieformalne grupy KPN. Pierwsza powstała ok. 1985 r. w Jarosławiu wokół Andrzeja Mazurkiewicza, studenta prawa KUL w Lublinie. Wspomniana grupa zajmowała się kolportażem literatury głównie na terenie Jarosławia. Andrzej Mazurkiewicz, pod

ps. Tadeusz Korab, nawiązał współpracę z RKW w Rzeszowie i „Solidarnością Walczącą”. Grupa Mazurkiewicza liczyła początkowo kilka osób później rozrosła się do 30. W 1988 r. występowała jako Okręg Rzeszowsko-Przemyski wchodzący w skład Obszaru IV z siedzibą w Lublinie.

Druga grupa powstała wokół Andrzeja Zapałowskiego w Przeworsku i Przemyślu. Zapałowski, wówczas student historii WSP w Krakowie, na uczelni zetknął się z działaczami KPN. Początkowo jego grupa miała nieformalny charakter i zajmowała się kolportażem literatury w Przeworsku i Przemyślu. W 1988 r. nastąpiło połączenie wspomnianych ośrodków. Przystąpiono do utworzenia Obszaru Rzeszowsko-Przemyskiego. Szefem został Andrzej Mazurkiewicz, który zorganizował ośrodek w Jarosławiu. Jego zastępcą był Zapałowski. 16 sierpnia tegoż roku konfederaci wyszli z ciekawą inicjatywą powołania Lokalnego Parlamentu Ugrupowań Niezależnych Ziemi Rzeszowskiej. W jego skład wchodziły: miejscowa KPN, Rzeszowski Oddział „Solidarności Walczącej”, Rzeszowski Komitet Oporu Rolników i NSZZ „Solidarność” Ziemi Jarosławskiej. Działania SB jesienią 1988 r. doprowadziły do zaprzestania przez Parlament działalności.

11 marca 1989 r. nastąpiła reorganizacja struktury terenowej KPN. W skali kraju zmniejszono liczbę obszarów z 12 do 6. Zlikwidowano Obszar Rzeszowsko-Przemyski, przywrócono Okręg Rzeszowsko-Przemyski podległy Obszarowi IV Lubelskiemu. Ujawnienie KPN w regionie nastąpiło wiosną 1989 roku. Członkowie partii na terenie obecnego Podkarpacia weszli w skład Komitetów Obywatelskich „Solidarność” jako działacze KPN. W wyborach parlamentarnych 1989 r. w regionie Konfederacja nie wystawiła własnych kandydatów, poparto listę Komitetu Obywatelskiego.

Po wyborach nastąpiło ożywienie działalności KPN w Polsce południowo-wschodniej. W czerwcu 1989 r. powstała grupa KPN w Krośnie, która podlegała pod Obszar Krakowski jej liderem był uczeń Tomasz Niepokój. W sierpniu powstały struktury KPN w Rzeszowie, które utworzyli Dariusz Baran student KUL w Lublinie, związany z Mazurkiewiczem i lekarz Krzysztof Woźniak. Od II połowy 1989 r. bardzo aktywnie działała grupa Ryszarda Skóry w Mielcu, powiązana ze strukturami KPN w Krakowie. Wspomniana grupa używała nazwy „KPN Rejonu Mieleckiego”. W listopadzie tegoż roku powstał Rejonowy

Oddział KPN w Tarnobrzegu, szefem był kolejarz Tadeusz Mika. W 1989 r. nastąpiło otwarcie pierwszych biur KPN w Jarosławiu, Przemyśle i Tarnobrzegu następnie utworzono biura w innych miastach regionu. Po ujawnieniu się struktur KPN do partii powrócili dawni działacze w tym Czesław Buksiński.

W latach 1988–1990 Obszar następnie Okręg Rzeszowsko-Przemyski wydawał własną gazetkę „*Pobudkę*”. Redagowali ją Andrzej Mazurkiewicz, Zbigniew Piskorz i Andrzej Zapałowski. Wychodziła w zależności od możliwości finansowo-technicznych raz na kwartał lub raz na pół roku. Ukazało się co najmniej 17 numerów. Nakład wynosił 2 – 3 tys. egzemplarzy. Powielana była na ramce sitodrukowej. Niekiedy część nakładu kserowano. „*Pobudka*” drukowana była w Lublinie, Jarosławiu a niektóre numery w Przeworsku w domu Andrzeja Zapałowskiego. Rejon KPN Mielec pod koniec 1989 r. wydawał własne pismo „Przegląd”.

W styczniu 1990 r. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przygotowała się do transformacji. Partię chciano przekształcić z komunistycznej w socjaldemokratyczną, zatrzymując jej mienie. Powszechnie uważano, że majątek PZPR jest zagrabiony i stanowi własność całego polskiego narodu. W styczniu Konfederacja podjęła ogólnopolską akcję zajmowania i pikietowania siedzib PZPR. 23 stycznia 1990 r. akcję przeprowadzono w Mielcu, gdzie wspólnie z Federacją Młodzieży Walczącej pikietowano budynek Komitetu Miejskiego. Protest zakończył się podpisaniem porozumienia na mocy, którego o dalszym losie budynku miało zadecydować lokalne referendum. 26 stycznia w Rzeszowie podjęto nieudaną próbę zajęcia budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR wspólnie z NZS, Ruchem „Wolność i Pokój” i Federacją Anarchistyczną. Akcja nie powiodła się. Prawdopodobnie spodziewano się próby zajęcia gmachu KW, tylko grupce młodzieży udało się wdrzeć po drabinach na balkon budynku. Po interwencji służb porządkowych protest został zakończony. W Przemyśle grupa członków KPN i Federacji Młodzieży Walczącej na czele z Andrzejem Zapałowskim i Andrzejem Kowalczykiem zajęła budynek KW. Doszło do kilkugodzinnej okupacji gmachu. Andrzej Zapałowski zerwał czerwoną flagę z dachu. Okupacja zakończyła się porozumieniem na mocy którego budynek przeznaczono na cele publiczne, umieszczono w nim szkołę języków obcych.

Po wyborach czerwcowych 1989 r. KPN jako tzw. nie konstruktywna opo-

zycja była nadal inwigilowana przez SB. Wydział III w Rzeszowie założył sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Konfederaci”. Z notatki z akt tej sprawy wynika, że 25 stycznia 1990 r. zniszczono 13 kart dokumentów rzekomo nie przedstawiających wartości operacyjnej ani historycznej. SOR „Konfederaci” zakończono dopiero 25 maja 1990 r. z powodu likwidacji Służby Bezpieczeństwa.

Od połowy 1990 r. Konfederacja rozpoczęła normalną działalność polityczną jako partia. W wyborach 1991 r. w Okręgu wyborczym Przemyśl wprowadziła do sejmu I kadencji odrodzonej Rzeczypospolitej posła Andrzeja Mazurkiewicza, do senatu II kadencji Stanisława Kostkę. Zygmunta Łenyka wybrano do sejmu I kadencji w Okręgu wyborczym Rzeszów.

MICHAŁ ŻAK –
WSPOMNIENIA Z LAT 1948–1958¹

Ryszard Bocian, działacz „Solidarności” i Konfederacji Polski Niepodległej w Krakowie:

13 grudnia 1981 r. Na rogach ulic rozlepione wielkie płachty papieru obwieszające paragrafy Dekretu o stanie wojennym „...drukowanie i rozpowszechnianie, nielegalne zgromadzenia, kontynuowanie działalności, kto udziela pomocy... kara więzienia od lat pięciu, kara dożywotniego więzienia, kara śmierci...”. Strach.

Ktoś pozwala nam „ukraść” powielacz ze swego zakładu – umieszczamy go

¹ W 1984 r. na polecenie Ryszarda Bociana, mojego szefa w KPN, nagrałem na magentofon kasetowy relację Michała Żaka, którą znaleźmy już we fragmentach z wcześniejszych z nim rozmów, gdy byliśmy wielokrotnie w jego mieszkaniu. Następnie przepisałem na maszynie jego relację w trzech egzemplarzach. Jeden maszynopis Ryszard Bocian dał Danucie Suchorowskiej (która wykorzystała go przy pisaniu książki o Władysławie Gurgaczu: „Gurgacz – Popiełuszko lat stalinowskich i współnicy jego losu”, Kraków, 1987 oraz „...postawcie mi krzyż brzozy. Prawda o tzw. sprawie ks. Władysława Gurgacza kapelana Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej 1948–1949”, Warszawa 1988). Drugi maszynopis – za pośrednictwem redakcji „Rzeczpospolita” – przekazałem w latach 90. do Fundacji „Karta”(i w tej instytucji, niestety, zaginął). Trzeci – schowałem i to tak skutecznie, że odnalazłem go przypadkowo dopiero niedawno.

Niniejszy tekst, oparty na tym trzecim, niedawno odnalezionym maszynopisie, stanowi wierny zapis słów Michała Żaka sprzed 30 lat, gdy w Krakowie niemal nikt nie pamiętał o historii PPAN a groby jej żołnierzy na Cmentarzu Rakowickim były całkowicie zaniedbane. Tekst ma dużą wartość jako źródło historyczne, gdyż opiera się bezpośredniej relacji jednej z osób, sądzonych w pokazowym procesie PPAN w 1949 r. w Krakowie. Od wydarzeń, których dotyczy ta relacja do momentu jej złożenia minęło mniej więcej tyle samo czasu, ile minęło od nagrania tej relacji do dzisiaj. 30 lat to spory okres czasu, ale przecież dzisiaj nieźle pamiętamy wydarzenia po 13 Grudnia. Tak samo Michał Żak w 1984 r. nieźle pamiętał wydarzenia z czasów stalinowskich, zwłaszcza, że potem, w więzieniu, miał dość czasu, aby je rozpamiętywać.

z nieżyjącym dr. Stefanem Skawińskim w jakimś prowizorycznym schowku. Potrzebne jest pewniejsze lokum. Mieszkania znanych mi działaczy KPN po rewizjach, często z wylamanymi drzwiami, główni lokatorzy siedzą. Z ciężkim sercem przybiegam do mieszkania Michała Żaka na ul. Wrzesińską. Otwiera mi sam gospodarz, 70-letni laborant Akademii Medycznej, kaleka po ubowskich torturach, skazany w latach 50. na karę śmierci, długoletni więzień stalinowski. Zdaję sobie sprawę z tego, na co narażam tego starego człowieka, mówię, że może na kilka dni, zanim znajdziemy coś lepszego... Michał przerywa i spokojnym głosem mówi do mnie: „Możesz tu przywieźć nawet czołg i zostawić go na tak długo, jak będzie potrzeba”.

I tak zostaliśmy w lokalu na Wrzesińskiej na długich osiem lat, z naszymi prymitywnymi kapeenowskimi „ramkami” drukarskimi (powielacz przypadł „Solidarności”), ze stosami bibuły, z konspiracyjnymi zebraniem różnych struktur KPN, a także „Solidarności”.

Chyba był świętym. Regularnie, przez całe lata 80. wspomagał ze swojej pensyjki „Solidarność”, zanosząc pieniądze dla „Solidarności” do kurii. Wspomagał wszystkich potrzebujących, którzy kręcili się po jego domu, a u których zauważył jakąś potrzebę. Potrafił mi kupić papierosy „Klubowe”, widząc, że palę tanie „Sporty”! Przez całe lata 80. prenumerował mi „Tygodnik Powszechny”, który pobierałem w zakrystii u Jezuitów. A w jego domu przy Wrzesińskiej koczowała nie tylko góra naszej grupy w KPN. Odbywały się tam, jak się później dowiedziałem, zebrania góry „Solidarności” małopolskiej. Drukowaliśmy u niego. Poza tym ukrywał się tam Tolek Piekatkiewicz, jakiś czas Maciek Gawlikowski. Miał ogromny wpływ formacyjny na młodzież kapeenowską, która się z nim stykała. Wiedziałem, że ludzie, którzy wysłuchali dramatycznych opowieści Michała – nie pękają tak łatwo na esbecji. I nie myliłem się. Michał także nigdy nie pękł. Oczywiście, nic nie powiedział ubecji. Dalej spokojnie konspirował z nami. Opiekował się krzyżem kwietnym pod kościołem Jezuitów przy ul. Kopernika przez całe lata 80. Co miesiąc uczestniczył w modłach przy tym krzyżu. Był do przesady skromny. Nawracał nas i słowem, i przykładem, na właściwą, chrześcijańską drogę. No, po prostu święty.

* * *

Nazywam się Żak. Na imię mi Michał. Rodzicom moim na imię było Jan i Zofia z Kocembów. Tatuś mój był rolnikiem. Kilkakrotnie wybierany był na wójta w gromadzie Kamionka.

Urodziłem się 10 września 1911 r. też w Kamionce² (powiat Grybów, potem Nowy Sącz). W Kamionce uczęszczałem przez 7 lat do szkoły oddziałowej. Potem, wyjechałem do Jezuitów, do Starej Wsi³. Miałem zamiar chodzić do gimnazjum, ale brat, który był u Jezuitów, namówił mnie, żebym przyjechał tam i tam się szkolił. To nie było szkolenia teoretyczne, tylko praktyczne – pracowałem w ogrodzie, potem w aptece. Szefem tej apteki był Puzalski – lekarz. Spodobałem mu się, bo byłem sprytny i potem wziął mnie do pracy w aptece. Pracowałem tam w latach 1928–1934, najpierw w Starej Wsi, potem w Chyrowie⁴. W końcu ściałem się z prowincjałem Konopką⁵ i od Jezuitów odszedłem.

Rozpocząłem wtedy szkolenie średnie na kursach maturalnych „Wiedza” w Krakowie. Najpierw złożyłem egzamin z zakresu szkoły podstawowej w szkole św. Floraina przy ul. Szlak⁶, a potem kolejno, co roku zaliczałem po dwie klasy. Małą maturę⁷ złożyłem w 1936 r., a egzamin dojrzałości⁸ miałem zdawać w 1939 r. Przed wakacjami zdałem pisemny a ustny odroczyłem na wrzesień. Ale we wrześniu wybuchła wojna.

² Kamionka Wielka – wieś położona 10 km na południowy wschód od Nowego Sącza.

³ Stara Wieś leży w odległości 50 km na południe od Rzeszowa. W XVIII wieku Paulini wybudowali tutaj barokową bazylikę Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny oraz barokowy klasztor. W XIX wieku budynki te przejęli Jezuici, zakładając tutaj kolegium oraz nowicjat. Kolegium starowiejskie uważane jest za kolebkę wszystkich Jezuitów Prowincji Polski Południowej. Zob. <http://www.starawies.jezuici.pl> [dostęp 24 X 2014].

⁴ Miasto położone 30 km na południowy wschód od Przemyśla, obecnie na terytorium Ukrainy. Do 1939 r. Jezuici prowadzili tutaj zakład naukowo-wychowawczy, który uchodził za najlepiej wyposażone gimnazjum w II RP. Zob. ks. Jan Niemiec, *Zakład Naukowo-Wychowawczy OO. Jezuitów w Chyrowie 1886–1939*, Rzeszów-Kraków 1998.

⁵ O. Włodzimierz Konopka był prowincjałem Jezuitów w latach 1931–1935.

⁶ Szkoła św. Floriana (obecnie Szkoła Podstawowa nr 7) w Krakowie w latach 1912–1939 mieściła się przy ul. Szlak 5. Obecnie w tym budynku znajduje się XX LO. Zob. <http://www.sp7.pl/historia.html> [dostęp 24 X 2014].

⁷ Po reformie szkolnictwa min. Janusza Jędrzejewicza z 1932 r. mała matura kończyła naukę w czteroletnim gimnazjum. Taki system obowiązywał do 1948 r.

⁸ Po reformie jędrzejowiczowskiej dwuletnie liceum miało charakter elitarny. Kończyło się dużą maturą, która stanowiła przepustkę do szkoły wyższej.

1 września 1939 r. odebrałem dokumenty z kuratorium i zacząłem się ukrywać. Pojechałem do Kamionki bez wymeldowywania się z Krakowa a w Kamionce nie zameldowałem się. Zimą 1944/1945 wstąpiłem do AK, ale do dnia dzisiejszego nikomu o tym nie mówiłem (nawet na UB się do tego nie przyznałem).

Potem miałem parę miesięcy na przygotowanie się do matury i zdałem egzamin dojrzałości w VIII Gimnazjum im. Witkowskiego⁹. Od razu wstąpiłem do seminarium duchownego w Tarnowie¹⁰. W drugim półroczu przenieśliśmy się do Krakowa. Zostałem przyjęty do częstochowskiego seminarium, a na Uniwersytet Jagielloński chodziliśmy na wykłady¹¹. Gdy byłem w seminarium nastąpiło to aresztowanie...

* * *

Ksiądz Gurgacz¹² poznałem w 1948 r. okresie ferii świątecznych Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy, kiedy klerycy byli poza seminarium. Chodziłem po Krakowie i przypadkowo spotkałem ks. Gurgacza, którego znałem jeszcze z czasów, gdy pracowałem przed wojną u Jezuitów. On wtedy odbywał no-

⁹ VIII Państwowe Gimnazjum Matematyczno – Przyrodnicze im. Augusta Witkowskiego (przed 1921 r. – Wyższa Szkoła Realna) od końca XIX wieku funkcjonowało w budynku przy ul. Studenckiej. Wznowiło działalność w 1945 r. Od 1956 r. funkcjonuje jako V LO. Zob. <https://www.v-lo.krakow.pl/o-szkole/historia-szkoly> [dostęp 24 X 2014].

¹⁰ Wyższe Seminarium Duchowne w Tarnowie funkcjonowało przez cały okres niemieckiej okupacji (mimo, że w 1941 r. aresztowany został przez Niemców rektor ks. Roman Sitko oraz ojciec duchowny – ks. Józef Brudz). W 1946 r. wznowiło oficjalną działalność. Zob. <http://www.wsd.tarnow.pl/historia/rys-historyczny> [dostęp 24 X 2014].

¹¹ W latach 1926–1954 alumni częstochowskiego Wyższego Seminarium Duchownego studiowali w Krakowie a sama uczelnia funkcjonowała w ramach Wydziału Teologicznego UJ. Siedziba seminarium znajdowała się w Krakowie przy ul. Bernardyńskiej. Zob. <http://www.seminarium.czest.pl/> [dostęp 24 X 2014].

¹² Władysław Gurgacz urodził się 2 kwietnia 1914 r. w Jabłonicy Polskiej k. Krosna. W 1931 r. wstąpił do nowicjatu Jezuitów w Starej Wsi. W 1942 r. otrzymał święcenia kapłańskie. W latach 1945–1947 był kapłanem szpitalnym w Gorlicach (jednocześnie był pacjentem tego szpitala) oraz kapłanem Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Starowiejskich. Potem został przeniesiony do Krynicy.

Ten i kolejne przypisy, przy których nie podaję źródeł, opracowałem na podstawie tekstu Dawida Golika i Filipa Musiała, *Maluczko i skończy się ścieżka zarośnięta cierniem...*, Biuletyn IPN nr 1-2 z 2010, s. 152 i nast.

wicjat. Teraz zapytałem go, czemu jest po cywilnemu. Odpowiedział, że „jest spalony” i wyjaśnił mi okoliczności, w jakich do tego doszło.

Był kapłanem w ochrance w Krynicy. Wygłaszał tam rekolekcje. Pierwsze rekolekcje wydał dla kobiet, drugie – dla mężczyzn. A trzecie rozpoczął wydawać dla kolejarzy, których zaprosił imiennie (zdobył ich adresy)¹³.

Po pierwszych rekolekcjach zyskał sobie rozgłos. Rzeczywiście był bardzo dobrym mówcą, tak, że ludzie słuchali go z wielką uwagą i nieraz płakali. Na rekolekcjach mówił to, co każdy ksiądz powinien mówić, mianowicie udowadniał istnienie Pana Boga. Było to w sprzeczności z marksizmem. Kałucki i jacyś inni jeszcze – jak on to mówił – „pseudonaukowcy”, twierdzili, że Chrystus nie był postacią historyczną. A jeśli nawet był, to był jakimś reformatorem, który naraził się możliwym żydowskim i dlatego go zabili. A ksiądz Gurgacz dziwił się: „Jak można w dzisiejszych czasach mówić, że Chrystus nie był postacią historyczną?”. Przytaczał Józefa Flawiusza, Pliniusza i Tacyta, u których są wyraźne wzmianki o Chrystusie. Tak bardzo przekonująco udowadniał tezy katolickie i tak bardzo błado wypadali przy tym, ci uczeni radzieccy, że zwróciło to uwagę heroldów komunistycznych, jakimi są milicja i UB, którzy także słuchali tych jego rekolekcji. Kiedy ksiądz Gurgacz imiennie zaprosił miejscowych kolejarzy na rekolekcje, to już do szczytu się zdenerwowali, że on klasę robotniczą chce bałamucić. Nasłali jakiegoś partyjniaka, żeby go „sprzątnął”, to jest zastrzelił na ulicy¹⁴. Ten sobie wcześniej popił (wtedy jeszcze stan upojenia alkoholowego był okolicznością łagodzącą, dopiero potem wydano ustawę przeciwną) i jak ks. Gurgacz miał te rekolekcje kontynuować, to on już spacerował w takim miejscu, o którym wiedział, że ksiądz Gurgacz tamtędy przechodzi. Ale ksiądz szedł energicznie, tak, że go zaskoczył. Dopiero gdy go minął, to tamten się spostrzegł. Krzyknął: „A to klecha!”, co słyszeli przechodzący ludzie. Wyciągnął ten swój pistolet i strzelił do księdza. Ale chybił! Wódka miała ten swój minus, że strzelił niecelnie. Ksiądz Gurgacz umknął między ludzi.

To był pierwszy zamach. Ludzie, którzy widzieli tego człowieka, który

¹³ Było to przed Wielkanocą 1948 r.

¹⁴ W liście do do swojego ojca duchowego, jezuity, ks. Józefa Pacholckiego ks. Gurgacz napisał, że zamachowcem był komendant MO z pobliskiej wioski, który oddał do niego dwa strzały. Pierwszy okazał się niewypałem a drugi chybił.

strzelał i znali go, mówili, że był partyjny, znali jego tożsamość. UB wezwała ks. Gurgacza, żeby przedstawił, jak to było. Ludzie przestrzegali go: „Niech ojciec nie idzie! Oni ojca już dawno mają na oku i jak ojciec pójdzie, to ojciec już nie wróci!”. Więc ksiądz odpowiedział im pisemnie. Napisał: „I tak będę musiał pisemne zeznania robić, a nie ma potrzeby, żebym się zgłaszał na UB (czy tam milicję)”.

Okoliczności drugiego zamachu na jego życie już nie pamiętam. W każdym razie mówił, że dwa razy był na niego zamach. Miał się już wtedy na baczności. Wzywali go – on się nie zgłaszał. Jednego razu tak było, że odprawił nabożeństwo w ochrance, wyszedł do łazienki, która była w suterrenach a na furcie tej ochranki znalazło się dwóch czy trzech cywilów, którzy pytali się o niego. Zakonnica, która z nimi rozmawiała mówiła, że można było zauważyć, że mieli coś pod płaszczami, coś grubszego. Odpowiedziała im: „Ojciec już odprawił msze święta i wyjechał do prowincjała, do Starej Wsi”. Taka sprytna zakonnica! Oni powiedzieli jej, żeby się zgłosił, bo jak się nie zgłosi, to go siłą przyprowadzą.

Od tego czasu ksiądz Gurgacz zaczął bardzo uważać. Raz, czy dwa razy go nachodzili, ale jakoś im się nie poszczęściło. Potem, gdy już nie mógł odprawiać nabożeństw w ochrance, bo była ciągła obawa, że go złapią, tylko się ukrył, to przyszło po niego trzech po cywilnemu. Powiedzieli tak (opowiedziała to zakonnica): „Jesteśmy tu wysłani z lasu przez naszego dowódcę, żeby ojca do niego doprowadzić, czy ojciec chce, czy nie chce”. Ksiądz Gurgacz nie uwierzył w to, co oni mówili, był przekonany, że to UB, ale ponieważ mieli broń, to poszedł z nimi.

A oni faktycznie zaprowadzili go do lasu, do bunkra. Przedstawił się mu dowódca oddziału i powiedział tak: „Proszę ojca. My jesteśmy tylko oddziałem leśnym, ale oprócz nas do oddziału należą też ludzie, którzy normalnie pracują¹⁵. Naszym celem jest budować bunkry i magazynować broń na wypadek wojny

¹⁵ Polska Podziemna Armia Niepodległościowa albo Polska Podziemna Armia Niepodległościowców była największą powojenną organizacją antykomunistyczną na Ślądecczyźnie. Utworzona jesienią 1947 r. miała być organizacją cywilną kładącą nacisk na samokształcenie i krzewienie idei patriotycznych. Z biegiem czasu powstał w ramach PPAŃ pion zbrojny – oddział leśny „Żandarmeria”, którego celem była ochrona członków pionu cywilnego oraz zdobywanie funduszy głównie poprzez konfiskaty.

(której wtedy się powszechnie spodziewano). A wtedy, gdy będzie pobór do wojska, to ci, którzy będą chcieli tego uniknąć, będą mieli się gdzie schronić. To będzie dla nich taki przytułek, który jest załącznikiem armii, która będzie walczyć z komunistami w imię dobra Polski. Dlatego nazywamy się PPAN – Polska Podziemna Armia Niepodległościowa. Ponieważ ksiądz, jako kapłan, nie może pełnić już normalnie swoich obowiązków, tylko się ojciec ukrywa, a my, jako katolicy i Polacy, nie mamy możliwości wypełniania praktyk religijnych, to ojciec nam będzie tutaj odprawiał nabożeństwa, udzielał nauki, damy ojcu utrzymanie, na ile to będzie w naszej mocy”. Zapytali się księdza Gurgacza, czy się zgadza. Odpowiedział im tak: „Samo doprowadzenie mnie do bunkra już było równoznaczne, z zobowiązaniem mnie do zachowania tajemnicy. Zgadzam się na waszą propozycję, bo będę mógł wpływać na to, żebyście nie zeszli na niemoralną drogę”. Wtedy złożył przysięgę, wrócił po swoje rzeczy i został kapłanem tej organizacji¹⁶.

* * *

Wiem, że PPAN prowadziła w tym czasie pewną działalność na terenie powiatu krynickiego. Partyjnym i taki, którzy współpracowali z czerwonymi dawali odpowiednie nauczki. Takiemu, co do partii wstąpił, to kazali zjeść legitymację partyjną, itd. Robili też zbrojne akcje, jakieś napady, ale bliżej, to nie wiem. Dotyczyły one jakichś spółdzielni, społecznych pieniędzy, bo na prywatne – to oczywiście nie.

Liczebność oddziału leśnego oceniam na jakieś 20 osób¹⁷. Wszyscy byli „spaleni”. Wiadomo było, że nie mogą już normalnie iść do pracy, bo byli na czarnej liście. Niektórzy z nich byli w AK, ale nie wiem dokładnie którzy.

Dowódcą oddziału był Pióro – „Emir”¹⁸. Inni to: Stefan Balicki (były mili-

¹⁶ Ks. Władysław Gurgacz SJ używał w PPAN pseudonimów „Sem” oraz „Ojciec”. Mimo starań ks. Gurgacza władze jezuitów nie zaakceptowały jego pozostawiania przy oddziale leśnym i – w obawie przed represjami komunistycznymi w stosunku do całego Towarzystwa Jezusowego – 28 czerwca 1948 r. wykluczyły go zakonu.

¹⁷ Golik i Musiał piszą, że wiosną 1949 r. oddział „Żandarmerii” liczył niemal 20 ludzi.

¹⁸ Stanisław Pióro, „Emir”, „Mohort”, był jednym z założycieli PPAN. Zanim poszedł „do lasu” pracował jako leśniczy z Nawojowej.

cjant)¹⁹, Stanisław Szajna – „Orzeł” (sierżant w przedwojennym wojsku), Nowakowski²⁰ i Legutko²¹ (najmłodszy – 19 lat). Szajna był kiedyś w Sodalicii Mariańskiej. To był wyjątkowo porządny człowiek.

Blizszych danych na temat uzbrojenia oddziału nie mam. Jakąś broń mieli w bunkrach, ale na akcje chodzili z pistoletami.

Ja nie należałem do oddziału, tylko kontaktowałem się z księdzem Gurgaczem.

* * *

Ksiądz Gurgacz pożyczył pieniądze od kogoś w Gorlicach na pomoc dla więźniów z tej „nieleśnej” części organizacji²². Dał mi te pieniądze. To było 100 dolarów i 200 tys. złotych. Ja przekazałem te pieniądze człowiekowi, który wcześniej był w seminarium (stąd go znałem), ale odszedł stamtąd. Jak ten człowiek wziął te pieniądze, to zniknął, przepadł, jak kamień w wodę! Osobiście uważam, że mnie nabrał.

Inne moje kontakty z tą organizacją polegały na tym, że pisemnie żeśmy się kontaktowali z księdzem Gurgaczem w sprawie możliwości zdobycia pieniędzy

¹⁹ Ppor. Stefan Balicki nosił w PPAN pseudonim „Bylina”.

²⁰ Leon Nowakowski – „Góral”.

²¹ Adam Legutko – „Młodzik”.

²² W akcję przeciwko PPAN o kryptonimie „Malaga” (później „Karpaty”), prowadzoną przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Sączu zaangażowanych było kilkudziesięciu funkcjonariuszy UB. Wspierała ich i nadzorowała grupa operacyjna WUBP w Krakowie, na której czele stał naczelnik Wydziału III Stanisław Wałach. Latem 1948 r. pion cywilny PPAN został rozbity. W areszcie komunistycznym znalazł się też m.in. Jan Matejak – „Brzeski”, pierwszy dowódca „Żandarmerii”. Krótko potem dowodzenie „Żandarmerią” przejął Stanisław Pióro – „Emir”, który także musiał się ukrywać. Wiosną 1949 r. brak środków oraz coraz częstsze obławy UB i KBW w rejonie Hali Łabowskiej (gdzie były kryjówki partyzantów) skłoniły „Emira” do podzielenia oddziału na trzy części. Jedną dowodził Mieczysław Rembiarz, – „Orlik”, drugą – „Bylina”, a trzecią, najliczniejszą – osobiście „Emir”.

Ksiądz Gurgacz był związany z grupką Balickiego – „Byliny”, do której należeli także wymienieni wcześniej przez Michała Żaka: Szajna, Nowakowski i Legutko.

„Orlik” został zabity w zasadzce UB 11 czerwca 1949 r. a trzej inni członkowie jego grupy – 13 lipca tego roku.

„Emir” wpadł w zasadzkę w Czechosłowacji 14 sierpnia 1949 r. i zginął śmiercią samobójczą, zaś dwaj członkowie jego grupy (Adolf Cecur – „Lew” oraz Michał Cabak – „Kuna”) zginęli w walce.

na utrzymanie organizacji i na zwrócenie pożyczki. Stało na tym, że trzeba obserwować bank, kto wynosi pieniądze, i w ten sposób... Inaczej się nie dało!

Z lasu przyjeżdżali dwukrotnie na akcję, ale nie dało się jej przeprowadzić, bo warunki były niesprzyjające. Gdy byli w Krakowie, to im wyszukiwałem kwatery.

* * *

Akcja na bank nastąpiła 2 lipca 1949 r. Przyjechali z lasu ksiądz Gurgacz oraz czterech innych: Balicki, Szajna, Nowakowski. i Legutko. Umieściłem ich u swoich znajomych przy ul. Krótkiej oraz przy ul. Modrzewskiego pod pretekstem, że to moi znajomi, którzy przyjechali na zwiedzanie Krakowa oraz na badania lekarskie. Ludzie chętnie udzielili im schronienia, bo to było w czasie wakacji i mieli dużo miejsca, czy to po kwaterach, które wynajmowali studentom, czy inne.

Wtedy już prowadziliśmy ciągłą obserwację Banku Narodowego z ławki na Plantach. Była też pewna dziewczyna, którą wziąłem na akcję. Było umówione, że najpierw ja z nią przejdę przed nimi a potem ona wejdzie do banku a ja pójdę w inną stronę. „Jak ona będzie wychodzić z banku za kimś i będzie wycierać nos chusteczką, to tego weźcie sobie pod uwagę”.

Przebieg zamachu i późniejszej ucieczki znam z rozprawy.

Dziewczyna wyszła za dwoma ludźmi. Byli to dwaj woźni, którzy nieśli pieniądze z Banku Narodowego przy ul. Basztowej do Banku Spółek Zarobkowych przy ul. Szpitalnej. Wtedy cała czwórka poszła za nimi. Ksiądz Gurgacz w tym czasie ich obserwował i gdyby ktoś był ranny czy zabity, to miał udzielić ostatniego namaszczenia czy jakiejś pomocy sanitarnej. Na wypadek potrzeby, on także miał broń. Oni tymczasem szli ulicą Floriańską, potem zboczyli w ulicę Solskiego czy św. Marka, w stronę ulicy Szpitalnej. Sam zamach miał miejsce już przy ulicy Szpitalnej. Napastnicy podeszli do woźnych i powiedzieli im, że mają im być posłuszni. Wzięli ich pod ręce (po dwóch jednego woźnego). Woźni myśleli, że to UB i mocno się stawiali. Wtedy oni uderzyli ich w ręce rękojęścią pistoletów, wyrwali im siłą teczkę i zaczęli uciekać przyspieszonym krokiem.

Wtedy woźni zaczęli krzyczeć: „Ratunku! Bandyci!” i pobiegli za nimi. Tamci zaczęli się ostrzeliwać, z tym, że nikogo nie zranili (później UB czyniło woźnym zarzuty, że byli w zмовie, bo nie zostali postrzeleni przez napastników). Uciekali na Planty, potem w stronę ulicy Wielopole, do Dietla. Przebiegli pod mostem i na ulicy Blich zgubili pościg. Nie mieli opracowanego z góry planu ucieczki. Poszli w stronę ulicy Łazarza. Niestety zwracali uwagę, bo nie mieli nakrycia głowy a w tym czasie wszyscy mężczyźni nosili kapelusze, nawet w lecie.

Tymczasem woźni zadzwonili na milicję i zorganizowano obławę na Grzegórkach. Ulica Łazarza była poza obszarem planowanej obławy. Uciekający mieli jednak pecha, bo szła jakaś służąca od ulicy Blich do sklepu na ulicy Wielopole (to było w godzinach popołudniowych, po 12-tej). Nie wszyscy ludzie udzielali pomocy milicji, gdyż byli przekonani, że to nie bandyci dokonali zamachu, tylko ludzie z lasu. Milicyjny patrol z obławy zatrzymał przypadkowo tą służącą na ulicy Blich. Milicjanci zaczęli na nią krzyczeć: „Dokąd idziesz? Skąd jesteś?”. Wylegitymowali ją i zapytali, czy nie widziała czterech ludzi uciekających w tamtym kierunku. I ona powiedziała, że widziała takich mężczyzn, jak przez parkan skakali. Kazali jej pokazać to miejsce. Był tam mały domek. Ściągnęli obławę. Uznali, że jest prawdopodobne, że uciekający schronili się na strychu. Jeden z milicjantów podszedł bliżej i powiedział im, że są otoczeni i żeby się poddali. Zaczęli się ostrzeliwać. Mieli granat, który mieli użyć, aby nie dać się wziąć żywcem. Granat miał Legutko. Gdy przyszedł decydujący moment, to Legutko zaczął płakać i mówić, żeby tego nie robić. Tamci trzej zgodzili się. No i ostatecznie się poddali. Tak skończyła się cała akcja.

* * *

W śledztwie zastosowano wobec nich „porządne” metody i Legutko, który okazał się „słaby w tyłku” wysypał wszystko co wiedział: o księdzu Gurgaczu, o mnie, ile razy byli w Krakowie, adresy ludzi, u których spali. O tym, że to Legutko sypał wnioskuje po tym, że jeszcze w czasie śledztwa, gdy przebywaliśmy w areszcie, to jego traktowali inaczej – on był kalifaktorem: zamiatał, obcierał drzwi. Na to trzeba było zasłużyć.

Księdza Gurgacza zatrzymali na ulicy Krótkiej, gdzie mieszkał. Ksiądz miał broń, ale jej nie użył, gdyż już wcześniej mówił, że broni w swojej obronie nie użyje.

Po akcji widziałem się jeszcze z księdzem Gurgaczem i ksiądz mówił mi, że on nie wie, czy akcja się powiodła czy nie, ale żebym ja się dowiadywał oraz żebym mu kupił bilet do Stróżów. Kupiłem ten bilet, ale wstąpiłem jeszcze na ulicę Kanoniczą (gdzie mieszkałem wraz z kuzynem, jako sublokator u krawca Zajdlowskiego pod piętnastym numerem). Chciałem mu powiedzieć, gdzie ma przysyłać listy, gdyby jakieś do mnie przysły. Tam już czekało na mnie UB. A ten bilet użyłem potem dla siebie, w mojej kombinacji...

* * *

Jak UB weszło do krawca Zajdlowskiego, to się go pytali: „Gdzie jest ksiądz Żak?”. Odpowiedział: „Ksiądz Żak spakował swoje rzeczy do dwóch walizek i wyszedł popołudniu, nie wiadomo gdzie”. Dlatego na UB pytali się mnie, gdzie ja te walizki zaniósłem. Opowiedziałem im następującą historijkę.

Jak wychodziłem z walizkami, to zjawił się w bramie facet i pytał, czy ja jestem Żak. A potem powiedział „Chciałem się dowiedzieć, jak sprawa z tym bankiem się udała”. Ja wtedy zacząłem go uważać za swojego człowieka, tzn. człowieka wysłanego przez organizację. Powiedziałem mu, że nie wiem. Właśnie wzięli pieniądze, 300 tysięcy złotych, ale nie wiem, czy ich złapali, czy nie. Teraz mam bilet, idę zanieść walizki do bagażowni, potem pójde księdza Gurgacza powiadomić i pojadę. O godzinie jedenastej mam pociąg. On wtedy powiedział: „Dobrze się składa! W takim razie wezmę od księdza te walizki i będę miał gwarancję, że się w Stróżach spotkamy i dowiem się wszystkiego”. I powiedział, że już teraz wyjedzie. Zgodziłem się na to.

UB chyba mi uwierzyło, bo domagali się ode mnie, żebym im pomógł ująć tego człowieka, który wziął te walizki. Obiecywali mi, że jeżeli im pomogę, to mnie wypuszczą. Przyszedł pułkownik Duda²³ – ówczesny szef krakowskiego

²³ Teodor Duda (ur. w 1914 r.) – w bezpiece od sierpnia 1944 r., od 15 X 1945 do 30 I 1946 – zastępca kierownika Departamentu III MBP w Warszawie, potem szef WUBP w Rzeszowie, Krakowie (w okresie od 16 X 1948 do 1 III 1950) i Łodzi, w latach 1953–1957 – zastępca ko-

UB i powiedział: „Słuchajcie Żak! Czy wy nam pomożecie ująć tego człowieka, który wziął od was te walizki?”. A ja nic. „Daję wam słowo oficarskie, że was zwolnię, jeżeli tylko pomożecie mam tego człowieka ująć”. A Zieliński²⁴ powiedział tak: „Sam pan pułkownik wam rękę podaje, a wy się jeszcze wstrzymujecie?! Nie podajecie mu ręki?!”. No to ja, ociągając się, powiedziałem wreszcie tak: „Dobrze. Pomogę wam go ująć”.

Wyjechaliśmy w nocy jeszcze tego samego dnia, w którym był zamach na bank (co opóźniło moje śledztwo). Jechaliśmy ciężarówką. Umówiliśmy się, że dwie stacje przed Stróżami wysiadziemy. Oni mieli być przy mnie, ale ja miałem nie zdradzać ich obecności i zachowywać się tak, jakbym był sam. Dwóch ubowców zostało przy mnie. Na peronie miałem uważać. Jeżeli będę z kimś rozmawiać i to będzie ten, o którego chodzi, to miałem odwrócić się do tyłu – wtedy oni mieli go ująć. A gdyby to był ktoś inny, to żebym się nie oglądał, bo wtedy ten „prawdziwy” się przestraszy i ucieknie.

Pytali się mnie też, gdzie miałem się zatrzymać w Stróżach. Powiedziałem im, że nie wiem. Dopiero w Stróżach miałem się namyśleć, co dalej robić.

Jeszcze zanim dojechaliśmy do Stróżów, przed Tarnowem²⁵, auto się zepsuło.

mendanta głównego MO. Służbę w strukturach bezpieczeństwa państwa zakończył w 1960 r. w stopniu pułkownika. Wielokrotnie oskarżany o nadużycia władzy nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Zob. *Duda Teodor*, dane z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, <http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Duda&idx=8&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=22045&> [dostęp 24 X 2014].

²⁴ Chodzi zapewne o Jana Zielińskiego (ur. w 1924 r.), który od 1 czerwca 1946 r. do 15 sierpnia 1950 r. był oficerem śledczym (od 1 lipca 1949 – kierownikiem) Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie. Służbę w strukturach bezpieczeństwa komunistycznego państwa zakończył 31 lipca 1976 r. w stopniu ppłk. jako naczelnik Wydziału „C” KSMO w Warszawie. Zob. *Zieliński Jan* – dane osoby z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, <http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Zielinski&idx=8&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=2&osobaId=72115&> [dostęp 24 X 2014]. Jan Zieliński miał pomagać mjr Franciszkowi Szlachcicowi w biciu przesłuchiowanych w WUBP w Krakowie, zob. Filip Musiał, *Bijemy i bić będziemy*, pierwodruk: „Dziennik Polski”, 21 I 2005; przedruk: *Od Hitlera do Stalina*, red. F. Musiał, J. Szarek, „Z archiwów bezpieki – nieznane karty PRL”, t. 6, Kraków 2007.

²⁵ Stróże to wieś położona 4 km na północ od Grybowa. Znajduje się tam węzeł kolejowy, z którego rozchodzą się linie do Tarnowa, Nowego Sącza i Jasła. Z Krakowa do Stróżów jest dzisiaj ponad 120 km. W realiach końca lat 40., zakładając średnią prędkość 30 km/godz. podróż z Krakowa do Stróżów zajmowała 4 godziny.

Naprawiali i naprawiali, a auto ani rusz. To była niedziela²⁶ i kierowca powiedział, że ile razy kłechę spotyka w niedzielę w drodze, to musi być jakaś awaria. A teraz, nie tylko jest niedziela, ale jeszcze kłecha w aucie. To jak się mógł wóz nie zepsuć. Ponieważ nie dali rady naprawić auta, więc dwóch przy mnie zostało a dwóch poszło do telefonu. I znaleźli auto osobowe, takie jak taksówka.

Długi czas spacerowałam po dworcu w Stróży i nic. Wreszcie przyjechał pociąg i wysiadł z niego znajomy sokista. Podszedł do mnie, przywitał się. A ja powiedziałem do niego: „Zwiewaj pan stąd, bo mnie tutaj UB pasie!”. Spoważniał i jak pociąg ruszył, to wsiadł i odjechał. Jak tego faceta z walizkami nie było, to UB mnie pytało, co to za jeden był ten sokista. Powiedziałem: „To był znajomy z Nowego Sącza”. – „A jak on się nazywał?”. – „Nie wiem. Jest bardzo uprzejmy. Raz to mi nawet bilet kupił. Ale nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka”. – „Poznałbyś go?”. – „Poznałbym, jakbym legitymację zobaczył albo zdjęcie”. Poszli na dyżurkę. Jeden z nich przedstawił się, że jest referentem i zażądał, żeby kolejarz legitymacje wszystkich sokistów na stół wyrzucił. Przeglądaliśmy wszystkie legitymacje, ale ja nikogo nie poznałem.

Wtedy powiedzieli, że ja ich chyba nabieram, że cała ta wyprawa do Stróży, to nabieranie. Ja powiedziałem, że ten człowiek może się wystraszył, a może się dowiedział, że nie wyszło.

Zaprowadzili mnie na milicję w Stróżach. Byli po nieprzespanej nocy i chcieli się zdrzemnąć. Milicjant, który mnie pilnował wystawił pistolet i powiedział, że jak się ruszę, to strzeli. Próbowałem się też zdrzemnąć, ale nie dałem rady.

Rano²⁷ wyjechaliśmy w drogę powrotną do Krakowa...

Miałem cały czas przy sobie kawałki trumny Anieli Salawy i myślałem sobie tak: „Boże! Żebym ja mógł uciec!”. Już w Stróżach próbowałem uciec, skręciłem za taki dom na dworcu, ale coś za nerwowo i oni zaraz poszli za mną. Wtedy zacząłem sikać.

No więc jechaliśmy autem do Krakowa. Jeden z nich dał mi płaszcz, żebym

²⁶ Akcja na bank była w sobotę 2 lipca 1949 r. Wyjazd do Stróżów nastąpił zapewne w nocy z 2 na 3 lipca ale awaria samochodu nastąpiła już w niedzielę, 3 lipca 1949 r.

²⁷ A więc był to już poniedziałek, 4 lipca 1949 r.

się przykrył. Chodziło o to, żeby ludzie się nie domyślili, że w aucie jedzie ksiądz. W drodze jeden ubek zasnął (ten co siedział na tylnym siedzeniu za kierowcą), a drugi (ten co siedział po mojej prawej stronie), to zasypiał, to się znów budził. A ja myślałem sobie tak: „Panie Boże! Żeby ten koło mnie zasnął na dobre, to może by się udało coś zrobić...”. No i zasnął! Sprawdziłem wzrokiem, czy głowa wejdzie do szybki w tym aucie. Była to szybka boczna, która się odkręcała na korbkę i była odkręcona. Zorientowałem się, że głowa się zmieści. Więc wtedy płaszcz między nogi, kapelusz w zęby, oparłem się jedną ręką o fotel kierowcy, nogi wsadziłem w okienko. Wyleciałem i wypadłem. Auto odjechało.

Obróciło mnie o 180 stopni, walnąłem o bruk, tak, że mi się płaszcz i sutanna na ramieniu rozerwały. Wstałem i patrzę, gdzieby był jakiś lasek. A tu tylko pola. Po lewej stronie jednak było jakieś zbocze i kupka krzaków. To może tam? Szybko pobiegłem, już nie szosą, tylko polami. Widzę – chłop pasie dwie krowy na łańcuchu. Płaszcz ubowski już wtedy miałem rozpięty, widać było, że mam sutannę. Powiedziałem do tego chłopca: „Jakby się was pytali, czy ktoś tędy biegł, to powiedzcie, żeście nikogo nie widzieli!”. Chłop kiwnął głową i powiedział: „Dobrze”. Dobiegłem do tego miejsca, gdzie kończyło się zboże a zaczynały zabudowania. A tu zobaczyłem, że to był parkan z drutem kolczastym! Pobiegłem wzdłuż tego parkanu, miedzą. Zobaczyłem kobietę, która pasła krowę. Powiedziałem do niej to samo, co do tego chłopca i ona także przytaknęła.

Co chwila ogłądałem się za siebie, na szosę i na auto, które było z tego pagórka bardzo dobrze widać. Gdy zauważyłem, że auto stanęło, to od razu wskoczyłem w żyto, kucnąłem i czekałem, co będzie. Usłyszałem głosy, kłótnię. Widać doszli do tego chłopca. Potem cisza, strzał i skowyt psa. I chłop krzyczał: „Jakim prawem pan mojego psa zastrzelił!?”. Okazało się potem, że oni przeskoczyli przez ten parkan, a tam był pies. Chwycił jednego z nich za nogę i go zastrzelili. Wtedy zorientowali się, że ja tamtędy nie uciekłem, skoro im się to przydarzyło.

Poszli do tej kobiety. Jak usłyszałem, że niej podchodzą, to w nogi! Przeszedłem przez miedzę i położyłem się w drugiej bruździe, żeby mnie tam nie znaleźli. A oni szukali dalej.

Poszli najpierw w stronę zabudowań gospodarczych, ale tam żadnych śladów nie znaleźli. Wrócili i szukali w „mojej” stronie, ale żaden z nich nie zauważył, że tam kłosa żyta musiały być trochę połamane i mnie nie znaleźli.

Wreszcie odeszli w stronę drogi. Ale musiałem poczekać, bo mogli obserwować, czy się im gdzieś nie pokażę.

Tymczasem lunął deszcz. Niedługo, może pięć minut i przestał. Trochę mnie zmoczyło. Powiedziałem sobie: „Teraz, to już będę uciekał!”. Podniosłem głowę, a tu strzał! Kulka – zdawało mi się – jakby koło mojej głowy przeszła! No to ja znowu upadłem w żyto. Po jakimś czasie znowu strzał. I tak co parę minut strzelał.

Po jakieś pół godziny usłyszałem gwar. Wyjrzałem i zobaczyłem, że przyjechał trzy lub cztery wozy ciężarowe. Wyskoczyli z nich wojskowi, milicjanci i cywile i rozbiegli się po wzgórzu.

W pewnym momencie widzę, że idzie dwóch: ten referent i żołnierz z KBW z pepechą. Rozdzielili się. Ten żołnierz uważnie patrzył po życie i zauważył połamane źdźbła. No i jak dalej patrzył, to i mnie zauważył. Przestraszył się, chwycił za karabin i krzyknął: „Ręce do góry!”. Pomyślałem sobie: „Jak ja leżę, to jak ja ręce do góry podniosę?”. No ale jakoś podniosłem. A on wtedy krzyknął: „Wstawać!”. Jak ja mogłem wstać, jak nie miałem się na czym oprzeć? Więc opuściłem ręce i dopiero wtedy wstałem. Żołnierz mnie wtedy dwa razy uderzył w twarz. Chciał jeszcze kolbą poprawić, ale ten drugi powiedział: „Daj spokój! Ja za niego odpowiadam i nie chcę, żeby były znaki!”.

I na tym się skończyło.

Poprowadzili mnie do auta i krzyczeli na kierowcę, że musiał dobrze widzieć, że to jest niemożliwe, że to jest niemożliwe, żeby nie widział, jak ja wyskoczyłem przez okno. Kierowca im odpowiedział, że był odpowiedzialny za to, żeby nikogo nie przejechać po drodze a nie za odwiezienie mnie na miejsce.

Potem mi powiedzieli, jak to było, że od razu wpadli na mój trop. Okazało się, że kierowca zauważył jakąś kobietę, która szła w tym samym kierunku co auto. Ona oglądnęła się do tyłu w tym samym momencie, w którym ja wyskoczyłem. Jak potem wrócili i pytali ją czy mnie nie widziała, to ona im wskazała,

gdzie wyskoczyłem i w którą stronę pobiegłem. Dlatego od razu wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Dowiedziałem się także, skąd się wzięły te auta. Otóż, jak wyszli na drogę, to zatrzymali faceta na motocyklu. Referent okazał mu legitymację ubecką, zabрал mu dokumenty i dał mu kartkę, żeby ją zawiózł do milicji w Tarnowie. „Jak przyniesiesz pokwitowanie od milicji w Tarnowie, żeś oddał karteczkę, to wtedy ci oddamy dokumenty!”. Tak też się stało. W Tarnowie zmobilizowali milicję, KBW i wojsko, no i przyjechali.

Jak już jechaliśmy autem, to słyszałem, jak jeden z nich zapytał się drugiego: „Słuchaj, powiesz to staremu?”. A ten odpowiedział: „Cały Tarnów postawiłem na nogi a teraz miałbym nie powiedzieć?”. I dopiero teraz zaczęli na mnie krzyczeć, że ja ich oszukałem, żeby wypatrywać sposobności do ucieczki.

* * *

Podczas śledztwa byliśmy bici. Ksiądz Gurgacz był tak zbity, że twarz miał całą siną i zapuchniętą. Jak była konfrontacja z księdzem, to kazali mi, żebym się do tyłu nie oglądał. W czasie tej konfrontacji pytali księdza Gurgacza, czy dał mi pieniądze (100 dolarów i 200 tys. złotych). On powiedział, że dał mi te pieniądze na pomoc dla więźniów z organizacji. Odwróciłem się i powiedziałem: „Nieprawda! Nie otrzymałem żadnych pieniędzy!”. Wtedy zobaczyłem, że całą twarz miał obandażowaną, a wokół oczu – sińce²⁸.

Mnie nie mieli wiele czasu „zrobić”, ponieważ był to tryb wojskowy i śledztwo musiało zakończyć się w ciągu miesiąca, a zorientowali się, że byłem – jak mówili – „uparty jak koziół”. Sporządzili 10 pytań, na które żądali, abym odpowiedział. Pytali się mnie przede wszystkim o tę dziewczynę, która wyszła z banku i wskazała portierów. Powiedziałem im: „Nie wiem, jak ona się naprawdę nazywa. Wiem tylko, że w domu mówią na nią »Lalunia«”. Dziwili się, jak ja mogłem powierzyć takie ważne zadanie osobie, której nazwiska nawet

²⁸ W pierwszym etapie śledztwa księdza Gurgacza przesłuchiwali funkcjonariusze operacyjni UB z Nowego Sącza i z Krakowa: Jan Bądek, Adam Błażejczyk i Bolesław Tomiak. Potem przesłuchania prowadzili funkcjonariusze z Wydziału Śledczego: Tadeusz Ziarko i Henryk Capiga.

nie znałem. Powiedziałem im: „Nazwisko nic nie znaczy, nie decyduje o tym, czy ktoś zasługuje na zaufanie. Czyn dopiero określa wartość każdego człowieka”. Ponieważ ja byłem w sutannie, to oni pytali mnie: „Jak ty mogłeś pytać młodą kobietę, gdzie ona mieszka? Co ona sobie mogła pomyśleć?”. A ja powiedziałem, że znałem ją tylko z kościoła Franciszkanów. „Oboje chodziliśmy tam na mszę na godzinę szóstą. Kilka razy pytała mnie o swoje wątpliwości, dotyczące religii katolickiej. Byłem od niej starszy a ona nie wiedziała, że ja jeszcze nie jestem księdzem. Miała do mnie pełne zaufanie a ja do niej. W krytycznym dniu oni przyjechali dzień wcześniej, przenocowali i dopiero na drugi dzień poszli na akcję. W tym dniu rano poszedłem do kościoła, wiedząc, że ona też tam będzie. Po mszy jej zaproponowałem udział w akcji i zgodziła się. Ale nazwiska jej nie znam”²⁹.

Przed procesem trzymali mnie na Placu Inwalidów³⁰. Nie bili mnie, ale stosowali „stójkę”. Taka „stójka” trwała kilka dni i nocy, bez przerwy. Nawet do ustępu nie pozwalali iść. Dobrze, że człowiek nic nie jadł... Kazali tak stać, lampą „pięćsetką”³¹ świecili prosto w oczy i pytali się setki razy, ciągle o to samo, ciągle o to samo... Ze zmęczenia wydawałem nieartykułowane dźwięki. Mówili też, że dadzą mi zastrzyk. Wzięli mnie do pomieszczenia, gdzie stały w słoikach różne ciecze i obiecywali, że po takim zastrzyku, to ja będę śpiewał jak kanarek. Mnie to mówili, aptekarzowi z praktyką, technikowi farmaceutycznemu, że są medykamenta, które osłabiają wolę, po których będę gadał, co tylko będą chcieli. Ale ja w tych sytuacjach, wyczerpany i niewyspany, mówiłem jakieś nieartykułowane wyrażenia, tak, że oni nic z tego się nie dowiedzieli. Mówiłem im, że jeżeli mam im powiedzieć coś, co się „trzyma kupy”, to muszę być świadomy. W końcu nie dali mi tych zastrzyków, tylko grozili, że jak mi dadzą, to mogę stracić życie. Ale ja na śmierć byłem gotów od samego początku. Nie miałem ojca, ani matki, narzeczonej,

²⁹ Cały ten fragment, to opis zeznań Michała Żaka złożonych w czasie przesłuchiwania na UB a nie odzwierciedlenie stanu faktycznego. W rzeczywistości Żak, jako jedyny spośród aresztowanych, znał dane tej kobiety – w latach 80., gdy poznałem Michała, to ona żyła i potwierdziła, że w czasach stalinowskich nie została nigdy aresztowana. Jest to dowód, że Michał rzeczywiście nie wydał jej UB.

³⁰ Przy Placu Inwalidów w Krakowie mieściła się siedziba WUBP.

³¹ Chodzi o lampę o mocy 500 wat.

nikogo – to ja na śmierć byłem gotów! Wiedziałem tylko, że za jeden grzech siedzi się w piekle tyle samo, co za dziesięć. A ja miałem jedną rzecz, której nie mogłem powiedzieć!³²

* * *

Proces³³ był u świętego Michała³⁴, w którejś sali obok więzienia³⁵. Więzienie było w tym czasie otoczone działami przeciwlotniczymi, tak, jakby miał być nalot, a więźniowie nie otrzymywali paczek ani nie mieli widzeń. Obawiali się bowiem, że będzie jakaś próba odbicia więźniów³⁶. Pamiętam nazwiska tych, którzy mnie przesłuchiwali: Zieliński i Zborowski³⁷, a śledczym był Gałuszka³⁸ – podobno niedoszły kleryk. W procesie oskarżycielem był niejaki Wroński, czy jakoś tak³⁹.

³² Chodzi o ujawnienie danych kobiety, która brała udział w akcji.

³³ Proces osób oskarżonych o udział w akcji przy ul. Szpitalnej toczył się w Krakowie od 8 do 13 sierpnia 1949 r.

³⁴ Chodzi o więzienie, które zostało urządzone w gmachu poklasztorным Karmelitów Bosych, obok kościoła św. Michała, który zlikwidowano w latach 1832–1835, urządzając na jego miejsce salę sądową. Obecnie w tym zespole budynków znajduje się Muzeum Archeologiczne w Krakowie (róg ulic: Poselskiej i Senackiej).

³⁵ Była to sala nr 16 Sądu Okręgowego przy ul. Senackiej w Krakowie.

³⁶ Zapewne żywa była jeszcze pamięć o akcji żołnierzy „Ognia” (dowodził Jan Janusz – „Sie-kiera”), którzy 18 sierpnia 1946 r. odbili z więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Poselskiej (dawnego cesarskiego więzienia św. Michała) 64 więźniów.

³⁷ Chodzi zapewne o Jana Zborowskiego (ur. w 1923 r.), który w latach 1945–1947 brał udział w walkach z oddziałem „Ognia”, a od 1 września 1947 do 1 sierpnia 1950 był oficerem śledczym Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie. Służbę w strukturach bezpieczeństwa komunistycznego państwa zakończył 14 czerwca 1975 r. w stopniu ppłk. jako zastępca dowódcy placówki w Centralnym Porcie Lotniczym Warszawa-Okęcie. Zob. *Zborowski Jan* – dane z katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, [http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastN-ame=Zborowski&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=41036&](http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Zborowski&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=41036&) [dostęp 24 X 2014].

³⁸ Chodzi zapewne o Franciszka Gałuszkę, który od 1 maja 1949 do 1 lipca 1951 był naczelnikiem Wydziału Śledczego WUBP w Krakowie; zob. *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza. Tom I. 1944–1956*, red. naukowa Krzysztof Szmagryk, Warszawa 2005, s. 243. Gałuszka i Zieliński stosowali brutalne metody przesłuchań, np. w czasie przesłuchania Juliana Słupika, ps. „Boruta 22” – dowódcy oddziału z IV Batalionu 120 Pułku Piechoty 106 Dywizji AK, w szpitalu więziennym w Krakowie odjęli mu pół stopy. Zob. Filip Musiał, *op. cit.*

³⁹ Oskarżycielem w „procesie bandy ks. Gurgacza” (jak propaganda komunistyczna określała ten pokazowy proces) był Henryk Ligieża (ur. w 1912 r.). Ligieża w okresie od 15 października 1948 do 15 sierpnia 1950 był prokuratorem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Katowicach,

Na procesie najpierw zeznawał ksiądz Gurgacz, potem ja. Padło m.in. takie pytanie, odnośnie mnie – czy ja się przyznaje do winy? Powiedziałem: „Do czynu – tak, ale do winy – nie mogę. Działiałem w imię katolickich zasad. Katolickie zasady mówią, że dla zabezpieczenia siebie lub kogoś od głodu i chłodu można nawet wziąć temu, co ma, jeżeli nie ma innych sposobów. Z tym, żeby wybierać takiego, który jest najbogatszy”. Tak samo zeznawał wtedy ksiądz Gurgacz, ale mówił też na procesie, że ówczesny rząd nie jest rządem polskim, tylko, że to są uzurpatorzy nasłani przez Kreml. Ksiądz tłumaczył się więc także względami politycznymi, natomiast ja podkreślałem, że działałem z pobudek charytatywnych. „Uważałem bowiem, że mam obowiązek w sumieniu pomóc im tyle, ile to będzie w mojej możliwości”. Wtedy sędzia⁴⁰ się mnie zapytał, dlaczego przekazałem informacje dotyczące mienia społecznego, państwowego. Odpowiedziałem: „Ponieważ państwo skonfiskowało mienie wszystkim bogatym obywatelom, to państwo stało się największym bogaczem”.

Po wyroku wiem, że do księdza Gurgacza wysłali kobietę, która go nakłaniała, żeby prosił o łaskę, to na pewno go ułaskawia. Rozmawiał też z nim o tym jego adwokat. Ale ksiądz ciągle podkreślał, że tu nie ma rządu polskiego, tylko jest w Londynie. A ta kobieta, która przychodziła do więzienia, przekonywała go, że ma dopiero 34 lata i że jeszcze ciągle będzie mógł przez co najmniej 30 lat mówić kazania. A ksiądz Gurgacz odpowiadał na to: „Jeżeli będzie tak, jak teraz, że jeszcze można te kazania, chociaż ograniczone, mówić, to jest dość księży, którzy będą mogli je głosić. A to, że wy mnie zabijecie, będzie miało większe znaczenie, aniżeli, gdybym przez 60 lat kazania głosił. Bo takich, jak ja, będzie niewielu, a może tylko ja sam”.

Jeżeli chodzi o mnie, to ja adwokatowi nie zabraniałem, żeby prosił o łaskę

a w latach 1950–1955 – prokuratorem Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Był absolwentem wydziału prawa UW (1936), b. członkiem AK i uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Po powrocie do Polski z niemieckiej niewoli w 1945 r. wstąpił do PPR. W 1955 r. został zwolniony dyscyplinarnie z wojska za nadużycia władzy. Pracował potem jako radca prawny i arbiter Głównej Komisji Arbitrażowej. Zob. Krzysztof Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia: sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956*, Kraków, Wrocław 2005.

⁴⁰ Składowi sędziowskiemu przewodniczył Stanisław Stasica – szef Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Ponadto w składzie orzekającym uczestniczyli: Ludwik Kiętyka oraz ławnik Mieczysław Motyczko.

dla mnie. Sam nie prosiłem, tylko adwokat. A ksiądz Gurgacz zabronił adwokatowi. Adwokat księdza Gurgacza nazywał się Ostrowski⁴¹, a mnie bronił adwokat Zawadzki.

Wyrok był surowy: cztery kary śmierci (dla księdza Gurgacza, Szajny, Balickiego no i dla mnie⁴²). Nowakowski dostał 15 lat a Legutko – 10.

* * *

Skończył się proces, dostałem karę śmierci... Zresztą byłem na to przygotowany. Pomyślałem sobie: „No to teraz, trzeba się przygotować na śmierć!”. Ale cały czas jakąś tam nadzieję miałem. Wiedziałem, że wszystko jest w rękach Boga.

Po procesie wszystkich skazanych wladowali na auto i zawieźli na Montelupich⁴³ a mnie jednego wsadzili do innego auta i zawieźli z powrotem na Plac Inwalidów. Zieliński tak do mnie powiedział: „A teraz skurwysynu, będzie się z tobą działo to, co na filmie »Rzym – miasto otwarte«”. Inni ubecy, którzy nie wiedzieli o co chodzi, pytali się: „Co się stało?”. A Zieliński im na to odpowiedział: „Bo ten skurwysyn powiedział w śledztwie, że choćby się z nim działo to, co na filmie »Rzym – miasto otwarte«, to nie powie nic o tym, o co go pytamy”. Tamci drudzy pytali się mnie, czy rzeczywiście tak powiedziałem. Ale ja zaprzeczyłem i odpowiedziałem im, że nawet na tym filmie nie byłem. A tymczasem

⁴¹ Chodzi prawdopodobnie o mec. Kazimierza Ostrowskiego (1907–1999), absolwenta UJ, doktora nauk prawnych, adwokata (od 1934 r.), uczestnika Powstania Warszawskiego. Kazimierz Ostrowski był obrońcą w wielu procesach politycznych zarówno w czasach stalinowskich (uczestników manifestacji 3 maja 1946 r., działaczy WiN, oskarżonych w procesie kurii arcybiskupiej w Krakowie), jak i po 13 Grudnia (m.in. Tadeusza Piekarsza i Stanisława Handzlika). Zob. Stefan Płażek – Szpalty pamięci: Adwokat dr Kazimierz Ostrowski (1907–1999), http://www.adwokatura.pl/aktualnosci_szpaltypamieci_1202.htm [dostęp 18 V 2007].

⁴² Z niezrozumiałych powodów Dawid Golik i Filip Musiał w przywoływanym tu artykule nt. procesu księdza Gurgacza i innych, wymieniając nazwiska osób skazanych na kary śmierci w tym procesie, pomijają nazwisko Michała Żaka, choć wspominają, że był on także sądzony w tym procesie. Autorzy pomijają też całkowicie nazwiska Nowakowskiego i Legutki. Imiona i nazwiska wszystkich skazanych oraz informację o skazaniu Michała Żaka na karę śmierci podają natomiast inne źródła.

⁴³ W budynku przy ul. Montelupich 7 w Krakowie od 1919 r. znajduje się areszt śledczy. W czasach hitlerowskich oraz po II wojnie światowej na terenie tego aresztu odbywały się także egzekucje więźniów.

rzeczywiście tak mówiłem do Zielińskiego w czasie jednego z przesłuchań. On mnie ciągle pytał i pytał, więc się zdenerwowałem i powiedziałem: „Nie i nie! A nawet, jakbym coś wiedział, to choćby się działo to, co na filmie »Rzym – miasto otwarte«, to i tak bym nie powiedział”. Powiedziałem to w śledztwie, żeby go załamać. Z jak wielką satysfakcją patrzyłem na nich! „Choć fizycznie jestem wykończony, choć możecie mnie zabić, ale nie potraficie zmusić mnie do tego, żebym powiedział to, co chcecie!”. I nie mieli na to sposobu! Jacy to mizerycy byli! Taką przynajmniej człowiek miał satysfakcję!

Wtedy już się nie krępowali z „eksperymentami”, bo byłem skazany na śmierć. Tak, że już tej „stójki” to prawie nie było, tylko karczer. W karczerze byłem cały czas nago. Człowiek ani się nie golił, ani nie mył. Jak mróz przyszedł to tam już prawie wody nie było, tylko kał i mocz (bo kibla nie było) – gdzieś tak po kostki. Nie było żadnego stołka, więc, jak już nie mogłem stać, to musiałem usiąść w tej wodzie albo oprzeć się przy ścianie. Cały karczer był z betonu, tylko drzwi były drewniane, więc opierałem się o drzwi. Jedzenie? – Czasami wsuwali czarną kawę albo czarną zupę. Ale łyżki nie dawali. Nie chciało mi się jeść, ale pragnienie miałem.

Jak brali na śledztwo to takie ciężkie, narciarskie buty, okute z przodu zakładali i kazali żabki robić. A jak tu człowiek te żabki miał robić? Jak jedną nogą do przodu ruszyłem i potem drugą, to przewracałem się. A jak się przewracałem, to wtedy zwykle w tyłek kopali. A zwłaszcza okropnie bolało w kość ogonową. Myślałem, że tam jest miazga z tej kości ogonowej jest. Ale przekonałem się, że człowiek faktycznie bardzo wiele może wytrzymać – to jest organizm naprawdę cudowny!

Potem było coraz gorzej. I w twarz bili, i bykowiec⁴⁴ przy tym był w użyciu... A w karczerze byłem coraz to dłużej. Najpierw jedną noc, potem noc i dzień, z przerwą na śledztwo i na tę „gimnastykę”. Najdłużej siedziałem w karczerze (bez przerwy) tydzień i jedną noc.

Przesłuchiwali mnie Zieliński i Zborowski. To mieli być lwowiaki, ale mówili takim językiem, że wydaje mi się, że bardziej ze wschodu byli⁴⁵. Ale po

⁴⁴ Bykowiec – bicz wykonany z rzemienia.

⁴⁵ Z katalogu IPN wynika, że Jan Zborowski urodził się w Jugowicach (wieś na Dolnym Śląsku) a Zieliński – we Francji, ale te dane personalne mogły być fałszywe.

polsku umieli. Najpierw stawiali mi dziesięć pytań, na które powinienem im odpowiedzieć. Po paru miesiącach zredukowali te dziesięć pytań do siedmiu i mówili, że jest siedem grzechów głównych, więc mnie, jako duchownego obdarowali katechizmem. Cały czas odpowiadałem, że nie wiem.

Przychodził Gałuszka i pytał: „To jak? Śpiewa?”. A ten, co mnie przesłuchiwał odpowiadał: „Ryczy, jak niedźwiedź. Mówi, że nie wie”. A Gałuszka: „To jak? Chrystus szedł pokornie, jak baranek, na zabicie, a ten ryczy jak niedźwiedź?”. Jak mnie wtedy ten, który mnie przesłuchiwał, uderzył w twarz! Ja miałem wrażliwą błonę śluzową i od razu od środka na zębach się przecięło. Odwróciłem twarz w drugą stronę i jak mnie ponownie uderzył, to krew, która się zebrała w ustach, chlusnęła na ścianę. Wtedy Gałuszka powiedział: „I co teraz będzie? Nieostrożnie to robisz. To się tak robi, żeby nie było śladów, żeby nie było krwi”.

Pewnego razu mi powiedzieli, że to jest moja ostatnia szansa, ponieważ prezydent Bierut⁴⁶ nie zastosował prawa łaski. Jak im odpowiem na te pytania, to jeszcze postarają się o ulaskawienie, jeżeli nie – to wyrok wykonają. Zawiazali mi ręce z tyłu, głowę zawiązali chustką, żebym nic nie widział i poprowadzili mnie gdzieś pod mur (bo gdy dotknąłem go nosem, to poczułem zimno). „Będziemy liczyć: raz, dwa, trzy. Jak powiem »raz«, to jeszcze możesz odpowiadać. Jak powiem »dwa«, to też jeszcze możesz się uratować. Ale jak powiem »trzy«, to będzie już równocześnie ze strzałem w głowę. Poczułem z tyłu na głowie dotyk pistoletu. Zaczęli liczyć. Zebrałem wtedy w sobie wszystkie siły i starałem się w sobie wzbudzić żal, żeby z Panem Bogiem sprawę załatwić. I tak zacząłem sobie rachunek sumienia robić i żal wzbudzać a oni liczyli. „Raz” – ja nic. „Dwa” – ja też nic. Zamiast „trzy” i strzału, palnął mnie czymś twardym w głowę tak, że się przewróciłem. Chwycił mnie za kołnierz, zaczął mnie kopać i krzychał: „Przedtem, to przynajmniej ryczał, jak niedźwiedź – »Nie wiem. Nie wiem«. A teraz to nic nie mówi!”. I z powrotem wzięli mnie do pokoju przesłuchań, a potem – karcer.

Wreszcie, na skutek tego wszystkiego, dostałem wysokiej gorączki. Wtedy mi nie zależało, co tam będą ze mną robić. Już tylko modliłem się o rychłą

⁴⁶ Mała Konstytucja z 1947 r. przywróciła w Polsce urząd prezydenta RP. Był nim Bolesław Bierut, wybrany przez Sejm Ustawodawczy.

śmierć. Ręce mi zapuchły. Czasami byłem nieprzytomny i bredziłem. Wystraszyli i wezwali lekarza i prokuratora. Prokurator kazał mnie dać na salę, gdzie było więcej ludzi, żeby mnie pilnowali. Wtedy umieścili mnie w sali, gdzie było nas chyba z dziesięciu. Sala była też na Placu Inwalidów. Starszym celi był kpt Danecki, ze 106 dywizji AK, którą dowodził płk Ostrowski, „Tysiąc”⁴⁷. W tej sali były już prycze, wprowadzie z dykty, bez siennika, a więc twarde, ale zawsze było to lepsze, niż spanie na betonie, w zwykłej celi. Tam przychodził do mnie lekarz i doszedłem do siebie.

Na przeciwko naszej sali był karcer zrobiony z łazienki. Tam wpuszczali przez wentylator zimne powietrze z zewnątrz. Trzymali tam też nagich ludzi. Tak mi to kapitan Danecki opowiadał. Czasami było stamtąd słycać głosy kobiece, ale takie bardzo młode, jakby głosy dzieci. Te osoby wołały: „Mamo! Mamo! Tu jest zimno! Ja tu marznę! Mamo!”. Te głosy bardzo denerwowały moich współwięźniów, tak, że mało nie rozwalili drzwi, żeby tam pobiec.

Na Placu Inwalidów spotkałem też (w sierpniu 1949 r.) młodego chłopca, który nazywał się Henio Machała⁴⁸. On był z „Wiarusów”⁴⁹. Jakiś ubek⁵⁰

⁴⁷ 106 Dywizja Piechoty AK kryptonim „Dom” powstała w 1944 r. w Okręgu Kraków. Dowodził nią ppłk Bolesław Nieczuja-Ostrowski (1907–2008). Po rozwiązaniu dywizji wyjechał wraz z grupą żołnierzy na Ziemię Odzyskane (pod Elblągiem), gdzie go aresztowano w 1949 r. Został potem dwukrotnie skazany na karę śmierci. W więzieniu spędził 7 lat. Zob. S. Piwowarski, *Niezwykłe życie generała brygady Bolesława Michała Nieczui-Ostrowskiego, pseudonim: „Bólko”, „Grzmot”, „Tysiąc”, „Michałowicz”, „Informator Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej”* nr 3/2007, s. 4.

⁴⁸ Henryk Machała (ur. w 1928) – „Jaksa”, „Gryf”.

⁴⁹ „Wiarusy” to oddział partyzancki, który ukształtował się wiosną 1947 r. po rozbiciu Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica”, którym dowodził major Józefa Kuraś „Ogień”. Trzon oddziału stanowiła 3 kompania Zgrupowania „Błyskawica” (3 Kompania AK), która pozostała w lesie po śmierci „Ognia”. Na czele oddziału stał Józef Świder – „Mściciel”, który zginął w potyczce z UB w Lubniu 13 lutego 1948 r. Doszło do dezorganizacji całej grupy. Latem 1949 r. niedobitki „Wiarusów”, którymi dowodził wówczas Stanisław Ludzia – „Harnaś” zostały zlikwidowane w wyniku gry operacyjnej w oparciu o plan opracowany przez oficerów UB: mjr Franciszka Szlachcica oraz mjr Stanisława Wałacha. Zob. Dawid Golik, *Oddział „Wiarusy” i jego rozbicie*, <http://podziemiezbrojne.blox.pl/2010/05/Oddzial-Wiarusy-i-jego-rozbicie-czesc-12.html> [dostęp 24 X 2014].

⁵⁰ Tym ubekiem był Marian Strużyński (ur. w 1922), b. żołnierz AK, członek WiN, pozyskany przez UB do współpracy w czerwcu 1947 r. Jako agent występował pod pseudonimem „7”. W 1957 r. Strużyński został etatowym pracownikiem SB a potem... pisarzem. Jako Marian Reniak był autorem głośnej książki „KPN. Kulisy fakty dokumenty”, napisanej we współpracy

wprowadził ich w błąd i obiecał, że ich autem przewiezie w głąb Czech. A oni tymczasem przyjechali na Plac Inwalidów. Od Daneckiego wiem, że wtedy podobno doszło do strzelaniny na dziedzińcu. Nie wiem, czy ktoś był ranny czy zabity⁵¹.

Machała mi opowiadał, że wystrzelali paru milicjantów, ale uważał, że on, taki młody (chyba najmłodszy z „Wiarusów”), jak będzie lawirował i niewierzącego udawał, to mu to coś da. Rozmawialiśmy o tym. Mówił, że wiara mu nic nie dała, że „Wiarusi” nosili ryngraf⁵² na piersi a mimo to przegrali z ateuszami. Spodziewał się, że dostanie najwyżej dożywocie, a tymczasem, jak poszedł na rozprawę, to dostał 14 kaesów⁵³.

Już na Monte dowiedziałem się od więźnia, który siedział z Grosmanem na celi kaesów i wyszedł stamtąd (nie wiem jak), że Machała bardzo żarliwie się modlił przed spaniem – składał ręce do pacierza jak dziecko. W celi kaesów były dwie żelazne kraty, które bardzo skrzypiały. Jak brali ludzi na rozwałkę, to do celi wchodził „Francuz” i ręką wskazywał, który ma iść na śmierć. Jak jastrząb upatrywał ofiary. W tym dniu, gdy Machałę rozstrzelali i „Francuz” wszedł do celi, to Machała modlił się i nawet się nie oglądał, gdy ten otworzył celę. „Francuz” powiedział do niego ściszone głosem: „Ty chodź!”, ale dopiero jak wymienił jego nazwisko, to Machała się zorientował, że o niego chodzi

z ówczesnym płk. SB, kierującym rozpracowaniem KPN – Zbigniewem Pudyszem oraz Tadeuszem Zalewskim. Książkę wydano w 1982 r. w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Strużyński zmarł w 2004 r. *Ibidem*.

⁵¹ Por. „Henryk” (czyli agent UB Strużyński) obiecał przewiezienie trzech partyzantów „saniarnym autem” do angielskiej ambasady, skąd mieli być przerzuceni na Zachód. 16 lipca 1949 r. „Harnaś”, Mieczysław Łysek – „Grandziarz” i Edward Skórny – „Szatan” wsiadli do podstawionego w Obidowej auta, w którym było dwóch funkcjonariuszy UB udających pracowników placówki brytyjskiej. Wszyscy wylądowali na dziedzińcu WUBP przy Placu Inwalidów. Doszło do strzelaniny, w wyniku której zginęli Łysek i Skórny a Ludzia został ranny i trafił do aresztu. 25 lipca 1949 r. pozostali członkowie oddziału (m.in. Henryk Machała) zostali podstępnie aresztowani na polanie Surówki, koło Rabki. Ludzia, Machała oraz Jan Jankowski i Leon Zagata zostali następnie skazani na kary śmierci. Wyroki wykonano 12 stycznia 1950 r. W egzekucji uczestniczyły te same osoby, które brały wcześniej udział w rozstrzelaniu księdza Gurgacza, Bałlickiego i Szajny (zob. dalej).

⁵² Metalowe ryngrafy (nawiązujące do części zbroi rycerskiej), zwykle z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, były często noszone przez polskich powstańców i partyzantów, podkreślających swoją religijność, poczynając od konfederatów barskich.

⁵³ Kaes – potoczne określenie kary śmierci.

i odpowiedział: „Zaraz, zaraz, tylko skończę się modlić”. Skończył pacierz, po pacierzu podał rękę każdemu, kto siedział razem z nim w celi i powiedział: „Do widzenia, chłopcy!”. Powiedział to bardzo spokojnie i wyszedł.

* * *

22 marca 1950 r. przenieśli mnie na Monte.

Tam spotkałem się z Franciszkiem Kładkowskim, który był jakimś krewnym księdza Gurgacza. Prześladowali go, bo akurat pasował do podanego przeze mnie rysopisu faceta, który miał zabrać moje walizki (powiedziałem: „Mały, niski, czarny, podłużny na twarzy, wyglądał raczej jak ze wsi”). On o niczym nie wiedział, a UB ciągle go pytało i pytało o te walizki.

Spotkałem się też z innymi. Jeden nazywał się Lichoń. Nazwisk innych nie pamiętam. Opowiadali, że chcieli uciekać na Zachód. Jakiś przewodnik, jak się potem okazało – ubek, wyprowadził ich w góry, obiecując, że przeprowadzi ich przez czeską granicę. Tymczasem w górach zostali otoczeni przez wojsko. Zginął dowódca grupy – Pióro. Niektórzy mówili, że Pióro popełnił samobójstwo, gdy zorientował się, że ich otoczyli. Z tymi ludźmi więcej się nie widziałem. Była to jedna z trzech grup PPAN (obok grupy księdza Gurgacza i jeszcze jednej).

Na księdzu Gurgaczu oraz pozostałych wyroki wykonano w ciągu miesiąca po rozprawie (dokładnie nie wiem kiedy⁵⁴). Na Monte dowiedziałem się, że po rozprawie wyprowadzili go do karcera i tam go trzymali. Stamtąd go wzięli na rozstrzelanie, razem z Szajną i Balickim. Egzekucji dokonał „Francuz”⁵⁵, bo przyjechał z Francji, gdy stamtąd wypędzali Polaków, którzy byli za bardzo „czerwoni”. Ten „Francuz” podobno wykonywał wyroki na Monte. Byli też inni, ale on najwięcej – to wiem z opowiadania współwięźniów.

O księdzu Gurgaczu to wiem jeszcze, że gdy przebywał w więzieniu, to da-

⁵⁴ Wyrok na księdzu Gurgaczu, Balickim i Szajnie wykonano 14 września 1949 r.

⁵⁵ Według protokołu, „dowódcą plutonu egzekucyjnego” był Władysław Szymanik a przy egzekucji byli obecni: prokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Krakowie Zenon Grela, naczelnik więzienia Władysław Pestka oraz lekarz więzienny Eryk Dormicki, który stwierdził zgon. Strzał został oddany w tył głowy, analogicznie, jak wobec polskich oficerów w Katyniu. Cała trójka została pochowana na Cmentarzu Rakowickim, ale miejsce ich pochówku miało pozostać nieznane.

wał rozgrzeszenia, robił różańce z chleba, rozdawał więźniom komunię świętą, a jak była jego egzekucja, to więźniowie słyszeli więcej strzałów niż jeden.

Na Monte siedziałem jeszcze z bratem Chromikiem i bratem Mrozem – jezuitami, którzy dostali wyrok za to, że przepisywali na maszynie list Episkopatu.

A potem wywieźli mnie do Wronek.

* * *

Jak przyjechaliśmy do Wronek, to kazali mi się tam rozebrać do naga, ubrać i worek z rzeczami złożyć na kupce i kazali nam w kółko biegać po placu. Klawisze i służba więzienna stała i przyglądała się nam. Jak przebiegaliśmy koło któregoś, to każdy, co tam miał, ten kluczem, ten paskiem, uderzali więźniów. Każdy starał się przynajmniej raz jednego więźnia uderzyć. Było ich tam sporo, tak, że wielu więźniów było pokrwawionych, jak ich tam kluczami pozadrapywali. Takie było powitanie. Dopiero po zakończeniu tej „imprezy” były przemówienia. „Żebyście wiedzieli, co to są Wronki!”

Potem kazali się ubrać i rozłożono nas po celach. Początkowo księża byli rozrzućeni. Dopiero po śmierci Stalina była pewna ulga i księży zgrupowano w jednym skrzydle, w osobnych celach.

W zimie siedziało się po siedmiu, ośmiu a w lecie, gdy było gorąco – to nawet po czterestu (żeby im cieplej jeszcze było). Spało się na betonie. Dopiero po 1956 r. zaczęli wprowadzać łóżka. A tak, to była garść słomy, którą na dzień trzeba było układać na pryczy, tak, żeby była kostka. Na noc tę słomę układało się wzdłuż ściany. Każdy miał jeden koc. Jak którzy byli mądrzy, to dwoma lub trzema kocami przykrywało się dwóch lub trzech.

Kary we Wronkach były następujące: pojedyńka, karcer i wstrzymanie wypiski. Często te kary powodowali klawisze, którzy podsłuchiwali pod celami. Gdy nieraz się komuś wypsnęło się jakieś nieprzychylnie słówko, to zarządzali spacer. W tym czasie oddziałowi zarządzali przegląd celi i jeżeli tylko coś było nie w porządku (okruchy chleba albo kurz), to wtedy albo starszy celi, albo cała cela – „Wstrzymanie wypisek!”. Jak oddziałowy chciał jakąś celę zgnieść, to wtedy sam otwierał celę i kruszył. Potem ją zamykał. Jak więźniowie wracali ze spaceru, to wchodził do celi a oddziałowy krzychał: „Kto tu jest starszym celi?”. Starszy celi musiał wystąpić i zameldować się: „Więzień taki a taki melduje,

że jest starszym celnym!”. „Chodźcie tutaj! Popatrzcie, jak wygląda wasza szafeczka!”. Ten patrzył i rzeczywiście pełno było okrucichów. „To taki porządek się trzyma w celi? Cała cela wstrzymanie wypiski na trzy miesiące!”. Najbardziej odczuwali to ci, którzy palili. Mnie, jako niepalącemu, to się mniej dawało we znaki.

Jednak początkowo nie było wypisek, tylko można było dwa razy w miesiącu dostawać paczki. Można było posłać pół kilo tłuszczu, kilogram chleba, pół kilo jakiegś wędliny. Potem dopiero nastały wypiski – zamiast paczek można było w więziennym sklepiu dwa razy w miesiącu zrobić zakupy. Paczek już wtedy nie było, tylko należało przysyłać pieniądze, za które można było kupić określone ilości chleba, cukru, tłuszczu, wędliny. Wynika z tego, że wstrzymanie wypiski na trzy miesiące dawało się porządnie we znaki.

Normalnie to jadło się zupę, chleb i kawę, która miała być słodzona, ale która cukru nie widziała. Nie wiadomo, kto zjadał ten cukier. Niektórzy, jak mieli wypiskę, to nie jedli normalnego, więziennego jedzenia, tylko wyrzucali je do kibla. Chleb i kawa były czarne, zupa nie omaszczona – przeważnie była to po prostu kasza, surowa, z ościami, nie przebrana, nie omaszczona. Naprawdę trzeba było być głodnym, żeby to zjeść. Ta kasza tak mi obmierzła, że zdawało się, że już nigdy jej do ust nie wezmę. Staralem się nie zjeść całej wypiski od razu, tylko to więzienne jadło maściłem, kawę słodziłem. Żadnych jarzyn i owoców nie było, natomiast mięso można było w kantynie kupić. Dopiero za Gomułki wprowadzono drugie danie, a wcześniej, to była tylko zupa. Po 1956 r. to już nawet gulasz się pojawił w niedzielę. Gulasz, kartofle – to była rewelacja!

Widzenia we Wronkach były dwa razy w miesiącu. A może raz w miesiącu? – Dokładnie nie pamiętam. Do mnie ktoś przyjeżdżał od czasu do czasu. Ale nie każdego puszczali na widzenie. Jak ktoś odbywał karę, to nie puszczali. Pewnego razu siedziałem z Fabianem – artystą malarzem. On był żonaty człowiek. Odbywał karę pojedynki – jak później mi opowiadał – a tu żona przyszła na widzenie. Powiedzieli mu wtedy: „Żona przyszła do was na widzenie, ale wy karę odbywacie, więc nie będziecie dopuszczeni”. Miał jakąś buteleczkę z lekarami, rozbił ją i podciął sobie żyły – ledwo go odratowali.

We Wronkach siedzieli przeważnie więźniowie polityczni i oddziałowi trak-

towali ich źle. Mścili się. Był taki jeden oddziałowy, który nazywał się Grunwald. Pochodził chyba spod Poznania, bo mówił charakterystycznie słowo „rozumiecie”. Szczególnie odgrywał się na starszych księżach (był na oddziale, gdzie trzymano księży). Ponieważ nie mógł się nad nimi znęcać, gdy przebywali w celi, to mścił się na nich podczas spacerów. Spacerowały codziennie, parę minut. Mówił wtedy tak: „Spacer, wystąp!”. Wtedy wszyscy mieli wyskoczyć na korytarz i ustawić się pod ścianą, twarzą do ściany. Jak mu się nie spodobało, albo chciał ich zmęczyć, to mówił: „Pod celę, rozejść się!”. I wtedy trzeba było błyskawicznie biec do celi. A on znowu: „Spacer, wystąp!”. A potem: „Pod celę, rozejść się!”. I tak kilka razy. Śmiałem się z tego i nie przejmowałem tym, ale ale poważniejszych ludzi to bardzo denerwowało.

Na spacerze można było uzyskać rozgrzeszenie. Wcześniej się już umawiali (przez dentystę, albo poprzez cele – rurami). Księża rozdawali też komunię świętą.

Ja byłem w więzieniu „winiarzem”. Wino było potrzebne do mszy. Przed apelem (apel był o godzinie 6.00) jeden z księży odprawiał msze świętą (tekst znał na pamięć). Tylko trzeba było uważać na klawicha, który robił obchód i patrzył przez judasza do środka. Wino robiło się z rodzynek. Jak ktoś dostał rodzynki w paczce, to przynosił do mnie. Miałem też flaszeczkę po lekarstwach, na której było napisane „Krople walerianowe”. Te krople się „ulotniło” a zamiast nich dawałem do niej rodzynki i wodę i to wszystko kładłem za piec. Tam było bardzo ciepło, tak że w ciągu trzech dni to fermentowało. Z tej flaszeczki parę kropel używaliśmy do mszy a opłatek służył za komunię. Mszę świętą odprawialiśmy w ukryciu, bowiem za praktyki religijne były w więzieniu prześladowania. Organizowaliśmy to w ten sposób, że jeden stał zawsze przy drzwiach i uważał czy klawisz nie idzie a ksiądz odprawiający mszę stał zawsze najbardziej przy oknie. Tak to wyglądało w tej celi, w której ja byłem.

Na celi siedziałem m.in. z księdzem Uchmanem⁵⁶, Markiem Walerianem,

⁵⁶ Ksiądz Henryk Uchman (1882-1966) – proboszcz w Sieniawie (55 km na wschód od Rzeszowa), od 1942 – w ZWZ-AK (pseudonim „As”), współpracował z Narodową Organizacją Wojskową. Po wojnie utrzymywał kontakt z oddziałem partyzanckim Jana Totha – „Mewy”, którego oddział został rozbity w 1947 r. a sam Toth skazany na karę śmierci i stracony w Rzeszowie w 24 czerwca 1949 r. Zob. Zbigniew Wójcik, *Udział księży diecezji przemyskiej obrządku*

z księdzem Kubalusem ze Śląska, z księdzem Gadomskim⁵⁷, z księdzem Rostworowskim (jezuity), z księdzem Nawrockim (późniejszym prowincjałem). Ksiądz Nawrocki⁵⁸ siedział za to, że demoralizował młodzież, a ta demoralizacja wyrażała się w tym, że był sekretarzem naczelnym Sodalicii Mariańskiej. Dostał za to 12 lat. Ksiądz Jezuita Rostworowski⁵⁹ dostał też 12 lat, bo udowodniono mu, że posiadał broń. A było tak, że UB chciało go wsadzić do więzienia i znaleziono sfabrykowane dowody. Pewien świadek (pewnie ubek) zeznał, że widział, jak on miał broń. Broni później nie znaleźli, ale te zeznania wystarczyły. Ksiądz Robak z kolei dostał 5 lat za to, że prowadził misje (demoralizacja). 70-letni staruszek, ksiądz Marek, był proboszczem gdzieś na wschodzie.

łacińskiego w działalności podziemia antykomunistycznego w latach 1944–1956. Przyczyny-fakty-represje, „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” 2003, t. 36, z. 1, s. 217–234.

²⁵ maja 1949 r. za współpracę z oddziałem Totha aresztowano 6 osób, w tym 4 księży, m.in. księdza Uchmana. Zostali oni potem osądzeni w dwóch pokazowych procesach, zorganizowanych na przełomie lat 1949/1950 w Rzeszowie i w Przemyślu. Zob. Roksana Szczęch, *Skompromitować Kościół, otumanic społeczeństwo*, Biuletyn IPN z 2008, nr 10 (93), s. 38–44.

⁵⁷ Ksiądz Zbigniew Gadomski (1921–1993) – wikariusz w Wolbromiu (miasto 40 km na północ od Krakowa), aresztowany 19 kwietnia 1950 r. pod zarzutem współpracy z Armią Podziemną, zbrojną organizacją założoną przez młodzież licealną w tym mieście. Na polecenie AP zastrzelony został 16-letni uczeń, który odgrażał się, że doniesie na UB o działalności organizacji. 22 stycznia 1951 r. ksiądz Gadomski (oraz proboszcz parafii w Wolbromiu – ks. dr Piotr Oborski) zostali skazani w pokazowym procesie w Krakowie na kary dożywotniego więzienia. W latach 1951–1956 ksiądz Gadomski odbywał karę w Rawiczu. Z początkiem marca 1956 trafił do Wronk a jesienią tego roku został przewieziony do Strzelec Opolskich. Wyszedł na wolność dopiero w listopadzie 1960 r. i był najdłużej więzionym księdzem w PRL – 10 lat i 7 miesięcy. Zob. ks. Daniel Wojciechowski, *Więzień i duszpasterz więźniów PRL, ksiądz Zbigniew Gadomski (1921–1993)*, „Nasz Dziennik” 20–21 X 2007.

⁵⁸ Ksiądz Stanisław Nawrocki (1915–1986) – jezuita, aresztowany w 1950 r. za działalność sodalicijną i skazany na 12 lat więzienia. Zwolniono go w 1955 r. (uzyskał roczną przerwę w odbywaniu kary). W latach 1967–1973 był prowincjałem Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego. Zob. Ludwik Grzebień: *Śp. o. Stanisław Nawrocki SJ (1915–1986)*, Kraków 1986.

Z archiwów IPN wynika, że ksiądz Nawrocki w 1953 r. podpisał we Wronkach zobowiązanie do współpracy z UB. Przez pierwsze lata po zwolnieniu z więzienia unikał kontaktów, ale od roku 1960 miał spotykać się regularnie z SB, jako TW „Jackowski”. Współpraca miała trwać do 1982 r. Zob. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, *Księża wobec bezpieki*, Kraków 2007, s. 340–343.

⁵⁹ Ksiądz Tomasz Rostworowski (1904–1974) – jezuita, kapelan AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Został aresztowany w 1950 r. i był sądzony z księdzem Nawrockim w tym samym procesie (skazany na 12 lat). Zwolniono go w 1956 r. W latach 1967–1973 był kierownikiem polskiej sekcji Radia Watykańskiego.

Jak po dojściu do władzy Gomułki chodziła po celach komisja, która badała, czy ktoś nie siedzi niesprawiedliwie, to spytali się księdza Marka: „Za co wy siedzicie?”. Każdego o to pytali. „Licho wie za co”. „Jak to lichu ich wie? Sąd was nie skazał?”. „Sąd nie, tylko NKWD⁶⁰”. „Jak to, NKWD was skazało?”. „Nie. Komuś się nie spodobałem, ten doniósł na NKWD i oni kazali mnie zamknąć. Potem mnie przewieźli do Wronek i tu siedzę”. Komisja to zapisała, ale czy go zwolnili, tego nie wiem, bo nas potem rozdzielili.

Pewnego razu wszedł do celi oddziałowy i powiedział, żebym podpisał jakieś pokwitowanie za list, czy jakąś prośbę do naczelnika – dziś już nie pamiętam. Powiedziałem, że nie podpiszę, jak mi nie przeczyta, co podpisuję. „To nie podpiszecie?”. „Nie”. Potem przyszła jakaś komisja (klawichy i ten oddziałowy) i pytali się: „Który to jest Żak?”. Na co ja powiedziałem: „Więzień karny Żak Michał zgłasza swoją obecność!”. „Dlaczegoście nie podpisali swojemu oddziałowemu? Co, nie macie zaufania?”. Powiedziałem wtedy, że jak miałem sprawę, to podpisałem coś bez czytania i były z tego niedobre skutki. I sędzia na rozprawie powiedział mi: „Zapamiętajcie sobie Żak, że po to Polska wydaje ogromne sumy, aby obywatele nie tylko umieli się podpisać, ale żeby przed podpisaniem przeczytali to, co podpisują!”. I powiedziałem, że tego się trzymam. W rzeczywistości, żadne takie zdarzenie z sędzią nie miało miejsca, ale dzięki temu wyjaśnieniu nie zostałem w ogóle ukarany. Zabrali się i poszli. Ksiądz Rostworowski, który był świadkiem, jak ja odmówiłem podpisu, ale nie wiedział jak się tłumaczyłem, bo w międzyczasie była przerzutka i przenieśli go do innej celi, otóż on też odmówił podpisania, ale jak przyszli do niego i pytali go, czemu nie podpisał, to powiedział, że taka jest zasada, że nie podpisuje się tego, czego się nie podpisał. Za to dali go do pojedynki na trzy miesiące.

Pewnego razu wstajemy rano (było to wiosną), a tu za oknem słychać tylko krakanie i krakanie gawronów. Przez malutkie okno widać było na tle błękit-

⁶⁰ NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) – ministerstwo utworzone po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. W 1934 r. podporządkowano mu policję polityczną, służby specjalne (wywiad oraz kontrwywiad, z wyjątkiem wywiadu wojskowego), służby porządkowe (milicję, straż pożarną itp) oraz Główny Zarząd Obozów – GUŁag. Ta reorganizacja była elementem przygotowań Stalina do Wielkiej Czystki w latach 1936-1937. W latach 1938-1953 na czele NKWD stał Ławrientij Beria, będący symbolem stalinowskich zbrodni w czasie i po II wojnie światowej.

nego nieba stada tych praków, które latały i latały. Więźniowie mówili, że ktoś ważny musiał wykitować, bo kruki robią wesele. A potem okazało się z kawałków gazety, które dawali do kibla, że to Stalin wykitował⁶¹!

Po Październiku można już było korzystać z biblioteki. Można też było odebrać książki, które się miało w depozycie. Miałem w depozycie Pismo Święte. Napisałem więc do naczelnika więzienia prośbę o wypożyczenie z depozytu książki Pismo Święte oraz o wypożyczenie z biblioteki „Krótkiej historii WKP(b)”⁶². Po jakimś czasie przyszedł oddziałowy i powiedział: „Więzień Żak. Chodźcie podpisać. Dostaliście pozytywną odpowiedź od naczelnika. Macie rację Żak, żeście pożyczili Pismo Święte razem z »Historią WKP(b)«, bo tak, jak dla was jest Pismo Święte, tak dla nas jest ta książka”. Już po moim wyjściu z więzienia jechałem tramwajem i zobaczyłem zbieracza makulatury, który oprócz gazet miał także książki. Te książki wydały mi się nowe. Podszedłem i zobaczyłem stos „Historii WKP(b)”! Powiedziałem: „Panie, sprzedaj mi pan jedną!”. A on odpowiedział: „Nie wolno!”. I nie sprzedał mi. Szkoda, tak by mi się przydała jedna taka książka, jako przykład obroniony przed makulaturą! A kto tak zarządził, że się z tym bolszewickim pismem świętym tak stało, to nie wiem. Miała taki ładny papier i była oprawiona w płótno...

Mnie nie objęła amnestia w 1956 r.⁶³ Domagałem się rewizji procesu, udowadniając, że moje czyny nie zasługiwały na karę śmierci, a udziału w napadzie nie brałem. Pisałem „lewymi” kanałami listy do Zawieyskiego⁶⁴, do pośła Kisielewskiego⁶⁵, do księdza Prymasa Wyszyńskiego. I pewnego razu przyszło

⁶¹ Józef Wissarionowicz Dżugaszwili – Stalin, zmarł 5 marca 1953 r.

⁶² „Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Krótki kurs” wydana została po raz pierwszy w 1938 r. Za jej głównego autora uchodził Stalin, choć formalnie dzieło było sygnowane przez Komitet Centralny WKP(b). W ciągu pierwszych piętnastu lat od pierwszego wydania dzieło doczekało się ponad 300 wydań w 67 językach, o łącznym nakładzie ponad 42 mln egzemplarzy. Zob. Andrzej F. Grabski, *Święta księga stalinizmu. Historia partii na zamówienie*. „Polityka”, VII 1995.

⁶³ Chodzi o amnestię z 14 IV 1956 (Dz. U. z 1956, Nr 11 poz.57).

⁶⁴ Jerzy Zawieyski (1902–1969) – pisarz, redaktor „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, katolicki działacz polityczny, od 1957 r. na Sejm PRL z ramienia „Znaku”. Przyjaciół Prymasa Stefana Wyszyńskiego.

⁶⁵ Stefan Kisielewski (1911–1991) – pisarz, kompozytor, publicysta „Tygodnika Powszechnego”, od 1957 r. poseł na Sejm PRL z ramienia „Znaku”.

pismo, że obniżyli mi karę z dożywocia na 12 lat. Ale ja dalej domagałem się rewizji procesu. Dostałem wtedy pismo od Zawieyskiego, który mi cytował Prokuratora Generalnego (był nim chyba w tym czasie Burda⁶⁶), że mnie objęła pomyłkowo amnestia i obniżyli mi wyrok do 12 lat, ale nie ma podstaw do przeprowadzenia rewizji. Przyznał, że wyrok był niewspółmierny, ale uznał, że obecna kara 12 lat jest wystarczająca. Ja jednak broniłem się w ten sposób, że skoro przyznał, że wyrok był niesprawiedliwy, to dlaczego nie chce przeprowadzić rewizji procesu, tylko mam otrzymać zmniejszenie kary w drodze amnestii, łaski i to jeszcze pomyłkowo. A łaska to się należy względem czynu zawnionego, a nie tak, jak tutaj. Dopiero minister Marian Rybicki⁶⁷ złożył wniosek do Sądu Najwyższego i sąd przeprowadził rehabilitację. Ale stwierdzili, że tyle, ile dostałem w wyniku amnestii, to wystarczająca kara.

* * *

W międzyczasie zostałem przeniesiony do Strzelców Opolskich. Po śmierci Stalina wokół więźniów politycznych we Wronkach zrobiła się wrzawa. Studenci Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu publicznie zbierali składki na więźniów politycznych. Każda studentka miała „swojego” więźnia i pisała do niego i przysyłała mu paczki. Ja miałem studentkę Danusię Śliwińską. Władza chciała to przerwać i dlatego przeniesiono mnie do Strzelców Opolskich.

Tam pozwolono mi pracować w produkcji. Ja i inni więźniowie sprzeciwiliśmy się temu. Uważaliśmy, że najpierw powinni nas wyleczyć z tych chorób, które nabyliśmy w czasie odbywania kary więzienia, a dopiero potem możemy pójść do pracy. Wtedy wywieźli mnie na dwa czy trzy miesiące do wojskowego szpitala we Wrocławiu. Tam faktycznie mnie podleczyli. Przekazali mnie z powrotem do Strzelców Opolskich i znowu zażądali, żebym się wziął do pracy. Ja uważałem, że mało jestem podleczony, ale ksiądz Gadomski powiedział tak: „Słuchaj Michał! Idź do pracy! Jesteś aptekarzem, więc idź do więziennej ap-

⁶⁶ Andrzej Burda (1913–1987) – prawnik, profesor i rektor UMCS w Lublinie, członek PZPR, w latach 1957–1961 Prokurator Generalny.

⁶⁷ Marian Rybicki (1915–1987) – prawnik, działacz PPS, potem PZPR (w latach 1948–1968 – członek KC); w latach 1950–52 Szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP (Bieruta), w latach 1952–1956 – sekretarz Rady Państwa, w latach 1957–1965 – minister sprawiedliwości.

teki. Tam pracują więźniowie, którzy się na tym nie znają i wypijają spirytus. Po co my mamy pić wodę? Idź, bo ty się na tym znasz!”. Na to się zgodziłem i powiedziałem, że mogę popracować, ale tylko w aptecze.

Wreszcie przyjechał sąd do Opola, który chciał się dowiedzieć, czy ja doko-
nałem reedukacji, czy nie. A ja wypowiedziałem się na temat tego, kto siedzi
dzisiaj w więzieniu (trwało to około półtorej godziny).

„Ci, którzy mieli ręce zakrwawione, czy to w obronie własnej, czy w inny
sposób, to już dawno zostali zlikwidowani. Obecnie w więzieniach, to siedzą
ci, co mieli sprawy sfabrykowane lub niepoważne”. Powiedziałem też, jak Ar-
mia Czerwona postępowała z akowcami – szeregowców do kościuszkowców,
a jak nie chciał, to do więzienia a oficerów „pod słupek”. „Kiedy chciano zapro-
wadzić komunizm, a społeczeństwo było przeciwko, to się biło pałą na prawo
i na lewo, winien czy nie winien – tyle ofiar było z tego powodu. Ale dzisiaj,
za czasów Gomułkowszczyzny, kiedy przynajmniej można coś powiedzieć i nie
robi się tak, jak wtedy, gdy UB mówiło – »My znajdziemy na was paragraf!«, to
ja uważam, że dzisiaj nie będę zmuszony do takiego czynu, którym zrobił. Ale
jeżeli będą takie warunki jak poprzednio, to będę musiał, niestety. Sumienie
mam i cierpiącym katolikom i Polakom pomogę, ile będę mógł”.

Po moim wystąpieniu sędzia powiedział: „Dosyć, Żak! Wy nie potrzebu-
jecie nas uświadamiać!”. Pytał się potem o mój stosunek do więźniów i funk-
cjonariuszy więziennych. Naczelnik więzienia powiedział, że jest bez zarzutu.
„Żak, możecie odejść!”.

Byłem przekonany, że nic z tego nie wyszło. Ksiądz Gadomski powiedział
mi jeszcze przed rozprawą żebym udawał skrucę, to mnie wypuszczą, ale ja im
nie wierzyłem. Powiedziałem im prawdę i przynajmniej taką satysfakcję miałem!

Tymczasem po dwóch czy trzech dniach przyszedł do celi klawich i wywołał
mnie. „Więzień Żak! Spakować swoje rzeczy! Idzicie na wolność!”. Zabrałem
więc łyzkę, menażkę, ale nie wierzyłem im za grosz. Myślałem, że bierze mnie
do apteki. Ale klawisz przyszedł jeszcze raz i powiedział, że ja sobie z nich żarty
robię i jeszcze raz kazał mi się spakować. Tym razem stał nade mną i nie dałem
rady wziąć z siennika karteczek, jakie miałem od innych osób, które liczyły na
moje zwolnienie i chciały zawiadomić przeze mnie rodzinę.

W sumie odsiedziałem więc 9 lat.

Po wyjściu z więzienia nie pracowałem, tylko przez dwa lub trzy lata leczyłem się. Do seminarium już nie chcieli mnie przyjąć, bo się mnie bali. Zgłaszałem się do różnych. Na przykład zgłosiłem się do Cystersów, koło Limanowej⁶⁸. Ksiądz opat wziął mnie pod rękę i powiedział tak: „Mam szacunek dla pana, że pan po tym wszystkim, co pan przeszedł, kontynuuje swoje plany. Ale kto pana przyjmie? Po takiej głośniejszej rozprawie wszyscy się boją, bo co by władze powiedziały?”.

Pisałem jeszcze tu i ówdzie, ale bez rezultatu. Chciałem też studia skończyć, chociaż skryptów już wtedy nie miałem, bo im UB spaliło. Zgłosiłem się do arcybiskupa Baziaka⁶⁹, który był ordynariuszem krakowskim. A Baziak, to mnie jeszcze znał z czasów przedwojennych, gdy był biskupem lwowskim... Tak się złożyło, że znalazłem kiedyś na dworcu w Tarnowie złoty krzyżyk. Był to krzyżyk biskupi. Przez rok chodziłem z tym krzyżykiem i pytałem różnych biskupów i prosiłem innych, aby też zapytali, czy nie zgubili krzyżyka. I jak kiedyś, jako student, miałem sprawę do Baziaka, toteż przy okazji zapytałem go, czy nie zgubił krzyżyka. I rzeczywiście zgubił na dworcu w Tarnowie. Wtedy mu ten krzyżyk oddałem. Prosiłem więc Baziaka, aby pozwolił mi studiować. Baziak kazał mi się zgłosić za jakiś tydzień, bo chciał porozmawiać z profesorami. A po tygodniu mi powiedział, że – niestety – nie może mnie przyjąć, ponieważ profesorowie się nie zgadzają, bo statut na to nie pozwala. Potem jeszcze, gdy ja się już uspokoiłem i pracowałem „w cywilu”, to mówiono mi, żebym się zgłosił do kardynała Wojtyły⁷⁰, że kardynał Wojtyła to załatwi, ale ja już wtedy nie chciałem.

⁶⁸ Chodzi zapewne o klasztor Cystersów w Szczyrzycu, 25 km na północny-zachód od Limanowej.

⁶⁹ Arcybiskup Eugeniusz Baziak (1890–1962) – w latach 1933–1944 biskup pomocniczy Lwowa, w latach 1944–1962 – arcybiskup lwowski. W 1946 r. został zmuszony przez władze sowieckie do opuszczenia Lwowa. W 1951 r. w związku z poważną chorobą biskupa krakowskiego Adama Stefana Sapiehy (+1951) został administratorem apostolskim archidiecezji krakowskiej. W grudniu 1952 r. został internowany a potem aresztowany w Krakowie przez władze komunistyczne a w 1953 r. wydany z archidiecezji krakowskiej. Wrócił do Krakowa w 1956 r.

⁷⁰ W 1964 r., półtora roku po śmierci arcybiskupa Baziaka, jego miejsce w Krakowie zajął Karol Wojtyła (ur. w 1920 r.), który w 1967 r. został mianowany kardynałem.

Podjąłem pracę. Najpierw na AWF, jako laborant prosektoryjny a potem przeniósłem się do anatomii, do pani profesor Sokołowskiej⁷¹ i tu jestem do tej pory. Obecnie⁷² mam 73 lata i pracuję jako technik rentgenowski. Za rok będę już mógł pójść na emeryturę. A swego czasu pracowałem jeszcze dodatkowo, w godzinach nadliczbowych, jako laborant prosektoryjny⁷³.

* * *

Sławomir Onyszko, działacz NZS i KPN w Krakowie: *W 1983 r. w mieszkaniu Michała Żaka przy ul. Wrzesińskiej ukrywał się „Łysy”, czyli Darek Warpas. Zapisalem go do KPN dość późno, pod koniec lat 80. W tym czasie on był członkiem NZS. Zrobiliśmy w ramach NZS totalne malowanie miasteczka studenckiego. Akademiki były tak pomalowane, że musieli odnawiać większość budynków. W trakcie tego malowania usiłowali zatrzymać Darka, ale on uciekł i dlatego musiał się ukrywać. Nie pamiętam dokładnie, jak długo się ukrywał u Michała, ale myślę, że z tydzień albo dwa. To musiało być dłużej niż kilka dni, bo on już nie mógł jeść. Michał przynosił obiady ze stołówki Akademii Medycznej. Zasada była taka, że obiad dziś przyniesiony je się jutro, a dzisiaj je się obiad wczorajszy. Nie wiadomo dlaczego te obiady zawsze stały jeden dzień. No i nikt nie mógł wytrzymać tego jedzenia. Tolek Piekatkiewicz, który wcześniej ukrywał się u Michała, nie mógł wytrzymać i „Łysy” też nie mógł. A Michał mu mówił – „Jedz, jedz. Najwyżej cię przeczysci”. Więc jeżeli Łysy już nie mógł jeść to musiał się tam ukrywać około dwóch tygodni. Normalny człowiek tracił chęć do życia po tygodniu ukrywania się u Michała ze względu na odżywianie, ale „Łysy” był twardy, więc podejrzewam, że po dwóch tygodniach mu odeszło.*

On się nudził i coś chciał uszyć. Michał Żak miał maszynę do szycia, ale ona ciężko chodziła. Szukałem u Michała w mieszkaniu czegoś, żeby ją naoliwić. Zna-

⁷¹ Prof. Janina Sokołowska-Pituchowa (1915–2011) – repatriantka ze Lwowa, od 1945 r., pracowała naukowo w Katedrze Anatomii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1961 r. była kierownikiem Zakładu Anatomii. W 1985 r. przeszła na emeryturę. Zob. *Wspomnienie o prof. Janinie Sokołowskiej-Pituchowej* – 28.10.2011, http://www.cm-uj.krakow.pl/uj_2010/collegium_medicum/galeria/index63.php [dostęp 24 X 2014].

⁷² Rozmowę przeprowadziłem w roku 1984 – ml.

⁷³ Gdy poznałem Michała Żaka w 1982 r. opowiadał mi o pracy w prosektorium.

lazłem w buteleczce coś, co mi się wydawało, że to jest olej. Ale potem okazało się, że to nie był olej, tylko formalina z czymś tam, która miała taką oleistą konsystencję. Nie wiem po co Michał to przyniósł do domu. Nasmarowałem maszynę tym „olejem”. Póki rozpuszczalnik w tej formalinie był, to to działało i ta maszyna szyla. Ale potem, jak odparował spirytus z tej formaliny, to zalepiło tę maszynę. Ale jej nie zepsułem w sensie, że wziąłem młotką i ją rozbiłem, tylko ją chciałem uzdatnić bardziej, niż była zdatna. Potem Michał ją mył spirytusem i chyba ją domył. Tylko chodziło o ten spirytus, który został wylany na maszynę i stąd ta rozpacz wszystkich. Ja chciałem wyczyścić tę maszynę, ale już mnie nikt nie chciał do niej dopuścić. Schowali ją przede mną.

Mirosław Lewandowski: *Ostatecznie żołądek „Łysego” uratowała bezpieka, bo 15 czerwca 1983 r. weszła do mieszkania Michała szukając materiałów na Ryszarda Bociana, który w tym czasie już siedział. Oprócz „Łysego” w mieszkaniu Michała Żaka SB zastała Sławka Onyszkę i mnie (byliśmy umówieni z Bocianem nie wiedząc, że tego dnia został on już aresztowany) no i gospodynię. Warpasa, Onyszkę i mnie SB wzięła na Mogiłską, gdzie nas przesłuchiwali, ale po 48 godzinach wypuścili. Natomiast Bociana aresztowano. Wyszedł na mocy amnestii w lipcu 1983 r. Najście na mieszkanie Michała przyniosło natomiast SB sukces w postaci przejęcia materiałów poligraficznych.*

Sławomir Onysko: *Jak Rysiek Bocian wyszedł na wolność, to kazał mi odpokutować to, że zepsułem tę maszynę, choć nie czułem się winny. Ciągłe wymyślał mi jakąś pokutę. W końcu polecił mi, abym przygotował krzyż na grób zamordowanych przez UB członków organizacji Polska Podziemna Armia Niepodległościowa, do której należał także Michał Żak. Chodziło o krzyż na grobie ks. Gurgacza, Balickiego i Szajny na cmentarzu Rakowickim. Deski do wykonania krzyża znalazłem u Michała w domu. On zbierał mnóstwo rzeczy i u niego w mieszkaniu było wszystko. Z tych rzeczy, które on przechowywał w swoim mieszkaniu można byłoby czołg złożyć. Dodatkowo wziąłem kawałek blachy i na niej wykonałem napis (imiona i nazwiska zamordowanych). Tekst wykonałem za pomocą kalkotekstów, których się używało do robienia sitodruków. Potem ten tekst pociągnąłem jeszcze lakierem i to bardzo fajnie wyglądało, tak że nawet się Ryśkowi podobało. Tabliczkę przykręciłem do krzyża wkrętami. Miejsce pochówku członków PPAN*

pokazał mi Rysiek. Poszedłem sam i wbitem krzyż. Ten krzyż chyba dość długo tam stał. Później jezuici zaopiekowali się grobem księdza Gurgacza i postawili tam nagrobek.

* * *

Ryszard Bocian: *Michał Żak zmarł w pożarze swojego mieszkania w 1994 roku. Zdołał zresztą przytomnie ugasić ogień, ale poparzenia, szczególnie płuc były tak rozległe, że nie udało się go uratować.*

Pochowany został na Wojskowym Cmentarzu Rakowickim – w grobie jednego ze swych współbojowników, na którym wykonano wyrok śmierci. Zresztą po wyjściu z więzienia właśnie on odszukał te groby kolegów, w tym księdza Gurgacza – i postawił im nagrobki.

ROLA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W ŻYCIU NARODU I PAŃSTWA (REPRINT Z 1927 ROKU)

¹ Antoni Anusz (ur. 28 maja 1884 w Latowiczu, zm. 21 grudnia 1935 w Warszawie) – działacz niepodległościowy, polski polityk, bankowiec i publicysta, poseł na Sejm Ustawodawczy oraz I i II kadencji w latach 1919–1928, zastępca członka Rady Obrony Państwa w 1920 roku. Bliski współpracownik i propagator zasług Józefa Piłsudskiego. Publikacje książkowe:

- „Z krainy dzikiej, pustej i otwartej”. Rzecz o stosunkach rosyjskich, Warszawa 1919
- „Do władzy przez kłamstwo, krew i niedolę ludu”, Warszawa 1920
- „Zdrajcy i krzywdziciele polskiego ludu”, Warszawa 1920
- „Naród, Armja i Wódz”, Warszawa 1920
- „Z wiary waszej wola wasza – z woli waszej czyn wasz będzie”, Warszawa 1920
- „Ziarno i plewy w ruchu robotniczym” – zbiór artykułów, Warszawa – Lublin- Łódź – Poznań – Kraków 1921
- „Józef Piłsudski”, Warszawa 1923
- „O Wincentym Witosie”, Warszawa 1925
- „Polska to wielka rzecz”, Warszawa 1925
- „Rola Józefa Piłsudskiego w życiu narodu i państwa”, Warszawa 1927
- „Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski budowniczy i wskrzesiciel państwa polskiego”, Warszawa 1927
- „Marszałek Józef Piłsudski wskrzesiciel i budowniczy państwa polskiego”, Warszawa 1928
- „Z powodu oświadczenia Marszałka Piłsudskiego z dnia 1 lipca 1928 r. Przypomnienia i uwagi”, Warszawa 1929
- „Podstawy wychowania obywatelskiego”, Warszawa 1930
- „Józef Piłsudski 1926 – 1929. Przemówienia, wywiady, artykuły”. Zebrane i do druku przygotowane przez Antoniego Anusza i Władysława Pobóg-Malinowskiego, Warszawa 1930
- „O dobrą społeczną wolę i poszanowanie prawa”, Warszawa 1935

Odnaczone: Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

W 1951 jego prace zostały wycofane przez władze komunistyczne z polskich bibliotek i objęte cenzurą. W Opinii poświęcone mu były dotychczas dwa artykuły:

Andrzej Anusz: Antoni Anusz współpracownikiem Józefa Piłsudskiego „Opinia” nr. 2 wiosna 2014, s. 17–40.

Antoni Anusz: Wybór z wystąpień sejmowych i publicystyki 1919–1935, w wyborze i opracowaniu Andrzeja Anusza „Opinia” nr. 4 jesień 2014 s. 101–143.

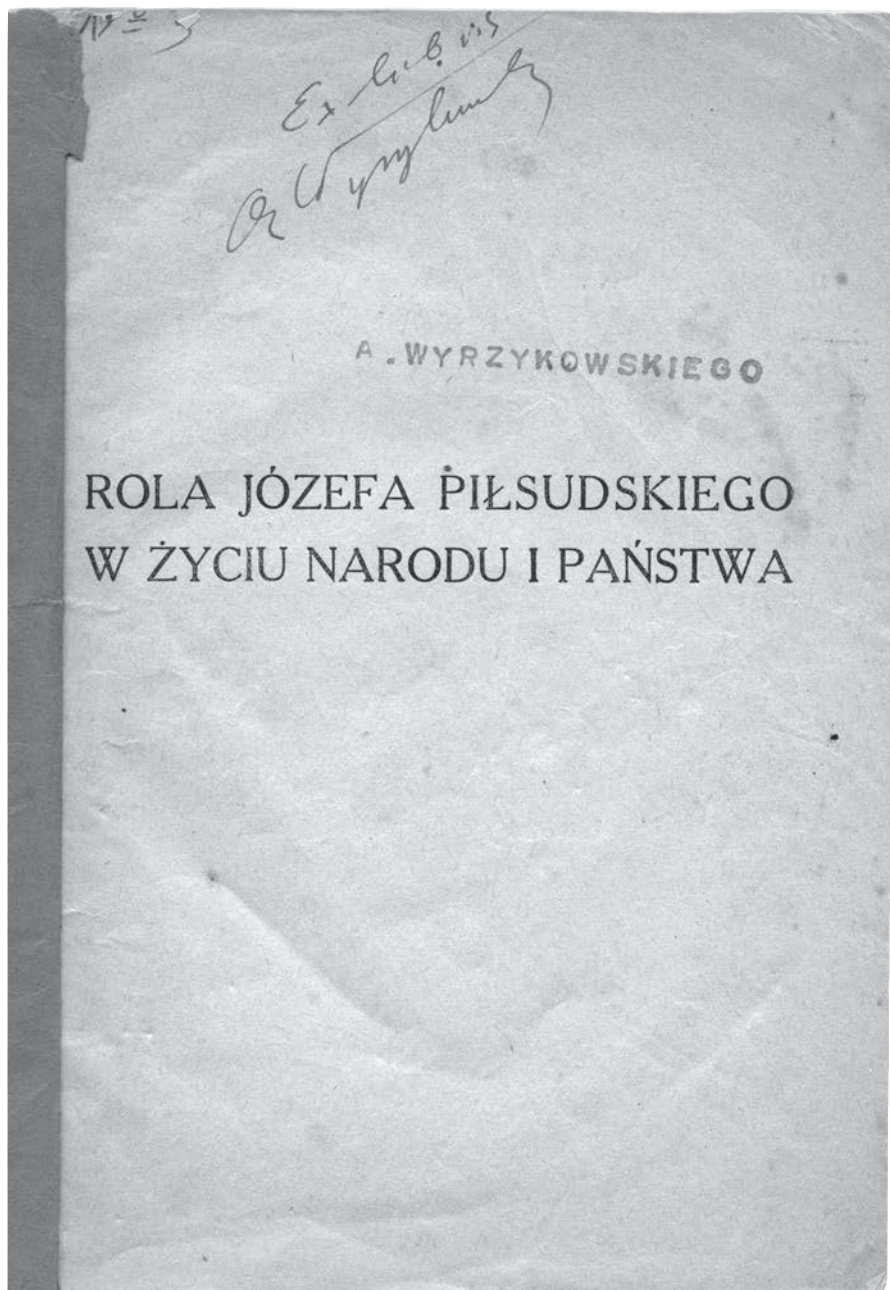
R O L A
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŻYCIU NARODU I PAŃSTWA

NAPISAL
ANTONI ANUSZ

19 $\frac{19}{III}$ 27

BIBLIOTEKA WYDAWNICTWA „GŁOSU PRAWDY”
W A R S Z A W A
NOWY-ŚWIAT 22

Cena 95 gr.



ROLA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŻYCIU NARODU I PAŃSTWA

NAPISAŁ
ANTONI ANUSZ

19 $\frac{19}{III}$ 27

BIBLIOTEKA „GŁOSU PRAWDY”.
WARSZAWA,
NOWY ŚWIAT 22.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47.

PRZEDMOWA

Życiorys Józefa Piłsudskiego będzie z czasem naszą biblią narodową. Życie i czyny tego męża staną się księgą, z której potomność z zapartym oddechem będzie się dowiadywała, wśród jakich niebezpieczeństw i niestychanych trudności Piłsudski walczył o Polskę, jak tworzył wielkość i stawę narodu.

Dzisiaj na taki życiorys jest przedwcześnie. Piłsudski bowiem w dalszym ciągu walczy, działa i tworzy fakty dziejowe.

Piłsudski należy do tych nielicznych jednostek w dziejach narodu, które najgodniej reprezentują to, co jest nieśmiertelne i wielkie w jego dążeniach.

O wartości pokolenia, współczesnego takim wielkim postaciom, potomność sędzi na podstawie tego, jak to pokolenie ustosunkowało się do najwybitniejszej osobistości swoich czasów, czy rozumiało jej cele, czy potrafiło podążać za jej wolą, czy dało dostateczne poparcie jej wielkim zamierzeniom.

O wartości moralno-politycznej społeczeństwa polskiego z pierwszego dwudziestolecia siedemnastego wieku sędzimy na podstawie tego, w jakiej mierze rozumiało ono i popierało najwybitniejszego Polaka tamtej doby, hetmana Stanisława Żółkiewskiego.

Wartość zaś społeczeństwa naszego z końca osiemnastego stulecia mierzymy tem poparciem, jakiego ono użyczyło Naczelnikowi Tadeuszowi Kościuszce w jego walce o utrzymanie niepodległego bytu państwowego.

Dzisiaj w Polsce każdy, kto nie jest uprzedzony, przyznać musi, że Piłsudski jest najwybitniejszą postacią współczesności, że współdziałanie z Nim jest obowiązkiem każdego patrijoty, który chce się przyczynić do pomyślności narodu.

Ażeby skutecznie współdziałać, trzeba sobie uświadomić, na czym polega rola Piłsudskiego w życiu narodu, jakie są Jego idee, Jego metody pracy i sposoby postępowania.

W swoich artykułach starałem się w miarę swych sił ukazać Piłsudskiego takim, jakim On jest przy warsztacie pracy historycznej, w obliczu zagadnień, które rozstrzyga swą myślą i wolą.

Należy dążyć do tego, aby pomiędzy Piłsudskim a wszystkimi uczciwymi i dzielnymi ludźmi w Polsce było jaknajwięcej zrozumienia w zakresie tego, co trzeba czynić dla dobra i pomyślności państwa.

Będę nad wyraz zadowolony, jeżeli słowa moje o Piłsudskim będą szerzyły to zrozumienie, powiększając zastęp tych, którzy pod wodzą Wskrzesiciela Państwa pracują dla sławnej i szczęśliwej przyszłości narodu.

Marzec 1927 r.



MAŻ STANU I WÓDZ

Józef Piłsudski podziela w pewnej mierze los Hannibala. „Choć złość, zawiść i podłość pisały historję Hannibala, nie potrafiły jednak zaćmić czystości i wielkości obrazu”, jaki roztaczają przed nami dzieje żywota wielkiego kartagińczyka. Złość, zawiść i podłość sprzymierzyły się, aby zaćmić czystość i wielkość indywidualności Piłsudskiego, lecz bezskutecznie. Samo jednak takie usiłowanie jest zdumiewające, ponieważ Józef Piłsudski w przeciwieństwie do Hannibala ma za sobą nie tylko śmiałość, dramatyczne dążenia, lecz — czyny dokonane, z których naród cały zebrał i zbiera obfite plony. Pomimo jednak tych w równej mierze zdumiewających, co niecných usiłowań zrozumienie dla dominującej roli Piłsudskiego w dziejach narodu coraz bardziej gruntuje się w świadomości ogółu i zmusza do milczenia gromadę zawistnych karłów, którzy przez pomniejszanie wielkości usiłują wywyższyć własną małość, którzy zresztą nie byłiby sobą, nie byłiby zapłutymi karłami, gdyby posiadali zdolność kochania i podziwiania, cechującą tylko dusze wzniosłe.

Jeszcze niedawno odmawiano Piłsudskiemu wszelkich kwalifikacyj zarówno na męża stanu, jako też na wodza armji.

Mijały miesiące, lata, następowały wydarzenia, które najzacieklejszego wroga Piłsudskiego musiały przekonać o jego wyjątkowej roli w życiu armji polskiej.

Wobec niezliczonych dowodów uwielbienia i przywiązania wojska do swego zwycięskiego wodza, dla wszystkich jest już dzisiaj jasne, że Piłsudski jest duszą wojska, że swym olbrzymim autorytetem moralnym nie pozwoli żadnemu „konstytucyjnemu szefowi armji” handlować jej honorem i sławą i czynić z organu siły i bez-

pieczeństwa państwa narzędzia partyjnych kombinacji i zamachowych planów.

Z trudem, po długim oporze uznano wreszcie autorytet wojskowy Piłsudskiego, lecz jednocześnie usiłuje się go przedstawić jedynie jako „majstra od wojny”, nie ponad to.

Wojskiem dowodzić potrafi, lecz zdolności polityczno-państwowych nie posiada, mężem stanu nie jest.

Ażeby zrozumieć całą bezpodstawność takiego przeciwstawienia w stosunku do Piłsudskiego, należy zastanowić się nad problemem męża stanu i wodza armji.

Najwybitniejsze postacie dziejów powszechnych łączyły w sobie wybitne zdolności polityczno-państwowe z talentami wojskowymi. Nie jest to przypadek, lecz naturalny rozwój rzeczy. Polityka jest sztuką stosowaną; działacz polityczny — to człowiek posiadający zdolność realizowania swych planów i zamierzeń; mężem stanu nazywamy wybitnego działacza politycznego. Miara wielkości męża stanu jest wielkość celu, jaki sobie postawił i zdołał osiągnąć, oraz suma przeszkód i stopień oporu, jakie musiał przezwyciężyć przy osiągnięciu swego celu. Każdy wybitny mąż stanu, w którego duszy dojrzały pewne plany i zapadły odnośne postanowienia, szuka odpowiedniego instrumentu do realizacji tych planów i postanowień. Takim instrumentem jest dobrze zorganizowana siła zbrojna. Dla tego też polityk o wielkich planach zaraz u wstępu swej pracy staje w obliczu konieczności organizowania takiej siły, a następnie zdobycia umiejętności celowego posługiwania się nią.

To też z reguły każdy wybitny mąż stanu dążył do stworzenia silnego wojska i wydoskonalenia się w sztuce dowodzenia armją.

Czyż nie potwierdzają tego takie postacie z dziejów powszechnych jak: Hannibal, Juliusz Cezar, Bolesław Chrobry, Stefan Batory, Jan Zamoyski, Stanisław Żółkiewski, Oliver Cromwell, Piotr Wielki, Fryderyk Wielki, Napoleon?! Raczej do wyjątków możemy zaliczyć te wielkie wydarzenia historyczne, nad którymi unosiła się nie wola jednostki, ogniskującej w sobie kierownictwo polityką i dowodzenie armją, lecz zbiorowa wola, kooperujących z sobą mężów stanu i wodzów.

Jako przykłady nasuwają się pamięci z jednej strony Pitt Młodszy, a z drugiej Artur Wellington i Horacy Nelson, Bismark i Moltke, Clemenceau i Foch.

Zgodnie z regułą, rozwój indywidualności politycznej Piłsudskiego szedł od polityki do strategii. Jako polityk już w zaraniu swej działalności uświadomił sobie, że naród ujarzmiony może odzyskać wolność i odbudować samodzielną państwowość tylko z bronią w ręku. Prawa bowiem do niepodległego bytu nie można wyszczachrować: trzeba je zdobyć krwią i żelazem. Sam o sobie Piłsudski mówi: „Nie chciałem być niewolnikiem, szukałem swobody, byłem dzieckiem swobody — i dla niej, dla tej swobody, mocy szukałem. A mocy bez siły nakazu i przymusu nigdzie nie znalazłem.” Piłsudski szukał mocy i dlatego specjalną uwagę poświęcił sprawie wojska i strategii.

Wystarczy przypomnieć sobie czas i warunki, w których Piłsudski przystąpił do organizowania siły zbrojnej, aby sobie uświadomić, że była to działalność, idąca po linii największego oporu i że podniętą do niej mogła być tylko dobrze przemyślana koncepcja męża stanu. Innym dowodem wielkiej politycznej przenikliwości Piłsudskiego było to, że pracę nad odbudową państwa polskiego prowadził wyłącznie w Polsce i z Polakami. Nie w Petersburgu, Londynie lub Paryżu, lecz tutaj w Polsce był stale obecny Józef Piłsudski i swoją potężną wolą wprawiał w ruch koło rozpędowe akcji niepodległościowej.

To też w listopadzie 1918 r. Piłsudski nie miał na ziemiach polskich nikogo, kto by mógł z nim rywalizować o pierwsze miejsce w państwie. Miał frondę, ale w Paryżu.

Wkrótce potem z jednomyślną uchwałą Sejmu Ustawodawczego został Naczelnikiem Państwa. Było to uznanie dla Piłsudskiego, jako męża stanu. Na tem nieskończenie trudnem stanowisku Piłsudski z niezwykłą mądrością i przezornością kierował losami państwa. Zaledwie o paru momentach można tutaj wspomnieć, ponieważ należyte potraktowanie tego tematu wymaga monografii historycznej.

Połączenie Wileńszczyzny z Polską było przede wszystkim dziełem akcji wojskowej, a następnie wynikiem całego szeregu posunięć politycznych, które Piłsudski przedsięwziął, spotykając ze strony Sejmu raczej przeszkody, niż pomoc. Sejm bowiem przeciwstawił się odezwie Piłsudskiego wydanej do mieszkańców Litwy dnia 22 kwietnia 1919 roku zaraz po zdobyciu Wilna, aczkolwiek odezwa ta — zgodnie z zapewnieniami ówczesnego kierownika polityki zagranicznej I. Paderewskiego — wywołała w Paryżu „entuzjazm” i znakomicie ułatwiła mu na konferencji pokojowej obronę interesów Polski.

Pomimo przeciwstawienia się Sejmowi, właśnie odezwa Piłsudskiego była punktem wyjścia całej akcji, która doprowadziła do złączenia Wileńszczyzny z Polską. Wola i przenikliwość polityczna Piłsudskiego zatriumfowała nad wolą Sejmu Suwerennego, który posiadał pełnię władzy, lecz nie posiadał należytej świadomości i dojrzałości w sprawach państwowych.

Nadeszły tragiczne, groźne dla istnienia państwa wypadki 1920 roku. Piłsudski jako mąż stanu dokonał rzeczy nadzwyczajnej: doprowadził do konsolidacji narodowej. Rząd obrony narodowej w lipcu 1920 roku został utworzony za jego sprawą. Piłsudski użył podówczas całego swego autorytetu, aby tę konsolidację osiągnąć.

Przy opracowywaniu i realizacji planów operacyjnych Piłsudski momenty czysto strategiczne podporządkował polskiej racji stanu. Odrzucał fachowo wojskową radę Weyganda, aby zrezygnować z obrony Lwowa i siły ściągnięte z pod Lwowa użyć do obrony Warszawy. Piłsudski jako mąż stanu przewidywał, że jeżeli Lwów wymknie nam się z rąk na parę godzin, to chociaż odzyskamy go orężnie, napotkamy w sprawie Małopolski Wschodniej na terenie międzynarodowym jeszcze większe trudności niż te, które mieliśmy z przyłączeniem Wileńszczyzny.

Przypominają mi się w tej chwili uwagi generała Dowbora-Muśnickiego, wypowiedziane w rozmowie z posłem Błyskoszem na temat operacji wojennych w sierpniu 1920 roku. Generał D.-Muśnicki dowodził, że ówczesne prowadzenie wojny było partackie z punktu widzenia fachowego. Fachowa bowiem strategia wymagała dla

skrócenia frontu opuszczenia Lwowa i ewakuacji Warszawy. Zaiste dzisiaj z ulgą możemy odetchnąć, że nie tak zwany „fachowiec” kierował podówczas losem państwa i dowodził armją!

Pozwoliłem sobie przytoczyć tych kilka przykładów dla wykazania, że Piłsudski należy do tych wybitnych postaci dziejowych, w których zdolności męża stanu mocno spletają się ze zdolnościami wojskowo-strategicznymi.

Jego talenty wojskowe są dzieckiem myśli politycznej i pozostają na usługach wielkich koncepcyj państwowych.

Podczas jednego ze swych odczytów Piłsudski mówił o sobie: „Bóg zaszczerpił w moje łono elementy siły i mocy nakazu, co posłuch wzbudzić umie. Dał mi w załączku, w uczuciu, miłość dla mocy i siły”.

Swoje niepospolite zdolności tworzenia siły i posługiwania się nią Piłsudski oddał na usługi Ojczyzny. Dla siebie nie żąda nic poza możliwością pracy dla chwały i pomyślności narodu. Od społeczeństwa zaś wymaga jednej rzeczy: uczciwości w życiu publicznym. Gotów jest do ostatniego tchu bronić Polski, lecz nie chce bronić „tych panów”, którzy na Polsce żerują.

Jeżeli się chce bronić Polski, nie można wszak bronić tych, którzy przez uprawianie prywaty, karjerowiczostwa i korupcji, dezorganizują moralną siłę społeczeństwa, chociażby nawet przypadkowo nazywali się rządem.

Właśnie jako mąż stanu Piłsudski z całą bezwzględnością przeciwstawił się dzisiejszym praktykom i zwyczajom w naszym życiu państwowem, ponieważ są one źródłem niedomagań, bezsiły i nieporadności naszej.

I w urządzaniu wewnętrznego życia naszego domu państwowego musimy iść za głosem Piłsudskiego, jakieśmy szli za jego głosem przy budowie tego domu. To też praca nad stworzeniem warunków, które pozwolą Piłsudskiemu stanąć przy warsztacie pracy państwowej i oddać na usługi kraju swoje wielkie talenty polityczno-wojskowe, jest w chwili obecnej nakazem politycznym dla każdego patrioty, tęskniącego do triumfu w naszym życiu prawdziwych zasług i istotnych wartości moralnych.

OBŁUDA NĘDZNIKÓW I KOMEDJANCKI PATOS PRZESTĘPCÓW ROZZUCHWA- LONYCH BEZKARNOŚCIĄ

Tylko powyższemi słowy można należycie zareagować na wystąpienie p. Wojciecha Dąbrowskiego w Nr. 320 „Warszawianki”.

Spodobało się p. W. Dąbrowskiemu nazwać „chamami i bandytami” tych oficerów, z których jeden policzkował posła Strońskiego, a dwaj inni byli świadkami tego—powiedzmy wyraźnie—samosądu. Po dokonaniu powyższego samosądu oficerowie zgłosili się do swej władzy przełożonej, zameldowali o zajściu i zażądali sądu nad sobą. Właściwy sąd orzeknie o ich postępkach i orzeczenia swe umotywuje.

Pan W. Dąbrowski z miejsca zapłonął świętym oburzeniem i gotowością męczeństwa i woła z patosem: „bijcie i mnie, chamy i bandyci!”

Gdy się słyszy to patetyczne wołanie, wydaje się, że pan W. Dąbrowski raptownie utracił pamięć, że w jego świadomości zatarły się dzieje ostatnich lat, że nie wie on, o co chodzi w całym tem zajściu.

A więc trochę pamięci i perspektywy. 11 grudnia 1922 roku na ulicach Warszawy obrzucono gradami błota i śniegu czcigodnego starca Gabrjela Narutowicza. Ten czcigodny starzec był ponadto osobą uświęconą przez prawo. Zgromadzenie Narodowe wyniosło go na najwyższe stanowisko w Rzeczypospolitej.

Nie pamiętam, aby wówczas p. W. Dąbrowski nazwał chamami i bandytami tych, co brutalnie znieważyli Prezydenta Gabrjela Narutowicza. Czy wówczas p. W. Dąbrowski nie był jeszcze tak stanowczym przeciwnikiem „chamów i bandytów”?

Po zejściach 11 grudnia „poseł redaktor Stanisław Stroński” — mówiąc językiem W. Dąbrowskiego — korzystał z podwójnego prawa otwartego wypowiedzenia swych przekonań. Oto próbka, jak z tego podwójnego prawa korzystał: „Pan Narutowicz — pisał 14 grudnia 1922 r. p. St. Stroński — osobą swoją zawałił drogę ku naprawie gospodarczo-skarbowej w państwie, która już — już przeświecała przed oczami wśród otchłani rozstroju... Zawada jest skuteczna. Pierzchły widoki uzdrowienia gospodarczo - skarbowego i wzmocnienia stanowiska zagranicą. Zamiast tego, wynurza się po staremu p. Piłsudski. „Najbude jak buwało”. To znaczy ta zawada!

Szaleniec E. Niewiadomski usunął tę „zawadę”, na którą otwarcie wskazywał poseł - redaktor Stroński. Nie widzieliśmy jednak, aby poseł Stroński zasiadł na ławie oskarżonych jako moralny sprawca mordu popełnionego na Prezydencie G. Narutowiczu. Ukarany został ślepy miecz, bezkarną pozostała ręka, która ten miecz uruchomiła. Nieukaranymi pozostali także ci, którzy obrzucili błotem i kamieniami Prezydenta Rzeczypospolitej. Ta jawna bezkarność zdezorientowała świadomość i poczucie prawa wśród społeczeństwa. Wynikało bowiem, że można w Polsce bezkarnie szcuć na przedstawiciela najwyższej władzy w państwie, że można tegoż przedstawiciela bezkarnie obrzucać grudami błota i śniegu!

Zdziwił się zapewne tą bezkarnością p. S. Stroński, jest bowiem zanadto sprytny, aby nie rozumieć, że skoro szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się wówczas uniknąć odpowiedzialności przed trybunałem rewolucyjnym, to powinien być zająć się jego osobą sąd Rzeczypospolitej, znieważony w osobie zaszczutego przezeń Prezydenta.

Bezkarność rozzuchwiała ponad wszelką miarę tego nałogowego destruktora, jakim jest p. S. Stroński.

Po zamordowaniu „zawady” Narutowicza, Stroński z niesamowitą zaciekłością przystąpił do kontynuowania naganki na „wynurzającego się” na powierzchnię życia państwowego Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że p. St. Stroński z właściwą sobie organizacją psychiczną nie jest zdolny zrozumieć, czym jest Józef Piłsudski dla szerokich warstw narodu.

Piłsudski — to jedyny człowiek we współczesnej Polsce, którego imię i czyny entuzjazmują masy ludowe. Dla ludu Piłsudski jest uosobieniem męstwa, wytrwania, bezinteresowności i nieugiętej woli w walce o Polskę i o sprawiedliwość i praworządność w Polsce. Jest to chorobą Strońskiego, czy też jego kalectwem moralnym, że nie potrafi odczuć i zrozumieć tych wartości moralnych, jakie reprezentuje Józef Piłsudski, że nie dostrzega tego, iż do Piłsudskiego należy dzisiaj „rząd dusz” a jego przeciwnicy zaledwie jako tako za pomocą korupcji panują nad ciałami.

Lecz i dla Strońskiego muszą być bezsporne następujące fakty:

1) Wyzwalający się z niewoli naród polski wyniósł przez jednomyślną uchwałę Sejmu Ustawodawczego nie kogo innego lecz właśnie Józefa Piłsudskiego na najwyższe stanowisko w Państwie, dając mu tytuł i władzę Naczelnika Państwa.

2) Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisław Wojciechowski, nie komu innemu, lecz Piłsudskiemu, twórcy armii polskiej i wodzowi w bojach o niepodległość Ojczyzny, Pierwszemu Marszałkowi Polski, nadał krzyż „Virtuti Militari” „jako Wodzowi Naczelnemu za zwycięską wojnę polsko-bolszewicką”.

3) Sejm Rzeczypospolitej nie kogo innego, lecz właśnie Piłsudskiego na posiedzeniu w dn. 28 czerwca 1923 r. wyróżnił uchwałą, iż „jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz zasłużył się narodowi”.

Te fakty powinny obowiązywać nawet p. S. Strońskiego, gdyby miał odrobinę poczucia taktu i przyzwoitości. Skoro te fakty ignoruje, musi ponosić konsekwencje tej złośliwej ignorancji. Byłoby to bowiem najgorszym świadectwem dla całego narodu gdyby się nie znalazł nikt, ktoby wszystkim przypomniiał, że nie wolno bezkarnie znieważać i łżyć człowieka, którego wielkie zasługi dla narodu zostały stwierdzone przez najbardziej miarodajne czynniki w państwie.

Złe jest, że oficerowie policzkowaniem zmuszają p. S. Strońskiego do należytego respektu względem zwycięskiego Wodza i Pierwszego Naczelnika odbudowanego Państwa, lecz byłoby jeszcze gorzej, gdyby wybrki p. St. Strońskiego i jego łobuzerskie słowa uchodziły bezkarnie.

Ten idealny stan rzeczy, kiedy to sądy przez swoje wyroki uczą poszanowania władzy i bronią godności ludzkiej, w Polsce jeszcze nie istnieje. Jeżeli zaś obowiązujące prawo nie karze czynów, które

świadomość prawna społeczeństwa uznaje za występne, zdarzają się samosady, jako nieuniknione następstwo rozbieżności pomiędzy prawem pisanym, a kształtującą się w umysłach współczesnych nową świadomością prawną.

Jeżeli zaś cały system, cały ustrój prawny, obowiązujący w danej chwili, nie odpowiada świadomości prawnej ogółu, wybucha rewolucja, którą z prawnego punktu widzenia można określić jako masowy samosąd. Jeżeli oddzielne wypadki samosądu bywają niejednokrotnie rezultatem niedoskonałości prawa obowiązującego i wadliwości funkcjonowania aparatu sądowego, to wypadek zę Strońskim jest tego jaskrawym dowodem. Policzując p. S. Strońskiego, podpułkownik Hozer apelował do opinii publicznej, do władz państwowych, do poczucia honoru i godności narodowej każdego z nas: „Jeżeli Józef Piłsudski jest marnym człowiekiem, to dlaczego obarczyliście go obowiązkiem reprezentowania państwa i daliście mu władzę szafowania krwią i życiem tysięcy żołnierzy, a jeżeli zaś jest zasłużonym człowiekiem, to dlaczego nie znajdziecie prawnego środka na to, aby nie wolno było każdemu łotrzykowi, każdemu błaznowi ponieważc jego pracę i zasługi“

Ten apel nie powinien zostać bez odpowiedzi, któraby dała satysfakcję zarówno nam współczesnym, jak również tym, którzy przyjdą po nas i będą nas sądzili.

Gdy jednak zastanawiałem się nad brutalnym, zuchwałym, nastastliwym, ociekającym śliną sposobie pisania p. St. Strońskiego o Marszałku Piłsudskim, zadaję sobie następujące pytanie: Czy ten sam p. Stroński pisałby w ten sposób o Piłsudskim, gdyby wiedział, że to grozi porządną porcją oleju rycynowego. Tak się bowiem robi we Włoszech. I tam ludzie typu p. St. Strońskiego milczą i potulnie znoszą brutalny system Mussoliniego. Do walki z systemem Mussoliniego stanął zastęp ludzi innego, niż p. Stroński, autoramentu. Źródłem łobuzerskiego zuchwalstwa, w którym celuje p. St. Stroński, jest ten fakt, że Piłsudski dotąd stosował siłę tylko wobec wrogów zewnętrznych, w stosunku zaś do współobywateli zawsze pozostawał wielkim wychowawcą narodu, wiernym swemu zapewnieniu wygłoszonemu przy otwarciu Sejmu Ustawodawczego: „Śród olbrzymiej zawieruchy, w której miliony ludzi rozstrzyga sprawy jedynie

gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i uniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny: za pomocą praw ustanowionych przez wybrańców narodu".

W tych słowach brzmi echo naszych najpiękniejszych tradycji państwowych i są one wskazaniem kierunku, w którym musi pójść naród, jeżeli chce osiągnąć siłę i powagę w świecie nowożytnym.

To też z najwyższą pogardą należy traktować tych, którzy przez cały czas istnienia niepodległego państwa polskiego, na każdym kroku stwierdzają swem postępowaniem, że umieli być pójulnymi do służalstwa poddanymi państw zaborczych, lecz nie potrafili być obywatelami wolnej Polski i nakazać sobie należnego szacunku dla pierwszego najwyższego reprezentanta państwa i jego najzasłużeńszego twórcy.

POSŁOWI WITOSOWI MARSZAŁEK PIŁSUDSKI BYŁ „JUŻ NIE POTRZEBNY”

Jak się dowiadujemy z „Chłopskiego Sztandaru”, Witos w Tar-
nowie na zebraniu delegatów swego stronnictwa tak się wypowie-
dział o Piłsudskim w kwietniu 1925 r.

„Piłsudski już wygrał swą rolę i jak francuski minister Clemen-
ceau powinien zupełnie się wycofać ze życia politycznego. My mu
żadnej posady robić nie będziemy. Jego rola już się skończyła. Zrobił,
co miał zrobić i nam on już nie potrzebny”.

Dla ludzi, którzy znają Witosą, słowa te nie są niespodzianką.
Pokątnie Witos oddawna w ten sposób wypowiadał się o Piłsudskim.

Jest rzeczą ciekawą, iż właśnie chwilę dzisiejszą Witos uznał za
odpowiednią, aby powyższe słowa wypowiedzieć publicznie.

Postać Witosą w myślach każdego z nas kojarzy się z najpięk-
niejszym okresem odrodzonej państwowości polskiej.

Witos był prezesem Rządu Obrony Narodowej. To też o Wito-
sie chciałoby się mówić i pisać raczej rzeczy dobre, niż złe; wreszcie
chciałoby się o nim nie pisać wcale, gdyby to było możliwe... Można
jednak z niego nie drwić, gdy naraża się na śmieszność, lecz nie można
o nim milczeć, gdy się staje szkodliwym. Szkodliwy zaś bywa coraz
częściej; namiętna żądza władzy przytępiła właściwą mu bystrość
umysłu, pozbawiła go samoopanowania i uczyniła go niezdolnym do
sprawiedliwej oceny ludzi i do wyrobienia sobie przemyślanego, głąb-
szego sądu o najdórzalszych zagadnieniach naszego życia państwo-
wego.

Przytoczone powyżej słowa Witosą o Piłsudskim najwymowniej
świadczą o przytępieniu jego umysłu i pamięci i o jego płytkim, po-

wierzchołnym stosunku do wydarzeń współczesnej doby politycznej. Uwydatni to pewne przypomnienie historyczne.

5-go sierpnia 1920 roku przez ówczesny rząd została rozplakowana odezwa pod tytułem: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!” W odezwie tej czytamy:

„Polacy! Rząd polski, Rząd Obrony Narodowej, Rząd demokracji polskiej, Rząd chłopów i robotników, wzywa cały naród do walki w obronie ogniska domowego w obronie chaty chłopskiej, w obronie pracy i wolności obywatelskiej, wzywa do walki świętej w obronie wolności, niepodległości Ojczyzny! Naród zjednoczy się ze swoim żołnierzem, wojna narodowa zaczyna się u progu Warszawy”.

Pod odezwą tą widnieją podpisy: Witos, Daszyńskiego, Władysława Grabskiego, Rataja, Narutowicza i wszystkich pozostałych członków ówczesnej rady ministrów.

Słowa odezwy Rządu Obrony Narodowej znalazły oddźwięk w narodzie i przyczyniły się do zmobilizowania jego woli: naród odniósł wielokoporne zwycięstwo, przez które ustalił swoje granice państwowe i swoją pozycję wśród państw i narodów.

W późniejszej swej działalności Witos rozminął się z duchem i treścią tej odezwy. Jako prezes rządu tak zwanej większości polskiej doprowadził przy pomocy usługanych Żołzikiewiczów do krwawych zajęć w Tarnowie, Krakowie i Borysławiu.

Sprzeniewierzywszy się tej ideologii polityczno-społecznej, która święciła triumf w pamiętnym 1920 roku, Witos zmarnował najcenniejszy dorobek swego życia, który zawdzięcza lojalnej współpracy z Piłsudskim w czasie inwazji bolszewickiej.

Zabłąkany na pustyni bezidejowości, zaplątany w sieć własnych intryg, Witos pozwala sobie mówić dzisiaj o Piłsudskim, jako o człowieku, który „zrobił co miał zrobić i nam już nie potrzebny”.

Czy Witos zadał sobie pytanie, kto dzisiaj posiada dostateczny autorytet, kto ma prawo moralne przemówić do szerokich warstw narodu słowami wzmiankowanej powyżej odezwy z 5 sierpnia 1920 roku?!

Taki autorytet, takie prawo posiada dzisiaj jeden jedyny Piłsudski, który konsekwentnie zmierza do ugruntowania siły i żywotności państwa polskiego na samowiedzy politycznej mas ludowych i na ich przywiązaniu do własnego państwa.

W roku 1923 Piłsudski, odgraniczając się od ówczesnego rządu, powodował się nie tylko wstrętem moralnym do ludzi grudnia, lecz i tem najgłębszym przeświadczeniem, które wypływało z jego światopoglądu politycznego, a któremu dawał wyraz przez całe życie, że bez oparcia o masy chłopskie i robotnicze i bez ich zaufania żaden polityk nie może skutecznie pracować dla chwały i wielkości swego narodu.

Z tej wiary Piłsudskiego rodziły się jego czyny, które dały nam wolną i zjednoczoną Ojczyznę a Piłsudskiemu zapewniły miłość, uznanie i wdzięczność ludu: lud bowiem posiada instynkt wielkości, tęsknotę do czynów niezwykłych, do czynów na miarę dziejową, które przysparzają nowej świetności narodowemu sztandarowi.

„Świetnościami dawnych przodków świetny” sztandar narodu nie może ani na chwilę stracić swego uroku i swej siły atrakcyjnej dla masy narodowej. W szarem, ciężkim życiu rzesz ludowych blask i świetność sztandaru narodowego jest dla nich źródłem podniosłych przeżyć i wzruszeń. Najwyższa cześć i uznanie należy się temu, kto umiał naród natchnąć i poprowadzić do czynów wielkich i przez to uświetnić jego sztandar i zwiększyć jego urok i siłę przyciągającą.

Tych rzeczy Witos nie rozumie i dlatego też sprawa wyzyskania dla państwa wielkiego kapitału moralno-politycznego, który reprezentuje Piłsudski, jest dlań kwestją „wyrobienia posady” dla Twórcy Armii Polskiej i jej zwycięskiego Wodza. Dla Witosza bowiem polityka jest systemem sztuczek i sposobików, za pomocą których osiąga się „posady”, koncesje, zezwolenia wywozowe oraz różne korzyści materialne.

A zatem Piłsudskiemu Witos nie będzie robił „posady”, natomiast chętniejby odebrał „posadę” Władysławowi Grabskiemu.

Już drugi rok Wł. Grabski zajmował bez zezwolenia Witosza „posadę” prezesa Rady Ministrów”. Premier Grabski, cokolwiek można mu wytknąć w jego taktyce politycznej, obliczonej na ugłaskanie prawy—trzymał podówczas w swem ręku losy państwa. Postanowił sobie być niejako Naczelnym Wodzem w wojnie o finansowo-gospodarczą samodzielność Polski. Odpowiedzialni politycy sejmowi uważali sobie za obowiązek przeprowadzać rzeczową krytykę jego działalności i rzetelne informowanie go o tem, jak się w życiu społeczeństwa przełamują zarządzenia władz i czy osiągają zamierzony skutek.

A oto próbka stosunku Witos'a do Władysława Grabskiego. Premjer Grabski, wnosząc do Sejmu budżet na rok 1925, wygłasza czterogodzinne przemówienie, w którym poseł Chaciński znalazł przejaw wielkiego i twórczego optymizmu, a opozycyjny poseł Poniatowski nazwał to przemówienie doskonałym: „cechowała je zręczność, pogodny humor, dowcip w dialogu z jednej strony i powaga faktów z drugiej”.

Posel Witos zaś o tej mowie Grabskiego miał do powiedzenia tylko tyle: „Zle robi ten, kto podcina gałąź, na której się utrzymuje. Nawet najlepszy mówca nie powinien mówić za długo. Naraża się bowiem na niebezpieczeństwo mówienia zbyt wielu rzeczy”.

O innym zaś przemówieniu p. Grabskiego z tego samego okresu Witos wypowiedział taką „życzliwą” opinię: „Jeśli ktoś mówi pół godziny o zelówkach, to kiedy przyjdzie pora na całe buty?”

Te odezwania się Witos'a dają pojęcie o jego stosunku do Wł. Grabskiego. Grabski jest tolerowany do czasu, zanim „nie wygra swej roli”, a jak zrobi, co miał zrobić, to jako niepotrzebny odejdzie z zajmowanej „posady”.

Odszedł Piłsudski, odejdzie Grabski, a tylko niezastąpiony Witos pozostanie na widowni życia państwowego, gdyż właśnie jemu z racji jego dobrego apetytu przysługuje największe prawo do konsumowania tego, co zostało dokonane przez takich „przemijających” ludzi, jak Piłsudski i Wład. Grabski. Odpychający jest ten konsumpcyjny stosunek do Polski, jak gdyby Polska była jakąś Austrią!

Ten to stosunek zacieśnia i wynaturza Witosowi jego pogląd na zagadnienia życia państwowego do rozmiarów karykaturalnych, odbiera mu właściwą miarę w ocenie ludzi i spraw, pozbawia go poczucia istniejącego dystansu pomiędzy ludźmi oraz zrozumienia dla tej naturalnej hierarchii, o której tak jędrnie i dosadnie wyraził się Wyspiański: „Człek człękowi nie dorówna...”

Jeżeli Witos nie umiał uszanować samego siebie i swej chlubnej karty z roku 1920, to bynajmniej nie znaczy, że wolno mu pomniejszać zasługi, poniżać wszelkie autorytety i za pomocą intryg usuwać najzasłużeńszych ludzi od czynnej pracy dla państwa.

Siebie w ten sposób nie wywyższenie, lecz zdegradowanie do stopnia pospolitego warchoła, który w swej działalności politycznej kieruje się jedynie żądzą władzy, pychą i zawiścią.

DEMAGOGJA „FACHOWCÓW” — FACHOWĄ DEMAGOGJĄ

Demagogia „fachowców” staje się naprawdę fachową demagogią. Po pułkowniku A. Małyszce inny fachowiec a mianowicie generał E. de Hennig-Michaelis cytuje w „Warszawianie” opinię generała Falewicza o kampanji 1920 roku. Ta „fachowa” opinja tak brzmi:

„Kampanja ta, chociaż zakończyła się naszym zwycięstwem, była jednak klęską, a skutki jej materialne i moralne dotąd boleśnie odczuwamy, stąd też pierwszy wniosek; mamy przykład jak wojować nie należy”.

Znana jest od dawna tępa zarozumiałość różnego rodzaju fachowców bez talentu i charakteru.

Zwycięska wojna jest dla generała Falewicza, Michaelisa i pułkownika Małyszki „przykładem jak wojować nie należy”; na podstawie takiego twierdzenia narzuca się wniosek, że „należy” raczej fachowo wojnę przegrać niż ją nie fachowo wygrać.

Takie rozumowanie jest psychologicznie aż nadto zrozumiałe u „fachowców” z dawnej armji rosyjskiej. W wojnie światowej oni pierwsi zostali pokonani i pierzchli w nieładzie. Na pociechę zostaje im dzisiaj przekonanie, że zrobili to „fachowo”. Jest w tem wielka tragedia, przed którą należałoby w milczeniu skłonić głowę, lecz właśnie uczestnicy tej wielkiej tragedji robią z niej farsę, gdy się niczego sami nie zdołali nauczyć, a natomiast roszczą sobie prawo do wyniosłego nauczania innych i zwycięstwo nazywają klęską, jeżeli nie było fachowo odniesione, w ten sposób niejako rehabilitując siebie samych. Zresztą zdarzało się to i dawniej. W pracy marszałka F. Focha „Zasady sztuki wojennej” czytamy w rozdziale drugim:

„Podobny formalizm prowadził prostą drogą do pedanterji, słyszano przecież, jak generałowie austriaccy, pobici przez Bonapartego w roku 1796, ze zdziwieniem mówili: „przecież nie podobna zapominać tak o najelementarniejszych zasadach sztuki wojowania, jak ten Bonaparte”. Śmieszny był „formalizm” generałów austriackich, lecz o wiele bardziej śmieszną jest „fachowość” generała Falewicza i jego zwolenników.

Twierdzenie generała Falewicza jest śmieszne dla ludzi cokolwiek obeznanych z teorią wojny, lecz jest ono równocześnie wielce szkodliwe, zawiera bowiem w sobie pierwiastki wstrętnej, demoralizującej demagogii, obliczonej na dezorientowanie ludzi, którzy nie mieli czasu i sposobności zapoznania się z elementarnymi wiadomościami z zakresu wojny i wojska. W czasach dzisiejszych przeciętny obywatel musi, oprócz znajomości konstytucji swego państwa oraz znajomości swych obowiązków i praw obywatelskich, posiadać pewną sumę wiedzy z zakresu obrony państwa i prowadzenia wojny. Ta suma wiedzy może być mała, lecz nie może być żadną miarą fałszywą.

Przytoczone zaś twierdzenie gen. Falewicza jest zgoła fałszywe; wypływa ono z tępej zarozumiałości, lub oślepiającej nienawiści i prowadzi do jakichś demagogicznych celów.

Gen. Falewicz stawia czynnikom kierującym wojną cel nieosiągalny w żadnych dających się przewidzieć warunkach, a tymbardziej w warunkach 1920 roku, lub obecnych. Celem tym jest wygranie wojny bez strat materialnych i moralnych. Jest to potworna, cyniczna demagogia, schlebiająca lenistwu i niechęci do ofiar i uprawnia ona w czasie wojny wszystkich tchórzów, sobków i defetystów do załamywania rąk z powodu każdej straty i szerzenia w społeczeństwie popłochu. W odniesieniu zaś do kampanji 1920 roku podobne twierdzenie jest szczytem niesprawiedliwości w stosunku do naszego Naczelnego Dowództwa. Jako cywil i dyletant muszę się w tem miejscu schować za autorytet F. Focha. W świetle słów marszałka Focha przypatrzmy się naszej kampanji 1920 roku. „Wojna współczesna — pisze Foch — aby osiągnąć swój cel, t. j. narzucić swą wolę przeciwnikowi, uznaje tylko jeden środek: zniszczenie zorganizowanych sił przeciwnika. Zniszczenie takie stara się uzyskać, przygotować przy pomocy bitwy, prowadzącej do złamania przeciw-

nika, zdeorganizowania jego dowództwa, karności, węzłów faktycznych oraz oddziałów jako sił zorganizowanych". Czy w roku 1920 nasze Naczelne dowództwo „zniszczyło zorganizowane siły przeciwnika”, czy „zdeorganizowało jego dowództwo?”

Na pytanie to chcę odpowiedzieć słowami fachowego oficera rosyjskiego J. Daniłowa, który odbył kampanię 1920 roku w armii bolszewickiej i opisał ją w swych wspomnieniach, drukowanych w 14 tomie wydawnictwa: „Archiwum rewolucji rosyjskiej”. Oto są słowa Daniłowa: „Polacy zajęli Lidę i Baranowicze i posunęli się w kierunku Mińska, zniszczywszy tutaj 16 armję, która jeszcze nie zdążyła zorganizować się po sierpniowej klęsce. Tutaj popłoch był tak wielki, że wszystkie władze sowieckie razem z dowództwem wojskowem uciekły z Mińska bez jakiegokolwiek nacisku. W ten sposób w ciągu 4 dni w Mińsku nie było żadnej władzy. Polacy zatrzymali się w odległości 16-tu wiorst od Mińska i dalej się nie posuwali.

„Przekonawszy się że Polacy nie mają zamiaru zajmować Mińska, władze bolszewickie powróciły do tego miasta.

„Na południe od Pińska stała 13 armja, zajmująca rejon Pińsk — Sarny — Jeziorany. Tutaj kończył się front zachodni i zaczynał się południowy, którego sztab znajdował się w Kijowie. Tutaj Polacy także prowadzili ofensywę jednocześnie z natarciem na Pińsk. Z łatwością odrzuciwszy zdemoralizowane oddziały czerwonych, uciekające na samą wieść o ofensywie Polaków, zajęli te punkty, lecz dalej się nie posuwali.

To była druga ostateczna katastrofa dla całego zachodniego bolszewickiego frontu. Nie wiem jaka sytuacja była na południowym froncie, lecz zachodni w rzeczywistości nie istniał. Ja, jako naoczny świadek tego wszystkiego pozostający w bliskim stosunku do sztabu, znając istotny stan rzeczy, mniemałem, że Polacy pójdą tryumfalnym pochodem do Moskwy, ponieważ w tym kierunku nie spotkaliby żadnego oporu. Wszystko co ocalało po pierwszym uderzeniu, zginęło w czasie drugiego. Nie było ani artylerji, ani pocisków, uzupełnienia w ludziach znajdowały się w głębi Rosji i dowieść je było rzeczą niezwykle trudną z powodu rozstroju środków transportowych. Nadchodziły jesienne chłody i śloty a armja czerwona nie miała nietylko ciepłej, lecz wogóle żadnej odzieży. Jak wspomniałem powyżej, ostat-

nie zapasy intendenty, olbrzymie składy w Wiazmie, spaliły się, aprowizacja się kończyła: oddziałom tyłowym zredukowali porcję chleba z dwufuntowej na jednofuntową, a wszak na froncie chleb był jedyną strawą, ponieważ o mięsie nie było mowy, a ostatnimi czasy zaprzestano wydawać także śledzie. W oddziałach znajdujących się na tyłach, które ocalały od pogromu, rozpoczęła się demoralizacja, której nie mogły zapobiec ani agitacja ani teror.. Panika ogarnęła wszystkich, nie wyłączając komunistów. Pomiedzy żołnierzami czerwonej armii toczyły się rozmowy, że wojna jest niepotrzebna i powinna być zakończona tak, jak niemiecka.

„Zdawało się, że władza sowiecka pozostaje bez wyjścia, lecz Polacy nie posuwali się naprzód, aż nieoczekiwanie, w co nikt nie chciał wierzyć... zawarli rozejm, za którym nastąpił pokój”.

Tak opisuje Daniłow stan armii bolszewickiej po klęsce zadanej im nad Wisłą i nad Niemnem. Opis Daniłowa daje nam pojęcie, jak doskonale było „zniszczenie zorganizowanych sił przeciwnika”, co podług Focha, jest głównym celem współczesnej wojny. Ten cel znakomicie osiągnął nasz Naczelny Wódz, stwarzając jaknajbardziej sprzyjające warunki do zawarcia korzystnego pokoju. Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, czy ówczesny rząd w pełni wykorzystał te warunki, czy świetne sukcesy oręża polskiego były ściśle podsumowane w Traktacie Ryskim. Natomiast samo przez się w związku ze słowami gen. Falewicza, narzuca się pytanie czy można było takie decydujące zwycięstwo nad bolszewikami odnieść nie w głębi kraju, lecz gdzie na Kresach, na przykład na linii okopów niemieckich? Każdy, kto się spokojnie i beznamietnie zastanawiał nad tem zagadnieniem musi przyznać, że na linii okopów niemieckich można było armję bolszewicką zatrzymać, lecz nie można było jej tam zniszczyć. Samo zaś zatrzymanie ofensywy bolszewickiej nie zbliżało nas do upragnionego pokoju.

Na olbrzymich przestrzeniach państwa sowietów armja czerwona mogłaby się ratować od zniszczenia cofaniem wgląd Rosji i ze swej strony ustawicznie nam grozić przejściem do ofensywy. My zaś nie mogąc się odrywać bez wielkiego ryzyka od swej podstawy operacyjnej, bylibyśmy skazani na wojnę na wyczerpanie.

W wojnie na wyczerpanie, w wojnie przewlekłej i nużącej nasze straty materialne i moralne byłyby bezwarunkowo jeszcze większe,

a zwycięstwo nie byłoby ani tak szybkie ani tak radykalnie rozstrzygające losy wojny na naszą korzyść, jak to miało miejsce w tej rzeczywistości, którą gen. Falewicz nazywa klęską. To też trzeba spekulować na głupotę czytelników, aby negować tę oczywistą prawdę.

Stoimy wobec takiego bezspornego faktu: Naczelný Wódz przy pomocy moralnie zmobilizowanego narodu odniósł wielkie zwycięstwo, przez które Polska stała się w szeregu państw najbardziej zasłużonych dla cywilizacji, a tymczasem zjawiają się w pięć lat potem historycznym wydarzeniu wykołajeni „fachowcy” i usiłują wmówić w społeczeństwo „dla pokrzepienia serc”, że nasze zwycięstwo 1920 roku nie było zwycięstwem, lecz klęską.

Opętani nienawiścią do Piłsudskiego beczelnie okradają cały naród z jego sławy i tytułu do wielkości i z dziką brutalnością wyrwują najchlubniejszą kartę z dziejów odrodzonego Państwa Polskiego.

Zaprawdę, że tego rodzaju fachowcy, nie warci są tego zaszczytu i sławy, które spadają na nich z racji przynależności do armii polskiej, natomiast słusznie należy im się godny udział w „fachowych zwycięstwach” Denikina, Kołczaka i Wrangla.

SPRAWA SZEPTYCKIEGO I PROBLEM DOBORU LUDZI W ŻYCIU PAŃSTWA

Najbardziej istotną przyczyną różnych niedomagań naszego życia państwowego jest to, że większość ludzi rządzonych w Polsce otrzymała wolną Ojczyznę „darmo”, a olbrzymi zastęp ludzi rządzących, a mianowicie rdzeń biurokracji naszej, był wychowany przez państwa zaborcze dla ich własnych celów, został psychicznie nastawiony na karierę służbową w obrębie tych państw i po dziś dzień nie wyzwolił się z pod wpływów obcych systemów państwowych.

Dla wielu bardzo wielu wojskowych i urzędników, którzy przez długie lata przyzwyczaili się myśleć o swej karierze służbowej w ramach państw zaborczych, powstanie Państwa Polskiego było przykrą niespodzianką; przykrą, ponieważ zmuszało ich do niezwyklej dla nich roli: służyć Rzeczypospolitej Polskiej, która powstała z walki z temi ustrojami monarchicznymi, którym oni ślubowali wierność.

W atmosferze zapалу patriotycznego przy znacznym wysiłku ducha i woli mogłoby nastąpić moralne przeistoczenie się tych ludzi w kierunku sprostania nowym zadaniom, do jakich wzywa Ojczyzna, wskrzeszona do samodzielnego bytu państwowego.

Tego zapалу, tej pracy ducha i woli nie było. Na ciele odbudowanego Państwa Polskiego rozpanoszył się gatunek wykolejonych funkcjonariuszów wojskowych i cywilnych, odziedziczonych po państwach zaborczych.

Ludzie ci nie wierzą w Polskę i nie posiadają ambicji narodowej. Urzędowanie swe pojmują nie jako czynność pomnażającą siłę państwa i jego dobra moralne i materialne, lecz jako zajmowanie „posadki”, dającej możliwość życia i sposobność do różnych „dochodów”.

Nieliczne wyjątki urzędników, ożywionych patriotyczną ambicją doskonalenia powierzonego sobie zakresu pracy urzędowej, raczej potwierdzają regułę, niż jej przeczą.

Stąd płynie ten nieład i nierząd, charakteryzujący nasze stosunki administracyjne, które zrażają ludność do władz polskich i do państwa.

Trzeba jednak rozróżnić dwie wielkie dziedziny życia państwowego: dziedzinę wojskową i dziedzinę urzędniczą.

Na czele wojska stanął Józef Piłsudski i poświęcił mu przeważającą część swej pracy, uwagi i swego czasu. Za jego sprawą w wojsku systematycznie odbywa się proces wartościowania ludzi w kierunku doboru dodatniego.

Postępowanie Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza w stosunku do całego zastępu wojskowych, którzy się zgłosili do służby w armii polskiej, da się sformułować w ten sposób:

„Zapomina się wam wasza przeszłość i Wasze orientacje polityczne; od tej chwili jesteście żołnierzami wolnej Polski; niechaj każdy z Was wykaże, co chce i umie zrobić dla własnej Ojczyzny, znajdując się w potrzebie”.

Zgodnie z tą zasadą Piłsudski przebaczył wszystkim swoim przeciwnikom ich błąkania się po manowcach ugody, przebaczył zarówno gen. Szeptyckiemu, jak gen. Sikorskiemu ich nieprzyjazny stosunek do prowadzonej przez siebie akcji niepodległościowej i dał im możliwość przez służbę dla Polski odrobić własne błędy, wynikłe z ich podporządkowania się aż do granic serwilizmu dla „austriackiej racji stanu”.

W myśl tej zasady odbywała się i odbywa po dziś dzień selekcja w korpusie oficerskim armii polskiej.

W procesie tego doboru odpadli ludzie wykolejeni i zmęczeni, którym brakło sił do pracy w zupełnie nowych, nieznanych im warunkach; następnie zostali na właściwe miejsce postawieni politykujący i intrygujący generałowie, którzy przy swem nierozgarnięciu politycznym pozwolili się wygrywać politykom pravicowym przeciwko Piłsudskiemu; wreszcie postępowanie selekcji odrzuca tych wojskowych, którzy nie zadali sobie trudu, aby się dopasować myślą i wolą do tych

wymagań, jakie oficerom polskim stawia nasza wyjątkowa rzeczywistość państwowa: przy szczupłym uposażeniu wyteżona, bezprzykładnie ciężka praca nad przygotowaniem kraju do obrony jego całości terytorjalnej.

Piłsudski więc stworzył warunki, które nikogo z pośród oficerów różnych formacji nie wykluczały od szlachetnego współzawodnictwa w gorliwej, ofiarnej i umiejętnej służbie dla Polski. Lecz gdy takie współzawodnictwo się wytworzyło, najwięcej szans do wybicia się posiadali oficerowie tej formacji, do której odnoszą się słowa historyka Władysława Smoleńskiego:

„Wielkim krzykiem: „Jestem!” były legjony, które wkroczyły do zaboru rosyjskiego jako jednostka bojowa polska z hasłem niepodległości. W legjonach zamknęła się zbiorowa dusza polska, zbuntowana przeciwko niewoli, zrywająca się do zerwania jej pęt. Hasło legjonów, poparte wymową czynu, dało świadectwo żywotności narodu. Myśl legjonowa, wyrosła z gruntu tradycji i potrzeb narodowych, ogarnęła wszystkie zabory i przeniknęła ogół serc polskich”.

Dla zilustrowania tego, jaką moralną przewagę posiadali oficerowie legjonowi nad najlepszymi nawet oficerami z armji zaborczych, niechaj posłuży następujący fakt.

Ministrem wojny w gabinecie obrony narodowej w krytyczne miesiące 1920 roku, gdy byt państwa naszego zawisł na włosku, był generał Józef Leśniewski, człowiek zacny, prawy, osobiście mężny, najzupełniej obcy wszelkim intrygom i generalskim frondom. Ten to generał Leśniewski zarażony paniką, wydał zarządzenie ewakuacji ministerjum wojny z Warszawy. Zarządzeniu temu oparł się wiceminister Kazimierz Sosnkowski, oparł się w sposób stanowczy i nieodwołalny, oznajmiając, że nie opuści Warszawy, że raczej zginie pod gruzami „Pałacu pod blachą” lub w walce na ulicach miasta w wypadku, gdy armje nie powstrzymają najścia bolszewickiego przed Warszawą.

Takie było stanowisko generała, który wyrósł w atmosferze niepodległościowych wysiłków i dążeń, który miał odczucie ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej. W wyniku tej dzielnej postawy generała K. Sosnkowskiego minister J. Leśniewski ustąpił ze swego stanowiska i stanowisko to zajął „zbuntowany” gen. Sosnkowski,

chlubnie zapisując się swoją działalnością w dziejach naszego zwycięstwa nad Moskwą bolszewicką.

Na zachowaniu się gen. Leśniewskiego w owe tragiczne dni odbił się brak moralnego kontaktu pomiędzy nim a społeczeństwem, co nie było może jego winą, lecz raczej jego tragedją. Taką tragedję obcości we własnem społeczeństwie, tragedję „synów marnotrawnych” musieli przeżywać ci szlachetni rodacy, którzy służyli jako zawodowi oficerowie w armjach państw zaborczych, gdy się zgłosili do wojska polskiego dopiero po upadku tych państw. Lecz właśnie w tem się wyraziła ich szlachetność i moralna wartość, że w skupieniu i powadze, bez szmeru niechęci i bez intryg pracowali nad tem, aby się dobrze zasłużyć wyjarzmionej Ojczyźnie. Znamy dziś dobrze ich imiona i ich zasługi.

Zdawało się, że gen. Szeptycki znajdzie się w ich liczbie. Miał poparcie i obronę ze strony Józefa Piłsudskiego, gdy jego dzisiejsi obrońcy targnęli się na jego honor i podawali w wątpliwość jego patriotyzm polski.

Widział następnie na własne oczy, jak pewne koła polityczne, podrywały autorytet Naczelnego Wodza i szarpały jego nerwy wówczas gdy dźwigał na swych barkach losy wojny, a co za tem idzie, losy państwa.

Czy dobrze to świadczy o charakterze Szeptyckiego, o jego rycerskości, gdy popełnił to, o czem nadmieniam w swem liście: „Odkąd wbrew mojej woli zmuszony okolicznościami przyjąłem na się ciężki obowiązek zostania ministrem spraw wojskowych w czerwcu 1923 roku”...

A więc Szeptycki („wbrew swojej woli”) uważał za możliwe pójść na ministra do rządu tworzonego przez te ugrupowania polityczne, które z walki z Piłsudskim, prowadzonej nikczemnymi środkami, uczyniły naczelne dążenie swej polityki!

Czy inteligencja gen. Szeptyckiego mogła mu do tego stopnia nie dopisać, aby przestał rozumieć, że słusność jest po stronie Piłsudskiego, a nie po stronie jego wrogów? A więc dlaczego znalazł się nie po stronie słusności, a po stronie fałszu i szachrajstwa politycznego?

Dlatego, że w decydującej chwili zabrakło mu charakteru i należytej postawy moralnej. Tylko ujmę przynosząc mu jego własne sło-

wa, że stało się to „wbrew jego woli”. Jest bowiem mężem dojrzałym, a nie młokosem, musi mieć własną wolę, a własna wola powinna była odwieść go od tego kroku, który był nie tylko — powiedzmy delikatnie — błędem politycznym, lecz rzeczą moralnie szpetną, ponieważ potargał więzy lojalności, jaką był winien Szeptycki swemu Naczelnemu Wodzowi.

— To też złożenie munduru przez gen. Szeptyckiego nie jest niczem innym, jak dalszą selekcją korpusu oficerskiego w pożądanym kierunku.

Lecz gdy na odcinku wojskowym notujemy te pomyślne fakty, które zawdzięczamy planowej działalności Piłsudskiego, jakże odmiennie stosunki obserwujemy na odcinku biurokracji!

Niech mi wolno będzie przytoczyć w tem miejscu słowa, pochodzące od przedstawiciela tych kół politycznych, które obecnie z taką gorliwością wzięły w obronę generałów austriackiego autoramentu:

„Razem wszakże z polakami z Galicji weszła w naszą organizację państwową falanga austriaków, wśród nich wielu takich, którzy dlatego tylko zostali obywatelami polskimi, że Austria przestała dawać chleb i karierę. Oni lepiejby się czuli w Wiedniu, tylko ich tam nie chcą. Ci traktują Polskę jedynie jak pastwisko, tak się czują i tak się zachowują, jak na służbie w obcym państwie. Tylko Polsce gorzej o wiele służą niż Austrii, bo się mniej boją. Jest to żywioł, który już dawno przestał rozumieć, co to ojczyzna, bo ojczyzny nie miał, miał Austrię, która dla nikogo ojczyzną nie była. To żywioł moralnie i politycznie bardzo niebezpieczny, i dopóki nie będzie w cień zepchnięty, państwo polskie na pewnych podwalinach nie stoi. A zepchnąć go nie łatwo, bo zajął wiele stanowisk i związany między sobą austrijackością, stara się je dalej opanować, a innych wypierać. Kierownicy naszej maszyny państwowej winni baczną uwagę na to zwrócić: lepszy często nieco mniej fachowy urzędnik, którzy służy Polsce nie tylko dla tego, że mu płacą, że go czekają awanse lub że, jak to się czasem zdarza, ma pole do nielegalnych zysków.

„Trup austriacki, który, choć pokrajany, jeszcze się całkiem nie rozłożył, dotychczas zaraża nasze życie polityczne jadem cynizmu, dostarcza nam ludzi, którzy w głębi duszy uważają przywiązanie do

ojczyzny, poczucie obowiązku względem niej, poświęcenie dla niej za wyraz naiwności, za przeżytek dawnych, pierwotniejszych czasów.

„Zrośli z państwem, które ojczyzną nie było, zatracili jej pojęcie, a ponieważ za jego granice nie wyglądali, są przekonani, że głębszy stosunek moralny do ojczyzny nie istnieje nigdzie”.

Słowa te napisał właśnie p. Roman Dmowski. Słuszność ich byłaby jeszcze większą, gdyby z nich powstały czyny, których się domaga dobro Polski.

Skonstatować zło i skapitulować przed niem, zaiste godne jest to polityka, który miał dużo do powiedzenia w Dumie petersburskiej, a natomiast nic nie miał do powiedzenia w Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej, Pan Dmowski posiada świadomość tego spustoszenia moralnego, jakie szerzą w państwie ludzie, „którzy się czują polakami, ale którzy dlatego, że wyszli ze szkoły austriackiej, całą swoją działalność opierają na teorii, że ludźmi można rządzić tylko korupcją albo terorem”.

Niestety świadomość ta nie przechodzi w akcję. Gdy zaś Piłsudski odnośną akcję prowadzi w wojsku, nazywa się to przez tego samego p. Dmowskiego rzucaniem „piasku w maszynę” (Gazeta W. P. z 12 lutego 1926 r.). A tymczasem nasze życie państwowe będzie skazane na chroniczną niemoc i rozstrój, dopóki zbiorowym wysiłkiem wszystkich odpowiedzialnych czynników w państwie nie stworzymy klasy urzędniczej, ożywionej partjotyzmem, posiadającej ambicję służenia państwu, a nie tylko życia z państwa.

DWIE DECYZJE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Józef Piłsudski jest jednym z tych nielicznych mężów stanu w dziejach powszechnych, którzy posiadali sztukę nie tylko oprowadzania gotowych, lecz stwarzania nowych sytuacji polityczno-społecznych.

Zbliża się on do wartkiego prądu wydarzeń i mocną dłońą chwyta siłę tego prądu i kierowuje ją na młyn polskiej racji stanu. Robi zaś to właściwym sobie zdecydowanym, śmiałym i pewnym ruchem.

Z decyzji Piłsudskiego rodzą się jego czyny, a każdą jego decyzję poprzedza długa, męcząca praca ducha, wielki wysiłek myśli.

Dwie są najdonioślejsze decyzje w życiu Józefa Piłsudskiego: jedna z sierpnia 1914 roku, a druga z maja 1926 r.

W sierpniu 1914 roku J. Piłsudski na własną rękę rozpoczyna wojnę o Polskę; rozpoczyna ją wbrew olbrzymiej większości narodu, wbrew dziewięciu dziesiątym społeczeństwa polskiego.

W rozkazie z dnia 22 sierpnia 1914 r. Piłsudski tak charakteryzuje ówczesny moment dziejowy: „Żołnierze! Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez możliwości jednolitego i silnego postępowania.

Koniecznem jest, aby najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli na swoje barki odpowiedzialność i inicjatywę rzucenia iskry na proch.

Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki Narodu Polskiego o niepodległość Ojczyzny”.

Do rozpoczętej przez siebie walki zbrojnej Piłsudski powołał najśmielszych, najdzielniejszych i najofiarniejszych w narodzie. Zabierał

synów matkom, mężów żonom, ojców dzieciom i rzucał ich w bój krwawy, w którym znajdowali częstokroć śmierć lub kalectwo.

Któż inny byłby w stanie udźwignąć tak wielką odpowiedzialność, jak ta, którą wziął na swoje barki Piłsudski w sierpniu 1914 r., kiedy to nie tylko swoje własne życie stawiał na kartę, lecz życie tysięcy najszlachetniejszych synów narodu!

Ażeby pod ciężarem tak wielkiej odpowiedzialności nie załamać się i nie upaść, trzeba było zawrzeć w swej piersi ducha dziejów swego narodu, trzeba było czuć, jak Mickiewicz, gdy mówił: „Objąłem w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia”.

Piłsudski się nie załamał i nie upadł, odpowiedzialności wziętej na siebie podołał, tysiące trudności i przeszkód, stawianych mu przez wrogów i własne społeczeństwo, przezwyciężył, stworzył siłę zbrojną, która w jego rękę stała się dźwignią do poruszenia z martwego punktu sprawy polskiej i zapewnienia jej triumfu.

To, co dla wielu, bardzo wielu było spornem, a nawet szalonym w działalności Piłsudskiego w roku 1914, stało się bezspornem, przewidującym i mądrym w roku 1918, a w lutym 1919 roku Piłsudski w uznaniu zasług dla wyzwolenia Ojczyzny położonych, zostaje jednomyślną uchwałą Sejmu Ustawodawczego wyniesiony na stanowisko Naczelnika Państwa.

Smiała decyzja Piłsudskiego z sierpnia 1914 roku została w ten sposób przez cały naród uznana za akt wielkiej mądrości i przenikliwości politycznej.

12 maja 1926 r. Marszałek Józef Piłsudski postanowił przez zbrojne wystąpienie położyć kres tym praktykom politycznym i tym metodom rządzenia państwem, które znieprawiały i rozstrajały nasze życie państwowe i naród prowadziły do spodlenia.

Ta decyzja Piłsudskiego długo dojrzewała w jego duszy, z trudem wielkim pokonywała piętrzące się skrupuły, przedzierała się przez osaczające go wątpliwości, czy wystąpienie zbrojne jest niezawodnym i jedynym sposobem ratowania państwa przed upadkiem, a narodu przed upodleniem.

Twierdząc to na podstawie następującego wspomnienia: pamiętam jedną nocną rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim w Belwederze w tym czasie, kiedy to Sejm Ustawodawczy pozwalał sobie na roz-

maite psoty w stosunku do Piłsudskiego, a zwłaszcza w stosunku do jego akcji połączenia Wileńszczyzny z Polską. Oto jest zasadniczy sens tego, co słyszałem wówczas z ust Naczelnika Piłsudskiego:

„Z różnych stron namawiają mnie na dyktaturę i na rozpędzenie Sejmu. Sejm pracuje źle; nie rozumie swej roli i swego powołania; swymi praktykami utrwała najgorsze wzory parlamentaryzmu. Na nic innego nie zasługuje, jak tylko na rozpędzenie. Gdybym wiedział, że mam przed sobą długie życie, że starczy mi czasu na to, aby uporządkować i zakończyć to, co bym rozpoczął przez akt rozpędzenia Sejmu, to jutro mielibyście przed Sejmem oddział szwoleżerów, którego dowódca wycofałby od posłów legitymacje poselskie.

Tego nie zrobię, bo nie mam pewności, czy starczy mi życia na uporządkowanie stosunków w państwie, a gdybym ja złamał prawo, otworzyłbym drogę różnym awanturnikom do zamachów i przewrotów. Jest to moją dumą, moim klejnotem moralnym, że ja tworzyłem w Polsce prawo lub stwarzałem dla narodu warunki, w których mógł on swobodnie rozwijać własną twórczość ustawodawczą, lecz sam nigdy prawa nie łamałem”.

Tak pojmując swoją rolę, Piłsudski z całą konsekwencją stosował następującą zasadę: wroga zewnętrznego należy pokonać, własne społeczeństwo trzeba przekonać.

Zaczynając od swego przemówienia w sali Malinowej, a kończąc na wypowiedzeniu swego poglądu na ostatnie przesilenie rządowe w „Kurjerze Porannym” z dnia 11 maja, Piłsudski przekonywał, nauczał, perswadował, piętnował i gromił. Niestety, ani jego słowa, ani przykład nie działały na nikczemnych, spódlących w niewoli współobywateli, wyzutych z ambicji narodowej i uczuć patriotycznych.

**

Pomimo ostrzeżeń Piłsudskiego do władzy dorwali się awanturnicy, aferzyści i karjerowicze, a w najlepszym razie ludzie nijacy.

Wodzem ich w wyprawie po władzę był Wincenty Witos, niegodny łgarz i krętacz, człowiek bez religii i bez filozofii, niezdolny nic czcić i niczemu służyć; jedyną podniętą jego działania jest apetyt na władzę, ponieważ władza „opłaca się”.

W dniach złowrogiego przesilenia mocno podпиты krążył wielkimi krokami po kuluarach sejmowych, żywo przypominając swemi

ruchami i wyglądem handlarza świń w dzień pomyślnego jarmarku po szeregu wypitych litkupów.

W takim stanie zgłaszał się do Prezydenta Wojciechowskiego i za trzecim razem otrzymał, czy też wymusił od niego nominację na prezesa rządu Rzeczypospolitej.

Ten to rząd Witośowy, obdarty z wszelkiej powagi moralnej, targnął się z miejsca na zgwałcenie konstytucyjnie zagwarantowanej swobody słowa: skonfiskował wywiad z Piłsudskim, zamieszczony w „Kurjerze Porannym”. Rząd Witosy w swym bezrozumie uznał za możliwe odmówić prawa przemawiania do społeczeństwa i wygłaszania swych opinii w kwestjach polityki państwowej: komu?

Pierwszemu Naczelnikowi Odbudowanego Państwa, Zwycięskiemu Wodzowi, jednemu obywatelowi, którego Sejm wyróżnił uchwałą, że się zasłużył Ojczyźnie!

Była to ze strony tego haniebnego rządu zapowiedź dzikiego teroru, bezmyślnych szykan i brutalnych represyj, które z całą pewnością doprowadziłyby do przewlekłej wojny domowej pomiędzy reakcją a obozem demokratycznym.

Wobec takiego stanu rzeczy przed Piłsudskim zarysował się dylemat:

Co ważniejsze z punktu widzenia pomyślności i wielkości narodu: bierna uległość dla tego, co się po łacinie nazywa *lex*, lub *jus*, czy też czynna walka o dobro, o pożytek, o zbawienie Ojczyzny w myśl zasady „*Salus Reipublicae — suprema lex*”, chociażby trzeba było przy tej sposobności zignorować legalizm?!

Ten sam duch dziejów narodu, który natchnął Piłsudskiego w sierpniu 1914 roku decyzją rozpoczęcia walki zbrojnej o Polskę, sprawił w maju 1926 roku, że Piłsudski odnalazł w sobie siłę moralną dla przezwyciężenia wszystkich skrupułów i wątpliwości i zdecydował się na zbrojną interwencję w imię walki z prywatą, korupcją i nieprawością, które prowadziły do upadku wyzwoloną Ojczyznę.

Była to druga wielka decyzja Piłsudskiego. Wszyscy, którzy wierzą, a wierząc, szczerze i gorliwie pracują w duchu wskazań Piłsudskiego, przekonają się niebawem, że z tej drugiej jego decyzji naród zbierze równie obfite plony, jak te, które zbierał z czynu zbrojnego, zainicjowanego w sierpniu 1914 roku.

„SIŁA POWINNA MIEĆ DUSZĘ!”

(Henryk Sienkiewicz)

W skonfiskowanym przez rząd Witosowy wywiadzie z Piłsudskim czytaliśmy takie końcowe oświadczenie Marszałka J. Piłsudskiego:

„I staję do walki, tak jak i poprzednio, z głównym złem Państwa, — panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiljach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”.

(„Imponderabilja” to znaczy w fizyce: „materje nie dające się zważyć”, w przenośni: wartości i wpływy, które współdziałają w rozwoju życia, których jednak niepodobna materjalnie określić i odważyć).

Zastanawiając się nad powyższemi słowy Piłsudskiego, przypomniałem sobie niezmiernie trafny i głęboki sąd Henryka Sienkiewicza o Bismarku. Sąd ten zasługuje na przypomnienie w tej swojej części, którą uczynił dzisiaj aktualną Piłsudski przez wysunięcie na należne miejsce tych pierwiastków moralnych, których ignorowanie Sienkiewicz wytknął Bismarkowi.

Otuchą napęlić nas winna istniejąca przeciwstawność pomiędzy Piłsudskim a Bismarkiem. Do uświadomienia sobie tej przeciwstawności najlepiej przyczynią się słowa Sienkiewicza:

„Gmach, który (Bismark)) wznosił — pisze Sienkiewicz — był misterny, a jednocześnie wzniesiony jakby z cyklopowych głazów. W każdym jego czynie znać było rękę nieporównanie zręczną i zarazem ogromną. Czcieli siły — wytworzył siłę. Dzieła dokonał. Wykuł jedność niemiecką młotem, którym nie wahał się uderzać w razie potrzeby i w niemieckie głowy. Imię jego połączyło się z przełomową dla Niemiec epoką. Nic więc dziwnego, że dla Nie-

miec jest i pozostanie czemś w rodzaju Thora z Walhalli, wciele-
niem niemieckiej sławy, posągami siły.

„Lecz i z tego samego źródła, z którego płynęły jego przymioty,
wypłynęły i braki. Praktyczny polityk zabił w nim wielkiego czło-
wieka. Ten czciciel i twórca siły był zarazem poniekąd jej filistrem.
Im wierniej powodzenie szło w jego ślady, im praktyczne dzieło
stawało się większem, tem Bismark mniej był zdolny zrozumieć, że
siła powinna mieć duszę, i to duszę wysoką i moralną. Nie pomy-
ślał, że w razie przeciwnym stworzona przezeń potęga stanie się
tylko zaporą cywilizacji i rozwoju samych Niemiec, czyli rodzajem
skały, leżącej w wszechmorzu życia i tamującej prądy tegoż życia.”
A dalej: „Państwo ma prawo dążyć do potęgi, ale musi poczuwać
się do obowiązków wszechludzkich. Tymczasem, tam właśnie, gdzie
poczynają się te obowiązki, kończył się genjusz Bismarka. Ten
czciciel Thora nie umiał być dosyć sługą przewodnich moralnych
praw ludzkości.”

Kończy zaś swoją opinię Sienkiewicz: „Czuje to czoło społecz-
ności niemieckiej i przy całym podziwie, jaki ma dla Bismarka, za-
równo instynkt ochronny, jak świadomość wysokich przeznaczeń
mówi jej, że zjednoczenie mogło być wprawdzie dziełem rąk tego
człowieka, ale Niemcy w przyszłości nie mogą żyć jego duszą. Wieki
chrześcijańskiej kultury, niemniej jak zdrowy rozum, mówią głośnie-
j od bałwochwalców warcińskich, że ta kultura, którą żyje ludzkość
od dwóch tysięcy lat, jest nawet — pozytywnie biorąc — siłą więk-
szą i bardziej nieprzepartą od bagnatów i że hetmanem nieprze-
liczonych zastępów winna być sprawiedliwość”.

Z jaką satysfakcją moralną czyta się dzisiaj powyższe słowa
Sienkiewicza! Minęło z górą trzydzieści lat od czasu gdy zostały
one napisane.

Polska przestała być przedmiotem wydarzeń politycznych,
a stała się ich podmiotem, a przynajmniej jednym z podmiotów.

Jesteśmy panami własnego losu. Od nas samych, od naszej
siły i zwartości wewnętrznej zależy nasze miejsce w rodzinie sa-
modzielnich narodów.

Mamy męża stanu o myśli przenikliwej i woli potężnej, z któ-

rego imieniem związany jest triumf sprawy polskiej i zwycięstwa oręża polskiego.

Posiada on Bismarkowską zręczność, praktyczność oraz jego umiejętność tworzenia siły i posługiwania się nią dla swych celów.

Lecz gdzie się zaczynają wady Bismarka, tam właśnie wykwita swoista — powiedziałbym — bezprzykładna wielkość Piłsudskiego.

Piłsudski czi siłę, lecz siłę uduchowioną, tworzy siłę, lecz oddaje ją wyłącznie na służbę wielkim i wzniosłym idejom.

Liczenie się z takimi imponderabiljami, jak sprawiedliwość, miłość, poczucie godności i honoru, jak utajona gdzieś w głębi duszy ludzkiej tęsknota do piękna, prawdy i bohaterstwa — jest tą właściwością Piłsudskiego, która zeń czyni wielkiego wychowawcę narodu. Piłsudski rozumie doskonale, że „nagość, głód, braki wszelkiego rodzaju, nawet śmierć znosili ludzie radośnie, jeśli serce ich było w odpowiednim nastroju” i dlatego serca współobywateli stara się nastroić na ton podniosły i bohaterski.

Od żołnierzy wymaga dla siebie nie ślepego posłuszeństwa, lecz przede wszystkim miłości, a przynajmniej szacunku. I nie tyle wymaga tego, ile całym swym zachowaniem się stara się zasłużyć u nich na miłość i szacunek. Przemawia zaś do nich jako do swych braci i kolegów. Rozumie doskonale, że mechaniczna karność i bezduszna dyscyplina nie dają wystarczającej gwarancji zwycięstwa i dla tego sięga do duszy żołnierza i swoją czarodziejską sztuką wyzwala z niej i potęguje te „imponderabilja”, które w jego ręku stają się siłą realną do tworzenia faktów historycznych.

*
*
*

Nazwał się demokratą i służył sprawie demokracji, ponieważ wierzył, że ustrój demokratyczny najbardziej sprzyja takim „imponderabiljom”, jak rozwój poczucia godności ludzkiej i dążenie do sprawiedliwości społecznej.

Sam o sobie Piłsudski mówi: „przez długie życie przeszedłem z bojownikami demokracji”; idąc z demokracją, szukał dla niej mocy, pomnażał i organizował jej siły moralne i materialne.

Bojowników demokracji przestrzegał, że symbolem ustroju demokratycznego nie może być „rozchelstana koszula i brudem ziejący pysk”. Demokracja bowiem w pojęciu Piłsudskiego jest wolnem, swobodnem dążeniem całej masy narodowej do wielkości, potęgi i szczęścia narodu.

Dzisiaj dla wszystkich jest bezspornem, że indywidualność Piłsudskiego porusza wyobraźnię mas ludowych i budzi ich podziw. Jest w tem coś, co zastanawia, wzrusza i zachwyca. Piłsudski bowiem brzydzi się i gardzi demagogją, nigdy nie upraszcza zagadnień złożonych, nie pomniejsza spraw wielkich do pojemności ciasnych głów: w działalności swej z reguły idzie po linii największego oporu, a więc nie dogadza rozpowszechnionemu lenistwu. Pomimo to wszystko, serca miljonów garną się do niego i czują w nim tego, który ich życie razem z całą współczesnością włączył jako jedno z najcenniejszych ogniw do łańcucha historii narodu.

Dzieje się to za sprawą tego cudownego daru, jaki posiada Piłsudski; dar ten polega na tem, że potrafi on odnaleźć w zbiorowej duszy narodu te „imponderabilia”, które pod działaniem jego woli przeistaczają się w czyny o wielkiej wadze i znaczeniu historycznem.

W zbiorowej duszy narodu grają echa dawnych zwycięstw, dźwięczą odgłosy dni chwały, tli się tęsknota do wielkości, budzi się pragnienie, aby „ramię rozpostrzeć szeroko, wielkie skrzydła porozwijać, lecieć, a nie dać się mijać”.

Piłsudski odwołał się właśnie do tych milknących już głosów dawnej świetności i chwały. Rzeczywistością dzisiejszą uczynił to, co było już tylko wspomnieniem przeszłości. Dokonał dzieła, jeżeli nie większego pod względem obszaru i liczby, to w każdym razie trudniejszego, niż Bismark. Dzisiaj Piłsudski pracuje nad tem, aby w dzieło swoje tchnąć duszę, duszę moralną i wzniosłą. Walka, którą zapowiedział w przytoczonym w wstępie wywiadzie i którą obecnie prowadzi, skończy się zwycięstwem. Albowiem musi zwyciężyć ten, kto swemi czynami stwierdzał nieustannie, że „nic innego niema na świecie, prócz sprawiedliwości i jedno tylko silne jest tu na ziemi: — to, co jest sprawiedliwe i prawdziwe.”

„MNIEJ MOŻE BĘDZIE W POLSCE ZDRAD I FAŁSZU“

W piśmie Marszałka J. Piłsudskiego do Marszałka Sejmu, M. Rataja, w którym J. Piłsudski powiadamia o nieprzyjęciu wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej, znajdujemy następujące zdanie:

„Tym razem dziękuję wszystkim Panom, że wybór mój nie był jednomyślnym, tak, jak to było w lutym 1919 roku. Mniej może będzie w Polsce zdrad i fałszu“. W dalszych zaś słowach swego pisma J. Piłsudski zaznacza, że nie może wydobyć z siebie aktu zaufania do tych, co go na urząd Prezydenta powołują.

Przytoczone słowa zawierają ciężki wyrzut pod adresem osób i ugrupowań politycznych, które „obrzydzały mu życie ciągłą naganą, oszczerstwami i najwstrętniejszymi potwarzami“.

Wiemy przecież, że Sejm Suwerenny reprezentował wszystkie miarodajne czynniki wyzwolonej Ojczyzny. Jako taki jednomyślną uchwałą wyniósł Józefa Piłsudskiego na stanowisko Naczelnika Państwa. Przez ten akt cały naród zobowiązał się do lojalnej współpracy z pierwszą prawną władzą polską, której pragnął i do której tęsknił i dążył każdy patriota w ciągu ponurych dziesięcioleci, kiedy to stopa najeźdźcy deptała ziemię polską.

W tych warunkach stosunek pewnych kół społeczeństwa do osoby Naczelnika Państwa był odpychającym przejawem zdrady i fałszu.

Znosił to w milczeniu J. Piłsudski, dopóki był Naczelnikiem Państwa; swoją wspaniałomyślnością, dobrocią i wyrozumiałością chciał niejako zawstydzić i do opamiętania przywołać „zapłutych potwornych karłów, bitych po pysku przez każdego z zaborców“.

Dopiero gdy przestał być Naczelnikiem Państwa z całą bezwzględnością wytykał społeczeństwu te dzikie praktyki, jakie stosowano względem niego na stanowisku reprezentanta najwyższej władzy państwowej.

Nie gorycz osobista, nie obrażona miłość własna, lecz zraniona ambicja narodowa przemawia dzisiaj przez Piłsudskiego, gdy gromi, karci i szydzi z tych, którzy nie umieli szanować najwyższego przedstawiciela własnego państwa, ponieważ ten w przeciwieństwie do władz zaborczych, nie posługiwał się batem, ani różgami liktorskimi, lecz odwoływał się do uczuć patriotycznych i cnót republikańskich swoich współobywateli.

Jest rzeczą na czasie przypomnieć dzisiaj inny fakt, który jeszcze bardziej uprawnia Piłsudskiego do zarzucenia fałszu i zdrady, oraz do żywienia nieufności względem tych, którzy na jego barki wkładają najcięższe obowiązki.

Fakt ten miał miejsce na szóstym z kolei posiedzeniu Rady Obrony Państwa w dniu 19 lipca 1920 roku. Tajna część tego posiedzenia trwała od godziny 8 m. 20 wieczorem do 1 m. 10 w nocy. Niepowodzenia nasze na froncie doszły już wówczas do rozmiarów klęski. Był to moment, który Piłsudski następnie tak scharakteryzował: „Państwo trzeszczało, wysiłki wojsk rozdrabniały się w odruchach, a praca dowodzenia z dniem każdym była trudniejszą i cięższą moralnie”.

W takiej chwili członkowie Rady Obrony Państwa, W. Trąpczyński i R. Dmowski, znaleźli odpowiednią sposobność, aby w dyskusji nad stanem armii poddać krytyce z „fachowego” punktu widzenia błędy, popełniane przez „dyletanta” Piłsudskiego w organizowaniu armii i prowadzeniu wojny. Krytyka ta była bardziej złośliwą, niż rzeczową, bardziej naiwną, niż celową. Rada Dmowskiego, na przykład, polegała na żądaniu zmiany dowódców frontowych, a ewentualnie pożyczenie ich sobie od Aliantów. W odpowiedzi na tę krytykę Piłsudski wygłosił przeszło półtoragodzinne przemówienie. Przemówienie to nie było stenografowane. Zasadnicza treść przemówienia może być odtworzona na podstawie wspomnień i notatek uczestników, gdyż protokoły Rady Obrony Państwa były tak pobieżne, że w tydzień po tem na posiedzeniu 26 lipca Piłsudski domagał się bardziej szczegółowego prowadzenia protokołów.

Do historii nie przejdzie dokładny tekst tego zaprawdę historycznego przemówienia. O przekonującej sile tego przemówienia najlepiej świadczy jego skutek.

Po wypowiedzeniu ostatnich słów Piłsudski opuścił posiedzenie; razem z nim wyszli wojskowi członkowie R. O. P. Przewodnictwo objął premier Władysław Grabski. Na wniosek ministra E. Sapię Rada Obrony Państwa powzięła jednomyślną uchwałę, wyrażającą pełne zaufanie dla osoby Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. A zatem W. Trąpczyński, R. Dmowski i A. Czerniewski przez swoje głosowanie włożyli na barki Piłsudskiego ciężar odpowiedzialności za losy wojny i losy państwa. Włożyli na niego ten ciężar nie tylko we własnym imieniu, lecz i w imieniu tych, których reprezentowali. Przypomnijmy sobie, jak ci ludzie razem ze swymi zwolennikami pomagali Piłsudskiemu w udźwignięciu tego niesłychanego brzemienia odpowiedzialności, jakie rzadko w dziejach spadało na jednego człowieka.

Oszczerstwa nie milkły; szarpanie nerwów Naczelnego Wodza nie ustawało; więcej, niż ratunku szukano domniemyanych winowców niepowodzeń orężnych, lecz szukano ich nie pod właściwym adresem; zabijano wiarę żołnierza w Naczelnego Wodza i to właśnie wówczas, gdy największą mądrością było „słuchać ślepo, wierzyć święcie”; • rezygnowano z obrony całej Polski w imię obrony Polski Zachodniej. Zdrada i fałsz święciły wówczas w Polsce bezprzykładne triumfy. Przeżycia Piłsudskiego z tego okresu jeszcze więcej, niż aluzja do jednomyślnego wyboru go na Naczelnika Państwa w lutym 1919 roku, wyjaśniają te gorzkie słowa, jakie zawiera wspomniany na początku jego list do Marszałka Sejmu M. Rataja.

Lecz wróćmy do historycznego przemówienia Piłsudskiego na Radzie Obrony Państwa. Stylem telegraficznym pozwoli się ono tak streścić:

„Wszystkie te błędy i wady w organizacji wojska, jakie tutaj wymieniano, znam; znam tych wad daleko więcej; nigdzie na świecie doskonalej armii nie stworzono w ciągu dwóch lat. Największy błąd jest ten, że jesteśmy bici. Znając wady w organizacji swego wojska, jednocześnie wiem, że tylko z tem wojskiem, jakim ono jest, z jego wszystkimi wadami, mogę i muszę zwyciężyć, gdyż innego wojska nikt mi nie da.

„Zwycięstwo w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej — od przygotowania pod względem technicznym.

„Od was, polityków i od narodu powinien iść do wojska walczącego na froncie głos wiary i otuchy, odpowiadający moralnej wartości społeczeństwa i jego niezłomnej woli zwycięstwa. Zamiast tego dajecie demoralizujący obraz waśni, kłótni i rozdarcia. Generałowie, wygrywani przez polityków, nie potrafią służyć i słuchać, a natomiast intrygują i frondują. Chwila jest wyjątkowo groźna, nie ma czasu do stracenia; stoicie nad przepaścią i już jutro może zaczniecie się wyrzynać. Nie wiem jakimi słowami mam was przekonywać, aby was natchnął duchem pojednania i skłonił do zgody.

„Jeżeli potrzebna jest do tego moja śmierć, to gotowym sobie w łeb wypalić, abyście zrozumieli, że to jest już ostatnia chwila do ratunku, że musicie się zjednoczyć i dać temu wyraz w stworzeniu silnego rządu.

„Ja wiem, co mam robić, ja mam plan, lecz nie narzucam się wam ze swoim planem. Jestem w ogniu rozmaitych oskarżeń, mnie samego bierze obrzydzenie do państwa, które ma tak traktowanego przedstawiciela. Nie róbcie żadnych szopek, żadnych ekiwoków z dodawaniem mi opiekunów i kontrolerów. Oddaję się wam do dyspozycji. Weźcie zamiast mnie kogoś mniej drażniącego. Jeżeli go postawicie na czele państwa i wojska, nie róbcie z nim tego, coście robili ze mną, dajcie mu bezwzględne zaufanie i szczerze, gorliwe poparcie. Nie róbcie igraszek z najwyższą władzą!”.

Jak już wiemy, Piłsudski otrzymał wówczas jednomyślne wotum zaufania. Poseł A. Rosset zgłosił na tem posiedzeniu wniosek, stwierdzający konieczność powołania rządu koalicyjnego, obejmującego wszystkie stronnictwa, a już 24 lipca przed Sejmem stanął rząd obrony narodowej.

Był to wielki sukces Piłsudskiego, jako męża stanu. Z jego myśli i z jego woli powstał w Polsce rząd, który, aczkolwiek nie był rządem zupełnego zjednoczenia i zgody w narodzie i nie usunął wszystkich rozdziewików i tarć, stał się jednak za sprawą Piłsudskiego rządem zwycięstwa.

Pomimo to jednak znaleźli się ludzie, którzy w związku z tem

powiedzeniem rozpuszczali fałszywe pogłoski, jakoby Piłsudski się załamał, stracił wiarę w zwycięstwo i chciał... odebrać sobie życie!

Ostatni raz spotkałem się z tą złośliwie tendencyjną pogłoską w artykule: „Piasek w maszynie”, drukowanym 12 lutego 1926 r. w „Gazecie Warszawskiej Porannej”. Otrzymałem zupełnie niewątpliwe potwierdzenie mego domysłu, że artykuł ten pisał R. Dmowski. Znajdujemy tam takie pretensjonalnie - protekcyjne klepanie Piłsudskiego po ramieniu:

„Nie odmawiamy mu pewnych danych, dowodził już, w części z dobrym skutkiem, miał wiarę w zwycięstwo — coprawda, opuściła go ona w najważniejszej chwili, po wyprawie na Kijów — wreszcie, co najważniejsza, ma wiarę w siebie”.

A więc R. Dmowski stwierdza, że Piłsudskiego opuściła wiara w zwycięstwo w najważniejszej chwili! Nasuwa się więc pytanie, czy wodza, który „stracił wiarę w zwycięstwo” należało obarczać obowiązkiem prowadzenia wojny i osiągnięcia zwycięstwa?

Dmowski na posiedzeniu R. O. P. 19 lipca 1920 r. uznał, że wódz bez wiary w zwycięstwo był najlepszym wodzem dla Polski w ówczesnych warunkach!!

Jeżeli przytoczone słowa Dmowskiego nie są fałszem, gdzie było wówczas jego poczucie odpowiedzialności, jego odwaga i męstwo wyciągnięcia praktycznych konsekwencji z własnej oceny sytuacji w tym tragicznym momencie dziejów narodu?!

WALKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO Z PARLAMENTEM O WZMOCNIENIE WŁADZY WYKONAWCZEJ

Pamiętamy wszyscy, że Piłsudski jako Naczelnik Państwa z największym pośpiechem dążył do zwołania Sejmu Ustawodawczego, ponieważ chciał — jak to oświadczył Sejmowi 20 lutego 1919 roku — „by, kładąc trwałe fundamenty pod swe odrodzenie, Polska wyprzedziła sąsiadów i w ten sposób stała się siłą przyciągającą, dającą zapewnienie choćby nie najszybszego, lecz spokojnego i prawnego rozwoju.”

Była w tem wielka i głęboka myśl, aby „w wielkim chaosie i rozprężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo”.

Z chwilą zwołania Sejmu, który stał się — jak to zaznaczył J. Piłsudski 10 lutego 1919 roku — „domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”, prawny punkt ciężkości naszego życia państwowego spoczął na Sejmie Suwerennym, a Piłsudski był, zgodnie z brzmieniem konstytucji, tylko „najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych.”

W rzeczywistości jednak indywidualność Piłsudskiego górowała ponad Sejmem; nie był on bynajmniej ślepym wykonawcą „uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych”, lecz przeciwnie, pozostawał niejednokrotnie w ideowej walce z Sejmem, a nawet mu się przeciwstawiał. Do tej walki zmuszał go nie tyle litewski upór, ile bystry, przenikliwy umysł męża stanu i poczucie odpowiedzialności historycznej. Terenem takiej walki była między innymi spra-

wa wileńska. Cały Sejm chciał złączenia Wileńszczyzny z Polską, lecz gdy chodziło o sposób urzeczywistnienia tej powszechnej woli w określonych międzynarodowych stosunkach, w danych warunkach czasu i przestrzeni, to Piłsudski musiał się minąć ze stanowiskiem większości sejmowej (odezwa wileńska) i samo przyłączenie nie uskutecznić przy znacznym oporze Sejmu.

**

Drugi głośny konflikt Piłsudskiego z Sejmem Ustawodawczym miał miejsce w czerwcu 1922 roku. Piłsudski wówczas wywołał dymisję gabinetu Ponikowskiego, uświadomiwszy mu jego bezradność i niemoc, wynikające z faktu, że był to gabinet zaledwie tolerowany przez Sejm, lecz bynajmniej przezeń nie popierany i wskutek tego niezdolny do przeprowadzenia państwa obroną ręką przez jakąś ciężką próbę dziejową.

Możliwość zaś takiej próby w niedalekiej przyszłości zawierał w sobie traktat sowiecko - niemiecki, podpisany na krótko przed tem w Rapallo.

Zaraz w pierwszych dniach przesilenia, otwartego przez dymisję rządu Ponikowskiego, Piłsudski w długiej, poufnej rozmowie z posłem M. Ratajem, p. A. Erdmanem i autorem tych słów rozwijał te same poglądy na sposób powoływania rządu i na wzajemny stosunek pomiędzy rządem i sejmem, jakie wygłosił w cztery lata później w dniu 28 maja 1921 r. do przedstawicieli prasy. Już wówczas, w czerwcu 1922 roku, Piłsudskiemu chodziło o silny rząd, o rząd z dużym autorytetem, o sprawność władzy wykonawczej, o jej usamodzielnienie w codziennej pracy, o danie jej możności działania i decydowania, aby wreszcie władza wykonawcza mogła odpowiadać przed władzą ustawodawczą za swoje czyny i rzeczy dokonane, a nie za samo tylko trwanie w bezczynności i bierne przypatrywanie się temu, co się dzieje w Polsce z przyczyny referentów ministerjalnych.

Piłsudski jeszcze w czerwcu 1922 r. chciał doprowadzić do zerwania z praktykowanym podówczas przewlekłym, wśród przetargów partyjnych, prowadzonym sposobem tworzenia rządu na konwencie senjorów, widząc w tem zgubne z państwowego punktu widzenia uzależnianie organów wykonawczych od poszczególnych klu-

bów, sejmowych i złośliwe odsunięcie głowy państwa od należnego jej wpływu na sformowanie rządu i jego pracę rządzenia.

Echa tych poglądów Piłsudskiego słyszeliśmy następnie w jego mowie, wygłoszonej 28 listopada 1922 roku przy otwarciu drugiego Sejmu.

Pozwolę sobie przypomnieć kilka zdań, wypowiedzianych podówczas przez Piłsudskiego z całą powściągliwością.

„Po raz drugi mam zaszczyt otwierać Sejm Rzeczypospolitej Polskiej. Po raz drugi, jako najwyższy przedstawiciel władzy wykonawczej staję przed tymi, którzy mają prawo o niej sądzić...”

Panowie, rozpoczynacie pracę, którą na innych podstawach oparta, zniewalać was będzie do innego życia, niż to, które dotychczas w tej sali panowało.

Jesteście, panowie, pierwszym Sejmem, opartym o Konstytucję Rzeczypospolitej, i stanowicie punkt zwrotny w życiu państwa, które — wychodząc z okresu tymczasowości — wstępuje na drogę normalnego rozwoju.

Konstytucja chce, że w tej pracy, która was czeka, razem z wami **pracować będą inne jeszcze równorzędne organy państwowe.**

Dotychczasowe życie polityczne Rzeczypospolitej **nie wykazało wybitnych zdolności naszych do współpracy.**

Sądzę przeto, że będę w tym wypadku rzecznikiem wszystkiego, co żyje i pracuje poza tą salą, gdy zwrócę się do panów z apelem, ażebyście przykładem swoim stwierdzili, że w naszej Ojczyźnie istnieje **możliwość lojalnej współpracy ludzi stronnictw i instytucji państwowych.**”

Apeł zawiódł to też 29 maja 1926 r. Piłsudski mówił już bez poprzedniej powściągliwości, lecz z całą otwartością:

„Sejm i Senat mają nadmiar przywilejów i należałoby, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw... Dajcie możliwość rządzącym odpowiadać za to, czego dokonają. Niech Prezydent tworzy rząd, ale bez nacisku partji. To jest jego prawo.”

Widzimy więc z jaką konsekwencją, z jaką systematycznością zmierza Piłsudski do stworzenia w państwie silnej władzy wykonaw-

czej. Ta planowość i konsekwencja polegają na tem, że mając przed sobą wyraźny cel, Piłsudski w drodze do swego celu nie chce pominąć i przeskoczyć żadnego etapu w rozwoju świadomości państwowej narodu, lecz jedynie stara się przyspieszyć w pożądanym kierunku tempo tego rozwoju. Z nadzwyczajną uwagą śledzi on poszczególne fazy samowiedzy politycznej społeczeństwa.

W czerwcu 1922 r., będąc Naczelnikiem Państwa, Piłsudski mógł być dokonać zamachu, rozwiązując Sejm Suwerenny. Pod względem technicznym, pod względem samej akcji zamachowej nie sprawiałoby to żadnej trudności.

Był nawet podówczas Piłsudski skłaniany do tego przez jednego ze swych najbliższych i najwybitniejszych współpracowników, który dowodził, że utrwalający się w Polsce typ parlamentaryzmu może rozstrzelić i do upadku doprowadzić już oddawna istniejące i dobrze zorganizowane państwo, lecz żadną miarą nie może taki parlamentaryzm przyczynić się do stworzenia silnego państwa i zapewnienia mu bezpieczeństwa w tych niesłychanie trudnych warunkach, w jakich tworzy się nasza państwowość.

**

Piłsudski wierzył w słuszność swego dążenia, w zbawienność swej zasady, lecz wolał podówczas ulec w starciu z Sejmem, aniżeli ważyć się na zamach, ponieważ czuł, że jego koncepcja silnej władzy wykonawczej nie przeniknęła jeszcze do świadomości szerokich warstw narodu. Na zamach Piłsudski zdecydował się dopiero w maju 1926 roku. Jak ciężką była dla niego ta decyzja, niechaj świadczą jego słowa, wypowiedziane w nocy z 12 na 13 maja: „Nie mogę długo mówić, jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się po ciężkiej walce z samym sobą na próbę sił z wszystkimi konsekwencjami.”

Próba sił wypadła dla Piłsudskiego pomyślnie nie tylko na polu walki orężnej, lecz przede wszystkim na polu walki o kierunek zmian w ustawie konstytucyjnej, w metodach rządzenia państwem.

To, co Piłsudski powiedział w wywiadach prasowych o przyczynach i celach swego wystąpienia zbrojnego, znajdowało po-

wszechny oddźwięk i zrozumienie w społeczeństwie, a Zgromadzenie Narodowe, wybierając go na Prezydenta, zalegalizowało dokonany zamach.

W najbliższych tygodniach dążenia Piłsudskiego znajdują swój wyraz w treści odpowiednio zmienionej ustawy konstytucyjnej.

Będzie to wielkie wydarzenie w dziejach naszego państwa. Polska będzie mogła wreszcie mieć rząd, który będzie rządził, a nie tylko trwał, który będzie wykonywał pewien program, a nie tylko przypatrywał się automatycznemu biegowi wypadków; państwo nasze doczeka się wreszcie ministrów, którzy będą mogli całkowicie poświęcić się swemu resortowi i nie będą potrzebowali ćwiczyć się w sztuce intryg i konszachtów z przedstawicielami klubów poselskich.

W walce o wzmocnienie władzy wykonawczej Piłsudski musi pokonać olbrzymi opór, stawiany przez doktrynerstwo, przesady polityczne, przez powierzchowne naśladownictwo wzorów francuskich i przez naszą fatalną tradycję dziejową.

W Zachodniej Europie rozwój ustrojów państwowych szedł od monarchji absolutnej do monarchji konstytucyjnej i ewentualnie dalej do republiki parlamentarnej. Tam parlamentaryzm powstawał w walce z władzą monarchiczną; każde rozszerzenie kompetencji parlamentu było wynikiem świadomej i planowo przeprowadzonej walki; w ten sposób na Zachodzie parlament stopniowo, w miarę dojrzewania narastał w kompetencje.

U nas odwrotnie: u kolebki powstającego państwa mieliśmy wszechwładny Sejm Suwerenny. Sejm był wszystkim, władza zaś wykonawcza tylko tem, na co jej łaskawie zezwolił Sejm.

W tych warunkach władza wykonawcza musi zdobywać na przedstawicielstwie narodowym należne jej prawa. Nie jest to zadanie łatwe.

Na domiar złego jesteśmy narodem obciążonym pod tym względem fatalną tradycją historyczną. Znamy wszak dobrze wielką władzę sejmów w Rzeczypospolitej szlacheckiej, tych sejmów, których uchwały mógł przekreślić jeden poseł, zakładając przeciwko nim

swoje veto. Król zaś jako reprezentant władzy wykonawczej był obrabowany z wpływów i znaczenia, skrępowany przez *pacta conventa*.

U schyłku niepodległej Rzeczypospolitej mieliśmy zazdrosny o swoją władzę Sejm Czteroletni, który usiłował sam organizować wojsko, mianować oficerów, rozdawać dowództwa, prowadzić akcję dyplomatyczną i robił to wszystko nieopatrznie, źle, z najgorszym skutkiem.

Warto nad tem wszystkim zastanowić się obecnie, kiedy stoimy w obliczu konieczności naprawy naszego ustroju państwowego. Koło osoby Marszałka J. Piłsudskiego muszą się dzisiaj skupić i poprzeć go w jego dążeniu do wzmocnienia władzy wykonawczej wszyscy ci, którzy chcą widzieć państwo silnem i bezpiecznem, którym bardziej zależy na pomyślnym rozwoju narodu, niż na triumfie najwspanialszej doktryny, którzy więcej kochają Polskę, niż te znane nam dobrze, okrzyczane swobody obywatelskie; nie zapominajmy, że nasi praojcowie, którzy przywiązanie do swych swobód stawiali ponad obowiązki względem państwa, utracili te swobody wraz z upadkiem Rzeczypospolitej, której nie potrafili obronić, zachłystując się od nadmiaru swobód i przywilejów indywidualnych.

Tylko w silnem państwie, dobrze zorganizowanem i rządzonem, obywatel może znaleźć trwałe szczęście i bezpieczeństwo osobiste.

DOBRY LEKARZ NIEMOCY NARODU— GROMICIEŁEM PODŁOŚCI I PRYWATY

Piłsudskiego znamy dzisiaj z jego nieprzejednanie wrogiego stosunku do ludzi bez charakteru i zasad; od czasu do czasu dowiadujemy się o jego pełnych pogardy, bezlitosnych, jak chłasknięcie szpicrutą przez oczy, odezvaniach się o karjerowiczach i intrygantach politycznych; znany jest jego surowy sąd, drastycznie wypowiediany, o moralności i patriotyzmie pewnych ludzi i ugrupowań partyjnych. Takim się dzisiaj wydaje ten sam Piłsudski, którego Daszyński w swych pamiętnikach przedstawia jako człowieka pełnego dobroci i łagodności. Oto czego dowiadujemy się od Daszyńskiego:

„Dwie cechy charakteru Piłsudskiego jednały mu miłość wśród nas: dobroć i przedmiotowość. Niewyczerpanie cierpliwy, przebaczący ciężkie osobiste urazy, skupiający około siebie węzłami serdecznej przyjaźni dziesiątki rozwydrzonych często ludzi, zacięty w pracy wówczas niemal beznadziejnej, surowy dla siebie, żyjący latami całymi w biedzie w dwóch pokojach z wypożyczonemi meblami, był Piłsudski wówczas może najpiękniejszym typem „polskiego świętego”, który spodziewał się zwycięstwa „wbrew nadziei”... Jego jazdy za kordon mogły go zaprowadzić każdej chwili na szubienicę, a jednak jeździ i wiąże nici konspiracji rewolucyjnej, szarpane ustawicznie przez żandarmów. Pogarda śmierci dawała mu siłę”.

Istnieje jak gdyby pewna sprzeczność pomiędzy Piłsudskim, jakim go znamy dzisiaj, a Piłsudskim z przed dwudziestu laty, jakim go nam przypomniał Daszyński. W rzeczywistości jednak ta pozorna sprzeczność tylko jaskrawiej oświetla nam zasadniczy rys indywidualności Piłsudskiego.

Jako członek partji, jako kierownik organizacji, nie miał on wrogów osobistych. Nie żywił żadnej osobistej niechęci, nie posiadał żadnego osobistego uprzedzenia w stosunku do kogokolwiek w Polsce. Ludzi cenił jedynie z punktu widzenia ich gotowości i zdolności do walki o wyjarzmienie narodu. Pelen dobroci, życzliwości i wyrozumiałości dla ludzi, nienawidził z całej duszy, nienawidził całą mocą swego niezwykłego charakteru podłości w życiu prywatnem, oraz swego prywatnego i serwilizmu w życiu publicznem. Sam zaś w służbie publicznej był „arcydziełem nieugiętej woli“, był człowiekiem, który podejmował się najczarniejszej pracy, najryzykowniejszych zadań. Przez długie lata pracował bez wytchnienia, jako ten, który poprzysiągł sobie za swym umiłowanym poetą:

„Z pokorą teraz padam na kolana,
 „Abym wstał silnym Bogu robotnikiem,
 „Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
 „Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem.
 „Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże,
 „Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!“.

W swej długoletniej służbie doznał wielu zawodów; dziesiątki ludzi stawało do pracy przy jego boku po to, aby następnie tę niebezpieczną, ciężką, wyczerpującą nerwy pracę opuścić, gdyż w czasie zmagania z przeciwnościami zabrakło im wytrwałości, dobrej woli lub męstwa. Sprawdzało się na nich zazwyczaj przekleństwo poety:

„Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy.
 „A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
 „Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
 „I padnie kiedyś w popiół taka głowa!“.

Filistrzeli jedni, manierowali się inni, niezłomni ginęli w więzieniach i na szubienicach, a Piłsudski w otoczeniu najwierniejszych współpracowników szedł dalej i czynił to, co uważał za swoją powinność w służbie dla narodu. Był wyrozumiały dla słabych, współczujący względem nieszczęśliwych, przebaczący dla tych, którzy kłali jego rękę, targającą obrozę niewolniczą. Pracował wytrwale, łamał przeszkody, pokonywał piętrzące się przed nim trudności, wśród

których dużo było trudności sztucznych, wynikłych ze złej, ugodą i serwilizmem znieprawionej woli rodaków.

Tej jego niezmordowanej pracy towarzyszyła wiara, głęboka wiara, że

„Kiedy prawdziwie Polacy powstana,
„To składek zbierać nie będą narody,
„Lecz ogłupieją i na pieśń strzelaną
„Wyteżą uszy, odemkną gospody.
„I będą wieści z wichrami wchodziły,
„A każda będzie serce ludów pasła
„Nieznajomemi świat poruszają siły,
„Na nieznajome jakieś wielkie hasła”.

Rzeczywistość w całej pełni, zdawało się, potwierdziła jego wiarę.

Wobec faktu moralnej pracy narodu, wyrażającym się w dobrowolnem i jednomyślnem podporządkowaniu się całego narodu jego władzy, Piłsudski doznał uczucia dumy, o którym w ten sposób wspomina: „Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nie tylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu”.

Lecz po chwilach pierwszego uniesienia nastąpiły tygodnie i miesiące, które wymagały od społeczeństwa wyteżenia maksimum sił moralnych i poświęcenia wszystkich zasobów materialnych. Społeczeństwo jednak nie wydobyło z siebie wszystkich rozporządzalnych sił i zasobów.

Zaczęła się panoszyć prywata, odżyły dawne narowy i przywary, duch anarchji i wicherzycielstwa opanował umysł; w biednej Rzeczypospolitej, walczącej o swój byt i granice, zaczęły wyrastać magnackie fortuny spekulantów, i giełdjarzy, „półworny karzeł wylęgły z bagien rodzimych” w równym stopniu podły, co głupi lokaj kłamstwa szerzył dookoła znieprawienie moralne.

Wobec tych zatrważających objawów w naszym życiu politycznem Piłsudski zaczął tracić cierpliwość i wyrozumiałość; chciał dźwignąć swój naród na szczyty wielkości, chciał nim cały świat zadziwić, a tymczasem w Polsce spotkał się z niechęcią ogółu do ofiar

i wysiłków; dla upozorowania tej niechęci wymyślano najrozmaitsze pretensje do Polski rzeczywistej, wytykając jej, że nie jest taka, jaką ją sobie przeciętny „zjadacz chleba” wyimaginował.

Piłsudski starał się nadrobić defekty moralno-polityczne społeczeństwa swoją własną niezmierzoną energią, swoją potężną wolą. Nietylko czuł i kochał, lecz myślał i działał za miliony. To, co osiągnął, wystarczyłoby najzupełniej, aby nasycić najbujniejszą ambicję osobistą. Czy nie jest „bajeczną karierą” w szlachetniejszym tego słowa znaczeniu to, co stało się udziałem Piłsudskiego: jednomyślną uchwałą Sejmu Ustawodawczego został wyniesiony na stanowisko Naczelnika Państwa; jako Naczelnny Wódz został przez Prezydenta odznaczony najwyższym orderem wojskowym „za zwycięską wojnę polsko-bolszewicką”; przez Sejm Rzeczypospolitej został w dniu 28 czerwca 1923 r. wyróżniony uchwałą, iż „jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz zasłużył się narodowi”.

Są to zawrotne triumfy, lecz Piłsudskiemu chodziło zawsze nie o nasycenie swej osobistej ambicji, lecz o zaspokojenie swej ambicji narodowej.

Chciał być w dalszym ciągu dumny ze swego narodu. To też nabrali niepomaganego wstrętu i pogardy do tych, którzy pomniejszali aspiracje narodu, dezorganizowali jego wolę i znieprawiali sumienie.

W stosunku do karjerowiczów, torujących sobie drogę błagą, kłamstwem, kompromisem z sobkostwem i podłością, wybuchał niewąścią, jak wulkan.

Nienawiści swej, pogardzie i wstrętowi daje częstokroć wyraz z żołnierską rubasznością. Przysparza mu to wrogów wśród mnożącego się z dnia na dzień zastępu polityków, którzy od czasu zwołania przez Piłsudskiego Sejmu Ustawodawczego robią coraz większy tłok w naszym życiu zbiorowym. Ludzie, którzy nie posiadają żadnych zasług na polu utrzymywania i pomnażania wartości narodowych w czasie niewoli, naraz nabrali wygórowanego mniemania o swej roli i znaczeniu, ponieważ się wydoskonaliли w szacherkach i intrygach parlamentarnych. Piłsudski, który politykę pojmuje jako sztukę stwarzania nowych wartości narodowych i państwowych z bezdennelem lekceważeniem traktuje tych specjalistów od mącenia

Iżi państwowej kaduceuszem interesów prywatnych i grupowych. Piłsudski głośno i dobitnie wypowiada swój druzgocący sąd o tym gatunku polityków, gromi ich bezideowość i karjerowiczostwo, ujawnia nędzę i nicość tych nadętych wielkości, głodnych ambicji i pustych naczyń brzęczącej, krzykliwej demagogii. Taki człowiek bywa często bardzo nieprzyjemnym. Jest to rzecz aż nadto zrozumiała. Byłoby jednak źle, gdyby Polskę nie stać było przynajmniej na jednego człowieka, który posiada odwagę mówienia przykrej i ciężkiej prawdy, lecz prawdy.

Do mówienia zaś narodowi przykrej prawdy najbardziej powołany jest właśnie Piłsudski, którego całe życie było jednym nieprzerwanym pasmem wysiłków i ofiar, który, myśląc i pracując wyłącznie dla pomyślności kraju, nie miał czasu pomyśleć o sobie i swych sprawach prywatnych.

SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa	5
Mąż Stanu i Wódz	7
Obluda nędzników i komedjancki patos przestępców rozzuchwalonych bezkarnością	12
Posłowi Witosowi Marszałek Piłsudski był „już niepotrzebny”	17
Demagogja „fachowców” — fachową demagogją	21
Sprawa Szeptyckiego i problem doboru ludzi w życiu Państwa	26
Dwie decyzje Józefa Piłsudskiego	32
„Siła powinna mieć duszę”	36
„Mniej może będzie w Polsce zrad i fałszu”	40
Walka Józefa Piłsudskiego z parlamentem o wzmocnienie władzy wykonawczej	45
Dobry lekarz niemocy narodu — gromicielem podłości i prywaty	51



KULTURA

ROZMOWY Z WIERSZAMI

Piłsudski

/ rzeźba nie dokończona /

Z kamiennej lawy
jakby nie do końca
uformowany:
wewnątrz jeszcze ogień.

I jak go rzeźbić
gdy kamienna dłoń
od razu ściska twoje serce – sama
chce rzeźbić ciebie, ziemię
na której stoisz, powietrze
którym oddychasz.

Stoi
lecz jakby kroczył
zapadając się głębiej i głębiej
w tę ziemię
w skiby pól

bruk ulic, posadzki kościołów
a przecież
rozpycha piersią, rozdziera ramionami kamienne
niebo
powietrze nad twym krajem. Oddychasz. Oddychasz.

Nie dokończoną rzeźbę
rzeźbi dalej śmierć – – –

Galeria rzeźb pośmiertnych

Wiersz powstał razem z innymi wierszami-pomnikami wymyślonymi dla Stanisława Szukalskiego (1893–1987) – najwybitniejszego i najmniej docenionego rzeźbiarza ostatnich kilkudziesięciu lat. Twórca zdążył zaprojektować monument Piłsudskiego niestety zniszczyli go Niemcy. Podobny los spotkał pomnik Chrobrego. Wielu projektowanych dzieł Szukalski nie zdążył wykonać. Wyobraziłem więc sobie sytuację jak z ballad: twórca nie odejdzie w zaświaty, póki nie spełni swojej misji, póki nie wyrzeźbi tych posągów, które powinien był stworzyć. Tak powstał cykl *Galeria rzeźb pośmiertnych*, który udało mi się wydać drukiem dopiero po dwudziestu latach – w roku 1991 roku (za to dwukrotnie), nakładem Ośrodka Kultury Ochoty „OKO”. Obejmował on wiersze z przełomu lat sześćdziesiątych / siedemdziesiątych; z utworów wcześniejszych dołączyłem napisaną w 1968 roku w Pirnie rzeźbę Matki Boskiej Katyńskiej.

Matka Boska Katyńska

W popękany, żylasty marmurze
Matka Boska
z oficerem zabitym w Katyniu
jak z niemowlęciem na kolanach
gładzi policzek, podtrzymuje
głowę z otworem w potylicy, płacze
jakby wiedziała

jakby wiedziała, że tam
gdzie on się ocknie po śmierci
tam także śmierć
śmierć i obóz.

*Jako w niebie
Tak i na ziemi*

Dlatego powróciła.
Teraz – któryż to raz –
głaszcze twarz umarłego
– wypogadza się jak twarz dziecka...

Panie, Panie czemuś mnie opuścił
Nie ona szepce te słowa
Nie wiatr w pokrwawionych gałęziach

Te słowa nigdy nie umilkły

Pirna 1968

Ten wiersz w zasadzie otwierał promocję *Galerii rzeźb pośmiertnych* – piszę „w zasadzie” – bo poprzedzał go dwuczęściowy poemat o Szukalskim. Prócz „Piłsudskiego” czytałem również pochodzące z tegoż 1968 roku wiersze poświęcone Pileckiemu, Korczakowi, Rejtanowi i kilku innym postaciom – godnym pomnika.

Pomnik Rotmistrza Pileckiego (1901–1948)¹

Exegi monumentum aere perennius

Powinien stanąć konno – jakby na wezwanie
że „Ojczyzna w potrzebie!». W żelazie i w obłoku
prosto z krwawych jak zachody słońca
pół września.
Lecz żelazo może spalić rdza. Obłok
rozwieje się jak pamięć.

Więc może w brązie? Ze zdobycznych armat
lano dzwony łamiące zaziemską moc gromu
płaczące zmarłych -
– w bramie Oświęcimia
niech stanie jak wędrowiec:
przyszedł tu – bo chciał.
I nie po to by cierpieć i skonać
lecz by cierpieć i ratować życie.

Tak, ale nawet brąz
pęka od nazbyt mocnych
uderzeń
serca
żyłasty marmur rozsypuje się w proch
jakby był ludzkim ciałem.

¹ Walka o pomnik dla Rotmistrza trwała latami. Apelowali warszawscy literaci podczas sesji poświęconej literaturze okupacyjnej w 1994 roku, apelowali uczestnicy wspólnej sesji Związku Piłsudczyków i Oddziału Warszawskiego ZLP w maju 1998 roku. Bez echa. Jakby Pilecki nie był polskim bohaterem, albo jakby Oświęcim i Warszawa nie leżały w Polsce. Dopiero w 2008 roku postawiono popiersie Pileckiego w Grudziądzu, trzy lata później we Wrocławiu. Są też popiersia w Wieluniu i Katowicach. Warszawa z której wyruszył do Oświęcimia, której bronił w Powstaniu i w której został zamordowany – na pomnik zdobyła się w 2017 roku.

Więc rzeźbię w tym, co trwałe: w zawiści
 ludzi małych, w tchórzostwie
 zwykłych zjadaczy chleba
 i w niepamięci wszystkich, wszystkich nas
 za których przeszedł przez baraki Auschwitz
 ogień Powstania i kamienny
 głuchy, głuchy od krzyków korytarz Mokotowa.

Nie w brązie, nie w martwym marmurze,
 rzeźbię w tym co żywe – jak życie.

Podczas tamtego wieczoru przeżyłem miłe i niemiłe zarazem zaskoczenie: publiczność biła brawo, ale biła przeciwko „czerwonym”; o Piłsudskim wiedziała niewiele, o Pileckim – zupełnie nic. Owszem, najstarsi kombataneci z dumą wspominali, że Marszałek przetrzepał bolszewików, z kolei jakiś partyjnik wypiwszy widać dla kurażu powtarzał slogan o „wyprawie po latyfundia”, od której miała się zacząć cała I wojna światowa (!). Nazwisko Pileckiego również i jemu nie mówiło nic.

Edukacja komunistyczna poczyniła w głowach Polaków spustoszenia – „wyprawa po latyfundia” i „faszystowski przewrót Piłsudskiego” to były główne punkty szkolnych lekcji historii poświęconej przedwojennej Polsce. Dobrą opinią cieszył się za to „Rząd Białostocki Marchlewskiego” oraz „obrońca kraju – komunista Marian Buczek”. Chcąc nie chcąc recytację wierszy uzupełniłem wykładem z historii Polski – wciąż nieznanej, choć już nie zakazanej (bo i po co). Kilka dni później poproszono mnie o powtórzenie promocji w „OKU” – ale razem z wykładem. Myślę, że kierownictwu ośrodka bardziej zależało na wykładzie, niż na poezji. Odbyłem wtedy cały cykl spotkań realizujących podwójną formułę: wieczorek zaczynał się od wiersza, który dotyczył jakichś zdarzeń politycznych, następnie wygłaszałem coś w rodzaju harcerskiej gawędy. Tematem była walka Polaków o niepodległość, ale także Powstanie Węgierskie, Jan Palach – ale także Ryszard Siwiec i oczywiście wydarzenia Marca ’68, w których jako student filozofii brałem udział. Przydały się poetyckie „desanty”, które Konfederacja Nowego Romantyzmu urządziła w latach 70! Dla podbudowania nastroju

zamiast tradycyjnych świeczek organizatorzy rozpalili na środku salki ognisko. Nastroj zrobił się taki, że wszyscy, ze mną włącznie wierzyli w jego prawdziwość. Po gawędzie następowała dyskusja. Parę lat później powtórzyłem kilka takich pogadanek w ramach spotkań Ogólnopolskiego Klubu Poetów. Zamieszczone poniżej opowieści nie są dosłownym odwzorowaniem tamtych spotkań. Nie tylko dlatego, że jest to niemożliwością – spotkania nie były nagrywane, ani filmowane – ale także z tego powodu, że informacje, które wtedy brzmiały odkrywczo, sensacyjnie, dziś stały się oczywiste. Chcę wierzyć, iż wieloletnia działalność poetów Nowego Romantyzmu także przyczyniła się do tej poprawy narodowej pamięci.

Proste pytanie i kilka odpowiedzi

Podczas tych poetycko – politycznych spotkań najczęściej padało jedno pytanie – tak proste i oczywiste, że chyba sprowokowane przez tytuł zbioru prezentowanych wierszy: za co pomnik? za co mamy czcić Piłsudskiego?. Odpowiadałem na nie początkowo dość chaotycznie – przeskakując od opowieści o szkolnej konspiracji braci Piłsudskich do akcji pod Bezdanami i od katorgi syberyjskiej do zwycięstwa nad bolszewickim najazdem. Stopniowo jednak wyjaśnienia zaczęły się porządkować w ciągu zdarzeń, z których każdy miał charakter ciężkiej, trwającej latami pracy.

Piłsudski był twórcą w dziedzinie najważniejszej i najtrudniejszej, a do tego tak nam bliskiej, że aż niedostrzegalnej. Jeśli mówimy, że reżyser teatralny jest twórcą, ale trochę na niby, to Piłsudski był reżyserem naprawdę, twórcą w materii życia społecznego. Był jednym z nielicznych, którzy zdołali zamienić swoje młodzieńcze marzenia w rzeczywistość. Dlatego gdy po latach napisałem o nim książkę – zatytułowałem ją „Marzyciel i strateg”. Bo marzenia mogą rozwiązać się w powietrzu, a mogą zamienić się w konkretne plany, plany – w rozkazy, rozkazy w czyny. Marzenia Piłsudskiego nie były ersatzem działalności, były wstępną, konieczną fazą przyszłych zwycięstw.

Najwyższym marzeniem Piłsudskiego była niepodległa Polska. Realizując je, musiał dodatkowo wcielać w życie marzenia trochę bardziej przyziemne powiedzmy „marzenia pomocnicze” o polskiej sile, o polskiej wspólnotcie i o kul-

turze nadającej wyższą, atrakcyjną jakość życia Polakom. Trzeba było przeprowadzić Polaków od etosu niewolniczego do rycerskiego, od społeczeństwa zatamizowanego do wspólnoty potężnej historycznej pracy i od plemiennych swarów, żalów i pretensji, do idealizmu – wyznającego idee czynami. Jeszcze inaczej mówiąc: stworzyć niepodległych ludzi, niepodległe struktury, sacrum niepodległości.

Spróbuję to uporządkować a tym samym nieco wyjaśnić.

I. Militaryzacja życia polskiego.

Od duchowej niepełnosprawności do rycerskiego etosu.

To była najtrudniejsza z prac społecznych Piłsudskiego.

W pierwszej chwili brzmi to zaskakująco, nieco dziwnie i mało atrakcyjnie – bo jesteśmy wolni, mamy wojsko, a nasza młodzież marzy jakby od niego się wykręcić.

Ale Polacy XIX wieku, Polacy czasów młodości Piłsudskiego nie mieli państwa, ani wojska, to było społeczeństwo słabe, wręcz chore. Polacy uprawiali patriotyzm podkościelny i cmentarny, spotykali się na mszach za dusze bohaterów, albo na ich pogrzebach – i na tym się kończyło. To była kultura klęski, konkurs ran i festiwal porażek, którym tak mało brakowało do zwycięstwa. Od 1863 roku ten naród nie walczył, nie znał nawet komend wojskowych – z wyjątkiem tych, które Polacy poznali jako rekruci w armiach zaborczych i w językach okupantów. Nawet jeśli powstawały jakieś organizacje, to miały pokojowy charakter, o emigrantach dogorywających za granicą raczej nie pamiętano. Owszem istniała partia socjalistyczna, lecz początkowo była tylko luźną siatką kół dyskusyjnych, których bywalcy skupiali się na interpretowaniu dzieł Marksa – jakby specjalnie w tym celu napisanych mętnie i nudnie. Piłsudski niezbyt wysoko oceniał tę ideologię:

postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom Kapitału Marksa. Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdołał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu.

Uwaga o panowaniu towaru jest skrótem myślowym, chodzi o fundamentalne przeświadczenie Marksa, iż „w ostatecznej instancji” baza determinuje nadbudowę – więc i wszystkie ludzkie działania, całą kulturę, najwyższe ideały.

Tajemnicą marksizmu był fatalizm: wierzone w nieuchronne następstwo formacji społecznych, w konieczność ewolucji od wspólnoty pierwotnej do wspólnoty komunistycznej – tak nieuchronnej, że nie wymagającej działania. Wystarczy usiąść na przyzbie i poczekać – działanie mogłoby tylko tę prawidłowość zakłócić. Aktualnie świat zmienia się w globalny rynek, osobne państwa nie powstają, lecz upadają. Dlatego Róża Luksemburg uważała, że walka o niepodległą Polskę jest bezsensowną próbą zakłócania konieczności. Z drugiej strony – walka o zwycięstwo socjalizmu miała sens taki jak walka o nadejście zaćmienia księżyca – przecież i tak nadejdzie.

Głosząc takie poglądy Luksemburg po prostu odczytała Marksa – dlatego uważała bolszewizm za nietzscheański wtręt – i krytycznie mówiła o „Leninie i jego nadludziach”. Piłsudski podobnie jak bolszewicy przeniósł akcent z bazy na nadbudowę, nie ekonomia determinuje rozwój, lecz ideologia – ona przecież wpływa na ekonomię, wyznacza cele polityce. Ideologią piłsudczyków był niepodległościowy, pełny romantyzm – nie przypadkiem on sam podpisywał swoje artykuły pseudonimem „Romantyk”. By jednak realizować romantyczne cele trzeba dysponować siłą.

Piłsudski – będzie jeszcze o tym mowa – działał w uczniowskiej konspiracji, brał udział w studenckim spisku na cara, ale jego poważna działalność łączy się dopiero z tą partią. W „Spójni” był kolegą wśród kolegów, wśród niedoszłych carobójców – wykonawcą poleceń bardziej wtajemniczonych organizatorów. Dopiero po powrocie z Syberii zaczął działalność poważną, to znaczy mającą wpływ na losy całego narodu. Wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej i w ciągu paru lat ją przechwycił, co więcej zmienił jej charakter z „klubowego” na czynny i z klasowego na niepodległościowy. W pierwszej kolejności pomógł stworzyć a następnie przejął organ partii – „Robotnika”; po przejściu do działalności praktycznej, – Wydział Techniczno – Bojowy, z którego w pewnym momencie uczynił podwójnie tajną „partię w partii”.

Ewolucja PPS.

Wyprzedzając nieco tok wywodów powiedzieć można, iż presji materialnej, polityczno – ekonomicznej sytuacji Piłsudski przeciwstawił wolnościowy testament zapisany w literaturze romantycznej i w legendzie Powstania Styczniowego.

Pamiętamy, że rozbita w 1863 roku Polska nie tylko nie miała państwa, nie tylko nie miała armii, ale nawet nie znała języka komend i dzięki umiejętnej propagandzie okupantów i kolaborantów gardziła militaryzmem. Lekceważyła brak własnego państwa i nie rozumiała świata wartości rycerskich. W skrócie można powiedzieć, że Piłsudski odbudowywał polską kulturę wojskową w oparciu o arcydzieło Sienkiewicza, czasem posiłkując się Słowackim. Do tej sprawy wrócimy dokładniej.

Na razie spróbujemy wskazać kolejne momenty „ubojowienia” PPS:

W roku 1903 Piłsudski wprowadza zasadę rozporządzalności, dziś mówilibyśmy o „dyspozycyjności”) członków. Stopniowo do działań partii wprowadzona zostaje taktyka „drobnych manifestacji”, czyli jedno – dwuminutowych demonstracji. Na ulicy pojawia się grupa PPS, rozwija sztandar, agitatorzy rzucają w tłum kilka antyrządowych haseł – i znikają. Niby niewiele, ale w ten sposób i demonstranci i tłum stopniowo uczą się odwagi.

17–20 października 1904 odbyła się w Krakowie konferencja CKR PPS w Krakowie podczas której Piłsudski przedstawił koncepcję „taktyki czynu”: *Zmartwychwstać może ona [Polska] tylko ofiarami, krwią, a nie wymigiwaniem się ... Przejście do nowej taktyki jest koniecznością nawet gdyby ta doprowadziła do powstania utopionego we krwi. Taniej to nas będzie kosztować niż dzisiejsza martwota.*

13 listopada na placu Grzybowskim odbywa się manifestacja PPS – pierwsza zbrojna akcja od 1863 roku, kiedy to właśnie na tym placu Rosjanie dokonali egzekucji czterech powstańców: Chojnickiego, Górskiego, Filkiewicza i Trzaski.

W roku 1905 w Krakowie powstaje Szkoła Bojowa

W okresie 1905–1906 zorganizowano trzy kilkutygodniowe kursy, które obejmowały takie przedmioty jak musztra, strzelanie, organizacja armii ro-

syjskiej, materiały wybuchowe etc. Ukończyło je ok. 100 bojowców, którzy sprawnością i determinacją znacznie przewyższali okupacyjnych żandarmów.. Jednym z wykładowców był sam Piłsudski. Gdy niektórzy towarzysze z PPS zaczęli hamletyzować powołując się na „Kapitał” Marksa – Piłsudski rzuci im w złości: *prócz Kapitału Marksa znam książkę nie mniej doniosłą, a mianowicie „Trylogię” . Niech chłopcy z Organizacji Bojowej uczą się z niej strzelać do dwugłowego orła.*²

3–11 marca 1907 w Wiedniu odbywa się Zjazd PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Józef Piłsudski przedstawiając poglądy na rolę i zadania bojówek na nowym etapie działań, m.in. stwierdza, że dla dezorganizacji caratu konieczne jest umasowienie walki wśród „ludu pracującego”, tj. zorganizowanie własnej milicji. W rezultacie zjazd przyjmuje „ustawę sił bojowych”. Powstają pierwsze koła Milicyjne PPS.

W roku 1908 PPS dokonuje największą z akcji ekspropriacyjnych – atak na pociąg i na stację w Bezdanach. Przed akcją Piłsudski pisze list do Feliksa Perla, prosząc o napisanie ślicznego nekrologu /.../ gdy mnie diabli wezmą”. Poza motywem materialnym, tj. koniecznością zdobycia „monety” na działalność niepodległościową, przedstawił głębsze motywy osobistego udziału w akcji: *Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi jako człowiekowi z godnością nieniewolniczą.*

² Na prawach uzupełnienia dodajmy, że kiedy 23 września 1914 Piłsudski będzie ewakuował przyczółek pod Opatowem – odpłynie na ostatnim pontonie wraz z rannymi i ciałami zabitych, odpłynie już pod ostrzałem Kozaków – co przywodzi na pamięć patetyczną scenę z *Ogniem i mieczem*, ukazującą Skrzetuskiego na Dnieprze, także pod ostrzałem Kozaków. Z Sienkiewicza rodem są sceny z „Reduty Piłsudskiego” na Wołyniu. Broniąc jej zachowywał się Komendant niczym Jarema na murach Zbaraża – rozmawiał z żołnierzami podczas ostrzału, żartował i „nie kłaniał się” kulom. Legenda Sienkiewicza tak zresztą owładnęła wyobraźnią obrońców reduty, iż – niby obrońcy Kamieńca – byli przekonani, że Rosjanie, jak ongiś pohańce, ryją nocami podkop i zaczęli wykonywać kontrapodkop.

14 listopada 1920 roku wojsko (nie robi tego parlament opanowany przez przeciwników Komendanta!) wręcza Piłsudskiemu buławę marszałkowską. Wśród wiwatów i armatnich salw wręczył ją Piłsudskiemu najmłodszy kawaler *Virtuti*, szeregowiec Jan Wężyk. W ten sposób powtórzona zostaje po wiekach kolejna wielka scena – okrzyknięcie Jaremy hetmanem przez żołnierzy 26 września 1648 roku we Lwowie. Zrzeczenie się urzędu Naczelnika ma rodowód w tej samej legendzie: oto Jarema po rozmowie z Bogiem, po rozmowie pełnej łamania się, płaczu zrzeka się władzy na rzecz regimientarzy.

Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką... Tyłem ludzi posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą ...

Akcję tę przeprowadził Piłsudski 26 września 1908 roku wraz z najlepszymi bojowcami – Prystorem, Sławkiem i Arciszewskim. Przyszły Naczelnik dowodził całością działań i z bronią w rękę prowadził atak na wagon pocztowy; dzięki groźbie wrzucenia bomby (był to bluff, Piłsudski nie miał nic, prócz rewolweru), zdołał rozbroić ochronę wagonu pocztowego. Według oficjalnego komunikatu rządowego ukradziono 477 408 rubli i 84 kopiejki; Pobóg-Malinowski, opierając się na wspomnieniach uczestników, podawał sumę 200 lub 300 tys. rubli. Sprawę wyjaśnić można dość prosto: część pieniędzy wpłynęła do kasy PPS, część jednak poszła na budowę ZWC, o czym nie musieli wiedzieć nawet niektórzy przywódcy partyjni. Nie należy też zapominać, że po akcji stan kas badali rosyjscy urzędnicy – więc fachowcy. Najpierw – dokradli dla zaokrąglenia straconej przez rząd sumy, potem – więcej, by suma nie wyglądała na zaokrągloną. ..

W roku 1909 powstaje tajny Związek Walki Czynnej, rok później – we Lwowie Związek Strzelecki a w Krakowie – Towarzystwo „Strzelec”. Działały one jawnie, a podlegały ... tajnemu Wydziałowi ZWC. Piłsudski brał udział w ćwiczeniach, wykladał także strzelcom przedmioty wojskowe. Pod pseudonimem Z. Mieczysławski wydał w 1910 prace *„Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim”* i *„Geografia militarna Królestwa polskiego”*. W 1912 w krakowskiej Szkole Nauk Społeczno – Politycznych wygłosił cykl wykładów *Zarys historii militarnej Powstania Styczniowego*

21 lutego 1914 w Sali Towarzystwa Geograficznego w Paryżu Piłsudski wygłasza odczyt, na marginesie którego przedstawia prawdopodobny przebieg wojny (zwycięstwo z zachodu na wschód”) i wynikający z tego polski plan działania. Niemcy pobiją Rosję, lecz ulegną sojuszowi Francji i Anglii (może wspartemu przez Amerykę) w związku z tym: *pierwsza faza wojny – jesteśmy z Niemcami przeciw Rosji. Druga, końcowa faza wojny – jesteśmy z Anglią i Francją przeciwko Niemcom.*

W obliczu zbliżającej się wojny ogłoszone zostaje „uwojskowanie partii”.

Na bazie tajnych Kół Milicyjnych PPS oraz związków strzeleckich powstaną w 1914 roku najpierw oddziały Strzelców a następnie Legiony i tajna Polska Organizacja Wojskowa. To będzie załóżek kadr oficerskich przyszłej armii.

Podczas wojny Piłsudski dowodzi w polu żołnierzami I Brygady. Choć samouk wykazuje mistrzostwo najpierw w kilkudniowej szarży strzelców na Kielce a potem w walkach pod Konarami; bitwa pod Kozinkiem (19 maja 1915) ma coś z manewru napoleońskiego – na mniejszą skalę i w trudniejszych warunkach. Wspominam o niej, gdyż jej schemat – powiększony do wymiarów strategicznych – odnajdziemy już za lat kilka w Operacji Warszawskiej.

Po zwolnieniu z twierdzy magdeburskiej Piłsudski staje na czele wojska, dokonuje scalenia różnych formacji, stacza wojny z siłami pięciu wrogich armii. Do wojny 1920 roku mobilizuje już cały naród. Etos rycerski doprowadził Polaków do zwycięstwa w Operacji Warszawskiej. Według lorda D'Abernona, brytyjskiego dyplomaty i polityka, była to *18 przełomowa bitwa w historii*. (Przyszli badacze dodadzą jeszcze Stalingrad, Amerykanie upomną się o Midway).

Ukoronowaniem wojskowej drogi Piłsudskiego było okrzyknięcie go Marszałkiem Polski. Podkreślić należy słowo okrzyknięcie nawiązujące do starego obyczaju – okrzykniętym został przecież Jarema Wiśniowiecki, gdy władza królewska i Sejm zwlekały z jego nominacją na hetmana. W podobnej sytuacji był Piłsudski.

Tak więc mianowanie Marszałkiem odbyło się 14 XI 1920 wśród wojska na pl. Zamkowym, buławę wręczał Piłsudskiemu kpr. Jan Żywek, VM, najmłodszy kawaler Krzyża Virtuti Militari.

Charakter uroczysty, aczkolwiek jednorazowy miały obchody stulecia śmierci Napoleona – 5 maja 1921 – kolejne wielkie święto II RP. Ukrytym celem było wpisanie nowego, polsko – francuskiego sojuszu w starą, wspólną legendę. Celem jeszcze bardziej ukrytym – wpisanie w nią samego Piłsudskiego – nowego Napoleona. Trzy miesiące po tych obchodach odbyły się uroczystości 5 sierpnia 1921 roku na Cytadeli. W rocznicę stracenia Traugutta i czterech członków Rządu Narodowego odbyła się wspólna defilada żołnierzy

różnych formacji, także peowiaków i legionistów. Piłsudski, który już wcześniej wydał rozkazy oddawania honorów uczestnikom Powstania Styczniowego, teraz udekorował krzyżem *Virtuti Militari* 10 weteranów tamtych walk, wśród nich Mariana Dubieckiego, Benedykta Dybowskiego, Bolesława Limanowskiego i Aleksandra Kraushara. To święto kończyło historię nieudanych walk o niepodległość. Nazajutrz, 6 sierpnia, odbyły się obchody rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej. To święto przypominało początek walk prowadzących do zwycięstwa. I tylko to święto wejdzie na stałe do polskiego kalendarza. Potem do rocznic tych zwycięstw dojdzie jeszcze Święto Żołnierza obchodzone 15 sierpnia, na pamiątkę zwycięstwa pod Warszawą. Ogólnopolski charakter miały także obchody Święta Niepodległości – 11 listopada i Konstytucja 3 Maja, a także... Święto Morza (28 czerwca).

Piłsudski zauważył kiedyś, że *w Polsce za mało obchodzi się rocznic wielkich zwycięstw odniesionych w naszej historii, a za dużo sentymentalizmu łączy nas z rocznicami tragicznymi*. Próbując naprawić to skrzywienie, wprowadził w życie cywilne zwyczaj uroczystego obchodzenia świąt pułkowych – daty tych świąt przeważnie upamiętniały zwycięstwa tych pułków. Programowo apolityczne wojsko (może nie tyle apolityczne, co apartyjne) miało być spoiwem społeczeństwa, piłsudczycy zaszczipiali Polsce kult wojska i kult wartości wojskowych – niezależnych przecież od religii czy partii – wartości takich jak honor, patriotyzm, lojalność, wierność słowu itd.

Podczas pokoju jaki nastał po wojnie i po III Powstaniu Śląskim zaczęła dochodzić do głosu wartość mieszczańskiej nawet sklepikarskiej etyki endeków i pokrewne im wartości awansującej do władzy pazernej warstwy chłopskiej. Widziany w tej perspektywie rokosz 1926 roku jest walką etosu rycerskiego z systemami wartości warstw niższych.

II. Budowa struktur wspólnotowych. Z garści prochu żywy organizm.

To zaczęło się jeszcze w szkole. Wbrew legendzie nie Józef Piłsudski organizował „Spójnię” istniała wcześniej, w tej szkole rządził taki *Genius loci*, to był przecież Uniwersytet Mickiewicza i jego „promienistych”. Ale „Ziuk” Piłsudski nadał „Spójni” nową dynamikę, przejął jej kierownictwo, organizował spotka-

nia, kierował tajną biblioteką, szykował (ostatecznie nieprzeprowadzoną) akcję ulotkową wśród żołnierzy rosyjskich. Na modelu młodzieżowej organizacji uczył się dorosłego życia politycznego.

Kolejna struktura, którą Piłsudski przejął była PPS. Była już mowa, jak to kółka partyjne przypominające dyskusyjne kluby dla ubogich przerobił na jednolitą, zdyscyplinowaną organizację, wprowadził regułę „rozporządzalności”, zaczął pilnować składek i wynagrodzeń, zorganizował sieć melin. Akcja szkoleń i „polityki czynnej” zaowocowała systemem grup bojowych i wyspecjalizowanych (technika, kolportaż, prelegenci).

W efekcie kilkunastu lat ciężkiej, do tego konspiracyjnej pracy powstało Państwo Podziemne PPS – na wzór Polski Podziemnej Traugutta.

Najważniejszymi jego strukturami były: prasa partyjna, skarb, (od 1912 – Polski Skarb Wojskowy z Bolesławem Limanowskim na czele) i grupy paramilicyjne. Piłsudski stworzył ruch jawno – tajny, który modernizując można nazwać „hybrydowym”; piłsudczycy mówili bardziej obrazowo o grze na dwóch fortepianach. Jawnie działa wydawnictwo „Książka”, choć część jego produkcji jest tajna, do propagandy niepodległościowej wykorzystywana jest prasa PPS, ale także prasa niezależna od partii (np., PPSD), czasem prasa emigracyjna; Szkoła Bojowa działa nielegalnie – ale bez przeszkód ze strony austriackiej „ewidencji”; w 1909 powstaje tajny Związek Walki Czynnej, który w 1910 wypączkowuje jawne przybudówki „strzeleckie” Związek Strzelecki we Lwowie i Towarzystwo Strzelec w Krakowie.

Pierwsze struktury władzy: Komisariaty WP.

Wybuch wojny stwarza nową sytuację i nowe możliwości. Piłsudski jednak dalej zachowuje dwutorowość działań: Strzelcy i Legiony działają jawnie, współpracują z Austriakami, lecz na trasie ich marszów metodą faktów dokonanych powstają Komisariaty Wojska Polskiego. Są to ekspozytury tajnego „Rządu Narodowego”, dodajmy: ekspozytury rzeczywiste, działające podczas gdy ów rząd jest fikcją. Ich manifestem i podstawą prawną jest rozlepiana na murach „Odezwa Komendy Głównej Wojsk Polskich”, w której Rząd Narodowy wzywa do tworzenia Wojska Polskiego:

Wojsko rosyjskie opuszcza nasz kraj [i] nie powróci już do Polski- zapewniała

odezwa. *W postaci Rządu Narodowego wstępują na ziemię naszą – od tylu lat przez moskale przemocą wygnane – Prawo, Ład, Spokój, Bezpieczeństwo*”.

Precyzując: Komisariaty były na pozór cywilnymi organami ruchu piłsudczykowskiego, ale wydzielonymi częściowo spośród „strzelców”, częściowo z tajnej PPS. Jako pierwszy – jeszcze bez nazwy – powstał urząd polski w Słomnikach, na jego czele stanęło dwóch naczelników: cywilny – Bogusław Kowalski, wojskowy – Kazimierz Kamiński. Żeby było dziwniej, to ten cywilny komisarz był związany z PPS, wojskowy był malarzem.

Tuż potem w Miechowie powstał I Komisariat Wojsk Polskich, wzorowany na komisariatach z 1863 roku (przecież komisarzem Rządu Narodowego w powiecie kowieńskim był ojciec przyszłego Naczelnika – Józef Wincenty Piłsudski!). Pierwszym komisarzem w Miechowie został Stanisław Tor – uczestnik wspomianej już walki PPS na Placu Grzybowskim. Leon Wasilewski organizuje tutaj pierwszy oddział milicji polskiej, liczący początkowo 12 ludzi. Jedną pierwszych inicjatyw nowych władz była rozbiórka cerkwi prawosławnej stojącej na głównym placu miasta.

Komisarzem na Jędrzejów został Emil Bobrowski z galicyjskiej PPSD – lekarz, poseł do austriackiego sejmu, prezes „Strzelca” na krakowskim Podgórzu.

Władzę komisarzką w Książ Wielki objął Jerzy Żuławski – filozof, poeta, prozaik, dramaturg (*Eros i Psyche*), twórca polskiej literatury SF – autor między innymi powieści *Na srebrnym globie*.

Komisarzem na Starachowice i Ostrowiec został Stanisław Siedlecki komisarz w Ostrowcu wydał pierwszy wyrok na pierwszego szpiega – wyrok na 1 szpiegu – Abrahama Racimorę. To że szpiegował na rzecz Rosji i, że go powieszono, to rzecz mało ważna aczkolwiek sprawiedliwa. Naprawdę ważny był symbol: manifestacja suwerenności prawnej na polskim terenie. Szpieg został ukarany nie tylko za szpiegostwo, także za zdradę.

Kielce objął w komisarzyczną władzę Michał Sokolnicki z PPSD. Zaliczył on wspaniały sukces werbunkowy: podczas akcji prowadzonej w Kielcach od 22 sierpnia do 10 września do oddziałów Piłsudskiego zgłosiło się 945 ochotników!

PON i TRS

Wobec wiszącej nad tymi – pierwszymi od 1831 roku organami polskiej władzy groźby ich likwidacji Piłsudski tworzy legalne Komisarjaty Polskiej Organizacji Narodowej. Organizacja ta miała być oparciem dla legionowej akcji zbrojnej i zawiązkiem *samoistnego ustroju polskiego narodu*. PON powstała we wrześniu 1914, a już w październiku, jako jej tajne dopełnienie powstała Polska Organizacja Wojskowa.

Odnotować także należy okres jawnego działania piłsudczyków. 6 grudnia 1916 ogłoszono (datowane na 6 listopada) powołanie Tymczasowej Rady Stanu. Przewodniczącym, czyli Marszałkiem Wielkim Koronnym mianowany został Wacław Niemojewski, Piłsudski objął Referat Wojny. Był to organ doradczy, zależny od władz okupacyjnych niemniej dysponujący w wielu dziedzinach autonomią. Działalność TRS nie trwała długo, TRS zaczęła się domagać ustanowienia regenta, chciała przejąć szkolnictwo i sądy – w końcu podała się do dymisji. (Piłsudski zrobił to wcześniej i wywołał tzw. kryzys przysięgowy). Mimo tej, łatwej do przewidzenia klęski, TRS odegrała sporą rolę w uczeniu Polaków samorządności. Za okazany wówczas brak lojalności Piłsudski znalazł się w twierdzy magdeburgskiej – niemniej ruch stworzony przez niego istniał i działał. W 1918 roku jawnie funkcjonująca następczyni Legionów PSZ i („Polskiego Wehrmachtu”) i wychodzący z podziemia POW i działająca w ośrodkach przemysłowych Milicja PPS staną do walki o niepodległość.

Pokój, czyli inne formy walki

Polacy nie otrzymali niepodległości w prezencie jak kilka innych państw, zapłacili za nią krwią tysięcy ludzi. Klęska wszystkich trzech zaborców stanowiła okoliczność sprzyjającą tej walce, lecz do odbudowania Polski potrzebna była własna siła, która opanuje teren przyszłego państwa. Dlatego tak ważna była militaryzacja narodu. Po wywalczeniu niepodległości piłsudczycy stali się główną siłą organizującą Rzeczpospolitą. Z trzech prowincji stanowiących w państwach zaborczych obszary peryferyjne, zaniedbane ekonomicznie i kulturowo, stworzono państwo homogeniczne cywilizacyjnie i prawnie, państwo z własnym centrum, jednolitą gospodarką, transportem i łącznością, rozpoczęto nacjonalizację przemysłu i finansów a także reformę rolną. Oczywiście

Naczelnik Państwa nie wykonywał wszystkich tych prac osobiście, miał do dyspozycji stworzony cały aparat władzy, tysiące żywych, mądrych i oddanych sprawie narzędzi – niemniej tworzył Polskę według swojej wizji i ponosił za tę twórczość odpowiedzialność. Po rywalizacji wojennej nie następował harmonijny pokój tylko kolejny okres rywalizacji. Mówił o tym Piłsudski

podczas spotkania w Poznaniu 26 października 1919 roku:

Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy. Jest on teraz, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten w najbliższych czasach będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił.

Celem była nadal niepodległość – zmieniał się rodzaj broni, walkę zastępowała praca. Jakość i godność pracy były zawsze troskami PPS. Nic dziwnego, że po 1918 roku piłsudczycy zajęli się unikalną w skali świata reformą pracy. Dekretem Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego 3 stycznia 1919 powołana została Państwowa Inspekcja Pracy. Rangą dorównywała Głównemu Inspektoratowi Sił Zbrojnych. Do jej trosk należały także sprawy bezrobotnych, sprawy kobiet, zakazana została praca dzieci. Głównym Inspektorem Pracy został przejściowo inż. Franciszek Sokal (Minister pracy w działającym tydzień prowizorium Władysława Wróblewskiego), jego następcą Marian Klott – bojowiec PPS, działacz POW, podczas I wojny więziony przez Niemców, po II wronie – przez komunistów. Piastował swe stanowisko do wybuchu II wojny światowej. Ciągciem dalszym prac nad jakością pracy i życia pracujących była reforma ubezpieczeń przeprowadzona w 1934 roku – jeszcze pod okiem Piłsudskiego. Z kilku różnych instytucji stworzono Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

III. Tworzenie polskiej legendy.

Nadbudowa polskiego sacrum

Fragment mówiący o wyścigu żelaza i o wyścigu pracy to jeden z najczęściej przywoływanych cytatów Piłsudskiego. Mniej popularny, a równie ważny jest fragment przemówienia Naczelnika wygłoszonego w Chełmie 11 stycznia 1920:

Polska idzie w purpurze chwały i zwycięstwa, a otoczyć się musi purpurą światłości i doskonalenia się wewnętrznego. Tak jak Polskę całą wzywam i was do podjęcia pogodnej pracy rozwojowej, gdyż musimy wznieść się na jak najwyższy poziom kultury, aby z dorobku naszego mogły korzystać i dalsze tereny, by mogły czerpać pełną garścią światło i wszelką pomoc.

Oprócz wyścigu pracy czekał nas wyścig kultury i oświecenia.

Wspomnieć więc trzeba o pracy Józefa Piłsudskiego przy budowie sfery najwyższej – pamiętając, iż najpierw był terminatorem, potem dopiero mistrzem. W świat najwyższych wartości był Piłsudski wtajemniczany od dzieciństwa – poprzez rodzinne opowieści o Powstaniu 1863 i poprzez wieczory poświęcane literaturze narodowej. Matka przyszłego Marszałka najbardziej ceniła Krasińskiego, on – Słowackiego, którego wiele wierszy znał na pamięć. Znał też całe go Beniowskiego oraz duże fragmenty Króla Ducha jak również wiele utworów Mickiewicza. W przyszłości ich cytatami będzie zdobił swoje przemówienia. Jako przywódca PPS zaangażuje się w 1918 roku w obchody setnej rocznicy urodzin poety – by niejako odebrać je zaborcom. Ważną rolę w wychowaniu duchowym Piłsudskich odegrały też Śpiewy Historyczne Niemcewicza – nie tylko przypominały historię, ale też ją swą formą udostojniały, zamieniały w legendę. W tej legendzie Piłsudski mieszkał w dzieciństwie, w nią uzbrojony wyszedł w świat.

Po rozpoczęciu nauki w I Gimnazjum Wileńskim, Józef i jego brat Bronisław rozpoczęli działalność w tajnej grupie „Spójnia”. W oparciu o księgozbiór jednego z kolegów, Witolda Przegalińskiego i po zasileniu go książkami Piłsudskich zorganizowano „latającą bibliotekę”, która stała się jednym ze źródeł

patriotycznej wyobraźni. Z literatury legalnie dostępnej – skarbnicą wartości okazała się „Trylogia”, którą w latach 1883–4 drukowało wileńskie „Słowo”. Bohaterowie Sienkiewicza stali się bohaterami młodych konspiratorów i towarzyszyli im później, w wieku dojrzałym.

Na ogół nie docenia się faktu, że to Piłsudski przekonywał i ostatecznie przekonał działaczy PPS do roli literatury i do zrozumienia wpływu kultury (a nie tylko ekonomii!) na życie społeczne. Na przekór dominującej w socjalizmie doktrynie od początku podkreślał (np. w 1896 w 19 numerze „Robotnika”, iż literatura jest najpotężniejszą dźwignią rozwoju społecznego, rozumieją to władze zaborcze i dlatego literatura polska tak jest uboga „pod opieką” carską. W 1903 roku zjazd CKR jedną z poważniejszych przeszkód dla rozwoju ruchu (socjalistycznego) jest niska kultura ludu, dlatego praca na polu kultury jest warunkiem „być albo nie być” społecznej rewolucji. Dlatego równoległe do „Strzelca” piłsudczycy zakładają towarzystwo „Książka”, dlatego też sam Piłsudski włącza się w prace literackie tworząc w „Bibule” legendę prawdziwą PPS.

Piłsudski próbował także wciągnąć w pracę ludzi kultury. W zasięgu PPS znalazł się Żeromski a nawet i Wyspiański. Ten drugi na rzecz PPS przeznaczył w 1905 roku litografię ze swym hymnem *Veni creator*. Docelowo miało być tego 100 tysięcy sztuk, ile zrobiono – historia nie przekazała. Piłsudski namawiał także Stanisława Witkiewicza do pisania o Legionach – plany zniweczyła niestety śmierć pisarza w 1915 roku. W kręgu legendy PPS i Legionów znaleźli się – bez namawiania – tacy twórcy jak Orkan, Kaden – Bandrowski, a z poetów Broniewski i wszyscy Skamandryci. Dopełnieniem ich dzieł były rzeźby Laszczki czy Wittiga, obrazy Malczewskiego, Krzyżanowskiego, Kossaka i wielu innych twórców.

Najważniejszy jednak był Sienkiewicz. I naprawdę nie miało znaczenia, iż sam pisarz nie chciał czynnie popierać piłsudczyków – uczynili to wszyscy jego bohaterowie, poniosła ich na skrzydłach sienkiewiczowska legenda.

Wpływ autora „Trylogii” (i „Legionów”!) na przyszłego Marszałka nie ograniczył się do werbalnych deklaracji. Na jego bohaterach wzorował też i swoje zachowanie.

Do legionowych legend przeszła przeprawa z Opatowca przez Wisłę – 23 września 1914. Piłsudski odpłynął na ostatnim pontonie, można powiedzieć jak kapitan okrętu, można powiedzieć – jak Skrzetuski na Dnieprze.

Sienkiewiczowski z ducha był marsz przez Ulinę Małą, który Piłsudski opisał w szkicach „Moje pierwsze boje”. Wspomina tam, że gotów był prowadzić swych żołnierzy nawet w Tatry i w ich scenerii stoczyć ostatnią wielką bitwę – hekatombę. Ten opis był przeniesieniem wspominanych wydarzeń – w legendę.

Atmosfera „Trylogii” panowała też na Reducie Piłsudskiego na Wołyniu. Piłsudski przechadzał się po umocnieniach niby Jarema na murach Zbaraża – i też „nie kłaniał się kulom”. A legionieści – niczym obrońcy Kamieńca – słyszeli nocą głucho, złowrogo uderzenia i przekonani, że wróg podkopuje się pod ich pozycje zaczęli drążyć kontr podkop...

Sienkiewiczowski był też w końcu „bunt” generała Żeligowskiego. Jego natchnieniem mogły być instrukcje Chmielnickiego, który już podczas pertraktacji z Polakami kazał Krzywonosowi „bez wiedzy” swojej zajmować jak najwięcej ziem.

Marszałek wzorował się nie tylko na bohaterach Sienkiewicza. Wyprzedzając bieg wydarzeń przywołajmy scenę z 28 czerwca 1923 roku. Tego dnia Piłsudski zrzekł się ostatniej swej funkcji państwowej – szefostwa Ścisłej Rady Wojennej. Otwierając posiedzenie oświadczył, że ma ono tylko jeden punkt – zdanie służby przewodniczącego przez siebie – i posiedzenie zamknął. Ta scena też ma pierwowzór: wielką scenę koronacyjną z „Kordiana”, podczas której car powie tylko jedno słowo: „przysięgam”...

Odwrócenie ról

Można powiedzieć, że początkowo legendy³ posługiwały się Piłsudskim, wpisywały jego życie w przygody Filomatów i carobójców, potem w los ze-

³ Na marginesie rozróżnienie: wspomnienia mają charakter autorski, aspirują do prawdziwości, jeśli są podkolorowane to w granicach prawdopodobieństwa, legendy są już często dziełami zbiorowymi (więc anonimowymi), wzmagają się żywioł wspólnoty, bohaterom przypisywane są czyny możliwe i niemożliwe – zdążając w kierunku fantastyki, lecz nie w kierunku świętości. Tą wartość włączają dopiero mity.

słańca Sybiru i więźnia Cytadeli. Piłsudski uczestniczy w nieudanym spisku carobójców, potem w próbie buntu w więzieniu, jeszcze później – ucieka z więzienia. Jako przywódca podziemnej PPS jest jakby nowym Trauguttem – i tutaj następuje pierwsza korekta legendy: Piłsudski jest Trauguttem który nie ginie, który nawet ucieka z więzienia. Ta zmiana ma też charakter ilościowy: Traugutt był Naczelnikiem 7 miesięcy – Piłsudski – ponad 10 lat, bo po maju 1926 roku de facto wraca na najwyższy urząd w państwie.

Powiedziałem, że najpierw legendy posługiwały się Piłsudskim. Możemy wskazać moment, od którego Piłsudski świadomie zaczyna posługiwać się legendami. Poświadczony jest co do dnia:

około godziny 14.00 w dniu 6 sierpnia 1914 roku rozpoczęło się nadzwyczajne posiedzenie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, w czasie którego Józef Piłsudski poinformował zebranych o powołaniu Rządu Narodowego w Warszawie, któremu się podporządkował. Komendant zażądał „od KSSN do tego fait accompli”, a Komitet jednogłośnie wyraził zgodę na rozpoczęcie kroków wojskowych oraz gotowość porozumienia się z Rządem Narodowym.

W rzeczywistości żaden Rząd Narodowy nie istniał. Piłsudski sam pisał o tym po latach : „zajęty więc byłem parę dni obmyślaniem politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie nad jedynym możliwym projektem spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależności od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie. Gdy przebiegałem listę osób, którym mógłbym do tego celu użyć, zrzekałem się od razu myśli i próby urzeczywistnienia tego projektu, gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi tak dalece wahającymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczności, że właściwie musiałbym robić wszystko za nich /.../. Dlatego wołałem tajną i daleką od Krakowa fikcję niż cokolwiek innego”.

Tak więc po zakończeniu posiedzenia KSSN Piłsudski spotkał się ze swymi współpracownikami. Leonowi Wasilewskiemu polecił napisać odezwę Rządu Narodowego. Tekst odezwy był bardzo krótki: „Polacy! Podajemy do wiadomości następująca odezwę Rządu Narodowego: Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy. Obowiązkiem wszystkich Polaków skupić się solidarnie

pod jego władzą. Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został ob. Józef Piłsudski, którego rozporządzeniem wszyscy ulegać winni. Rząd Narodowy Warszawa 3 sierpnia”. Stanisław Siedlecki, późniejszy senator RP scyzorykiem w miękkim kamieniu wydłubał „pieczętę z orłem i odpowiednim napisem”.

Odezwę uzupełniała proklamacja napisana również przez Wasilewskiego, a podpisana przez „Komendanta Głównego Wojska Polskiego Józefa Piłsudskiego”. Napisano w niej: „Wybiła godzina rozstrzygająca! Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swą przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego, jedyne go gospodarza – Ludu Polskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i zbogacił. Zajmując ją w imieniu władzy naczelnej – Rządu Narodowego, niesiemy całemu Narodowi rozkucie z kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju. Z dniem dzisiejszym cały Naród skupić się winien w jednym obozie pod przewodnictwem Rządu Narodowego. Poza tym obozem pozostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni”.

Od tej pory ruch piłsudczykowski zacznie się wpisywać najpierw w legendę strzelców z 1863 roku, następnie w legendy Legionów – Dąbrowskiego ale i Mickiewicza. Pod koniec wojny Naczelnik powtórzy losy uwięzionego w twierdzy wrogów Kościuszki, w 1920 roku – w dwie zwycięskie legendy na raz: Chrobrego poprzez wyprawę kijowską i Sobieskiego przez zatrzymanie najazdu barbarzyńców.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o niezrealizowanym pomysle szarzy polskiej wyprawie kawalerii na Połock – aby odebrać bolszewikom narażone na profanację szczątki błogosławionego Andrzeja Boboli. Niestety – pilniejszy był zagon na Korosteń dający wyjście i na Kijów i na Odessę, i taki, pod dowództwem zwycięzcy spod Komarowa, pułkownika Juliusza Rummla został zwycięsko przeprowadzony. Ta szarża przekonała bolszewików, którzy wciąż kombinowali jak oszukać i nas i świat – że jednak marzą o pokoju. Potem nastąpił rozejm, sprawę Boboli oddano dyplomacji.

Powrót Króla Ducha

Największym, wzorcowym świętem II Rzeczypospolitej były – inicjowane i dogłądane przez Marszałka uroczystości sprowadzenia do Polski prochów Juliusza Słowackiego.

O sprowadzeniu zwłok poety przemysliwano niemal nazajutrz po zdobyciu niepodległości. Sprawa się jednak przeciągała – po części z powodu oporów kardynała Sapiehy, który uważał, że Wawel jest i musi pozostać zbiorowym grobowcem dawnych władców. Sprawy ruszyły z miejsca dopiero po przewrocie majowym, opór Sapiehy przełamał odręczny list Piłsudskiego do kardynała.

24 kwietnia 1927 roku Sapieha wystosował pismo, w którym udzielił zgody na pochówek poety: (...) szczęśliwy jestem, że mogę dziś przestać (...) moją zgodę stanowczą na złożenie zwłok naszego wielkiego poety w podziemiach Katedry na Wawelu, powtarzając raz jeszcze, że czynię to wyjątkowo i, że odtąd groby zasłuzonych tamże będą zamknięte. Ostatnie zdania mógłby sobie darować.

Uroczystości zaczęły się w Paryżu. 14 czerwca na paryskim cmentarzu Montmartre o ósmej rano, dokonano ekshumacji zwłok poety. W kalendarzu życia i twórczości Słowackiego znajduje się relacja konsula generalnego RP Karola Poznańskiego:– *Grabarze wyjęli z grobu i ułożyli na prześcieradle czaszkę Słowackiego; była nienaruszona, miała wszystkie zęby (patrzac na jej fotografię widzę, że jedynie w górnej szczęce brak kilku); na czaszce czupryna nienaruszona, dawała się zdejmować jak peruka. (...). Jak się okazało, w grobie było bardzo niewiele części szkieletu, poza czaszką – jedna tylko dobrze zachowana kość piszczelowa, ponadto zaledwie około 25 drobnych kości, których nie potrafiłem rozpoznać z punktu widzenia anatomicznego. Z grobu wydobyto też jedną długą bardzo grubą skarpetę; pomimo że przeleżała w grobie 78 lat – można było rozpoznać, że była z białej wełny. Byłem zdziwiony, że zachowała się tak nieznaczna część szkieletu. Kazałem dalej kopać w grobie, nic już więcej nie znaleziono. Wszystko, co pozostało po Słowackim, można było zawinąć w jedną serwetkę (...). W pobliżu grobu, pod zaimprovizowanym namiotem, ustawiony był stolik. Na tym stolikułożyłem czaszkę Słowackiego. Do stolika podszedł prof. Papillon, antropolog, i przystąpił do pomiarów czaszki. Trwało to dość długo. Po skończonej pracy prof. Papillon oświadczył mi, że gdyby nie wiedział, że jest to czaszka trzydziestokilkoletniego mężczyzny, doszedłby do wniosku, że jest to czaszka dziecka, tak drobnej, filigranowej była budowy.*

Szczątki poety złożono do małej trumny w kształcie skrzyneczki i przewieziono do Cherbourg, skąd przewiezione zostały transportowcem wojennym „Wilia” do Polski. Wartę przy trumnie pełnili m.in. poeci Lechoń i Artur Oppman (Or – Ot). Gdy 20 czerwca „Wilia” zbliżyła się do wybrzeży Polski – na jej spotkanie wypłynęło kilka okrętów. Na wysokości Helu uformowała się eskorta prowadził: torpedowiec „Mazur” za nim płynęła „Wilia” oskrzydłona przez towarzyszące jej trawlerzy „Rybitwa” i „Jaskółka”. Po uroczystościach w Gdyni trumnę przeniesiono na pokład torpedowca „Mazur”, który przetransportował ją na Westerplatte. Po przeniesieniu trumny na statek wiślany „Mickiewicz” kondukt popłynął w górę Wisły. Podróż do Warszawy trwała prawie tydzień, gdyż statek zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie, Modlinie – wszędzie ludność składała hołd prochom wieszcz. 26 czerwca statek przybił do przystani w Warszawie, skąd kondukt przeszedł do katedry świętego Jana, gdzie wystawiono ją na widok publiczny. Następnego dnia o ósmej rano kardynał Aleksander Kakowski odprawił uroczystą mszę, po której trumnę poety odwieziono zaprzężonym w osiem koni szkarłatnym rydwanem na Dworzec Główny. Stąd – już pociągiem – przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się na dłużej w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie Trybunalskim, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, Sosnowcu i Katowicach, mijając inne większe stacje – zwalniał bieg.

Trumnę wystawiono na całą noc w Barbakanie zamienionym na kaplicę – pośród wart honorowych i pochodni. 28 czerwca rozciągnięty na kilka kilometrów pochód odprowadził szczątki Poety na Wawel, gdzie odbyła się główna ceremonia. Kazanie wygłosił ksiądz biskup Godlewski, a poświęcenia szczątków dokonał biskup Sapięha. Przemówienie wygłosił Marszałek Piłsudski, który kończąc zwrócił się do otaczających trumnę oficerów: *W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy.*

Przy akompaniamencie dzwonu Zygmunta prochy Słowackiego zostały złożone obok Adama Mickiewicza. Uroczystości zakończyła salwa 101 strzałów armatnich.

Sakralny i socjalny wymiar trwających dwa tygodnie wędrówek prochów Słowackiego przez Polskę uchwycił trafnie sprawozdawca „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”:

Wrażenie galowego przedstawienia, podobnie jak i całego uroczystego dnia wczorajszego, zwłaszcza na delegatach ludności z poza Krakowa, było niezwykle podniosłe. Wspaniały i poważny pochód na Wawel, galowe przedstawienie w teatrze, wreszcie ,Wianki’ odbywające się wieczorem nad Wisłą, złożyły się na program uroczystości dostojnej i podniosłej, która na uczestnikach pozostawi niezatarte wrażenie i stworzy nowe ogniwo w łańcuchu miłości braterskiej, łączącej wszystkich Polaków.

Pogrzeb Słowackiego stał się takim ogniwem. Kilka lat później, następnym ogniwem takim będzie pogrzeb Józefa Piłsudskiego.

Do refleksji dziennikarza Kuryera dopisać trzeba kilka zdań. Pogrzeb Słowackiego nie był zwykłym pogrzebem, w ogóle nie był pogrzebem. Była to raczej próba wyrwania poety śmierci. Poeta wyrwany ziemi, wędruje najpierw przez morze, potem rzeką i kolejną przez kraj – jak władca obejmujący we władanie swoje królestwo. Okręty oddają mu cześć na morzu, konduktory na ziemi. W odwiedzanych miastach odbywają się msze, akademie, procesje. Piłsudski tworzy nowe sacrum, ale nie jest to sacrum wrogie religii, nie jest nawet konkurencyjne. To sacrum religijne stanie się częścią tych obchodów.

Podobnie będzie za lat kilka z samym Piłsudskim. Zostanie zabalsamowany i złożony na Wawelu – i tam – jakby nie umarł, jakby miał czekać – podobnie jak Czekają rycerze w jaskiniach Tatr. Nawet komuniści nie wygrali z jego legendą.

Ostatnie, świąteczne wynalazki Marszałka.

6 października 1933 roku odbyły się największe w naszych dziejach obchody rocznicy zwycięstwa: 250-lecie Odsieczy Wiedeńskiej.

Na podkrakowskich Błoniach odbyła się defilada dwunastu pułków kawalerii, nie mająca – jak podkreślała prasa – równych sobie w historii. Następnie

udano się na Wawel do katedry, gdzie cała generalicja z marszałkiem Piłsudskim na czele oddała hołd Janowi III. Piłsudski złożył wizytę kardynałowi Sapieże, a mówiąc o grobach wawelskich i pół żartem wspomniał, że może i dla niego znajdzie się wśród nich miejsce. Pół żartem i całkowicie serio. Warto wspomnieć, iż podczas bankietu prócz toastu za jazdę polską wzniesiono toast na chwałę Turcji, w uznaniu jej wieloletniej postawy wobec Rzeczypospolitej (pomocy uchodźcom i obecnie podważanego przez ekspertów nieuznania rozbiórów).

Elementem państwowego sacrum stała się też postać Marszałka. Piłsudski pojawiał się coraz rzadziej na najważniejszych tylko uroczystościach, przemawiał, dekorował zasłużonych. Półoficjalnie, ale jako święto państwowe, obchodzono Imieniny Marszałka, podobizny Piłsudskiego zaczęły ozdabiać ściany szkół, srebrne monety, także znaczki pocztowe. W roku 1934, 6 sierpnia rozpoczęto na krakowskim Sowińcu budować Kopiec Piłsudskiego. Jeszcze za życia, choć już blisko śmierci. Kreacja łączyła się z autokreacją, a obydwie dobiegały końca.

Piłsudski umarł 12 maja 1935 roku. Dwa dni po zgonie znaleziono kartkę-testament: zaczynającą się od słów:

Nie wiem czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu...Niech!

I dodaje: *Niech tylko moje serce wtedy zamknięte schowają w Wilnie gdzie leżą moi żołnierze*

tak się stało.

Bramy śmierci zamknęły się nieszczelnie.

ŚMIERĆ PIŁSUDSKIEGO

Mówili: byłeś pawiem narodów, papugą...
 Gorzej – ty byłeś dziwką! Piękną i szaloną,
 dziwką, która nie idzie przez świat, ale tańczy,
 nie myśli, lecz się śmieje...
 Tym, co Cię kochali
 plułaś w twarz – też ze śmiechem. Lecz tym, co Cię bili
 umiałaś lizać łapy. Słać listy miłosne
 do Moskwy, do Berlina, skamlałaś u drzwi
 żeby wpuścić raczyli... A gdy Ci kazano
 swój własny pomiot jak suka rzucałaś
 gdzieś wśród łągów Syberii...
 Tak, umiałaś walczyć
 jak dziwka z pazurami skakałaś do oczu
 z pazurami na czołgi... Zdychałaś w konwulsjach
 na każdym progu domu. A potem ze śmiechem
 szłaś do łóżka zwycięzcy... Kto Ciebie zrozumiał,
 kto potrafił tak kochać, by chlasnąć Cię w twarz – -
 o Polsko! Polsko!
 noc stoi u granic
 noc nadchodzi milczącym, krwawym korowodem – -

Wiem, że nie będziesz wierna. Ale bardziej boli
 lęk: komu starczy siły, by być wiernym Tobie?

Dziś publiczna prezentacja tego wiersza nie wydaje się niczym niezwykłym. W czasach tzw. Polski Ludowej – była czymś niezwykłym, zakazanym. A jednak wiersz był prezentowany publicznie i to nie tylko na „podziemnych” spotkaniach, czy z zaskoczenia w ramach „poetyckich desantów”, ale także zupełnie legalnie, raz nawet w siedzibie Związku Literatów Polskich i otrzymał główną nagrodę Przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej. Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie – spieszę więc sprawę wyjaśnić.

Przygody wierszy i autorów

W 1972 roku odbyła się I Warszawska Jesień Poezji. Z tej okazji odbył się także konkurs poetycki, który od „normalnych” turniejów jednego wiersza różnił się tym, że wiersze nadsyłało się wcześniej pod pseudonimami na adres ZLP, oceniało je kilkoosobowe jury a potem, nagrodzone utwory miały zostać zaprezentowane podczas imprezy a nawet wydrukowane. Obradom jury przewodniczył Zbigniew Herbert, który dysponował kilkoma członkami. Byli to: Witold Dąbrowski, Marian Grześczak, Janusz Maciejewski i Jacek Trznadel. W obradach brał też udział raz Przewodniczący Stołecznej Rady Narodowej a raz jego pełnomocnik – a to dlatego, że główną nagrodę fundowały władze Warszawy. Pozostałe – Związek Literatów. Konkurs skończył się podwójnym sukcesem poetów Nowego Romantyzmu. Nagrodę ogólną, fundowaną przez ZLP dostał łódzki poeta, a prywatnie mój przyjaciel Jacek Bierezin, za wiersz *Emigranci*, nagrodę ufundowaną przez władze Warszawy – mój poemat „Pamięć” (z podtytułem „Tryptyk Polski”).

Tu trzeba dodać parę słów o poetyckiej strategii. By zwiększyć szanse na nagrodę, poeci posyłali czasem większą liczbę wierszy – pisanych w różnych poetykach i podpisanych różnymi pseudonimami. Mój tryptyk nie był jednak wysłany w trzech dawkach, miał jeden pseudonim a wszystkie jego części utrzymane były w tej samej poetyce. Był to po prostu tryptyk a mówiące o różnych sprawach wiersze mówiły w gruncie rzeczy o tym samym: o polskiej pamięci. Był w tym też element nie całkiem nieświadomej prowokacji: w jednym z wierszy, zatytułowanym *Apel poległych* padało słowo Katyń skreślane wówczas przez cenzurę, drugi mówił źle o Polakach a dobrze o potępianym urzędowo Piłsudskim Śmierć Piłsudskiego, trzeci, *Warszawa 1944. Akademia* był kpina z żalonych akademii urządzanych w PRL ku czci warszawskich powstańców. Broń Boże ku czci Powstania! – te dwie rzeczy wówczas rozróżniano!

Tryptyk był kilkakrotnie zamieszczany i w pokonkursowych prezentacjach i w jakichś „młodoliterackich” antologiach. W *Apelu poległych* wykreślano słowo *Katyń* (albo cenzura wykreślała cały wiersz) w wierszu o *Powstaniu* jacyś ambitni cenzorzy zmieniali niesłuszne linijki na słuszne, *Piłsudski* był po prostu pomijany. Żeby jednak tryptyk był tryptykiem jako część trzecią raz wstawiono

mi wiersz *Wietnam 1966*, raz *Oświęcim 1995* – same tytuły wskazywały, że utwory te powstawały w innym okresie. *Oświęcim* miał charakter ponurej przepowiedni akcja działa się 30 lat po napisaniu; *Wietnam* nie mówił o pamięci, a fakt, że był przeważnie skreślany przez cenzorów – był dla mnie sporym zaskoczeniem. Wiersz o Wietnamie został „przemycony” w studenckiej jednodynówce *Nowe Widzenia*, w roku 1970 roku – co parę lat później jeden z moich rywali wykorzystał do mało eleganckiego ataku. Zarzucił mi mianowicie, że specjalnie zamieściłem znany już wiersz, by zaprzyjaźnieni jurorzy wiedzieli kogo nagrodzić. Ani wiersz nie był znany, ani jurorzy zaprzyjaźnieni, Dąbrowski i Trznadel byli wojującymi marksistami, Grześczak – równie wojującym lizusem, a ja po publicznym ogłoszeniu w 1967 roku manifestu *O Nowym Romantyzmie* byłem tępiony jako wróg ustroju i „nacionalista”. Jak dowiedziałem się po latach z akt IPN – byłem też inwigilowany, czasem nawet przez czterech TW jednocześnie. Tylko pseudonim dawał szansę by dostać wtedy nagrodę.

Nagrodzone wiersze zamieściła Literatura 19 października – ale w formie dość okrojonej. Uroczyste rozdanie nagród nastąpiło – we wrześniu albo w październiku 1972 – termin kilkakrotnie zmieniano, to nie pasował prezowski ZLP Bartelskiemu, to przewodniczącemu jury Herbertowi. Pamiętam, że podczas imprezy zazdrościłem Jackowi: jemu wręczał nagrodę „sam Bartelski”, mnie – ledwie Herbert.

Podczas uroczystości doszło do małego skandalu. Otóż uparłem się, że sam przeczytam swój wiersz – miałem prawo podejrzewać, że aktor wybierze tylko jeden, najłagodniejszy tekst z tryptyku – ja chciałem przeczytać wszystkie trzy, co zrobiłem. Chyba wtedy zaczęła się też moja znajomość z Herbertem. Wręczając mi nagrodę powiedział coś w rodzaju *podziwiam, że odważył się pan to napisać*, na co odpowiedziałem, że podziwiam, że odważyliście się to nagrodzić. Po imprezie poszliśmy do „Krokodyla”, śpiewaliśmy lwowskie piosenki i przeszliśmy „na ty”. Rok później ani Herberta, ani mnie nie zaproszono do udziału w Warszawskiej Jesieni, a jako „młodzi poeci” brylowali bardzo słuszni Piotr Matywiecki (syn „Nastka” z AL) i Leszek Szaruga (syn Wirpszy) i oczywiście Bryll. Z poetów związanych z Nowym Romantyzmem tylko Tadzik Mocarski.

W publikacji *Warszawska Jesień Poezji* (1973) zamieszczono tylko jeden tekst z *Tryptyku: Warszawa 1944* – usuwając stary podtytuł *akademia*. a dopisując nowy: *Nagroda Przewodniczącego Prez. St. R. N.*

Przepisuję go tu dla pamięci, zwłaszcza, że – już po konkursie – wprowadziłem do niego parę drobnych, artystycznych a nie politycznych poprawek:

WARSZAWA 1944. AKADEMIA

Tak, oni mieli szczęście. Wtedy każdy szczeniak
rodził się prosto na scenicznych deskach
byle jęk mógł się zmienić w nowy refren hymnu
a nie sprzątane trupy – kamieniały
w osobliwe pomniki –
Ale sztuka życia
to pozostać na scenie gdy uprzątną truchła
i zbierać brawa. No cóż: życie nie jest
dla chorych i dla cikliwych. Choć ma urok
bezsprzeczny miłość, której każdy gest
musiał być dobrze odmierzony
bo mógł ostatnim być, choć jeszcze wzrusza
szara sylwetka chłopca biegnąca naprzeciw
czołgów – z butelką zapaloną w rękę,
choć nawet efektownie brzmi to, co on krzyczy
na tematy ojczyzny nim padnie na bruk – – –

Te głosy i odgłosy nie mogą zagłuszać
dzisiejszej prawdy: świergotu tramwajów
psalmu domowych garów...

Te szeregi zmarłych
idące przez ruiny jak antyczny chór -
muszą zostać w ruinach!

Przybyliśmy po to
aby załatwić z nimi nasze porachunki –

Cóż można zrobić zmarłym, co im jeszcze zabrać
 – śmierć tylko. Kości oskrobać z legendy
 aż będą tylko białe, tylko trochę śmieszne
 jak zbyt kuse protezy...
 Po czym bić brawo, żeśmy ocalili życie
 Tak jak umiemy – przed wielkością śmierci.

Po 1972 roku *Tryptyk Polski* był prezentowany na wszystkich moich spotkaniach poetyckich. Bardzo często przed taką imprezą musieli wysłać do odpowiednich władz wiersze, albo przynajmniej spis wierszy, które będą prezentowane. Mój *Tryptyk* był chroniony dopiskiem, iż jest to główna nagroda Przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej. Taki dopisek pozwalał organizatorom imprez „różną głupą” i unikać represji.

Nim jednak przejdę do dyskusji, które towarzyszyły naszym spotkaniom poetyckim, dla porządku – ostatnia część *Tryptyku*:

APEL POLEGŁYCH

*Oto jesteśmy. My – bohaterowie.
 Znow spoceni ze strachu. Na cieniutkich nóżkach
 niesiemy do was brzuchy odęte od brukwi
 i puste oczy w czaszkach. To już cała prawda
 wydarta życiu z gardła.
 Poznaliśmy sztukę
 kradzieży chleba, wydawania bliskich,
 wstrzymania moczu na nocnym apelu
 szarpania się o pryczę i materac trupa...
 Dla was ją ocalamy, wam jak kamień w pysku
 przynosimy. Bo może przyda wam się sztuka...*

*Oto nas macie. Jak psy tresowane
 pomykamy pod murem znowu słysząc werble –*

*Uczcijcie naszą wielkość -
bo największa zbrodnia,
która uczyła nazbyt kochać życie -
już poza nami. My już znamy prawdę
o sobie samych. Teraz przychodzimy
z całym bezwstydem śmierci. Tak jak który ginął
wdeptani w popiół na placu Majdanka
strzałem w tył czaszki zabici w Katyniu.*

*Przychodzimy jak zawsze - zwabieni werblami
i płaczem żywych.
Jak zawsze za wcześniej,
z nieprzydatną mądrością. Z grymasem na twarzy
błogosławimy waszą żywą miłość - -
byście nas zostawili z naszą nienawiścią.*

Bitwy ze wsparciem Marszałka

Tryptyk, a zwłaszcza wiersz poświęcony Piłsudskiemu był od początku stałym punktem, naszych poetyckich „desantów”, które ex post, po zawarciu znajomości z Moczulskim i awansowaniu do „kręgu Abrahama” zaczęliśmy nazywać „akcją historyczną”. Służył do wywoływania dyskusji o Piłsudskim, o wojnie bolszewickiej i o ustroju II Rzeczypospolitej. Jeśli wiersz o Leninie (ten poświęcony Kornhauserowi) stanowił przyczynek do ataków na ZSRR i zakłamanie komunizmu, to wiersz o Piłsudskim pozwalał przypominać Marszałka i Drugą Rzeczpospolitą. Obydwa te wątki zbiegały się w dyskusjach o stosunkach polsko – radzieckich, o przynależności do bloków i paktów – młodzież była wtedy naprawdę lewicowa, nienawidziła kapitalizmu i niemieckich odwetowców a na pochwały USA miała jeden argument: biją Murzynów. Przy okazji sami uczyliśmy się prawdy o czasach bolszewickich, bo w szkole uczyli nas wdzięczności za to, że Rewolucja Październikowa dała wolność Polsce w 1918 roku, a jakby tego szczęścia było mało – Armia Czerwona przyniosła nam jeszcze trochę wolności w 1945 roku.

Rewolucja nie dała wolności – to znaczy mogła dawać, ale jak Zagłoba

Niderlandy królowi szwedzkiemu. Nie miał więc dawał. Rosjanie od 1915 roku nie mieli władzy nad polskimi ziemiami – więc dawali. Ale jak się dostali w 1920 – czym prędzej odbierali.

To był częsty temat dyskusji.

Niektórzy historycy twierdzą, że po zagarnięciu władzy Lenin i Trocki, naśladując dawnych carów, rozpoczęli „zbieranie ziem”. Jest to prawda – ale niecała. **Istotą Rewolucji Październikowej było połączenie wielkoruskiego szowinizmu z programem rewolucji światowej.** Okazał się niezwykle przydatny i stanowił szlachetniejsze alibi dla zwykłego rozboju. Doktryną obowiązującą Rosjan po 1917 roku stała się koncepcja Lwa Trockiego, iż wobec słabości i niedojrzałości europejskiego proletariatu na bolszewickiej Rosji spoczywa obowiązek wnoszenia rewolucji z zewnątrz – na bagnietach rewolucyjnych armii. „Czerwony marsz” rozpoczęto natychmiast po upadku Niemiec w listopadzie 1918 roku. Za symboliczną datę można uznać **15 listopada 1918** – tego dnia Zachodni Rejon Obrony został przemianowany na Armię Zachodnią. Oddziały tej armii rozpoczęły marsz w kierunku Polski, zajmując Mińsk, Lidę i Wilno. Pułki sowieckie ścierały się początkowo tylko z polską Samoobroną, do czasu jakoś im szło, potem dopiero zderzyły się z formowanymi w pędzie do wolności oddziałami regularnego Wojska Polskiego – i zaczęło im iść gorzej. **14 lutego 1919 r.** oddział kapitana Piotra Mienickiego (z legendarnego pułku braci Dąmbrowskich) wyzwolił zagarniętą przez Rosjan Berezę Kartuską. Polacy wzięli do niewoli 80 żołnierzy i zdobyli dwa cekaemy. **Była to pierwsza licząca się bitwa wojny polsko – radzieckiej a Mienicki otrzymał za ten wyczyn srebrny krzyż Virtuti Militari.**

Od wyzwolenia Berezy karta wojny się odwróciła. 19 lutego 1919 roku Polacy wyzwolili Białystok, potem zaczęli odbijać kolejne miasta polskie: Wilno, Grodno, Nowogródek. Wojna stała się faktem, front raz rozpałał się, raz przygasał. Bolszewicy nie rezygnowali z „czerwonego marszu” – tyle że mieli kłopoty wewnętrzne, to z admirałem Kołczakiem, to z jego następcą Denikinem, to z buntami chłopów zwłaszcza w tambowskiej oblasti. A Piłsudski nie chciał wykrwawiać swoich wojsk i na całe tygodnie zawieszał działania. Wołał, aby w tym czasie Rosjanie masakrowali się nawzajem. Tylko wtedy, gdy dwa

potwory, biały i czerwony, nawzajem się wykrwawia, tylko wtedy – powtarzał – Polacy mają szansę na niepodległość.

Od września 1919 roku u generała Denikina przebywała misja gen. Aleksandra Karnickiego. Dzięki jej raportom Piłsudski znał wyjawione i niewyjawione zamiary „wierzchownego prawitela”. Liczono na jego sympatię a przynajmniej zrozumienie spraw polskich, już choćby dlatego, że ojciec generała był wprawdzie oficerem i to takim z pańszczyźnianych chłopów oddanych w rekruty, lecz matka, Elżbieta Wrzesińska – polską szwaczką. Jednak krew carskiego oficera wzięła górę. Denikin deklarował walkę za Rosję” od Kalisza do Władywostoku”, wściekał się o zajęcie guberni wołyńskiej, z której chciał „wybrać rekruta”, żądał, aby zajmując miasta na wschód od Bugu, Polacy zatykali tam dwugłowe orły, wyzwolenie Kamieńca Podolskiego uważał za akt wrogi – bo sam miał ochotę go wyzwolić. **Gdyby Denikin wygrał – alianci uznaliby sprawę Polski za wewnętrzną sprawę Rosji.**

Zwycięstwo rewolucjonistów nad Denikinem polepszałoby naszą sytuację o tyle, że bolszewicy nie byłiby aliantami Anglików czy Francuzów. Jednak niepodległości również nam nie zapewniało – póki bolszewicy mieliby dość sił, by grabić Europę krzycząc o wyzwaniu i wnoszeniu rewolucji na bagnietach. By Polska naprawdę odzyskała niepodległość, Denikin musiał przegrać, a bolszewicy też nie mogli wygrać. **Tę kwadraturę koła Piłsudski rozwiązał po mistrzowsku: doprowadził do osłabienia obydwu sił rosyjskich – nie biorąc udziału w ich zmaganiach.**

Decyzja o budowie Ogólnoświatowej Republiki Rad była dogmatem kongresu założycielskiego III Międzynarodówki – w marcu 1919 roku. Wtedy to w referacie programowym Lew Trocki zapowiedział, że „po rozgromieniu kontrrewolucji w Rosji nastąpi pochód na kraje kapitalistyczne Europy”.

Była to decyzja polityczna, na sprzyjające warunki strategiczne należało nieco poczekać. Dopiero po rozbiciu wojsk Kołczaka i Denikina rząd sowiecki postanowił „skończyć z Polską „. Zapowiadał to wywiad Trockiego z grudnia 1919 r. dla „Internationale Communiste”, zapowiadały to pojawiające się od początku 1920 r. plakaty z napisami: „*Pobiwszy Denikina, nie pobijemy Polaka?*”.

27 lutego 1920 roku Lenin nakazał Rewolucyjnej Radzie Wojennej Republiki wzmocnienie Frontu Zachodniego w celu przygotowania go do wojny z Polską. Plany operacji antypolskiej od lutego 1920 przygotowywał sztab kierowany przez byłego pułkownika carskiego Borysa Szaposznikowa.

Równolegle, od lutego 1920, trwały praktyczne działania przygotowawcze – nasycanie frontu przeciwpolskiego wojskiem: 1 stycznia 1920 – przeciw Polsce stały 4 dywizje piechoty i jedna brygada kawalerii; 1 marca – już 8 dywizji piechoty i 4 brygady kawalerii; 25 kwietnia – 20 dywizji piechoty i 5 brygad kawalerii, łącznie już 220–250 tysięcy żołnierzy. Mówiąc bardziej obrazowo: dziesięć armii dyszących żądzą grabieży i mordów.

2 maja 1920 w Rewolucyjnej Radzie Wojennej Republiki powołano Specjalną Radę pod przewodnictwem carskiego generała Aleksieja Brusilowa zajmującą się sprawami zaopatrzenia, organizacji i dowodzenia. Brusilow był dość popularnym, choć niezbyt sprawnym dowódcą, dowodził na początku wojny ofensywą w Galicji, na końcu – jako naczelny dowódca – kierował wznowioną w lipcu 1917 wojną Kiereńskiego przeciw Niemcom. W czasie tych walk, ale to już ciekawostka – Brusilow wydał rozkaz karania śmiercią za bolszewicką propagandę w armii. Teraz mu to zostało zapomniane. W skład Specrazy wchodziło jeszcze kilku carskich generałów i kilkudziesięciu wyższych oficerów, w propagandzie zaczęto odwoływać się do wielkoruskiego szowinizmu, oficjalnie głoszone hasła *Ruś w niebezpieczeństwie* i *Zapomnijmy o walce klasowej*. Na stanowiska dowódcze przywrócono w sumie 30 tysięcy carskich oficerów, dowódcom liniowym przydając dla politycznej kontroli komunistycznych komisarzy.

Od początku 1920 roku nasilono w wojsku antypolską propagandę, przedstawiającą „polskich panów” jako imperialistów i ciemnych ludzi, na setkach mitingów organizowano histeryczną nienawiść i domagano się „wyzwolenia” uciskanego ludu polskiego. Przez front przerzucano szpiegów i propagandzistów, jako piąta kolumna wykorzystana została Komunistyczna Partia Robotnicza Polski wchodząca w skład Międzynarodówki Komunistycznej.

Nie znano jeszcze określenia „piąta kolumna”, mówiono po prostu o szpiclach i o zdrajcach. Oni sami o sobie mówili „komuniści”, choć ideowych komunistów było wśród nich niewielu. Przygotowywali grunt dla najeźdźców:

rozprawdzali pisma i ulotki propagandowe, szpiegowali w wojskowych garnizonach, nie wahali się przed dywersyjnymi zamachami i aktami skrytobójstwa. To zresztą była ich praca. Dlatego trudno mówić o ideowości polskich komunistów. Szacunkowa liczba „zawodowych komunistów” to znaczy „funków” opłacanych z Moskwy osiągnęła w szczytowym roku 1920 pułap 20 tysięcy agentów. Tylu zdrajców na raz – tego jeszcze w naszej historii nie było.

10 marca 1920 podczas narady dowódców i komisarzy politycznych w Smoleńsku głównodowodzący Armii Czerwonej Siergiej Kamieniew zatwierdził plan decydującego uderzenia na Polskę. Termin – o czym Polacy mogli nie wiedzieć – wyznaczono na 14 maja. Wiedzieli jednak, że na froncie antypolskim pojawiają się wciąż nowe oddziały. Można było czekać na ich atak, można było zadać uderzenie wyprzedzające. Piłsudski wybrał drugie rozwiązanie.

25 kwietnia, po uprzednim zawarciu porozumień z Ukraińcami, Piłsudski rozpoczął atak wyprzedzający – natarcie, które zapoczątkowało wyzwalenie Ukrainy i zakończyło się zajęciem Kijowa. Niestety – Ukraińcy nie potrafili darowanej im niepodległości obronić.

2 lipca 1920 marszałek Tuchaczewski wydał rozkaz nr 1423 nakazujący marsz na Polskę i dalej:

Bohaterscy żołnierze Armii Czerwonej!

Nadszedł czas rozrachunku.

Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Białego Orła stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie.

Przez trupa Białej Polski prowadzi droga ku ogólnościatowej pożodze.

Na naszych bagnietach przyniesiemy szczęście i pokój masom pracującym.

Na zachód!

Zaczęła się jedna z najokrutniejszych wojen, bolszewicy mordowali ludność cywilną, gwałcili i zabijali kobiety, nie oszczędzali jeńców. Chyba, że można było ich przed zabiciem spożytkować. 28 lipca 1920 radziecki „Kawkor” (korpus kawaleryjski Gaj – Chana) przeprowadził ćwiczenia na żywych ma-

nekinach ścinając co najmniej 43 jeńców polskich. Niektórzy mieli poucinane palce u nóg, kawałki pięt, a nawet całe stopy. Tę zbrodnię próbowałem opisać w napisanym jeszcze w 1968 roku wierszu:

LEMAN NAD TUROŚLĄ

Ścinanie rąk młodym choćby drzewom
tępi stalowe zęby naszych szabel, towarzysze

*Rozrywanie słomianych ciał chochołów
nie wyzwala w żołnierzach
woli zwycięstwa radosnej jak krzyk*

*Najlepsze, towarzysze,
są naturalne manekiny. Usta
należy zapchać pakułami. Białe
dłonie związać na plecach
jak bukiet palczastych chryzantem*

*Jeńcom można też odciąć
palce nóg albo większe
plastry stóp. Wtedy
nie uciekają zbyt bystro – ale
szarża musi mieć szybkość błyskawicy
która dosięgnie ciał
nim zdążą upaść*

*Nie zdarza się, kikutom
by wrastały w ziemię to nie drzewa
to manekiny*

Z cyklu: *Rok 1920*

Bitwa Warszawska – przygotowanie

Pół żartem, ale i pół serio można powiedzieć, że Piłsudski zaczął przygotowywać Operację Warszawską w czasach gdy rozczytywał się w „*Historii Napoleona*” Emila de Saint – Hilaire’a – schemat tej operacji wywodzi się bowiem ze strategii napoleońskiej, pod pewnymi względami zaś przypomina bitwę jaką stoczył pod Gaugamelą (331 pne) Aleksander Wielki. O zwycięstwie zdecydowała wtedy gigantyczna szarża jazdy, która przebiwszy się przez lewe skrzydło Persów wyszła na ich tyły. Środek armii Macedończyka odpierał napór wroga – póki ten nie zaczął uciekać.

Manewr łączący walkę czołową z wyjściem na tyły przeciwnika zastosował Piłsudski na skalę taktyczną uderzając batalionem kpt. Herwina – Piątka pod Kozinkiem 19 maja 1915 (datę tę łatwo zapamiętać, bo to dzień moich urodzin): Kompanie 1 i 3 wykonywały natarcie czołowe, wydzielona 2 kompania wykonywała manewr oskrzydłający z naszego prawego skrzydła na lewe nieprzyjaciela. Sukces pod Kozinkiem był jakby miniaturą przyszłego zwycięstwa pod Warszawą.

„Po drodze” Piłsudski wymyślił jeszcze kilka podobnych operacji – udaną pod Berdyczowem i nie udaną pod Brześciem .

Nieudany cud nad Bugiem

Odróżnijmy autorstwo od wykonawstwa, tak jak odróżniamy dzieło architekta od pracy murarza. Rozkaz do Bitwy Warszawskiej fizycznie przygotował kpt. Bronisław Regulski, do czego wypadnie wrócić, architektem operacji – mówimy przecież o *s z t u c e* wojennej – a potem nadzorcą prac – był oczywiście Piłsudski.

Naczelnik od początku próbował wyhamować odwrót a nawet zamienić go w kontratak. Na przełomie lipca i sierpnia, opierając swe siły o Brześć chciał uderzyć na bolszewików spod Kowla. Zapowiedź takiej „akcji w większym stylu” zawierał rozkaz Naczelnego Dowództwa nr 7945/III wydany 27 lipca. Wytyczne do bitwy nad Bugiem otrzymał Sikorski 29 lipca – posłał mu je z polecenia Piłsudskiego szef Oddziału Operacyjnego Naczelnego Dowództwa,

(tzw. Ścisłego Sztabu, który towarzyszył Piłsudskiemu na polach bitew) – Julian Stachiewicz. Na pytanie Piłsudskiego na jak długą obronę Brześcia może liczyć – generał Sikorski odpowiedział dość pewnie, że *do dziesięciu dni*. Ufając tej obietnicy Piłsudski wyciągnął na północ oddziały walczące z Budionnym pod Brodami i zaczął szykować kontratak na skrzydło nacierających bolszewików. Tymczasem w nocy z 1 na 2 sierpnia Brześć upadł. „Cud nad Bugiem” nie doszedł do skutku. Piłsudski zaczął od nowa przygotowywać operację. W miejscach Bugu i Brześcia pojawiły się w jego planach Wisła i Warszawa.

(W nawiasie odnotujemy, że generał Rozwadowski, udziału w przygotowaniach do tej części operacji nie brał. Przebywał jeszcze w Paryżu, w Warszawie, zjawiał się dopiero 26 lipca – zastępując na posiedzeniu ROP Piłsudskiego, który przebywał bliżej frontu, w Chełmie).

Prócz wojskowych Piłsudski musiał rozwiązywać problemy polityczne. Wykorzystując niepowodzenia na froncie prawica próbowała pozbawić go władzy. 19 lipca na posiedzeniu Rady Obrony Państwa Piłsudskiego zaatakował przywódca endecji Roman Dmowski, który wołałby widzieć na jego stanowisku – Dowbora-Muśnickiego. Piłsudski złożył sprawę zaufania w ręce Rady, głosowanie wygrał. Dmowski wkrótce po przegranej wyjechał. Piłsudski zainicjował powstanie rządu „zgody narodowej” (24 lipca 1920) z ludowcem Witosem jako premierem i socjalistą Daszyńskim jako wicepremierem.

Kolejny atak nadszedł od strony...sprzymierzeńców. 25 lipca na czele misji alianckiej przybył gen. Maxime Weygand, szef sztabu francuskiego. Celem misji Weyganda było, jak się wydaje objęcie dowództwa wojsk polskich i doprowadzenie do prędkiego pokoju z Rosją. Weygand po zorientowaniu się w sytuacji z zabiegów o dowództwo się wycofał; proponowane przez niego plany (uderzenie z rejonu Ostrołęki na tyły Rosjan i po taktycznym sukcesie szybkie zawarcie pokoju), miały na celu nie tyle zwycięstwo, co likwidację wojny. Piłsudski w oczach Zachodu był przywódcą partii wojennej, niezdolnej do porozumienia z Rosją, alianci woleli by na jego miejscu widzieć kogoś z bardziej posłusznych oficerów polskich – np. znanego im z Francji gen. Hallera. Wkrótce znaleźli okazję by z taką sugestią wystąpić.

Na początku sierpnia 1920 w Hythe odbyła się francusko – brytyjska konferencja. Przedstawiciel sowiecki Lew Kamieniew zaprezentował już wcześniej warunki rozejmu z Polską: granica na linii Curzona, redukcja armii polskiej do 50 tys. i dopełnienie jej „robotniczą milicją”, przekazanie nadwyżek uzbrojenia Rosji, likwidacja polskiego przemysłu zbrojeniowego, kontrola sowiecka nad linią z Wołkowyska – do Grajewa, swobodny tranzyt towarów rosyjskich i ludzi przez Polskę itd. Lloyd George uznał cynicznie, że propozycje sowieckie nie naruszają zasady niepodległości Polski etnograficznej, Aleksander Mille-
rand uznał że naruszają, niemniej obaj premierzy wysłali 9 VIII depeszę namawiającą Polskę do rokowań. Pomoc (wyłącznie materiałową!) uzależnili od kuriozalnego w stosunkach między sojusznikami warunku „mianowania naczelnego wodza, który nie pełniłby żadnej innej funkcji” – to znaczy innego niż Piłsudski, który był jednocześnie Naczelnikiem Państwa!. Prawica nawet przychyliła się do tej propozycji⁴, na sugestię aliantów gotów był przystać i Piłsudski – przedtem jednak chciał podjąć jeszcze jedną próbę.

Operacja Warszawska – istota manewru.

Widziany od Warszawy atak armii sowieckich mógł hipnotyzować jak wzrok węża, a raczej setek tysięcy węży. W bitwie frontalnej, ze względu na przewagę liczebną Rosjan (187 : 122 tys.) Polacy nie mieli szans. Szanse te można było dostrzec patrząc od południa: wróg pędził ku Warszawie pięcioma oddzielnymi od siebie kolumnami, z których każda odpowiadała armii liczącej 10 – 30 tys. bagnetów i szabel + zaopatrzenie itp. służby⁵.

⁴ Nienawiść do Piłsudskiego ocierała się o zbrodnię, pojawił się nawet monsturalny projekt zlikwidowania Naczelnika. Z taką propozycją zgłosił się do słynnego rotmistrza „Łupaszki” – Dąbrowskiego, Tadeusz Tymowski – uczestnik puczu Januszajtisa z 1919 roku!

⁵ Od południa patrząc:

Grupa Mozyrska Tichona Chwiesina – w przeliczeniu ponad trzy dywizje. Wg danych sowieckich GM liczyła 11 690 bagnetów i szabel szabel w tym: 57 DS = 3 500 bagn, 28 dział w tym 4 ciężkie + bryg forteczna (ok 1 000 bagn, 12 dział) + Oddział Zbiorowy (1500 bagnetów i 60 szabel, 7 dział) oraz 1 Brygada Kazańska jazdy . Wg wywiadu polskiego razem ok. 8 750 bagnetów i 600 szabel + 6 dział ciężkich i 38 dział lekkich; w trakcie walk 10 VIII (faktycznie ok. 15 VIII) dołączono do GM 58 DS

XVI Armia Nikołaja Sologuba, najsilniejsza, przeznaczona do bezpośredniego szturm na

Atak frontalny nie miał szans, ale...

Gdyby zaatakować je z boku, bić po kolei tak szybko, by nie zdążyły się połączyć, ani nawet odwrócić frontu... Do wykonania tego planu Piłsudski zorganizował Armię Manewrową liczącą ponad 44 tys. bagnetów i szabel, czyli ogółem ok. 100 tys. żołnierzy.

Był to plan ryzykowny, Weygand proponował krótkie uderzenie spod Ostrołęki, Rozwadowski – też płytkie – w rejonie Karczewa, obydwaj uważali że Piłsudski zaczyna ze zbyt dużej odległości. O zastrzeżeniach wobec planu Piłsudskiego pisał w swoich wspomnieniach Witos:

Rozwadowski skarżył się, że nie może zrozumieć Naczelnego Wodza. Wyraził obawę, że ofensywa Piłsudskiego może być spóźniona, gdyż ciężar walki przenosi się na północ od Warszawy. Akcja Piłsudskiego znad Wieprza może być bardzo efektowna, ale dla wojny ma jego zdaniem znaczenie drugorzędne.

Odrzucenie projektu Rozwadowskiego nie spowodowało żadnych napięć: Rozwadowski jako szef sztabu brał rzetelny udział w przygotowaniu ostatecznej wersji rozkazu Naczelnika, potem lojalnie a nawet z nieukrywaniem podziwem wykonywał jego rozkazy i przysyłał mu sprawozdania z przebiegu operacji.

Pierwszy zarys przyszłej operacji warszawskiej, tzw. *Ogólną Instrukcję Obronną* przygotowywał 4 sierpnia 1920 r. płk Tadeusz Piskor, który zastąpił chorego Stachewicza. Pierwopis słynnego *Rozkazu do przegrupowania* (znane-

Warszawę: pięć i pół dywizji (17 DS, 10 DS, 27DS, 8DS, 2DS + 154/52 DS). Wg II Oddz.: 25 500 bagn, 41 dział ciężkich i 164 dz. lekkich, wg RRWR – 31 655 bagnetów + 1041 szabel.

III Armia Władymira Łazarewicza: 6 dywizji (5 DSD, 6 DS, 56 DS, 8DS, 29 DS, 21DS), wg II Oddz.: 19 700 bagn + 24 dz c i 134 dz lekkich). Wg sztabu RRWR armie XV + III liczyły razem ok. 47 500 tys. (45539 + 1911) bagnetów + szabel.

XV Armia Augusta Korka: 4 dywizje (16 DS, 4 DS, 11 DS, 33 DS), wg II Oddz.: 20 200 bagn, 24 dział ciężkich i 116 dział lekkich.

IV Armia Jewgienija Siergiejewa – 6 dywizji (48DS, 18 DS, 53 DS, 12 DS, 19 DS, 54 DS) + 1 bryg strzelców (164/55 DS). Piechotę osłaniał walczący samodzielnie

3 Kawaleryjski Korpus (Kawkor) Gaja Bżiszkianna („Gaj – Chana”) składający się z dwóch dywizji (10 DK i 15 DK). Wg danych operacyjnych II Oddziału Sztabu Gen. WP (zdobyte dokumenty, zeznania jeńców) siły te wynosiły łącznie 25 000 bagnetów (IV A) i 5 600 szabel (KK) + 32 dział ciężkich i 148 lekkich; wg danych Sztabu Polowego Rewolucyjnej Rady Wojennej Republiki siły IV A i Kawkoru łącznie wynosiły 16 020 bagn + 5 083 szabel

go pod numerem 8358), który zawierał zarys przyszłej operacji przygotowywał 6 VIII, według wytycznych płk Piskora, kpt. Bronisław Regulski, szef sekcji wschodniej. Po małych poprawkach zarys ten stał się *Rozkazem Operacyjnym Specjalnym* noszącym fikcyjny numer 10 000. Podpisali go Piłsudski jako Wódz Naczelny i Rozwadowski – jako Szef Sztabu.

Żeby pokonać wroga nie trzeba być silniejszym w ogóle, wystarczy mieć przewagę tam, gdzie ważą się losy bitwy. W niedosłej bitwie pod Brześciem Piłsudski mógłby zniszczyć tylko jedną armię sowiecką, między Wieprzem, Białymstokiem i Kolnem pobił kolejno wszystkie. Ostateczny wynik Bitwy Warszawskiej to – według danych sztabowców francuskich⁶: 70 tys. jeńców, 80 tys. Rosjan internowanych w Prusach + 200 dział i 1000 cekaemów. Polskie szacunki mówiły o 66 tysiącach jeńców, o 25 – 40 tys. zabitych oraz o 231 zdobytych działach, 1023 cekaemach, dorzucały też 10 000 wozów z amunicją i wyposażeniem. Dane te nie obejmowały strat wojsk rosyjskich walczących nad Bugiem (Komarów !).

Przeciwnicy Piłsudskiego próbowali pozbawić go zasługi autorstwa zwycięskiej operacji, Wysuwali 3 kontrkandydatury:

- 1/ Pana Boga, który miał uczynić cud nad Wisłą,
- 2/ gen. Rozwadowskiego, który miał dowodzić bitwą zamiast Piłsudskiego,
- 3/ gen. Weyganda. Najlepsze notowania miał Rozwadowski⁷. Rolę Piłsud-

⁶ Aprobowanych przez komandarma Siergiejewa (*Od Dźwiny ku Wiśle*, Warszawa 1925, s. 122).

⁷ Oczywiście Rozwadowski jako szef sztabu brał udział w przygotowaniach, dyskusjach itp. Sam jednak początkowo był zwolennikiem płytkiego kontrnatarcia z rejonu Karczewa czy Garwolina i – jak świadczą wspomnienia Witosa – uważał plan uderzenia znad Wieprza za ryzykowny, ze względu na zbyt dużą odległość od Warszawy. Przynosząc Piłsudskiemu projekt ataku znad Wieprza jednocześnie przedstawił swój projekt, Marszałek jednak projekt Rozwadowskiego odrzucił. Rozwadowski jako szef sztabu brał rzetelny udział w przygotowaniu ostatecznej wersji rozkazu, potem lojalnie a nawet z nieukrywanym podziwem wykonywał rozkazy Piłsudskiego i przesyłał mu sprawozdania. Jeśli chodzi o udział gen. Weyganda – był żaden, co zresztą francuski wojskowy sam przyznał – m. in. 21 sierpnia w wywiadzie dla korespondenta „L’Information” Paula Genty: *To zwycięstwo, które taką radością przejęło Warszawę, jest zwycięstwem polskim. Operacje zostały wykonane przez generałów polskich, według planu polskiego...*

skiego pomniejszano posuwając się nawet do stwierdzenia, iż zrzekł się swoich funkcji i uciekł z frontu. Powoływano się przy tym na jego własnoręczną rezygnację, którą miał przed ucieczką zostawić Witosowi. Na dnie tego absurdalnego zarzutu kryje się szczypta prawdy.

Jak więc było?

Przed wyjazdem na front, 12 sierpnia Piłsudski odbył dwa spotkania: w siedzibie Prezydium Rady Ministrów z udziałem Witos, Daszyńskiego i Skulskiego oraz ściśle wojskowe, w sztabie – z udziałem Sosnkowskiego, Rozwadowskiego i Weyganda. Na pierwszym Piłsudski zadeklarował się jako zwolennik walki à outrance (do końca), stwierdził, iż nie wierzy by bolszewicy dotrzymywali umów pokojowych, ale – dodał – po zerwaniu przez nich pertraktacji pozostaje ostatni atut – Ententa. Ta jednak postawiła warunek. On albo ROP mieliby do wyboru, czy i z której funkcji Piłsudskiego usunąć. Dlatego – na wypadek przegranej – Piłsudski pozostawił dokument, w którym zrzekł się wszystkich stanowisk. W „Moich wspomnieniach” Witos pozostawił opis tej narady:

Naczelnny Wódz był mocno skupiony i poważny a jak mi się wydawało, przybity /.../ Twierdził, że stawia na ostatnią kartę, nie mając żadnej pewności wygranej. /.../ W ciągu rozmowy wyjął z kieszeni niezapieczętowany list i odczytał go głosem ogromnie niewyraźnym i zmienionym. Na czterech kartkach małego formatu mieściła się dość obszernie umotywowana jego dymisja ze stanowiska Naczelnika Państwa. W piśmie tym zaznaczał między innymi, że nie wiedząc, czy i kiedy będzie mu dane wrócić z placu boju, którego losy uważa za niepewne, mnie prosi i upoważnia do zastępowania go na jego urzędzie. /.../ Jeszcze w obecności Piłsudskiego pismo jego zamknąłem do kasy ogniotrwałej w prezydium Rady Ministrów, zaglądając codziennie, czy go kto przypadkiem nie ukradł albo nie naruszył. Kiedy zaś minęły ciężkie dni wojenne, pojechałem do Belwederu i oddałem pismo jego

Plan Weyganda, ujmując rzecz w skrócie, polegał na próbie powtórzenia w Polsce „Cudu Marny”- stąd uparte próby lokalizacji bazy do kontruderzenia nad Orzycem i Omulewem. Jeden z jego projektów planował nawet działania „Grupy „Ostrołęka”, która nigdy zresztą nie powstała.

autorowi... Biorąc je ode mnie i dziękując za solidne, jak mówił, postępowanie, twierdził, że o tym zupełnie zapomniał.

Według „Moich wspomnień” Witoso działo się to 10 lub 11 sierpnia

Wedle „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego” wspomniana scena rozegrała się jeszcze później – 12 sierpnia.

Na drugim posiedzeniu, tym sztabowym i również 12 sierpnia, Naczelnik przedstawił szczegóły swego planu. Kontrofensywę zaplanował na 17 sierpnia rano – gdy Rosjanie już „wgrzają się” w obronę Warszawy tak, że w razie naszego ataku, trudno im będzie się wycofać. Wyrywając się – stracą zęby. Żegnając się z Weygandem Piłsudski powiedział: *alea iacta est*.

Z konferencji Naczelnik udał się na front, według mało precyzyjnych przekazów najwcześniej około 8-mej. Zanim jednak udał się do Puław poświęcił noc i odwiedził żonę, która z córkami znajdowała się wówczas „pod Krakowem”. A konkretniej – w Bobowej, w dworku rodzinnym Wieniawy.

Ona sama pisała o tym dość powściągliwie:

Gdy zegnał się z nami, przed wyjazdem do Puław, był zmęczony i posepny. Ciężar olbrzymiej odpowiedzialności za losy kraju przygniatał go i sprawiał mękę. Ja w tym czasie znajdowałam się w okolicy Krakowa. Jeden z inteligentniejszych internautów obliczył nawet, że pod Tarnowem był około 1 w nocy, i że do Puław wyjechał około 5 rano. Oczywiście mógł przyjechać później, wyjechać wcześniej...

Wróćmy na moment do wspomnianej „dymisji”. Witos, jak czytaliśmy, miał dokument Piłsudskiego lojalnie schować w kasie, potem miał go lojalnie oddać – gdy niebezpieczeństwa minęły a dokument na nic się nie przydał. W rzeczywistości było inaczej. Jeszcze 12 sierpnia wieczorem Witos wyjechał do Poznania – dokument zabrał ze sobą, by przy jakiejś okazji wykorzystać. W trakcie podróży pokazywał go Józefowi Rączkowskiemu, naczelnemu pisma „Piaś”, co ten odnotował w swych wspomnieniach „Wśród polityków i artystów”. Gdy Rączkowski dokument czytał, Witos komentował:

akuratnie dziś taki pasztet mi dał /.../ takiego listu człowiek spokojny by nie napisał. Licho wie, czy on jeszcze wierzy w zwycięstwo. Z tego listu wynikałoby, że raczej nie wierzy..

To odjeżdżający do Poznania Witos był autorem plotek o kryzysie Piłsudskiego.

Na południowym teatrze walk

Pobyt Piłsudskiego w Puławach i na południowym froncie potwierdza lokalna prasa, potwierdzają dokumenty wojskowe i liczne wspomnienia puławian. Kwatera Naczelnego Wodza mieściła się w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego, czyli w dawnym pałacu Czartoryskich. Sam Piłsudski zamieszkał w prawym skrzydle pałacu u państwa Zofii i Stanisława Golińskich, narady prowadzono w sali kolumnowej – przy wielokątnym stole zachowanym do dziś.

W piątek 13 sierpnia 1920 r. około godziny 10.00 Piłsudski spotkał się w Irenie koło Dębłina na odprawie z generałami Skierskim i Rydzem-Śmigłym. Stamtąd wyruszył na inspekcję oddziałów tworzących Grupę Uderzeniową. Zaczął się czas pracy frontowej, pracy zarówno organizacyjnej, jak i trudniejszej – mobilizacyjnej.

W swoich memuarach gen. Weygand pisał:

W ciągu trzech dni, które marszałek Piłsudski spędził wśród wojsk IV armii, zelektryzował je; przełaził z własnej duszy w dusze walczących ufność i wolę pokonania wszelkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógł tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą wojska polskie nie dokonałyby z tym uniesieniem zażartym tej ofensywy, która miała doprowadzić je w ciągu kilku dni aż do niemieckiej granicy, przedzierając z boku i rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców.

Przekładając to na praktyczne działania:

W sobotę, 14 sierpnia 1920 r. Piłsudski odbył w Irenie przegląd 57. Pułku Piechoty z 14 DP, następnie w Dęblinie 58 pp i w Baranowie – 65 starogardzkiego pp – połączone z dekoracją zasłużonych oficerów i żołnierzy krzyżami *Virtuti Militari*⁸.

⁸ W Irenie udekorował kpt. Edmunda Efferta, kpt. Karola Swinarskiego, ppor. Mieczysława Chudzińskiego, sierżantów Władysława Kowalskiego, Bolesława Dąbrowskiego i Michała Bociana oraz szeregowych Walentego Kicińskiego i Władysława Wysockiego Krzyżem Srebrnym Orderu V M.

Po południu około godziny 17.00 Piłsudski przybył do Firleja, gdzie przyjął na rynku defiladę żołnierzy z 21 DP. Jeszcze tego samego dnia w nocy Naczelny Wódz przyjął gen. Józefa Leśniewskiego, którego wysłał na Front Galicyjski, by zastąpił mało ofensywnego gen. Iwaszkiewicza. Tego dnia podjął decyzję o przyspieszeniu ofensywy.

W niedzielę 15 sierpnia 1920 r. o godz. 2.00 po północy Józef Piłsudski przyjął w puławskim pałacu płk Michała Żymierskiego (dowódcę 2. DP Leg.); po krótkim śnie – od rana objeżdżał oddziały 14. DP, przemawiał i dokonywał dekoracji⁹. Po zakończeniu inspekcji powrócił do Puław, skąd wysłał rozkaz operacyjny do oddziałów Frontu Środkowego ustalający atak na 16 sierpnia o świcie. Wyznaczał zadania poszczególnym armiom, lecz także nakazywał utrzymywanie stałej łączności z kwaterą Naczelnego Wodza i przysyłanie regularnych meldunków¹⁰.

Rozkaz zawierał zdanie, które już przeszło do historii: *Obejmuję bezpośrednie kierownictwo nad kontrofensywą.*

Przy okazji warto też wspomnieć o wymianie depeesz między Piłsudskim i Rozwadowskim – wynika z niej nie tylko podporządkowanie Rozwadowskiego Piłsudskiemu, ale i podziw generała dla zaplanowanych przez Piłsudskiego działań.

Na tyłach

Premier Witos przybył do Poznania w piątek, 13 sierpnia rano.

Tego dnia odbywało się w mieście jednocześnie 6 endeckich manifestacji dla wsparcia budowy Armii Rezerwowej – a może i rezerwowego rządu. Wiece zgromadziły ponad 20 tysięcy manifestantów. Witos wziął udział w kilku mitingach. Na Zamku odbył spotkanie z politykami prawicy, potem przemówił do tłumu zebranego na dziedzińcu. Było to arcydzieło dwuznaczności; z jednej strony potępił tendencje odśrodkowe, z drugiej stwierdził, że wodzów trzeba zmieniać, gdy popełniają błędy i wsparł ideę tworzenia Armii

⁹ W Gołębiu dokonał kolejnej dekoracji Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari kpt. Korwin-Kossakowskiego, por. Rataja, ppor. Matyli oraz sierżantów Eggebrechta, Nawrota i Nowaka z 55. Pułku Piechoty

¹⁰ Rozkaz znajduje się w nowojorskim IJP, w archiwum gen. T. Rozwadowskiego.

Rezerwowej. Wezwał do poparcia RON (Rządu Ocalenia Narodowego) – nie jest pewne czy aktualnego czy już przyszłego, pewne, że z nim, Witosem, w roli premiera. Jego wystąpienie było przerywane okrzykami „precz z Piłsudskim”. Komentarze prasowe dowodziły, że Witosową wizytę odczytano jako propozycję współpracy ludowców z prawicą – przeciwko Piłsudskiemu. W ciągu dnia premier zrobił wycieczkę do Gniezna a po powrocie do Poznania wziął udział w kolejnym wiecu, w którym znów zdystansował się od Piłsudskiego. Potem się odbył bankiet na Zamku, Witos pojadł i popił a na-
zajutrz wrócił do Warszawy.

Dmowski został w Poznaniu i dalej knuł.

Pod Warszawą i na drogach do Warszawy

A oto co się działo pod Warszawą.

13 sierpnia, Rosjanie zajmują Radzymin, co wywołuje zaniepokojenie w dowództwie Frontu Północnego. Haller jest przekonany, że Rosjanie uderzą 14-go o świcie na Przedmoście. W rozmowie przeprowadzonej 13 kwietnia ok 17-ej Haller i jego szef sztabu, gen. Zagórski, wymuszają na Sikorskim wcześniejsze rozpoczęcie działań, w celu odciążenia Warszawy. Na tłumaczenie Sikorskiego, iż armia *jest tak dalece nieprzygotowana, że katastrofa jest pewna* Zagórski odpowiada, że opóźnienie się akcji 5 armii może doprowadzić do katastrofy. Ulegając naciskom Sikorski rozpocznie akcję, która skończy się niepowodzeniem i powrotem jego żołnierzy za Wkrę.

Również 13 sierpnia Rosjanie zdobędą Działdowo, które przekażą Niemcom, na poczet przyszłego sojuszu. Następnego dnia sowiecka „Prawda” oświadczyła, że Niemcy otrzymają wszystko, co musieli oddać Polsce. Był to efekt tajnych rokowań – szykowano nowy rozbiór Polski.

Niejasna sytuacja utrzymuje się przez kilka dni. V Armia generała Sikorskiego odnosi lokalne sukcesy (zajęcie Ciechanowa, potem Pułtuska) ale położenie jej jest trudne: na zachód od Polaków przedarła się już IV Armia Siergiejewa oraz Kawkor (korpus kawaleryjski) Gaj Chana, na wschód Sikorski – ma przed sobą dwie armie: XV i III. Armia Sikorskiego znajduje się więc w kleszczach, grozi jej wypchnięcie do Prus.

Sytuacja zmieni się niemal cudownie, kiedy obie te rosyjskie armie znikną. XV Armia zostanie zaatakowana przez dwie polskie dywizje (14 dp i 15 dp) III Armia – przez kolejne dywizje (16 dp i 21 dp) pędzące z południa. Gdyby jednak ta odsiecz nie nadeszła?

Równie trudna sytuacja panuje na Przedmościu Warszawskim.

14 sierpnia przed świtem oddziały rosyjskie przełamują polską obronę w rejonie Leśniakowiny, zajmują częściowo Ossów. I batalion 236 pułku (dowodzony przez ppor. Mieczysława Słowikowskiego) odbija Ossów – w bitwie ginie idący z krzyżem obok dowódcy ks. Ignacy Skorupka. Znalezione po walkach zwłoki księdza były zmasakrowane bagnetami, wierzch czaszki – zerwany kulą ekrazytową; ginie także wielu ochotników, wśród nich 16-letni harcerz Karol Płoszko i kilku jego kolegów. Około południa Polacy odbijają Leśniakowinę.

14/15 VIII nocna walka batalionu por. Stefana Pogonowskiego (I/28 PSK) o Wólkę Radzymińską. Ok 1 w nocy batalion Pogonowskiego od strony Kątów Węgierskich uderzył na Mostki Wólczańskie, następnie na Wólkę R. rozbijając pododdziały 27 DS dokonujące przegrupowania przed atakiem. W czasie walk w Mostkach został śmiertelnie ranny por. Pogonowski (pośmiertnie mianowany kapitanem i odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*); akcję przeprowadzi do zwycięskiego końca por. Jerzy Boski, który przy wsparciu idącego od Niepołętu 31 PSK kpt. Bołtucia rankiem 15 sierpnia zdobędzie Wólkę. Nocny atak wywoła panikę i przyczyni się do rejterady oddziałów sowieckich maszerujących już z muzyką w stronę Wisły.

14–15 sierpnia Przez dwa następne dni Radzymin przechodzi z rąk do rąk. Ostatecznie – 15 sierpnia wieczorem, po ataku 30. Pułku Strzelców Kaniowskich (ppłk Kazimierza Jacynika) – Radzymin pozostaje trwale w polskich rękach. Nim jednak to się stanie sytuacja pod Radzyminem wywołuje kolejną falę zaniepokojenia u Hallera i Rozwadowskiego. Jeszcze 14 sierpnia wysyłają do Piłsudskiego „trwożne depesze” (określenie Piłsudskiego) z prośbą aby przyspieszył kontrofensywę planowaną na 17 sierpnia.

16 sierpnia Polacy odpierają atak samochodów pancernych na Radzymin, niemniej wojska rosyjskie przegrupowują się do ostatecznego ataku. Dowódca XVI armii, Sołogub przygotowuje już nawet odezwę *Do mieszkańców zdobytej Warszawy*, w której grozi śmiercią za każde wystąpienie przeciw Armii Czerwonej.

Nie wie, że o świcie ruszyła znad Wieprza polska kontrofensywa

Na południowym teatrze walk

Pod wpływem alarmistycznych depeš z Warszawy Piłsudski przyspieszył termin ataku. W pisanym nocą 14/15 liście do Rozwadowskiego Piłsudski informował, że planuje już 2- go dnia operacji otworzyć linię Warszawa – Dęblin i Warszawa Mińsk a następnego dnia osiągnąć nawet linię Siedlce – Łuków. W związku z tymi planami domaga się utrzymywania stałej łączności i *za-dyrygowania na 17 raniutko sortie (wypadu) na południowym odcinku /.../ czy to w stronę Nowo – Mińska gdy do tego będziecie zdolni, czy skromniej w stronę Garwolina z Karczewa i Wiązowny – co ważne z użyciem tanków*.

Kontrofensywa przebiega na ogół zgodnie z planem. Potwierdzają to depeše wysyłane przez Rozwadowskiego do Piłsudskiego. Warto przytoczyć choćby fragmenty tej z 15 sierpnia:

Panie Komendancie! Zamawiałem właśnie oficera z automobilem dla przesłania wiadomości ostatnich, gdy mi list Pana Komendanta z dnia dzisiejszego doręczono. Mam wrażenie ogólne, że cała akcja rozwija się bardzo korzystnie, i że właśnie, co do czasu mamy korzystne warunki tak, jak je p. Komendant przewidywał. Dotychczas obawiałem się, że nas bolszewicy nie zaatakują dość serio, aby móc liczyć na wydadne uderzenie z flanki. Tymczasem wypadki pod Radzyminem widocznie ich zachęciły, a umyślne ociąganie się Sikorskiego również ich ośmieliło./.../ Uderzenie głównej siły Pana Komendanta trafi, więc doskonale, a lepiej, że jutro rano atak wyruszy, byle był party silnie naprzód wypoczętymi siłami. Chcąc co-rzychlej i 2-gą armię wyzyskać, przygotowałem ją już dziś wieczorem ./.../) Więc i tutaj zupełnie w myśl rozkazu p. Komendanta wykonanie jest w toku. Uzgodnienie akcji 4-tej armii doskonale p. Komendant przygotował i proszę liczyć na to, że pozostając w ścisłym kontakcie wszystko przyspieszę tak, abyśmy od 17-tego rano byli gotowi do współdziałania...

Po przedstawieniu sytuacji na innych odcinkach frontu gen. Rozwadowski pisze:

1-szą armię wzmocniłaby 4-ta dyw., którą jako ostateczną rezerwę gen. Latinkowi podporządkować zamierzam w myśl wskazówek p. Komendanta.

I na zakończenie:

...proszę p. Komendanta chcieć przyjąć wyrazy głębokiej czci i prawdziwego przywiązania, od oddanego najpostuszniej Generała Rozwadowskiego.

Wymiana depesz nie pozostawia wątpliwości, iż Piłsudski na bieżąco kierował przebiegiem operacji – podawał swe miejsce postoju i żądał od Rozwadowskiego meldunków o wykonywaniu zadań. O kryzysie można mówić tylko w jednym, omówionym już przypadku: gdy Rozwadowski z Hallerem przestraszyli się, iż Warszawa może upaść i zadepeszowali o wcześniejsze rozpoczęcie uderzenia znad Wieprza. Piłsudski ustąpił ich prośbom, ale to on wydał decyzję przyspieszającą atak z 17 na 16 sierpnia. Generałowie mogli go tylko o to prosić.

Początek ofensywy Piłsudskiego

16 sierpnia 1920 zaczął się kolejny dzień pracy – ofensywa. Piłsudski dowodził osobiście. *Pomimo naszych próśb, by się nie narażał, Piłsudski szedł pieszo w pierwszych szeregach piechoty.* – czytamy we wspomnieniach jednego z oficerów – *Na zmianę z adiutantem niosłem małą walizeczkę z orderami, którymi po boju /.../ natychmiast dekorował za osiągnięcia, bohaterstwo i odwagę oficerów i szeregowych.* Następnie Piłsudski jechał w samochodzie „na karku” 14 d.p. która szła na Garwolin. Być może był to teatr – lecz jego sceną była wyzwalana ziemia polska a bohaterstwo i krew były prawdziwe.

Tego dnia – zgodnie z planem – nastąpiło **rozbiecie Grupy Mozyrskiej**. Oddziały Piłsudskiego osiągnęły linię rzek Wilgi i Bystrzycy. Na prawym skrzydle oddziały 3 DPL zdobyły **Włodawę**, 1DPLeg zajęła **Parczew**, 21DP odbiła **Kock** i przekroczyła Bystrycę, w centrum frontu 16 DP po pobiciu Rosjan pod Łysobykami osiągnęła Żelechów.

Symboliczne znaczenie miał bój pod **Maciejowicami**, gdzie 15 Pułk Ułanów podpułkownika Andersa rozbił 57 bryg. sowiecką szykującą się do prze-

prawy. Było to jakby zmazanie dawnej klęski i wpisanie w jej miejsce mitu zwycięstwa pod Maciejowicami.

Najważniejszą bitwą tego dnia jest bój 4 Brygady Jazdy (3 i 7 p. uł.) pod **Cycowem**. Polacy trafiają tu na Grupę Dotola z 58 ds. liczącą 2 tysiące bagnetów i 235 szabel i choć słabsi liczebnie (obydwa pułki mogły rzucić po 300 – 320 ułanów) rozbijają Rosjan szarżami tracąc blisko 50 zabitych i rannych. Prowadząc ataki zginęło dwóch kolejnych dowódców 1szwadronu 7 puł: ppor. Tadeusz Jakubski i ppor. Marian Olechnowicz. Ostatecznie w ręce Polaków wpadły całe tabory, 50 koni, 5 ckm i 600 jeńców; padło co najmniej drugie tyle Rosjan. Kombryg Dotol uratował się ucieczką. Zwycięstwo pod Cycowem miało wymiar strategiczny, z którego walczący nie zdawali sobie sprawy: te dwa pułki ułanów stanowiły jedyną przeszkodę na drodze Rosjan maszerujących z Włodawy (zajętej tymczasem przez 3DPL) na Lublin.

Nazwa bitwy cycowskiej porównywanej z dumą do Somossierry znajduje się po wojnie 1920 wśród nazw wyrytych na Grobie Nieznanego Żołnierza. Zniknie z niego w czasach PRL.

17 sierpnia Po zwycięstwie w nocnym boju (16/17) pod **Kołbielą** 14 DP zdobywa (17 VIII ok. 18-tej) **Mińsk Mazowiecki**. 15 DP wypadem grupy Junga łączy się w Mińsku (siłami 59 PP) z 14 DP, następnie ściga Rosjan przez Liwiec i pod Brokiem przechodzi Bug. 62 PP (z 15 DP) pod d-ctwem ppłka Władysława Grabowskiego wstępuje w nocną bitwę o **Gliniankę** (17/18 VIII), podczas której odpiera kilka sowieckich kontrataków, zdobywa 1400 jeńców i sprzęt. Idąc z Firleja Grupa Jazdy Jaworskiego, bije 17 VIII pod **Kąkolewnicą** 508 i 509 pułki 57 d. sow. i wkracza, do **Międzyrzecza**, 1 Dywizja Legionowa płk Dęba-Biernackiego osiąga 17 VIII Białą, zdobywając tabory 57 dyw. sow., bierze 200 jeńców, 21 DP zdobywa 17 VIII Łuków. Droga z Mińska na Brześć zostaje przecięta.

17 sierpnia 1920, wódz Naczelny przeniósł swoje stanowisko dowodzenia na prawe skrzydło armii – odbył naradę z generałem Śmigłym w Lubartowie i po południu dotarł do Łukowa. W trakcie tych marszów otrzymał kolejne

meldunki od Rozwadowskiego. Jeden z nich zaczynał się wyrazami podziwu: *najpostulsijsze gratulacje pozwalam sobie przedłożyć Panu Komendantowi.*

Jedną z przyczyn klęski sowieckiej było złe dowodzenie – podporządkowane polityce, oderwane od pola walki. Tuchaczewski dowodzący aż z Mińska Litewskiego nie zdawał sobie sprawy ze zmian zachodzących na froncie. Pierwsze informacje o polskiej kontrofensywie dowódca 16 armii Sołogub otrzymał nocą z 16 na 17 sierpnia, natychmiast zawiadomił Tuchaczewskiego. Ten zlekceważył sprawę, uznał atak za lokalne działania jakichś „lubelskich” oddziałów i dopiero wieczorem kazał części swych sił wycofać się za Liwiec i tam przegrupować ...do ataku. Na wszystko jednak było już za późno. Wojska idące z południa już były na wschód od Rosjan, już chwyciły przeprawy na Bugu.

Przebywający w Mińsku Tuchaczewski jeszcze 17 sierpnia o godz. 22 rozkazem 0406 nakazuje *rozgromienie nacierającego zgrupowania lubelskiego*. XV A ma zaatakować Płońsk, Grupa Mozyrska ma odebrać Białą, III A ma bronić Narwi i utrzymać przyczółek pod Wyszkowem (Polacy zlikwidowali go rankiem 17 VIII i zajęli Wyszków!). Tymczasem oddziały Piłsudskiego wychodzą już na tyły Rosjan, Grupa Mozyrska jest rozbita w pył, XVI Armia – w trakcie ucieczki za Liwiec. .

18 VIII sierpnia 21 Górka DP gen. Galicy zdobywa Siedlce. 1 DPŁeg. po zdobyciu Łosic (18 VIII) jeszcze nocą 18/19 zdobywa Drohiczyn. Brawurą popisali się st. sierż. Modest Żabski i st. legionista Zygmunt Blusiewicz, którzy zobaczywszy oświetlony nocą ośrodek władzy zaatakowali go granatami i wpadli strzelając do budynku; gdy dym opadł zobaczyli przed sobą sztaby 7 i 18 dyw. sow. z podniesionymi rękami. Za wzięcie jeńców otrzymali krzyże Virtuti.

Identyczne odznaczenie otrzymał por. Broniewski, który dowodząc 8 kompanię obronił most przed sowieckim kontratakiem.

Na środkowym teatrze – teatr

17 sierpnia, stosownie do ustaleń z Piłsudskim Haller wyprowadził uderzenie z Przedmościa w stronę Mińska. Niezgodnie z ustaleniami zamiast całą dywizją uderzył tylko grupą gen. Junga, która dopiero po dłuższym boju przełamała rosyjską zaporę pod Dębem i Gliniankami. Co gorsza akcję Hallera opóźniła ...legendarna wprost próżność generała; zamiast pędzić na front, zaprosił uroczyste korespondentów, wziął udział w uroczystej mszy, wygłosił uroczyste przemówienie... Atak pancerny nie za bardzo się udał, do wsparcia użyto 5 czołgów, z których do Mińska dotarły tylko 3, z tych jeden rozkraczył się brzydko na rynku. Chaos, panika, bezładna strzelanina. Haller miał jednak szczęście: od południa wkroczyły oddziały idące znad Wieprza 14 DP gen. Konarzewskiego.

18 sierpnia w wyzwolonym Radzyminie odbyło się Święto Virtuti Militari. Kardynał Aleksander Kakowski wręczył gen Hallerowi przysłany z Rzymu medal wybity z okazji kanonizacji Joanny d'Arc oraz 100 tysięcy marek – dar polskiego duchowieństwa dla Armii Ochotniczej.

Jeszcze 18 VIII Tuchaczewski nakazuje rozkazem 0493 *rozgromić modlińskie zgrupowanie przeciwnika*, IV Armii nakazuje *kontynuować rozwijanie powodzenia* a XV i III każe odpowiednio *atakować na Nowe Miasto i Nasielsk*. Rozkazy mijają się z rzeczywistością, gdyż 18 sierpnia armie XVI i III są już w odwrocie. Niebezpiecznie jest tylko w okolicy Płocka: IV Armia jeszcze 18–19 sierpnia próbuje zdobyć miasto, jednakże po udanym polskim kontrataku również dołącza do ogólnej ucieczki. Bitwa Warszawska zmienia się w bój pościgowy.

Warszawa mogła odetchnąć. Symbolem zmiany sytuacji była ucieczka „Rządu” Polskiej Republiki Rad (Marchlewski, Dzierżyński, Kohn i inni) który przez parę dni rezydował na plebanii w Wyszkowie. 22 sierpnia Dywizja Legionowa po półtoragodzinnej walce zajęła Białystok – po raz drugi wyganiając „rząd” Marchlewskiego. Rosjanie odnieśli tu straty na tyle poważne, że Białystok, zyskał miano zbiorowej mogiły XVI Armii Sowieckiej.

To była 18 z bitew, które zdecydowały o losach świata. Docenił to lord Edgar Vincent d'Abernon:

*Współczesna historia cywilizacji zna mało wydarzeń posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w roku 1920. Nie zna zaś ani jednego, które byłoby mniej docenione. Gdyby bitwa pod Warszawą zakończyła się była zwycięstwem bolszewików, nastąpiłby punkt zwrotny w dziejach Europy, nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, iż wraz z upadkiem Warszawy środkowa Europa stanęłaby otworem dla propagandy komunistycznej i dla sowieckiej inwazji*¹¹

Zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej nie oznaczało jednak końca wojny. Bolszewicy przygotowali dość szybko kolejną armię, która miała ruszyć znad Niemna. Piłsudski zadał cios wyprzedzający – tym razem uderzenie oskrzydłające wyszło od północy przez terytorium Litwy na Lidę, uderzenie czołowe – na Grodno. Zwycięstwo odniesione nad Niemnem pozostaje w cieniu Bitwy Warszawskiej. A przecież gdyby nie ono – bolszewicy byłiby znów pod Warszawą. I nie wiadomo, czy starczyłoby nam sił do ponownego ich odparcia. Dopiero poniesiona przez Trockiego klęska nad Niemnem wyleczyła go z marzeń o „czerwonym marszu” na Europę.

To była dziewiętnasta z bitew, które zdecydowały o losach świata.

PS. Na koniec, tak jak na początku – wiersz. Powstał przed Śmiercią Piłsudskiego, do czasu był tak samo zakazany i rozpowszechniany nielegalnie. W chaosie końca 1988 roku udało mi się go przemycić w programie teatralnym do sztuki *Żelazne kwiaty*.

KOPIEC PIŁSUDSKIEGO NA SOWIŃCU

*Podnoszę do oczu garść ziemi zebranej z pobojuwisk -
wszystkie jej ziarna są szare, wypalone jak popiół.
I niczego więcej nie trzeba
by pojąć czym jest historia.*

¹¹ *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata*, Warszawa 1932, s 19.

*Tak, te ruiny ziemi: kopce, kurhany i okopy
wypełnione zielonkawą wodą
mniej są zapewne dramatyczne
niż szkielety gotyckich świątyń -
te ruiny są tylko martwe
coraz bardziej martwe,
aż nieludzkie.*

*Podnoszę do oczu garść ziemi i myślę o historii -
Ten, który mocniej kochał
i mocniej nienawidził
musiał umrzeć dwukrotnie: odchodząc z życia
i odchodząc z pamięci, jeszcze dalej
w tę krainę daremnej wielkości
która rozciąga się już z tamtej strony
kraju zmarłych.*

*Szara ziemia spalona przez czas
nie kryje jego zwłok. Ten kopiec
naprawdę, naprawdę jest tylko
— jak cały ten kraj -
coraz bardziej
formą krajobrazu.*

Jego przesłanie znów brzmi aktualnie.

GŁOWACKI CZYLI ROZUMNY PATRIOTYZM

U Janusza Głowackiego znajdujemy Powstanie Warszawskie, Sierpień 1980 r. w Stoczni Gdańskiej, historię Lecha Wałęsy, dylematy emigranckie i posmoleńskie – jednym słowem wszystko, co buduje nowoczesny polski patriotyzm. Być może ironista, kiedyś playboy z Krakowskiego Przedmieścia, potem karierowicz z Broadwayu zostanie z czasem uznany za klasyka.

30 lat temu na polonistyce warszawskiej studiowała z nami dziewczyna bez matury. Jakim cudem było to możliwe? Przedtem mieszkała w Szwecji, gdzie ojczym był na placówce dyplomatycznej. Przekonani o wyższości permissywnego wychowania Szwedzi znieśli wówczas egzaminy maturalne, żeby dzieci bez potrzeby nie stresować i zastąpili je świadectwem ukończenia dwunastej klasy. Ojczym Joanny 13 grudnia 1981 r. zza firanki fotografował operacyjnym aparatem rozeźlonych emigrantów, demonstrujących przed ambasadą przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. A dziewczyna – jak łatwo się domyślić – po szwedzkiej edukacji każdy egzamin na polonistyce zdawała po kilka razy. Gdy pojawiła się kwestia wyboru tematu pracy magisterskiej, doradziłem jej Janusza Głowackiego: za wiele nie napisał, więc dużo do czytania nie ma, a przy tym zrozumiały i współczesny. Gdyby przebywający wtedy na emigracji pisarz dowiedział się, jak wybawił studentkę z życiowego dylematu – byłby zadowolony. Ludwik Jerzy Kern podobno szczerze martwił się, gdy mu powiedziano, że jakiś dzieciak złapał w szkole dwóję, bo nie nauczył się na pamięć jego wiersza...

Wielką literaturę często cechuje prosty przekaz. Gdy ukazał się „Azył” Williama Faulknera, sporo czytelników odbierało go jak zwykły kryminał. Z Głowackim jest podobnie – sztuka czy raczej sztuczka „Fortynbras się upił” wciąż

gnąć może czytelnika, który „Hamleta” widział raz w Teatrze Telewizji i nie ma na półce dwujęzycznego wydania Szekspira z kontrowersyjnym przekładem Macieja Słomczyńskiego. „Antyгона w Nowym Jorku” nie odsyła do Sofoklesa, można w niej – literalnie – usłyszeć gawędę policjanta o bezdomnych imigrantach, których lepiej krótko trzymać, z czym mnóstwo ma się roboty.

Playboy sumieniem narodu

Dla wiernych czytelniczek prasy kobiecej czy zwolenników biografistycznego pojmowania literatury Głowacki pozostanie na zawsze autorem life-style’owym. Wyrzucony ze szkoły teatralnej za brak talentu kończy polonistykę – studia dla ludzi nie lubiących się przemęczać – i bryluje w ludycznej Warszawie, opisując ją tak, jak nikt od czasów Leopolda Tyrmanda nie potrafił. W „Kongu na Kubusia Puchatka” portretuje snobów, którzy po powrocie z afrykańskiej placówki (Polska Ludowa wspiera wówczas z pomocą dorobkiewiczów na kontraktach kraje Trzeciego Świata zwłaszcza o tzw. niekapitalistycznej drodze rozwoju) zaciągają story w świeżo otrzymanym mieszkaniu w śródmieściu i puszczają z projektora nakręcone pod palmami filmy. Nawet słabsze „Polowanie na muchy” przechodzi do historii za sprawą filmu Andrzeja Wajdy, ze scenariuszem autora.

Zaś Głowacki – jakby zabiegając o jedność pisarza i dzieła – daje się w nadmorskich Chałupach zamknąć milicji za nudyzm, zrehabilitowany dopiero u schyłku PRL już pod eufemistyczną nazwą naturyzmu. Zostaje scenarzystą kultowego „Rejsu” Marka Piwowskiego, filmu który widziało każde rozgarnięte dziecko. To z jego listy dialogowej pochodzą słynne słowa „nie chodzę na filmy, szczególnie na polskie” i „najbardziej lubię te piosenki, które już słyszałem”. I dzięki niemu dowiadujemy się, że w toalecie ktoś napisał „głupi kaowiec”.

Przaśnych i usłużnych pisarzy reżimowych Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i Władysława Machejka talentem i serwilizmem przypominających dzisiejszych lokajów dobrej zmiany Jarosława M. Rymkiewicza i Wojciecha Wencła, flekuje Głowacki- recenzent porównujący ich z komiczną powagą do Jamesa Joyce’a, autora „Uliksesa” słusznie czy nie uchodzącego za najtrudniejszą książkę świata. Cenzor zgrzytał zębami, ale takiej analizy zdjąć nie mógł,

bo partyjni patroni zaangażowanych ideowo grafomanów poczucia humoru za grosz nie mieli. Czytelnicy – tak. I to oni pokochali za to „Głowę”.

Nieoczekiwany efekt wizyty w Stoczni

Najczęściej widywany między Telimeną a Spatifem, albo w pół drogi z Largactilu do Czytelnika na Wiejską – czynił swoimi bohaterami nie tylko nowobogackich po zagranicznych kontraktach i bywalców modnych klubów gdzie brylowali „po pierwszych zawałach działacze studenccy”, jak określał ich Jan Krzysztof Kelus. Pisał Głowacki o dziewczynach z poprawczaka i robotnikach z Żyrardowa, co nie mają w mieszkaniach bieżącej wody, więc wymykają się niby tylko do pompy na podwórku. Potem rodzina odnajduje porzucone metalowe wiadro na klatce schodowej, a tato od dawna w knajpie.

Gdy pojawił się w Stoczni Gdańskiej, naiwni autorzy reportaży kupili już wersję, że Głowacki się zmienił i przejął. Całkiem nieprawda. „Moc truchleje”, książka o stoczni i stoczniovcach w czasach entuzjazmu i zachwyty nad mądrością polskiego robotnika kreśli ponury obraz marnego życia w barakowozie, karmicielem rodziny okazuje się dziadek metodycznie i z talentem grzebiący po śmietnikach. Główną atrakcją dla klasy przodującej staje się wizyta prominenta w jej zakładzie. Pracownicy szkoleni są zawczasu, że gdy padnie pytanie „skąd jesteście”, należy spontanicznie odpowiedzieć „z Żywieckiego”. Po odjeździe sekretarza bohater żałuje już tylko, że „żona powiesiła się i nie widzi jaki tutaj entuzjazm i radość wyzbyte cech egoizmu”. W wydanej na początku lat 80 książce – pierwszej tego autora poza cenzurą – pojawia się wątek osaczenia i kuszenia bohatera przez bezpiekę.

Lechów dwóch

Gdy bohaterowie ostatniej godziny – jak we Francji lat 1944/45 określano partyzantów, co poszli do lasu jak Niemcy już uciekli, ale jeszcze przed wkroczeniem Amerykanów i potem wychynęli z ostępów żądni zemsty na kolaborantach – rzucili się pokojowemu Nobliście do gardła, a Jarosław Kaczyński, chociaż jak wie lud *13 grudnia spał do południa*, z powagą ogłosił, że to jego brat Lech faktycznie kierował Solidarnością – temat Wałęsy, Stoczni

i gry безпеki podjęli razem dwaj giganci: Andrzej Wajda i Janusz Głowacki. Powinniśmy im być podwójnie wdzięczni: po pierwsze, że nie pozostawili tego problemu Wyszczkowskiemu i Cenckiewiczowi (nie mylić z poczwicami od pingwinów), po drugie – że przy realizacji tematu się poróżnili. To nie żart: gdyby pracowali zgodnie, dzieło powstałoby jedno. A ponieważ doszło do sporu – mamy film Wajdy i książkę Głowackiego. Z pierwszego „Dżanus” strasznie był niezadowolony, ale scenarzystą pozostał nie tylko na liście płac. Rzecz druga – „Przyszłem...” jest opowieścią o Wałęsie i o tym, jak powstawał film o ostatnim żyjącym polskim nobliście. Naprawdę nie dowiemy się, o co im poszło, obaj już nie żyją. Ale Mickiewicz ze Słowackim też osobiście nie potrafili się dogadać, a przez potomnych odbierani są jakby byli braćmi.

W filmie Wajdy Wałęsa nie jest tylko polskim Nelsonem Mandelą, ale też odpowiedzialnym 37-latką który z objęciem przywództwa strajku zaczeka, aż znajdzie wózek dla własnego dziecka. I który dziesięć lat wcześniej aby móc – zamiast odsiadki na komendzie – odwiedzić żonę w szpitalu podpisze wszystko, co mu esbecy podetkną, by po latach ich samych wprawić w konfuzję: – Urwał się nam. W książce Głowackiego Wałęsa też jest z krwi i kości, ale równie ważne okazuje się całe jego otoczenie: kolega ze stoczni, któremu w tamtym Grudniu transporter opancerzony zmiażdżył nogę, mafia bursztynowa wraz z wynajętym kelnerem we fraku rozkładająca się na plaży z szampanem obok robotników wypoczywających ze swoimi kobietami w niemodnych kostiumach, czy dziewczyna popełniająca samobójstwo, gdy SB szantażem zmusi ją do donoszenia na chłopaka. Nawet mały piesek, ginący – też w tamtym Grudniu – od kopniaka milicyjnego buta, jakby ludzkich nieszczęść wtedy nie wystarczyło.

O wielkości nie podłości

Wajda i Głowacki, dopełniając się i przekomarzając, stworzyli dwa dzieła o polskiej wielkości, a nie podłości. Niedostępne zapewne tak esbekom i autorom anonimów, jak hejterom i dzisiejszym chwalcom władzy. To także dwie historie o patriotyzmie zwykłych ludzi, ich gotowości do podjęcia misji, która wydawała się ich przerastać. W odróżnieniu od zalegających w przecenach

paszkwili Semki – Głowacki ze swoją optymistyczną i autentyczną opowieścią sprzedaje się świetnie w ciężkich dla galaktyki Gutenberga czasach, co dowodzi, że Polacy wolą jednak normalność od podłości.

Powstanie Warszawskie u Janusza Głowackiego obecne jest w smutnej opowieści o utraconym podczas przedzierania się pod ostrzałem przez podwarszawskie kartofliska żołwiu – najlepszym przyjacielu sześciolatka. W tym opisie ujawnia się cała brutalność wojny i koniec starego, dobrego świata. A z pierwszych lat już po wojnie najważniejsza wydaje się gosposia Głowackich, która poszła za Państwem z Warszawy aż do Łodzi, teraz, gdy Januszek wpada do kuchni i podnosi pokrywy garnków, wykrzykująca: – Tylko by żarły i żarły a pieniędzy nie dają! Utyskuje na powojenną odmianę losów. Ale nie opuści ukochanych Państwa, nie pójdzie na włókniarkę do fabryki...

U Głowackiego jest wszystko, co ważne dla polskiej świadomości, od Powstania '44 po Smoleńsk, bo przecież namioty „krzyżaków” wyrosły na tradycyjnej trasie przechadzek pisarza. Na pograniczu sado-maso relacjonuje więc nam pan literat, jak to lud posmoleński z tych wigwamów wychynięty rozpoznaje go i wita, jak umie, nienawistnym wyciem.

Teraz wie, po co wrócił do kraju po kilkunastu latach, mając zapewnione miejsce na Broadwayu, gdzie wystawiano jego skromne sztuki o biednych ludziach – ekonomicznie pisane tak, by role były dla z górą siedmiu aktorów, bo tyłu da się zapłacić gaże... Za Oceanem bohaterami Głowackiego są emigranci i bezdomni, jakby skalkulował, że łatwiej powalczyć o Nobla pokojowego niż literackiego. Zaczynał jako *enfant terrible*, skończył jak sumienie narodu w czasach powszechnego szaleństwa.

Rozumny patriotyzm Głowackiego stwarza nam podobny komfort, jaki wspomnianej na wstępie studentce przed 30 laty dały jego opowiadania. Dzięki panu Januszowi nie musimy wybierać pomiędzy patriotyzmem przez ryj pisanym rodem z wigwamów z Krakowskiego Przedmieścia, a lękiem przed „demonami patriotyzmu” propagowanym przez koncerty z Augustówki i Czerskiej. Dla *normalsów* czerpiących wiedzę z Wikipedii, co podaje o nim że pierwodruk „Fortynbras się upił” miał miejsce w latach 90 w „Dialogu” (nieprawda, bo w podziemno-londyńskim „Pulsie” dekadę wcześniej) pozostanie autorem ciekawych historii o jedynym naszym żyjącym nobliście i Polskim

Sierpniu. Koneserów – ujmie misterną interpretacją przypadku Jerzego Kosińskiego, pisarza miotającego się między wielkością własnego talentu, a równie wybujałym zakłamaniem. Tych, co do teatru chodzą raz do roku wzruszy niechęcią bezdomnej Portorykanki, tytułowej „Antygony w Nowym Jorku”.

O najsmutniejszym emigranckim losie pisał ze zrozumieniem, bez pastwienia się nad rodakami, właściwego „Dolorado” czy „Szczuropolakom” Edwarda Redlińskiego. Pchełka z „Antygony...” czy bohaterowie „Polowania na karaluchy” pozostaną sobą – a nie egzemplifikacją tezy, że jesteśmy najgorsi. Dla polskiego cwaniaka również okazywał się Głowacki wyrozumiały. Wiedział, że z niego żyje.

Głowacki to konsekwentnie pan pisarz, a nie osobowość telewizyjna od odklepywania w źle doświetlonym studiu gładkich komunałów o konieczności odważnych rozliczeń z dawnym ustrojem w 30 lat po jego likwidacji lub o odpowiedzialności wszystkich Polaków za Jedwabne lub wysiedlenia Ukraińców. Dyskretny patriotyzm Głowackiego był patriotyzmem refleksji, nie odruchu. Polska nie wzbudzała w nim ani cięłego zachwyty ani hejterskiego obrzydzenia, raczej przyjazną troskę. Z relacją z własną ojczyzną nie miał pisarz kłopotu.

Widywałem go w nieistniejącym już „6/12” na Żurawiej, spotykałem na Wiejskiej pod Czytelnikiem, zawsze witał się uprzedzająco grzecznie. Zresztą podobnie jak Wojciechowi Fibakowi – kłaniali mu się nawet nieznajomi przechodnie, bezbłędnie pana pisarza rozpoznając. Nigdy nie słyszałem go publicznie wygadującego głupstwa, co dla hyclów dobrej zmiany, ale też dla dyżurnych autorytetów z nienawistnych artykułów Agnieszki Kublik z „Wyborczej” wydawać się może wzorcem niedoścignionym. I takim pozostanie.

Słuch miał absolutny, ale i moralny szósty zmysł. Kiedyś ośmieszał socjalizm z jego wielkimi budowami i małymi podłóściami, po latach wilczy, bo oparty na pogardzie dla słabszych kapitalizm w postaciach policjanta z „Antygony...” czy pazernych ruskich z „Czwartej siostry”.

Podobnie jak Igor Newerly „Zostało z uczyty bogów” i „Wzgórze błękitnego snu”, również Głowacki swoje dwie najlepsze książki – o pisarzu Kosińskim i robotniku Wałęsie – napisał już po siedemdziesiątce.

Własne życie stylizował, uczynił kolejnym swoim dziełem, może najciekawszym. Umarł tak jak żył, akurat w słonecznym Egipcie, z piękną i młodszą o trzy dekady Oleną Leonenko u boku. Przynajmniej od chwili powrotu

z emigracji – sam stał się własnym bohaterem. Nie wszyscy zresztą zauważyli, że wyjechał.

– Janusz, zrobimy jeszcze flaszkę? – przywitał go w Spatifie kolega.

– Toś ty przez te dziewięć lat nie wytrzeźwiał? – zdziwił się teatralnie Głowacki.

Sam na herosa nie pozował, przejmujący pozostaje opis strachu, gdy urzędniczka wydaje się chować do biurka paszport pisarza, a rzecz ma miejsce już w chwili zmiany ustrojowej.

SMS-y zamiast Dzwonu Zygmunta

Gdy umarł, nie rozległ się Dzwon Zygmunta. Za to pikały esemesy, nie tylko w środowisku dawnej warszawskiej polonistyki. Ktoś pisał, że widział go w lecznicy Alfa, źle już wtedy literat wyglądał. Inni zastanawiali się, kto jest teraz największym żyjącym polskim pisarzem. Wyszło nam, że Kazimierz Orłoś...

Rozumnego patriotyzmu bez złości, ale i kompleksu nie tylko możemy u Głowackiego poszukać, ale go znajdziemy we wczesnych opowiadaniach i późnej opowieści o Wałęsie, książeczce o gdańskich robotnikach i parabioGRAFII Kosińskiego.

Z dawniejszej XX-wiecznej literatury trwały okazał się ironiczny patriotyzm Witolda Gombrowicza, „Wspomnienia polskie” dla wielu stały się źródłem wiedzy o Międzywojniu, a „Dziennik” czy „Trans-Atlantyk” paraboliczną definicją polskości. Przetrwały: antytotalitarna pasja Witkacego (ultradopalacz Murti-Bing z „Nienasycenia” powróci jako kluczowa kategoria „Zniewolonego Umysłu” Czesława Miłosza) i katastrofizm żagarystów. Dawni skandaliści skłasycznieli i stali autorytetami dla antykomunistycznego pokolenia. Za to wzory patriotycznych cnót wszelakich spisywanych przez Marię Rodziewiczównę trafiły na wspólną półkę z emocjonalnością Heleny Mniszkówny i społeczną refleksją Emila Zegadłowicza. Jeśli z zakłamanej często powojennej polskiej literatury zostanie nam po paru kolejnych dekadach tylko Głowacki ze swoimi ironicznymi i pouczającymi mimowolnie historiami – to i tak będzie wiele. Odszedł może naprawdę ostatni pisarz, którego Polacy powszechnie rozpoznawali na ulicy...

Łukasz Perzyna